

Z DZIEJÓW KRZYSZTOFA ARCISZEWSKIEGO.

(1596 — 1656)

(Początek większéj całości).

W latach 1847 i 1848, rozpoczynający podówczas zawód dziejopisarski, Waleryan Kalinka, zwiedzał archiwa holenderskie, celem wyjaśnienia przyczyn, z powodu których, Holandya i Polska, kraje, położeniem swém i kierunkami dróg swoich dziejowych, tak zupełnie różne, schodziły się kilkakrotnie na kartach historyi XVII wieku i pomocą wzajemnie sobie udzielaną zmuszały Szwecyę w latach: 1629, 1635 i 1660 do traktatów pokojowych z Polską.

Rozczytując się w Hadze w dokumentach archiwalnych, natrafił Kalinka na liczne ślady działalności rycerskiéj i politycznéj Polaka, Krzysztofa Arciszewskiego, na korespondencyę jego ze stanami generalnemi holenderskiemi, w latach 1626—1640 prowadzoną, i, zebrawszy spory zapas szczegółów biograficznych o rozgłośnym owym wojowniku, zamierzył wyczerpującą o nim napisać monografię.

Rezultaty poszukiwań swoich archiwalnych w najróżnorodniejszych kwestyach historycznych i literackich, ogłosił był Kalinka następnie w „Przyjacielu ludu“, piśmie czasowém, przez Günthera w Poznaniu, w latach 1834—1850 wydawaném, w artykule pod tyt.:

„Dziennik podróży naukowéj po Holandyi, w roku 1847 i 1848-ym odbytéj“, w którym, zwracając się do umiłowanego przez siebie bohatéra, pisał:

„Ciekawą jest biografia Arciszewskiego. Jest-to jeden z owych rycerzów pozostałych z czasów feudalnych, którzy, zbytkiem życia pchani w zawód awanturniczy, nie mogą się ostać na miejscu i wybiegają z domu, szukając przygód i niebezpieczeństw. Uderzyła mię ta historyczna figura. Muszę w późniejszym czasie dokładnie jego życie opisać, zebrawszy wszystko, co z krajowych źródeł zaczerpnąć o nim będzie można.“ (Rok XVI, T. I, N. 24, str. 189).

Zamiaru swego, niestety, nie doprowadził Kalinka do skutku. Z biografii Arciszewskiego pozostał jedynie zlekka naszkicowany zarys jego wypraw zamorskich, jego zwycięstw w Brazylii nad Hiszpanami odniesionych, jego zawodów i rozczarowań, jakich doznał ze strony stanów holenderskich, pożegnany chłodno, bez należytéj nagrody, przez naród, któremu lat kilkanaście swego poświęcił żywota.

Nie znalazły się nawet w papierach pośmiertnych po Kalince ślady materyałów do biografii Arciszewskiego, jak o tém ks. Smolikowski w liście swym z d. 17 stycznia 1889 r. do piszącego te słowa wzmiankuje; lecz utorowana w roku 1847 przez Kalinkę droga do źródła wielu o Arciszewskim wiadomości, posłużyła następnie zasłużonemu archeologowi, F. M. Sobieszczańskiemu, za wskazówkę do obszerniejszych, kilkakrotnie zużytkowanych opracowań żywota Arciszewskiego i dotąd jeszcze we wszystkich kierunkach zbadaną nie została.

Nie przechodzili obojętnie około historycznéj postaci Arciszewskiego i poprzednicy Kalinki, nietylko swojscy, ale i obcy.

Historycy, dla których losy kolonii holenderskich na wybrzeżach Brazylii w XVII w. powstałych i z biegiem czasu zanikłych, przedstawiały ponętne do badań pole, nie pomijali wzmianki o Polaku, który, osobistą swą dzielnością i odwagą nieustraszoną, przysporzył Holandyi mnóstwo terytoryalnych nabytków i odgłosem swych zwycięstw w połowie wieku XVII świat napełniał cały.

Pomnik wystawiony na wybrzeżach Brazylii, w Pernambuco, na cześć zdobywcy twierdz: Castello Reale, Olindy, Nazareth, Porto Calvo; medal na cześć jego w r. 1637 w Holandyi wybity; wizerunek bohatéra w rozgłośnym zbiorze Abelliusa: *Theatrum Europaeum* w r. 1637 rozpowszechniony; herb bohatéra, Prawdzic, w pomnikowém

dziele Jana Blaeu'wa, *Geographia Blaviana*, w tomie XI-ym, z roku 1662-go, przy mapie Brazylii podany; i liczne wzmianki o działalności jego w rocznikach holenderskich, dotyczących dziejów Indyi Zachodnich w XVII stuleciu — dowodzą niepospolitego rozgłosu Arciszewskiego na obczyznie.

Niemniéj baczną zwracano nań uwagę w Polsce, gdzie, już od końca XVII wieku zaczynając, spotykamy w rękopiśmiennych *silvis rerum*, rozmaite odpisy listów i wierszowanych utworów, Arciszewskiego dotyczących.

Dopiéro z początkiem bieżącego wieku rozpoczyna się szereg luźnych wiadomości biograficznych o naszym bohatérze, dowodzących zainteresowania się pisarzy polskich romantycznemi losami Arciszewskiego, lecz urywki te, jako nie oparte na źródłowych faktach, są tak pobieżne, niedokładne i błędne w szczegółach, że żadną miarą za źródło informacyjne dla biografa służyć nie mogą.

Oprócz wzmianek o rodzie Arciszewskich i o gnieździe, z którego wyszli, w Herbarzu Niesieckiego, opatrzonym następnie dopiskami Krasickiego, znajdujemy tu przedewszystkiém niestwierdzoną żadnym dowodem wiadomość, o przywróceniu do czci dekretem sejmowym obu braci Arciszewskich: Eliasza i Krzysztofa.

Ogólnikowa ta wzmianka, nie podająca nawet powodu, dla którego Arciszewscy karze infamii podlegli, posłużyła następnie biografom do osnucia tkanki przypuszczeń, które dopiéro dokumenta archiwalne, w pracy niniejszéj zużytkowane, na pewniejszym oparły gruncie.

Pierwszy, obszerniejszy zarys biograficzny o Krzysztofie Arciszewskim, zamieścił był ks. Albertrandy w „Pamiętniku Warszawskim“ z r. 1809 (T. III, str. 94—103).

Punktem wyjścia dla biografa był medal wybity w Holandyi na cześć Arciszewskiego, drobiazgowo i ze znajomością rzeczy opisany; lecz oprócz ważniejszych dat zwycięstw wywalczonych przez bohatéra w Brazylii, co do nazwisk miejscowości niedokładnych i kilku faktów z epoki wojen kozackich w Polsce, w których nasz Arciszewski miał udział, wszystko, cokolwiek Albertrandy w zarysie swym zamieścił, dowodzi braków materyału faktycznego, jakim rozporządzał.

Powoli jednak zaczęły się pojawiać w pismach czasowych ciekawsze, bardziéj źródłowe o Arciszewskim wiadomości.

W roku 1821-ym zamieściła „Mrówka Poznańska“ ciekawy, lecz w niedokładnym odpisie z księgozbioru opactwa kanoników regu-

larnych w Trzemesznie, list Krzysztofa Arciszewskiego do Władysława IV-go, w r. 1637-ym z Amsterdamu wysłany, w którym po raz pierwszy znaleziono ważne szczegóły biograficzne, dotyczące nietylko działalności bohatéra na obczyznie, lecz i wyznanie przekonań jego religijnych i politycznych, do zrozumienia téj historycznéj postaci koniecznych.

Nie skorzystał z tego odpisu w r. 1822 J. U. Niemcewicz, w tomie IV-ym „Zbioru pamiętników o dawnéj Polszcze", lecz zamieścił wadliwy, niezupełny i upstrzony błędami wyciąg z listu Arciszewskiego, opatrzywszy go w dopisku niemniéj błędnemi szczegółami biograficznemi o jego autorze.

Błędną również informacyą grzeszy i wzmianka H. Gawareckiego o bohatérze, zamieszczona w r. 1823-im w „Opisie topogr. historycznym ziemi wyszogrodzkiéj" (str. 44), mieszcząca gniazdo jego rodu we wsi Arciszewo, nad rzeczką Ryxą położonéj i dała asumpt późniejszemu monografiście, Sobieszczańskiemu, do drobiazgowego opisu owéj wioski i wyprowadzenia błędnych w zasadzie i w szczegółach wniosków o całéj rodzinie Arciszewskich.

Natomiast, „Dziennik Wileński" z r. 1827 dostarczył nowego, tym razem źródłowego materyału, do epoki pobytu Arciszewskiego w Holandyi, w formie przedruku listu jego, w dniu 25 czerwca 1624 r. z Hagi do księcia Krzysztofa II Radziwiłła adresowanego, opisującego losy bohatéra na obczyznie i niektóre ciekawsze epizody z toczonéj podówczas wojny (trzydziestoletniéj) w Europie, do znajomości całéj epoki ówczesnéj ważny stanowiące przyczynek.

Z kolei, „Przyjaciel ludu" w początkowych swoich rocznikach kilkakrotne o Arciszewskim drukował wzmianki, zebrane następnie w niezupełną całość w „Małéj encyklopedyi polskiéj" S. Platera, z roku 1841 i zużytkowane w r. 1842 przez Raczyńskiego we „Wspomnieniach Wielkopolski," oraz w „Gabinecie medali," z napomknieniem o sprawie gardłowéj naszego bohatéra, która spowodowała jego wywołanie z kraju i ucieczkę do Holandyi.

We wszystkich tych wzmiankach odbijały się echa podań o morderstwie, spełnioném przez Arciszewskiego na osobie palestranta Brzeźnickiego, lecz niedostawało im źródłowego gruntu, aż do ostatnich czasów, gdy poszukiwania archiwalne, przez piszącego te słowa podjęte, wyprowadziły na widownię wszystkie ukryte dotychczas przed biografami szczegóły, pierwszorzędnego dla dziejów naszego bohatéra znaczenia.

Dalsze wzmianki o Arciszewskim zamieszczone w roku 1843-im w „Słowniku encyklopedycznym rosyjskim“ przez Tadeusza Bułharyna, przetłómaczone w tymże roku w Warszawie w „Dennicy“ Dubrowskiego, oraz artykuł pana Gley w dziele francuskiém zbiorowém: *Biographie universelle*, wreszcie fragment Jankowskiego (*Johna of Dycalp*) w piśmie zbiorowém „Radegast“ drukowany i urwany, również jedynie do literatury przedmiotu należéć mogą.

Do téj saméj kategoryi należy i artykuł biograficzny, zamieszczony w „Pamiątkach historycznych“ Karola Milewskiego (1848).

Poszukiwania archiwalne Kalinki w Hadze i rezultaty ich, podane w powołanym na wstępie „Dzienniku podróży naukowéj“, rzuciły, jak powiedziano, pierwsze jaśniejsze światło na historyczną doniosłość postaci Arciszewskiego. One to były podstawą do opracowania pierwszéj, obszerniejszéj biografii bohatéra i posłużyły zasłużonemu badaczowi F. M. Sobieszczańskiemu jako nić przewodnia do zesumowania wzmianek o Arciszewskim, w dziełach pisarzy polskich, holenderskich i francuskich napotkanych. Życiorys Arciszewskiego jego pióra, drukowany najprzód w dwutomowych „Wizerunkach znakomitych mężów, wsławionych w różnych zawodach“ (Warszawa, 1850), wydany był następnie w oddzielnéj odbitce. W roku 1853-im, w przekładzie polskim (Mosbacha) „Klimakteru IV“ Kochowskiego, przytoczonym został na str. 364—366 dopisek, obejmujący niektóre nieznane szczegóły o Arciszewskim. Takież same ogólnikowe wzmianki zamieścił Moraczewski w tomie VIII „Dziejów rzpltéj polskiéj“ (Poznań, 1853, str. 57).

Ponownie artykuł Sobieszczańskiego, powtórzony z małemi zmianami w pierwszym roczniku „Tygodnika Illustrowanego“ (1860), zużytkowanym został w tymże roku w „Encyklopedyi Orgelbranda“ i odtąd pojawiał się w rozmaitych pismach zbiorowych, w niezmienionéj, pod względem główniejszych, przeważnie niedokładnych, faktów, postaci.

Od ostatniéj większéj o Arciszewskim pracy upłynęło lat kilkadziesiąt. Z poszanowaniem należném skrzętnym poszukiwaniom Sobieszczańskiego, pierwszego źródłowego biografa Arciszewskiego, zaznaczyć wypada, że nie wyczerpały one całkowitego, już wówczas dostępnego, o tak wybitnéj dziejowéj postaci materyału. Nietkniętemi zostały ważne dokumenta archiwalne warszawskiego, poznańskiego, holenderskich i brukselskich archiwów, obejmujące wiele danych do życiorysu bohatéra. Oprócz tego, przybyło wiele nowych rękopiśmiennych źródeł, zmieniających dotychczasowy punkt widze-

nia na działalność Arciszewskiego, w ostatnich latach jego wojskowéj karyery.

Odnalazły się ważne dla dziejów ogólnych bohatéra szczegóły, które w toku opowiadania jego losów przytoczonemi zostaną, przedewszystkiém zaś, niezmiernie ważny i ciekawy list Arciszewskiego, pisany do rodziców w r. 1623, bezpośrednio po zamordowaniu Brzeźnickiego, w zbiorze korespondencyi Tomasza hr. Zamojskiego w Bibliotece Ordynackiéj znaleziony.

Przybyły, łaskawie mi przez p. Józefa Lekszyckiego nadesłane, odpisy dokumentów z relacyi kościańskich; *deductio nobilitatis* Arciszewskiego z r. 1622; dokumenta do sprawy z Brzeźnickim o zadanie nieszlachectwa przed sądem ziemskim kościańskim, oraz przed kołem rycerstwa pomorskiego w Starogrodzie w tymże roku przewiedzionéj.

Przybył szereg dokumentów archiwalnych z księgi zapisów Piotrkowskich z lat 1613 — 1623, obejmujących stosunki Brzeźnickiego z rodziną Arciszewskich. Przybyły odpisy wyroków trybunału Piotrkowskiego, obejmujące przebieg sprawy o zabójstwo Brzeźnickiego, poraz pierwszy legendę, podniesioną przez dawniejszych biografów, stawiające na pewnym, historycznym gruncie.

Ważną zdobyczą nietylko dla dziejów żywota Arciszewskiego, ale i dla dziejów literatury polskiéj były wykryte w rękopiśmiennym, łaskawie mi do użytku przez prof. J. K. Plebańskiego powierzonym zbiorze d-ra Mizerskiego z Pelplina („Wiridarz poeticki z różnych poetów wiadomych i niewiadomych, łacińskich i polskich, wielką i kilkunastu lat pilną pracą wystawiony i skończony r. 1675“), charakterystyczne poetyckie prace Arciszewskiego, stawiające go w jednym i to niepoślednim szeregu rymopisów polskich wieku XVII-go. Rymy Arciszewskiego w „Wiridarzu poetickim“ zamieszczone, usunęły ostatecznie wątpliwość co do autorstwa wiersza: „Pieśń Arciszewskiego, kiedy za listem króla jegomości z Brazylii do Holandyi powracał roku 1637“, wydanego oddzielnie w r. 1863 we Lwowie i poczytywanego za apokryf, roboty nowoczesnych rymopisów. Wyjaśniła się tym sposobem zagadka końcowego ustępu listu Arciszewskiego, w roku 1639-ym z Brazylii do burmistrza m. Amsterdamu, Alberta Koenrats, pisanego, w którym, z powodu zatargów z hr. de Nassau, prosi o uwolnienie od służby i cieszy się, że będzie mógł odtąd książkom i muzom (*Musarum otiis*) się poświęcać.

Zbyteczna nadmieniać, ile światła na charakter i umysł owego niezwykłego człowieka rzucają owe, nie dla literackiéj próżności, lecz

dla potrzeb serca, w Brazylii pisane, wzniosłe elegie, odsłaniające np. w ustępie:

„Niewysłowionéj Boże dobroci! Ty moję
Cnotę mi wróć!“

najtkliwsze uczucia grzesznika żałującego za czyn w uniesieniu i nierozwadze młodości spełniony, pisane językiem świetnym, dosadnym, przypominającym najlepszą piśmiennictwa ojczystego dobę!

Dzięki uczynności skrzętnego badacza wojskowości w Polsce, p. Konstantego Górskiego, otrzymałem do użytku jedno ze sprawozdań Arciszewskiego, składanych sejmom za Władysława IV i Jana Kazimierza, od 1646 do 1650 r., dotyczących działalności jego, jako starszego nad armatą koronną. Odnalazły się jednak następnie wszystkie sprawozdania Arciszewskiego, własnoręcznie przezeń spisane, w obszernym rękopisie archiwum wilanowskiego.

Ważny ten, pierwszorzędnego znaczenia dla dziejów obrony rzpltéj za panowania Władysława IV-go, bezkrólewia po jego śmierci nastąpionego i pierwszych lat panowania Jana Kazimierza, dokument obejmuje następne działy, stanowiące uzupełnienie części rachunków Arciszewskiego: 1) Rachunki z nowéj kwarty tak co do przychodów i rozchodów artyleryi koronnéj, produkowane na sejmie 1646 roku; 2) Drugą część rachunków z r. 1647 (przez p. Górskiego, jak wyżéj, odnalezioną, tu zaś, z własnoręcznego pisma Arciszewskiego w całości podaną); 3) Rolę, czyli spis ludzi artyleryjskich, z ośmiu cekauzów rzpltéj; 4) Trzecią część rachunków, na sejmie konwokacyjnym podczas bezkrólewia roku 1648, do dnia 22 lipca t. r. produkowanych; 5) Czwartą część tychże rachunków, na sejm koronacyjny z r. 1649 przygotowanych, od d. 22 lipca 1648 r. do d. 19 stycznia 1649 r.; 6) Piątą część rachunków, na sejm pokoronacyjny za Jana Kazimierza od d. 22 listopada 1649 r. przygotowanych; 7) Memoryał senatu i izby poselskiéj w przedmiocie rachunków Arciszewskiego, na sejmie 1649 r. produkowany; 8) Ostatni rachunek Arciszewskiego, od skończenia 5 rachunku do dnia dymisyi generała sporządzony; 9) Opisanie inwentarskie budowania cekauzu warszawskiego; 10) Inwentarz ksiąg artyleryjskich przez Arciszewskiego jego następcy, Zygmuntowi Przyjemskiemu złożony.

Oprócz tego materyału, wyłącznie do działalności Arciszewskiego odnoszącego się, są w manuskrypcie wilanowskim, obecnie w Krakowie, pod opieką prof. Kluczyckiego pozostającym, inne, nader cenne sprawozdania, następnych generałów artyleryi: Przyjemskiego, Gro-

dzickiego i Fromholda Wolffa z Ludinghausen, do r. 1667 włącznie prowadzone, które jednak, jako nie należące do przedmiotu, z odpisu wyłączyłem. Wszystek powyżéj wymieniony materyał niebawem ogłoszę. Nie są to cyfry suche i bez znaczenia, gdyż okrasza je i uzupełnia cenny komentarz Arciszewskiego, rzucający światło na cały mechanizm wojenny dawnéj rzpltéj i na ludzi, którzy koło tego mechanizmu, pod wodzą doświadczonego swego zwierzchnika, obracali. Niepośledniego znaczenia jest i memoryał, powyżéj pod Nr. 7 wzmiankowany, obejmujący krytykę czynności Arciszewskiego ze strony senatu i posłów wypowiedzianą, dowodzącą bacznego oka i skrupulatności sprawozdawców sejmowych.

Poszukiwania podjęte przez przyjaciela mego, poetę, Henryka Merzbacha, w archiwum brukselskiém, odsłoniły nowe szczegóły spisku politycznego, przeciw Zygmuntowi III przez ks. Krzysztofa Radziwiłła, przy współudziale Arciszewskiego i Kochlewskiego, uknutego i do faktów wzmiankowanych w dziele: „Sprawy wojenne i polityczne księcia Krzysztofa Radziwiłła“ (Paryż, 1859) dodały wiele nowych, dziejowéj doniosłości wyjaśnień.

Ostatnie lata karyery wojskowéj Arciszewskiego, z dziejami buntów kozackich, do roku 1649, ściśle skojarzone, w jaśniejszych zarysach przedstawiły się, skutkiem ujawnienia kilku nowych faktów w „Księdze pamiętniczéj Jakóba Michałowskiego“ i w pięknych „Szkicach historycznych“ Kubali, o oblężeniu Zbaraża i o Zborowskiéj odsieczy.

Dzieje oblężenia Lwowa (1648) zyskały przez bliższe zbadanie działalności Arciszewskiego w epoce, w któréj był dowódzcą garnizonu lwowskiego, niejeden szczegół ciekawy i opromieniły owę postać aureolą bohaterstwa bezgranicznego.

Niepodobna w niniejszym pobieżnym zarysie nowo wykrytych do dziejów Arciszewskiego faktów i źródeł, wymienić wszystkich po kolei i w chronologicznym porządku danych, które mnie do podjęcia niniejszéj pracy zachęciły.

W ciągu innych prac naukowych, w ostatnich latach podejmowanych, postać Arciszewskiego pociągała mnie zawsze swoim urokiem i pobudzała już od dawna do skrzętnego zbierania źródeł, w zamiarze obszerniejszego ich opracowania.

Zarys niniejszy był prawie że na ukończeniu, gdy nadspodziewanie otrzymałem od życzliwych, a następnie i przez pisma czasowe, wiadomość, iż p. Aleksander Walicki, obecny kustosz archiwum Radziwiłowskiego w Nieświeżu, wykrył plikę listów oryginalnych mego

bohatera, z lat 1619—1639, do swego opiekuna, ks. Krzysztofa Radziwiłła, pana na Birżach i Dubinkach, pisanych. Z wiadomością tak nieoczekiwaną zeszedł się przypadkowy pobyt p. Walickiego w Warszawie. Stosunki życzliwości, jakie mnie od lat wielu z nim łączą, ośmieliły piszącego do przedstawienia mu prośby; aby mi o tych listach raczył udzielić choć pobieżnéj informacyi, celem przekonania się, czy zarys biograficzny, jaki już nakreśliłem, nie będzie wymagał zmian i przeróbek, stosownie do nowych faktów, możliwie w korespondencyi Arciszewskiego wyłuszczonych.

Mając na względzie obfite źródło materyałów, jakie w ciągu lat kilku do dziejów mego bohatera uzbierałem, p. Walicki oddał do mego rozporządzenia odnalezione przez siebie listy Arciszewskiego i przesłał mi je w kopiach z Nieświeża, po dokładném osobistem skolacyonowaniu ich z oryginałami.

Tym sposobem, najniespodziewaniéj, znalazłem bogatą kopalnię szczegółów ważnych, pierwszorzędnego znaczenia, które, w wielu zarysach, nietylko, że uzupełniły, lecz nawet doszczętnie zmieniły zarys biograficzny Arciszewskiego, przezemnie już nakreślony i zmusiły do rozszerzenia pierwotnych ram biografii bohatera. Skarbiec wiadomości nowych, przez p. Walickiego mi ofiarowanych, składa się z dwudziestu kilku dokumentów, z których jeden tylko, mianowicie list, w dniu 25 czerwca 1624 z Hagi do ks. Radziwiłła adresowany, był już w roku 1827 w „Dzienniku Wileńskim“ niedokładnie wydrukowany. Reszta listów była dotychczas zupełnie nieznaną.

Dwa listy z roku 1619 i 1621 odnoszą się do zatargów Radziwiłła ze zdrajcą Waldemarem Farensbachem i do wyroku śmierci, jaki na słudze tego ostatniego rozkazał książę wykonać, co wywołało pierwsze niesnaski między panem na Birżach a Zygmuntem III, i spowodowało późniejsze między nimi zerwanie.

Trzy listy z roku 1622 z Gdańska przez Arciszewskiego do Radziwiłła pisane, obejmują przebieg sprawy między wdową po Januszu VI, Radziwille, Elżbietą Zofią, księżniczką brandeburską, a Krzysztofem Radziwiłłem, opiekunem nieletniego Bogusława Radziwiłła, ostatniego potomka męskiego linii panów na Birżach i Dubinkach.

W sprawie téj, Krzysztof Arciszewski, jako dworzanin księcia Krzysztofa, działał w zamiarze utrzymania „zgody i dobréj przyjaźni“ między księżną JMością a opiekunem, „wiadom będąc niemieckich humorów“.

Trzy listy z roku 1623, z Warszawy przesłane, dotyczą sprawy zatargów między ks. Krzysztofem a królem Zygmuntem III, z po-

wodu buławy hetmańskiéj, któréj król, z powodu rankoru swego, panu na Birżach udzielić się wzbraniał. Podaje w nich Arciszewski dokładny obraz ówczesnych wypadków krajowych, stanu opinii i rozmów swoich z dygnitarzami rzplitéj, rzucający pożądane na epokę i ludzi światło.

Jeden list z Gdańska, w dniu 15 listopada 1623, już po ucieczce Arciszewskiego z kraju, wywołanéj gardłową jego sprawą o zabójstwo Brzeźnickiego, pisany do księcia Krzysztofa, obejmuje nader ciekawe wiadomości o poczcie, jaką Arciszewski dla potrzeb politycznych swego opiekuna urządził: w Gdańsku, w Królewcu, w Kownie i w Wilnie i którędy szły z Francyi do Niderlandów wiadomości o przebiegu wojny trzydziestoletniéj, jaka się podówczas w środku i na zachodzie Europy toczyła. Za pośrednictwem téj poczty książęcéj szły następnie listy Arciszewskiego w sprawie spisku politycznego, przeciw Zygmuntowi III uknutego, który głośną swego czasu wywołał w rzplitéj wrzawę.

Siedm listów z roku 1625 ma przeważnie ogólno-dziejowe znaczenie i do historyi wojny trzydziestoletniéj, jakotéż do udziału w niéj osobistego naszego bohatéra, ważny stanowi przyczynek.

Trzy listy, pisane z Sedanu w r. 1626 po ucieczce Arciszewskiego z Holandyi i po wstąpieniu jego w służbę francuską i jeden list z portu angielskiego i wyspy Wight do księcia Krzysztofa i Piotra Kochlewskiego, wspólnika spisku, pisane, podają na tle wypadków ogólnych i fakta, biograficznéj dla dziejów naszego bohatera doniosłości.

Następny list z Amsterdamu, w dniu 15 października 1639 r. księciu przesłany, stanowi ważny i ciekawy komentarz do zatargów Arciszewskiego z hrabią de Nassau-Siegen, wielkorządcą holenderskim w Brazylii, które to zatargi zmusiły Arciszewskiego do porzucenia służby w kompanii Zachodnio-indyjskiéj i do zamiaru wyzwania hrabiego de Nassau na pojedynek.

Oprócz powyższych listów osobistych Krzysztofa Arciszewskiego, otrzymałem do użytku list jeden ojca Arciszewskiego, starego Eliasza, pisany w d. 24 kwietnia 1625 r. z Nietaskowa do księcia Radziwiłła, z prośbą, o opiekę nad nieszczęśliwym synem, banitą.

Wreszcie, wraz z innemi, mającemi łączność z dziejami Arciszewskiego, kilkoma pomniejszemi dokumentami, otrzymałem dwa listy z r. 1630, jeden z Lublina, drugi z Warszawy, przez młodego Eliasza Arciszewskiego, dworzanina w służbie duńskiéj naówczas będącego, do ks. Radziwiłła pisane, stanowiące ważny komentarz do sprawy spisku politycznego, o jakim wyżéj była mowa.

Pobieżny ów przegląd odnalezionych przez p. Walickiego, a przezemnie tylko w niektórych miejscach, co do pewnych wyrażeń i punktacyi, zaledwie zmienionych listów, daje przybliżoną miarę doniosłości odkrycia, nietylko dla biografii Arciszewskiego, ale i dla dziejów ogólnych krajowych. Ważność tych dokumentów, nierozdzielny ich związek z opowieścią losów bohatéra, charakterystyczny język człowieka, będącego niejako prototypem nieocenionego naszego Imci pana Paska i stojącego niemal że na jednym poziomie z owym uosobieniem zalet i wad Polaka z epoki XVII wieku, tężyzna i zamaszystość stylu, spostrzegawczość, wykazująca w autorze listów szerokość jego poglądów i świadomość wypadków dziejowych, jakie się przed oczyma jego roztaczały *et quorum pars magna fuit*, wszystko to tłómaczy piszącego z pobudek szczeréj wdzięczności dla tych, którzy go w ciągu téj pracy obdarzali faktycznemi dowodami swéj życzliwości i pomocy, gwoli interesom literatury ojczystéj.

Epizody działalności Arciszewskiego w Brazylii, oraz przebieg jego niesnasek z Maurycym hrabią de Nassau-Siegen, których następstwem było opuszczenie służby holenderskiéj, wymagały poszukiwań oddzielnych, w archiwach: amsterdamskiém i hagskiém.

W Amsterdamie, dzięki uczynności bibliotekarza uniwersytetu, historyka sztuki, p. Ernesta Moesa, miałem sobie przedstawiony do użytku obfity materyał drukowany, w pismach Holendrów z XVII w. jak np. J. Commelyna: *Leven van Fred. Hendrick van Nassau* (Utrecht 1652); Johannesa de Laet: *Historie etc. der West Indsche Compagnie* (Leyda, 1644), oraz w pismach i zbiorach: Vagenaara, Koke'a i van der Aa, Collota d'Escury i innych, które, pomimo języka swego, nie przedstawiają dla zrozumienia ich osnowy, faktów i dat, żadnych poważniejszych trudności.

W archiwum amsterdamskiém nie znalazłem wprawdzie poszukiwanego materyału, gdyż nawet ocalałe papiery dawnych izb stanów jeneralnych, przesłanemi zostały do archiwum państwowego do Hagi, (*Rick's Archief*), natomiast, w tém ostatniém, bardzo bogatém archiwum, odszukałem bardzo wiele ciekawych do życiorysu Arciszewskiego dokumentów, a między innemi, ważną i obszerną (15 stronic *in folio* obejmującą) skargę Arciszewskiego, w języku holenderskim, dnia 29 marca 1640 roku, piękném i czytelném pismem zredagowaną, w któréj szczegółowo, powód zatargów, doznaną krzywdę i gravamina swoje opisuje.

Prócz tego, znalazły się w rezolucyach Stanów jeneralnych z lat poprzednich, niektóre szczegóły, dotyczące wstawiennictwa za Arciszewskim, ze strony króla Władysława IV i hetmanów: Radzi-

wiłła i Koniecpolskiego do stadhoudera Holandyi w roku 1639 uczynionego, lecz samych listów tych opiekunów nie udało mi się odnaleść.

Uprzejmości j. e. generała majora p. Marinusa Netschera, autora cenionego dzieła francuskiego: *Les Hollandais au Bresil* (Haga, 1853) w mieście Hadze żyjącego i pracom historycznym oddanego, zawdzięczam cenne wskazówki do pism holenderskich Arciszewskiego, drukowanych w zbiorze Towarzystwa historycznego Utrechckiego, pod tyt: „*Kroniek van het histor. Genootschap*“ (Utrecht, 1870). W zbiorze tym mieszczą się: 1) Missywa Arciszewskiego do hr. de Nassau z d. 24 lipca 1637; 2) Memoryał jego z tegoż roku; 3) Apologia Arciszewskiego, w sierpniu 1639 roku, wskutek podniesionych przeciw niemu oskarżeń, przez niego samego napisana.

Dokumenta ostatnie znajdują się i w rękopisach archiwum w Hadze. Obejmują one spory tom, niepośledniego dla życiorysu bohatera znaczenia.

Tym sposobem, wycieczka do Holandyi nie była bezowocną, lecz nietyle własnym zabiegom, ile żywym sympatyom Holendrów do osoby naszego rodaka, których ani zawiść jego współczesnych, ani czas, nie były w stanie osłabić, zawdzięczam obfite, z ciekawego owego pod każdym względem kraju przywiezione plony.

Téj to sympatyi zawdzięczam owo życzliwe poparcie, jakie zewsząd poszukiwaniom moim świadczono, wynurzając życzenie, aby praca o Arciszewskim i nowe źródła do jego życiorysu u nas wykryte, mogły się stać z czasem dostępnemi uczonym i szerszym kołom czytelników, nietylko naszego kraju...

Nie bez słuszności czyniono mi wszędzie uwagę, że pracownicy nasi naukowi nie powinni zacieśniać się w kółku własnego jedynie, nie zbyt rozpowszechnionego języka, lecz należałoby, aby jednocześnie, nowe, ogół obchodzące zdobycze naukowe, ogłaszali w językach dostępniejszych dla sfer naukowych i innych krajów.

Czy się to życzenie kiedykolwiek ziści? — czas dopiéro okaże.

Miałem nadto sposobność widzieć w Hadze srebrny odlew medalu w r. 1637 wybitego w Amsterdamie na cześć naszego rodaka (w bibliotece królewskiéj). Otrzymałem również odbitkę fotograficzną herbu Arciszewskiego, na karcie Brazylii, geografa XVII wieku, Blaeu'a, pięknie odmalowanego i wiele innych notatek, osoby bohatera dotyczących.

Działalność Arciszewskiego roztacza się na tle dziejów trzech królów polskich, szwedzkiéj Wazów dynastyi. Obejmuje ona rozległym swym zakresem epizody z wypraw inflanckich, kojarzy się

z podjętemi przez Władysława IV pracami około wytworzenia potężnéj artyleryi polskiéj i zahacza o początki wojen kozackich, grupując się około bohaterskiéj postaci księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, aż do Zborowskich rokowań.

Potrąca działalność ta i o sferę europejskich i wszechświatowych interesów, wchodzi w zetknięcie z najwybitniejszymi działaczami ówczesnéj polityki i wojskowości: Maurycym ks. Orańskim, Fryderykiem Henrykiem, jego bratem i następcą stadhouderatu niderlandzkiego, Mansfeldem, Tillim, Spinolą, Christianem IV Duńskim, Bernardem Wejmarskim, Christianem Brunświckim, Wallensteinem, kard. Richelieu, Gastonem Orleańskim, Gustawem Adolfem, ks. Bouckhinghamem, hr. Soubise, Lesdiguère, markizem de Cours, księciem holsztyńskim i wieloma innymi; oświeca i rozjaśnia ważniejsze prądy religijnych i politycznych zadań Europy i rzplitéj polskiéj.

Niemniéj ciekawym jest Arciszewski jako człowiek ognistéj fantazyi i rycerskości, przypominających klasyczne starożytnego świata typy. W zaraniu swéj karyery myśli już o sławie wodza i bohatéra. W chwili, gdy stając w obronie swego honoru i rodzinnego gniazda, nurza ręce we krwi nieprzyjaciela swego, nie myśli o karze, jaka go za ten czyn spotka, lecz troska się o to: co potomność o czynie jego sądzić będzie! „Niezapominajcie — błaga rodziców w liście pożegnalnym — dla wieku potomnego exprimować, dlaczego nam do téj rezolucyi przyszło!“ Kończąc swą karyerę wojskową na drugiéj świata półkuli, przyzywa mężów starożytności: Cezara, Antoniusza, Hannibala, na świadectwo, iż pragnął być rzeczywistym, a nie malowanym wodzem...

Umysł światły, polityczny, klasyczną karmiony wiedzą, przed stanowczą bitwą z Hiszpanami, snuje tkankę rzewnych, elegijnych rymów...

Polityk, śmiało wypowiada swemu królowi i panu myśli i uwagi, którym dopiéro schyłek XVIII wieku nadał prawo obywatelstwa w sferze religijnych przekonań.

Jako pisarz, przedstawia się w listach swoich nieodrodnym wieku swego synem, rubasznym a dowcipnym, jak Pasek, którego nawet w bardzo wielu przypomina rysach. Język jego jędrny, układny, giętki, jak na dworaka potężnego księcia i dobrodzieja Krzysztofa Radziwiłła przystało, dobiera najtrafniejszych, obrazowych wyrażeń, na określenie cudów artyleryjskiéj sztuki, któréj książę zawołanym był wielbicielem. Jest bystrym i przenikliwym obserwatorem ludzi i wypadków, z któremi się styka, zachowując przytém za-

wsze punkt widzenia szlachcica polskiego z XVII wieku, na to wszystko, cokolwiek owę szlacheckość razi i wyższość jéj nad plebejuszostwem ujawnia.

Już w tych wszystkich szkicowo poruszonych rysach charakteru i działalności Arciszewskiego, jako człowieka, wodza i pisarza, uwydatnia się niezaprzeczona oryginalność jego postaci, zdolnéj nietylko zająć dziejopisa, lecz i zapalić wyobraźnię poety i romansopisarza. Występuje też on w wierszowanym urywku Johna of Dycalp, jako uosobienie bohaterstwa i niezależności myśli; lecz realniéj, bardziéj historycznie, niż romansowo pojęta, przedstawia się ona w powieści historycznéj Sienkiewicza, „Ogniem i mieczem,“ gdzie spotykamy ją na tle bohaterskiéj obrony Lwowa, przemawiającą do tłumów skupionych około księcia Jaremy, w pamiętném w kościele bernadyńskim we Lwowie zebraniu.

Nie osłabi, lecz wzmocni jeszcze dramatyczność postaci Arciszewskiego, prozaiczna opowieść o losach jego żywota, oparta na źródłowych, po raz pierwszy na światło historyi wyprowadzonych dokumentach. Stanowić będzie ona przyczynek do dziejów krajowych XVII wieku...

Nie będzie ona obojętną i dla dziejów owych prądów umysłowych, które w smutnych, lecz ciekawych losach aryanizmu polskiego znalazły swoje ujście i odbicie

(*D. n.*) *Alexander Kraushar.*





Beatrix Cenci.

czyli

O RZEKOMYM WPŁYWIE SHELLEY'A NA SŁOWACKIEGO.

DYALOG.

Zdzisław. Czy Słowacki znał Shelley'a? Oto pytanie, które, zwłaszcza w ostatnich czasach, odkąd w Europie zapanowała Shelleyomania, jest na porządku dziennym...

Władysław. Aż do znudzenia.

Zdzisław. W każdym razie, jeżeli nie dla t. z. szerokiéj publiczności, bo ta się—u nas przynajmniéj—sprawami, mającemi związek z literaturą, nie interesuje, to dla literatów, a raczéj, że się wyrażę dokładniéj, dla historyków literatury, studyujących dzieje piśmiennictwa, kwestya wpływu Shelley'a na Słowackiego jest têm, czém nieśmiertelne *to be or not to be* dla Hamleta. Znał czy nie znał? *That is the question.* Zagadka ta, pomimo, że wielu sobie nad nią głowy łamało, nie doczekała się rozwiązania.

Beatrice. Tak samo, jak nie znaleziono odpowiedzi na „wielkie pytanie“ Hamleta.

Zdzisław. Dlatego, być może, ponieważ pozytywnych, namacalnych, że tak powiem, dowodów nie ma—jak mniemano—ani za, ani przeciw.

Władysław. A jednak, dziwna rzecz, wszyscy, co pisali lub pisać zamierzają w téj kwestyi—albo z którymi zdarzało mi się rozmawiać o autorze Epipsychidiona, w stosunku do śpiewaka „W Szwajcaryi“—wszyscy, bez wyjątku niemal, *a priori* zdają się wychodzić z założenia, że Słowacki „poprostu nie mógł nie znać Shelley'a“. Wyrażenie to, nie moje, słyszałem z ust jednego z najpoważniejszych

znawców literatury, zarówno polskiéj, jak obcych. Tegoż zdania jest p. Ignacy Matuszewski, wnosząc z rozprawki jego p. t. „Słowacki i Shelley“, poświęconéj rozbiorowi Beatryxy Cenci Słowackiego i tragedyi Shelley'a *The Cenci.*

Zdzisław. Dziwi mnie, że nie wiedziałem o jéj istnieniu.

Władysław. Rozprawka ta — kilka stronic wszystkiego — wyszła w jednym z „dodatków miesięcznych“ do „Przeglądu Tygodniowego“, w roku, jeżeli się nie mylę, 1887, jednocześnie z ukazaniem się w „taniém wydawnictwie“ Adama Wiślickiego „Rodziny Cenci'ch“ [1]) Shelley'a, w przekładzie Kasprowicza. Otóż p. Matuszewski, który idąc za głosem ogółu, „palmę pierwszeństwa przyznaje angielskiemu poecie“, nie Słowackiemu — podobnie, jak Brandes — p. Matuszewski, kiedy porównywa polską tragedyę [2]) z angielską wszędzie wyraża się w sposób, nie pozwalający wątpić, iż, zdaniem autora, utwór Shelley'a nie był nieznany Słowackiemu.

Zdzisław. Wymówiłeś nazwisko Jerzego Brandesa...

Władysław. Wspomniałem o nim, ponieważ p. Matuszewski— którego rozprawkę, jeżeli chcesz, mogę ci pożyczyć — na każdym kroku, raz po raz, powołuje się na niego.

Zdzisław. Otóż Brandes, w swoich „trzech odczytach“ „O poezyi polskiéj w XIX stuleciu“ [3]) powiada, że Słowacki „nie znał widocznie“ Shelley'a tragedyi *The Cenci*, „bo inaczéj byłby go naśladował“. Nawiasem mówiąc, znakomity autor „Głównych prądów“ nietylko, że nie zachwyca się dramatem Słowackiego, ale uważa nawet, że dzieło to „nierównie niżéj stoi od cudownego utworu, w którym Shelley opracował ten sam temat“.

Przed Brandesem, bo w roku 1878, p. Feliks Jezierski, w studyum swém p. t. „Romantyzm angielski XIX wieku“, drukowaném w „Bibliotece Warszawskiéj“, wygłosił zdanie podobne, mianowicie, że nie zdaje mu się, by Słowacki znał krwawy utwór Shelley'a.

Pozwólcie państwo, że wam ze studyum tego kilka przeczytam wyjątków. Mam je przy sobie, zapisane w notesie. Nie od rzeczy też będzie nadmienić, że jest to praca sumienna, skreślona ze znajomością przedmiotu, o którym traktuje—choć trochę niejasna i zawiła pod względem stylowym — a przytém, o czém zapominać nie należy, zawierająca, nie mówiąc już o streszczeniach wszystkich poematów

---

[1]) W Warszawie wyszła „Beatrix Cenci“ Słowackiego w roku 1871, w „Przeglądzie Tygodniowym“ w Nr. od 16 do 30.

[2]) Wydawnictwo „Przeglądu Tygodniowego“ Warszawa 1887.

[3]) Warszawa 1886, na str. 86.

Sheley'a, mnóstwo z nich ustępów, zwłaszcza z „Rokoszu Islamu“, z „Alastora“, z „Prometeusza“, z tragedyi „*The Cenci*“... Niektóre wyjątki tłómaczone prozą, niektóre wierszem białym lub rymowanym. W rozdziale ostatnim wspomnianego artykułu, poświęconym rozbiorowi tragedyi *The Cenci* czytamy między innemi co następuje:

„Oto jest piekielny węzeł akcyi [1]) — pisze p. Jezierski — nad którego rozesnuciem pracowali dwaj rówiennicy co do lat i potęgi: Słowacki i Shelley. Słowacki, jak wiadomo czytelnikom, neutralizuje wstępną sytuacyę prostym, ale nadzwyczaj udatnym zwrotem. Tu bowiem żona hrabiego, a macocha Beatryksy, na samym wstępie urządza rozejm, stanowczo łagodzący położenie, gdyż odzywa się do męża: „idź spać, jesteś pijany; gadając, toczysz pianę z ust... Idź, zaśnij.“ Tém ustępstwem na rzecz n a s z y c h instynktów estetycznych, tém szybkiém przerzuceniem się nad przepaścią ku dalszéj akcyi, ku zemście córki i macochy, Słowacki zwyciężył p o s w o j e m u, a przytém dowiódł na samym wstępie, że w innym zupełnie kierunku dramat swój rozwijać będzie“.

„Shelley bynajmniéj nie oszczędza nerwów słuchacza, który przez ciąg dwu pierwszych aktów czuć musi piekielny nastrój atmosfery. Ale i Shelley zwycięża po swojemu. Nieubłagana anatomia zbrodniczéj natury, ciągnąca się przez dwa akty, jeśli nie u s p r a w i e d l i w i a, to przynajmniéj tłómaczy sprzysiężenie się rodziny przeciw potwornemu rodzicowi“.

„Nakoniec Słowacki, również może z uwagi na n a s z e instynkta społeczne, osądził za niemożliwość przekroczenia Rubikonu — uczuć dziecka względem ojca — w warunkach ludzkich. Przeto wezwanie machiny, wprowadzenie Eumenid— przez Słowackiego— daje się usprawiedliwić ze względów etycznych. Przy tém sam rodzaj przesilenia — w dramacie Słowackiego — czyni jeszcze nieodzowniejszym ten nerw szekspirowski“.

„Oto są pobieżnie dotknięte wytyczne punkta, po których wskazaniu nadmienić wypada, ż e k a ż d y z o b u d r a m a t ó w p r o w a d z o n y m j e s t z z u p e ł n ą n i e z a l e ż n o ś c i ą j e d e n o d d r u g i e g o“.

Z powyższego wynika, że i p. Jezierski, podobnie, jak Brandes, nie wierzy we wpływ Shelley'a na Słowackiego i pomimo, że „Alastora“ zestawia z „Godziną Myśli“ [2]), pomimo, że Shelley, jako poeta „w wysokim stopniu“ i pod wieloma względami wydaje mu się „spokrewniony ze Słowackim“.

---

[1]) Bibl. Warsz. 1878. IV. 443, 444.—[2]) na str. 423.

Na zakończenie jeszcze jeden ustęp z pracy p. Jezierskiego, w którym mowa o stosunku Shelley'a do naszych romantyków, a szczególniéj do Słowackiego.

„Stosunek ten zresztą—czytamy na str. 455— dałby się sformułować w kilku wyrazach: Byron i Shelley nie pożyczają żywiołu naszym romantykom, ale wprowadzają w atmosferę pewien stan psychiczny, któremu nietylko poeta, ale nawet zwykły słuchacz oprzéć się nie może, tak samo, jak zasłyszany, choćby zdaleka, ton minorowy, wpadając w ucho, nawet na słuchaczu nie artystycznym wymusza nutę minorową. Niech więc mistrzowie krytyki zagranicznéj, którym obca wielkość jest solą w oku, nie przesadzają w indukcyi i upatrzywszy w pewnych akordach podobieństwo, nie nazywają koryfeuszów naśladowcami“.

„Dodalibyśby tylko, że pomiędzy Shelley'em a Słowackim — o którego głównie tu idzie — *tertium comparationis* stanowi Kalderon. Na téj postaci, jak na wierzchołku oderwanego trójkąta, spoczywa główny punkt analogii. A więc, w ostatniém streszczenia: Sheley, Kalderon i Słowacki.“

Czy nikt więcéj, oprócz Kalderona? Czy most na którym spotykają się Słowacki i Shelley, wspiéra się na jednym tylko filarze, na Kalderonie? Czy most ten nie runie, skoro po nim przejedzie rydwan krytyki? Lub téż, czy może p. Jezierski niedowidzi i zamiast kilku filarów, tonących we mgle oddalenia, dostrzega pierwszy tylko, najsłabszy ze wszystkich? O tém pomówimy później. Tymczasem, żeby już skończyć z p. Jezierskim, godzi się wspomniéć o jego „kilku słowach o życiu Shelley'a, poprzedzających przekład „Prometeusza rozpętanego“, oraz o znajdujących się na ostatnich jedenastu kartkach książki „uwagach i objaśnieniach“. Otóż tu nazywa p. Jezierski *The Cenci* Shelley'a „arcydziełem demonicznego majestatu, do jakiego tylko Milton i Byron, a z pośród naszych wieszczów tylko Słowacki— w tragedyi tegoż imienia — wznieść się umieli. Shelley — twierdzi p. Jezierski — również, jak nasz poeta, zaczerpnął treść swego utworu z archiwów pałacu Cencich“ i t. d. Ostatnie zdanie stoi w niezgodzie z prawdą; Słowacki bowiem, wbrew twierdzeniu p. Jezierskiego, nie „z archiwów pałacu Cencich“ poczerpnął treść do swojéj tragedyi.

Beatrice. Skąd pan wié o tém?

Zdzisław. Na pytanie to odpowiem późniéj, mówiąc o genezie dramatu Juliusza. Teraz zaś...

Julian. Przepraszam, że przerywam, ale nie wiem, czy panu wiadomo, że pani Wila Zyndram Kościałkowska, od dłuższego już

czasu podobno, pracuje nad wyczerpującém studyum *à la* Taine o Shelley'u, ze szczególném uwzględnieniem — jeżelim się nie przesłyszał — jego wpływu na Słowackiego.

Zdzisław. Ha, w takim rasie przyjdzie pomiędzy nami t. j. między p. Kościałkowską i mną, do zaciekłego sporu, sporu, w którym—z góry oświadczam—okażę się bewzględnym, jak Achilles, gdy walczył z Pentezyleą i pomimo, że przeciwnikiem mym będzie białogłowa, nie ustąpię.

Beatrice. Nie rozumiem pana.

Zdzisław. Albowiem piszę studyum, w którém dowodzę—dość przekonywająco nawet, jak mi się zdaje — że w pismach Słowackiego nigdzie, nigdzie absolutnie, wpływu Shelley'a dopatrzéć się niepodobna.

Beatrice. Zobaczymy, kto zwycięży.

Władysław. Kobiéta, jak zwykle.

Zdzisław. Mam nadzieję, że w danym wypadku, podobnie jak pod murami Ilionu, Achilles pokona Pentezyleę.

Beatrice. Lepiéj nie przesądzajmy przyszłości.

Zdzisław. Tymczasem jestem ciekawy, co powié p. Kasprowicz, tłómacz „Epipsychidiona“ [1]) i „Rodziny Cencich“...

Władysław. Którego gruby, „ludowy“ pędzel, nie nadaje się bynajmniéj, mojém zdaniem, do kopiowania eterycznych, jak srzeżoga letnia, wizyi Shelley'a. Konopnicka! Onaby mogła a nawet powinna przetłómaczyć Shelley'a. Wielkąby tém piśmiennictwu polskiemu zrobiła przysługę, większą, aniżeli kiedy nam przyswaja Heyse'go lub Hammerlinga.

Zdzisław. Wracając do p. Kasprowicza, to przyobiecał on jednemu z czasopism—nie pamiętam któremu—studyum literackie p. t. „O Shelley'u i shelleizmie w Polsce“.

Władysław. W Polsce?

Zdzisław. Tak, „w Polsce“, choć przyznaję, że nie pojmuję ani potrafię odgadnąć, co p. Kasprowicz rozumie przez „shelleizm w Polsce“, w Polsce, gdzie, jestem pewny przed pojawieniem się studyum p. Jezierskiego, a zwłaszcza przed wydaniem polskiego przekładu „Głównych prądów literatury XIX stulecia“ J. Brandesa, o Shelley'u wiedziały tylko jednostki, niewielka garstka ludzi inteligentnych, literatów z zawodu, gdzie przed wyjściem z druku „Prometeusza rozpętanego [2]), w przekładzie p. Jezierskiego oraz przekładu „Chmury“ [3]) po mistrzowsku dokonanego przez Adama Asnyka, o autorze „Królowéj Mab“ głucho było tak w prasie, jak i wśród pu-

[1]) Życie, 1888, Nr. 22 do 25. — [2]) Warszawa 1887. — [3]) Bluszcz z r. 1888 z d. 7 listopada.

bliczności, a gdzie śladów „shelleizmu“ można się dopatrzéć nieprędzéj, aż dopiéro w ciągu ostatnich lat paru, w „poezyach“ p. Kasprowicza, który nietylko tłómaczy, ale i naśladuje twórcę Epipsychidiona, oraz w poemaciku p. Adama Lange'go p. t. „Pogrzeb Shelley'a,“ wzorowanym na „Prometeuszu.“

Władysław. Mała uwaga. Powiedziałeś, że przed pojawieniem się studyum p. Jezierskiego, a zwłaszcza przed wydaniem polskiego przekładu „Głównych prądów“ Brandesa, poświęcającego Shelleyowi blisko 60 stron, „o autorze Królowéj Mab głucho było tak w prasie, jak i wśród publiczności.“ Nie potrafię powiedziéć, czy wśród publiczności naszéj — o wiele mniéj, aniżeli jakakolwiek inna, interesującéj się sprawami sztuki i literatury, — czy wśród publiczności naszéj, pretendującéj do tytułu „inteligencyi,“ kwitnie kult Shelley'a... Wątpię. Prędzéj gotówbym przypuścić, że większość — nawet t. z. „inteligencyi — nie wie, że istniał taki poeta. W pogoni za groszem ludzie nie mają czasu myśléć o poezyi. Wielu nie czytało „Pana Tadeusza“, nie mówiąc już o Słowackim i Krasińskim. Nie dziwić się, że nie słyszeli o Shelley'u. Smutne to, ale prawdziwe, niestety!.. Mylisz się jednak, twierdząc, że i w prasie głucho było o Shelley'u przed rokiem 1878, t. j. przed wyjściem zeszytu „Biblioteki Warszawskiéj“, zawierającego studyum „O romantyzmie angielskim XIX wieku“ p. F. Jezierskiego.

Już w roku 1865, w pierwszém wydaniu „Historyi literatury powszechnéj,“ Jana Scherr'a, przekładania Gliszczyńskiego, znajdziesz kilka stron poświęconych Shelley'owi.

Następnie, również w roku 1865, w Historyi Literatury powszechnéj Fr. H. Lewestama, w dziale zatytułowanym „Germańszczyzna“ ukazała się pierwsza, o ile wiem, obszerna charakterystyka Shelley'a. Czy oryginalna, oparta na osobistéj znajomości dzieł Shelley'a, czy przetłómaczona z jakiego dzieła niemieckiego lub francuskiego — co się Lewestamowi, jak wiadomo, zdarzało nieraz — w to nie wchodzę. W każdym razie, jakąkolwiek jest geneza Lewestamowskiego sądu o Shelley'u, zaprzeczyć się nie da, że należy on, mojém zdaniem przynajmniéj, do najtrafniejszych, ponieważ odznacza się bezstronnością, nie uprzedzającą się ani na korzyść, ani na niekorzyść poety. Lewestam — czy też autor, którego pogląd sobie przyswoił — nie szczędzi pochwał, gdzie potrzeba, nie przemilcza o zaletach, ale nie chwali bezwzględnie, jak Brandes np., który, zdaje mi się, za mało wad dostrzega w Shelley'u, a raczéj nie dostrzega ich zupełnie. A przecież i Shelley miał swoje „słabe strony“... Posiadał ich nawet bardzo wiele; więcéj nierównie, aniżeli sądzi Brandes. Mnie

osobiście, który nie przyznaję z zasady — jak to wielu u nas czyni — wyższości temu, co zagraniczne, nad tém, co swojskie, rodzime, mnie osobiście, powtarzam, opinia o Shelley'u zawarta w dziele Lewestama więcéj trafia do przekonania, aniżeli Brandes, który, mówiąc o twórcy „Mimozy", przestaje być krytykiem, ile że na wszystko, nawet na usterki, patrzy przez pryzmat zachwytu: zamiast studyum krytycznego, kreśli panegiryk. Prawda, że go pisze z wielkim talentem, błyskotliwie, efektownie, interesująco, z tą werwą niepospolitą, jemu właściwą, ale cóż z tego: panegiryk pozostaje tém, czém jest, cierpiąc na brak krytyki, we właściwym tego słowa znaczeniu, i bezstronności. Tenże Lewestam w r. 1866 wygłosił szereg prelekcyi publicznych „O historyi literatury europejskiéj w XIX wieku." Streszczenie ich ukazało się w „Kłosach". Otóż w Nr. 50 „Kłosów" z dnia 3 marca 1866 roku, cała „prelekcya ósma" jest poświęcona Shelley'owi. Nawiasem mówiąc, powtórzył w niéj słowo w słowo, bez najmniejszéj zmiany, to samo, co już — rok temu — wydrukował w swojéj „Historyi literatury powszechnéj."

Zdzisław. Wstyd mi się przyznać, ale nie przyszło mi na myśl wertować stare roczniki „Kłosów". Do literatury Lewestama także nie zaglądałem.

Dzieła Scherr'a znam tylko drugie wydanie, nanowo przetłómaczone, oraz licznemi „uwagami" zaopatrzone przez p. Bronisława Zawadzkiego. W tém „drugiém" wydaniu znajduje się, jako próbka stylu Shelley'a, urywek z „Adonais'a" w pięknym, melodyjnym przekładzie p. Maryana Gawalewicza.

Julian. Dziwi mię, żeś pan nie wspomniał dotychczas o pracy p. Maryana Zdziechowskiego, drukowanéj niedawno temu w „Bibliotece Warszawskiéj" p. t. „Percy Shelley" [1]).

Zdzisław. Praca ta, autora „Messianistów i Słowianofilów" dawniéj nosiła inny tytuł, mianowicie: „Shelley, jako współzawodnik Byrona." Odczytana na posiedzeniu Krakowskiéj Akademii Umiejętności bardzo się podobała, jak się o tem dowiedziałem z dzienników. Z tém większém téż zajęciem wziąłem się do jéj odczytania, skoro wyszła z druku...

Beatrice. I cóż?

Zdzisław. Rozczarowałem się. Jest to owoc kilku przeczytanych książek o Shelley'u, owoc, nie przynoszący nic nowego; p. Zdziechowski, gdyby znał pracę p. Jezierskiego, drukowaną w téjże „Bibliotece", zaniechałby prawdopodobnie pisania rozprawy na temat, opracowany już raz, a którego — mojém zdaniem przynajmniéj — nie

---

[1]) „Bibliot. Warsz." 1891, tom III, zeszyt 3, str. 553—589.

warto opracowywać powtórnie, nie będąc pewnym, że go się obrobi oryginalniéj i lepiéj, aniżeli to uczynił poprzednik... Tymczasem, pozwolicie państwo, że powrócę do przerwanéj materyi, do kwestyi „shelleizmu w Polsce,“ w któréj, jak rzekłem, zamierza zabrać głos p. Kasprowicz. Chciałem tylko nadmiemić: że cokolwiek p. K. rozumie przez „Shelleizm w Polsce“, faktem pozostanie niezaprzeczonym, że za czasów Słowackiego — a przecież o nie nam chodzi w téj chwili — zarówno w Polsce, jak i w Europie całéj, o Shelley'u, jako poecie, było „cicho wszędzie, głucho wszędzie...“

Beatrice. Proszę mi nie brać za złe, że przerywam i że wogóle mieszam się do rozmowy, któréj, jako nieprzygotowana odpowiednio, co najwyżéj słuchać bym tylko powinna; ale słysząc nazwisko Shelley'a, powtarzane raz po raz, przypomniałam sobie doskonały — bo dowcipny — ustęp z „Nieśmiertelnego“ Alf. Daudet, ustęp, w którym sympatyczny autor przygód Tartarin'a powiada, że za jego „młodych lat zaczynano od pisania wierszy, a kończono, jak się trafiło: na literaturze, handlu, sądownictwie; obecnie wszyscy prawie — mowa o literatach — zaczynają od pisania krytyk, a przeważnie od studyów nad Shelley'em...“

Zdzisław. Otóż w czasach, o których mówimy właśnie, t. j. wtedy, gdy żyli i kiedy tworzyli Słowacki, Mickiewicz, Krasiński i kiedy, według Daudet'a, „zaczynano od pisania wierszy,“ o Shelley'u nie wiedziano prawie... Poetą zaś, którym się entuzyazmowano, którego czytali wszyscy, nietylko literaci, ale i ogół, był lord Byron, potężny indywidualnością, zaćmiewającą innych współczesnych mu poetów Albionu, a więc i Sheley'a także, który jako poeta, „przeszedł niepostrzeżenie [1]).

Byron tymczasem, potępiany przez jednych, uwielbiany przez drugich, był na ustach wszystkich, zarówno w Anglii, gdzie go nazywano „Szatanem poezyi,“ jak i w Europie, gdzie go nazywano „Napoleonem poezyi.“ „Wyobrażano sobie — powiada Brandes — że Byron rzeczywiście był największym lirykiem angielskim i nie domyślano się nawet, że w Shelley'u, przyjacielu Byrona, przedwcześnie zmarłym, Anglia posiadała poetę, który go o wiele przewyższył i którego poezya, przy poezyi Byrona, robi wrażenie symfonii, w porównaniu z odgłosem trąb i bębnów.“ Pomimo tego, sława Byrona rozbrzmiewała od morza do morza; dość powiedzieć, że cień, padający od niéj, niby od olbrzymiéj katedry gotyckiéj, przesłaniał Goethego i jego weimarski parnas. Nad „Torquata Tassa“ przekładano „Korsarza“ albo by-

[1]) J. Brandes. O poezyi polskiéj w XIX stuleciu. str. 26.

rońskie „Żale Tassa,“ podobnie jak nad „Fausta“ przekładano „Manfreda“ albo „Kaina;“ „Ifiginię,“ „Wilhelma Meister'a“ rzadko kto doczytał do końca, szczególniéj „*Wanderjahre*,“ kiedy z „Pielgrzymki Childe Harold'a“ ustępy całe cytowano z pamięci, w tłómaczeniu, a niekiedy i w oryginale. Bo każdy: Francuz, Niemiec, Polak, Włoch czy Rosyanin, mógł nie umiejąc po angielsku, czytać poezye Byrona w swoim ojczystym języku, w przekładach, dokonanych przez największych niejednokrotnie poetów, a stojących zawsze prawie na wysokości oryginału. Świat cały, a przynajmniéj cały świat inteligentny, stroił się jak w nieswoje pióra, w „rozpacz“ Byrona, w jego „czarny“ pogląd na życie i na człowieka, w jego „zwątpienie,“ w jego pessymizm. Poeci, największych nie wyjmując, pisali hymny na jego cześć, sławili go, wynosili pod niebiosa, apoteozowali. Goethe, bo i on nawet nie stanowi wyjątku pod tym względem, tłómaczy pierwszą pieśń Don Juan'a. Musset, przezwany „panną Byron,“ naśladuje Don Juan'a, pisząc swojego „Namouna“. Heine tłómaczy „Manfreda“, przekłada „Ostatnie pożegnanie Childe Harold'a“, to samo, które nam przyswoił Mickiewicz. „*Reisebilder*“ są jakgdyby Childe Haroldem pisanym prozą. Lamartine dorabia „ostatnią“ piątą pieśń „pielgrzymek Childe Harold'a. Mickiewicz tłómaczy „Giaura“, „Ciemność,“ „Sen,“ „Euthanazyę“. Słowacki powiada otwarcie:

I jestem dzisiaj, niech mię porwie trzysta!
Nie Polak, ale istny Bajronista.

Malczewski, który miał zaszczyt znać Byrona osobiście, jedyne arcydzieło, jakie stworzył, pisze pod jego wpływem. A Korzeniowskiego „Pan Fortunat?“ O Shelley'u tymczasem, jak powiedziałem, było „cicho wszędzie, głucho wszędzie:“ nietylko w Europie, ale i w Anglii. Nikt nie czytał poezyi autora „Królowéj Mab.“ Najlepszy dowód, że kiedy dzieła Byrona rozchodziły się w setkach tysięcy egzemplarzy, nakładca Shelley'a, a raczéj księgarz, który miał jego dzieła „na składzie,“ gdyby go kto zapytał, jak „idą“ poematy autora „Rokoszu Islamu“, odpowiedziałby niezawodnie, że „w ciągu całego życia Shelley'a, ani po jego śmierci, nie rozeszło się nawet sto egzemplarzy żadnego z jego dzieł, a „Adonaisa“ i „Epipsichidiona“ nie sprzedano ani dziesięciu egzemplarzy...“ O wszystkiém tém, kto ciekawy, dowiedzieć się może z czwartege tomu „Głównych prądów literatury XIX stulecia“ Brandesa, gdzie tłem „portretu literackiego“ Shelley'a, są najcharakterystyczniejsze ustępy z artykułów, jakie się w swoim czasie — za życia i po śmierci Shelley'a — ukazały z powodu jego pism i osoby! Widzimy z nich, że krytyka o wszystkiém, co wyszło

opatrzone nazwiskiem Percy Bysshe Shelley, wyrażała się z najwyższém lekceważeniem, najczęściéj z oburzeniem nawet. I tak „Literary Gazette“, kiedy się ukazał „Prometheus Unbound,“ orzekła, iż „jest to melancholicznie przekręcana proza, dotknięta zawrotem głowy;“ przytém uważała arcydzieło to, dorównywające a pod niejednym względem przewyższające „Prometeusza w okowach“ Eschyla, za „mieszaninę niedorzeczności, trzpiotarstwa, nędzoty i pedanteryi,“ za „głupią paplaninę człowieka w stanie *delirium.*“ W podobny sposób wyrażano się i o innych dziełach twórcy „Prometeusza.“ O autorze zaś, jako człowieku, wyrażano się nielepiéj, a raczéj powiedzmy poprostu, że niepodobna się wyrażać gorzéj, z większą zaciekłością, z większą niechęcią, z większym zasobem złéj woli. „Quarterly Review“ np. obwieściła światu, wszem wobec i każdemu z osobna, że życie Shelley'a „składało się z nikczemnéj pychy, zimnego egoizmu i nieludzkiego okrucieństwa.“ Nie było potwarzy, którą by go nie obrzucono; do tego stopnia, że „Literary Gazette“ nie zawahała się posądzić go o kazirodcze związki z rodzoną siostrą. Zresztą wiedziano o nim, że był „filantropem, demokratą i ateuszem“, czego się widocznie nie wstydził, skoro się sam tak nazwał w książce pamiątkowéj, w Schronisku Montanvert, w dolinie „Chamounix.“ Wiedziano téż, że ożeniwszy się zbyt wcześnie, rozwiódł się z żoną, ażeby poślubić Maryę Godwin, córkę znakomitego autora „Badań w kwestyi sprawiedliwości politycznéj.“ Prócz tego wiedziano, że mienił się przyjacielem Byrona, z którym podróżowali razem; że utonął w zatoce Levici; że mu Byron wyprawił pogrzeb „grecko-pogański,“ spaliwszy ciało na stosie, nad brzegiem morza, jak Achilles Patrokla. Po za tém nie interesowano się nim, a przedewszystkiém — o co nam głównie chodzi w danym razie — nie czytano jego poezyi, o których wiedziano ze słyszenia, że „znamieniem ich głównem jest najzupełniejszy brak sensu.“ Przyznacie państwo, że rekomendacya podobna mogła, na stu ludzi przynajmniéj, dziewięćdziesięciu dziewięciu zniechęcić do czytania.

Beatrice. Nic naturalniejszego.

Zdzisław. Sądzę też, że i Słowackiego nie zachęcała do poznajomienia się z pismami Shelley'a, o którym, przekonany jestem, nie wiele więcéj wiedział, aniżeli ogół.

Władysław. Choć, że wiedział o nim, o tém świadczy wzmianka w liście do matki, pisanym z Rzymu, gdzie, jak donosi, na cmentarzu angielskim widział groby dwóch poetów: jeden Keats'a, drugi Shelley'a.

Zdzisław. O tym ostatnim wyraża się w następujący sposób. Ustęp ten mogę zacytować dosłownie, ile że Słowackiego całego, nie

wyjmując listów do matki, umiem na pamięć. „Drugim śpiącym poetą na tym cmentarzu jest Shelley, przyjaciel Byrona. Bezbożny, utopił się; ciało jego spalono na stosie, śród równiny, nad morzem w Lido. Prochy leżą na cmentarzu, lecz niespokojne: tablica marmurowa pękła na dwoje; może jaki duch w bezksiężycowéj nocy rozłamał ją na dwoje i uniósł duszę ateisty.“ Ustęp powyższy dowodzi wprawdzie, że nazwisko Shelley'a nie było Słowackiemu obcém, ale dowodzi jednocześnie, że wiedząc o nim, wiedział nie wiele, ze słyszenia tylko: wiedział, że był „przyjacielem Byrona,“ że był „bezbożnym,“ że utonął, że był „ateistą“... Ale nic nadto. To zaś, co pisze o nim, nie dowodzi bynajmniéj, żeby miał znać jego pisma. Wystarcza nawet wczytać się uważnie w przytoczony ustęp i rozebrać go psychologicznie, ażeby przekonać się, że o znajomości dzieł Shelley'a u Słowackiego — sądząc z tego ustępu — mowy być nie może.

Nikt zresztą, nietylko Słowacki, nie interesował się poematami Shelley'a. Nie wzbudzały zaufania, i dlatego butwiały na półkach księgarskich — w Londynie — nieczytane przez nikogo, nierozcięte. Nie znali ich, a często, powiedzmy poprostu, bez ogródki, nie wiedzieli o ich istnieniu, nietylko ogół, ale i literaci z zawodu. Dowodzi tego, i to dość przekonywająco nawet, fakt, że żaden z poetów ówczesnych, ani Musset, ani Heine, ani Lamartine ani Wiktor Hugo, zdaje się o Shelley'u nie wiedziéć. Nigdzie przynajmniéj doszukać się u nich wzmianki o nim niepodobna. Tém mniejsze prawdopodobieństwo, ażeby o nim wiele wiedzieli nasi poeci. Mickiewicz w swych prelekcyach, ani w listach, o ile wiem, ani razu nie wymienia nazwiska Shelley'a...

Julian. Podobnie, jak przemilcza o Słowackim.

Zdzisław. Tak, tylko z tą różnicą, nie zapomnij pan dodać, że nie mówiąc nic o Słowackim, czynił to umyślnie, z całą świadomością tego, co czyni, bo wiemy, że znał i wszystko niezawodnie, co pisał Juliusz, kiedy o Shelley'u mógł poprostu nie wiedziéć... „Chcąc wyprowadzić wielkość Byrona od Napoleona — powiada o nim Brandes [1]) — widocznie bez najmniejszéj znajomości Wordswortha, Colleridge'a, Keats'a i Shelley'a“ nie zdaje się wiedziéć nawet, że „wszyscy wymienieni wyżéj poeci nietylko bardzo często, pod względem poetycznym, dosięgli tych samych wyżyn, co Byron, ale go jeszcze, pod wielu względami, nieraz przewyższali.“ A Krasiński? On, który w „listach“ swych tak często o tylu poetach lubi wyrażać swe zdanie, który nawet jeden z listów do Słowackiego zaczął, o ile sobie przypo-

[1]) O poezyi polskiéj w XIX stuleciu.

minam, od słów: „Kto mówi o Keats'u? Kto słyszał o Keats'u? Kto to jest Keats? Łzę litości upuścić nad grobem dziecka; niech ptaszki szczebiocą hymn umarłych téj duszy rozwiązanéj przez Edynburską Krytykę...“ Krasiński, o ile wiem, ani razu, w całéj korespondencyi swéj, nie wspomniał nazwiska Shelley'a. Bo i Krasiński nawet, choć tyle rzeczy przewidział i przepowiedział, nie przypuszczał, że za lat trzydzieści mniéj więcéj, Shelley, ten „ateusz“ i „demokrata“ uchodzić będzie „za jeden z największych umysłów Anglii, za poetę pierwszego po Szekspirze...“ Wobec tego, cośmy powiedzieli dotychczas, nie wyda się dziwném, sądzę, przypuszczenie, że Słowacki, jako dziecię czasu, w którym nie interesowano się Shelley'em tak jak dziś, i w którym młodzi aspiranci do literatury, karyery swéj nie zaczynali przeważnie od studyów nad Shelley'em, że Słowacki nie czytał jego poematów, ani jego tragedyi *The Cenci*, ani kiedy był w Rzymie, gdzie widział grobowiec Shelley'a, ani późniéj, w Paryżu, w epoce, kiedy napisał „Beatrice Cenci...“ Wspomniałem o liście Krasińskiego, zaczynającym się od słów: „Kto mówi o Keatsu?“ List ten, noszący datę dnia 23 lutego 1840 r., świadczy, że autor „Irydyona“ dopiéro wtedy, nie wcześniéj, „słyszał o Keats'u,“ dowiedział się „kto to jest Keats.“ Z powyższego wynika, że w roku 1836, kiedy byli w Rzymie, kiedy razem „biegali [1]) po odległych spacerach,“ i kiedy — bardzo być może — razem marzyli i poetyzowali, siedząc nad mogiłami Shelley'a i Keatsa, zarówno Krasiński, jak i Juliusz, nie wiele wiedzieli o jednym jak i o drugim. „Kto mówi o Keatsu?“ Kto mówi o Shelley'u? „Kto słyszał o Keatsu?“ Kto słyszał o Shelley'u? „Kto to jest Keats?“ Kto to jest Shelley? O pierwszym wiedzieli, że „wydał kiedyś swoje wiersze; krytyka jednego z pism angielskich zabiła go, to jest dostał melancholii, potem suchot; pochowano go w Rzymie [2]). O drugim, jak to widzimy z listu Słowackiego, wiedzieli nie wiele więcéj. Nikt nie zaprzeczy, że od takich znajomości dwóch „ofiar Edynburskiéj krytyki“, aż do zapoznania się z dzielami ich, daléj jest nierównie, aniżeli *du sublime au ridicule...* Najbardziéj jednak ze wszystkich przekonywającym dowodem, że Słowacki nie znał Shelley'a, są, mojém zdaniem, same dzieła Juliusza, w których, ani w jedném, niesposób dopatrzéć się jakiegokolwiek wpływu autora „Epipsychidiona.“ Co do mnie, to uwierzyć nie mogę, ażeby Słowacki, który, jak wiadomo, tak łatwo przejmował się wszystkiém, co czytał, który raczéj, powiedzmy po prostu, nie był w stanie nie uledz wpływowi znakomitego autora, w którym się rozczytywał chwilowo,

[1]) Listy do matki, tom I. str. 235. [2]) Tamże na str. 234.

ażeby Słowacki, poznawszy Shelley'a, mógł go nie naśladować, mógł nie przejąć się nim, jego manierą pisarską, jego stylem, jego sposobem patrzenia na świat, jeżeli nie na długo, na zawsze, to przynajmniéj na czas jakiś. Jestem przekonany, że Słowacki ze swoją „bluszczową“ naturą, z taką lubością, mimowoli nieraz, oplatającą się—jak bluszcz około dębu — około Szekspira, Byrona, Kalderona, Kochanowskiego, Aryosta, Eurypidesa, Eschyla, Alfreda de Vigny, Wiktora Hugo, nie potrafiłby poprostu oprzéć się pokusie tak silnéj, żeby poznawszy Shelley'a — on, który natchnienie czerpał nie bezpośrednio z natury, lecz z przeczytanych książek — nie owinąć się około niego, jak wąż około wspaniałéj kolumny opalowéj. Znając rodzaj fantazyi Słowackiego, można być pewnym niemal, że zapoznawszy się z poematami tego rodzaju, co „Epipsychidion“ np. albo „Alastor“, pozwolił by im zapanować nad sobą i sam nie wiedząc kiedy i jak, zaczął by „shelleizować...“ I mielibyśmy szereg dzieł, mniejszy lub większy, któreby, że tak powiem, trąciły Shelley'em, ponieważ u Shelley'a, autora „Królowéj Mab,“ on, autor „Balladyny,“ twórca„ Goplany“, znalazłby wiele cech sobie pokrewnych, wspólnych, ponieważ w dziełach tego „ateisty,“ obdarzonego wyobraźnią lotną i niepochwytną, jak babie lato, a mieniącą się na podobieństwo masy perłowéj, czułby się jak u siebie w domu. Dlatego powiedziałbym, że, w zasadzie, pytanie: czy Słowacki znał Shelley'a? powinno nam być obojętne, ile że faktem jest niezaprzeczonym, że wpływu drugi na pierwszego nie wywarł, ani wywierał kiedykolwiek.

Beatrice. A „Beatrix Cenci“, tragedya, w któréj Słowacki opracował ten sam przedmiot, co Shelley, w swoim dramacie „*The Cenci.*“

Zdzisław. Na to pytanie odpowiadam wprost, bez ogródki, że Słowacki, powziąwszy zamiar napisania „Beatrix Cenci,“ nie wiedział wcale o istnieniu tragedyi Shelley'a.

Julian. Czy nie za śmiałe cokolwiek przypuszczenie?

Zdzisław. Nie sądzę. Wypadki podobne zdarzają się niejednokrotnie. Przypominam sobie nawet, że Brandes, w jednym z odczytów swych, „O poezyi polskiéj w XIX stuleciu,“ mówiąc o „Maryi Stuart“ Słowackiego, wspomina także o Maryi Stuart poety norweskiego, Biörnstjerne Biörnson'a, który „przypadkowym sposobem podzielił w niéj przedmiot, jeden akt po drugim, zupełnie tak samo, jak Słowacki, pomimo, iż nie wiedział nawet o jego egzystencyi.“

Beatrice. Szczególna myśl przyszła mi nagle do głowy, argument, który, nie wiem, ale zdaje mi się, że dorzucony na szalę dowo-

dów „za“ i „przeciw“, przechyli wagę na korzyść pańską, panie Zdzisławie.

Zdzisław. Nie posiadam się z ciekawości.

Beatrice. Argument to więcéj bibliograficznej, aniżeli historyczno-literackiéj natury. Ale *à la guèrre comme à la guèrre:* każda droga dobra, byle prowadziła do celu.

Zdzisław. A w literaturze, jak na wojnie.

Beatrice. Pan Zdzisław twierdzi, że Słowacki nie znał Shelley'a, nie wyłączając tragedyi „*The Cenci.*“

Zdzisław. Stanowczo nie znał.

Beatrice. Choćby dlatego — i to jest właśnie mój argument — że w tych czasach o dzieła Shelley'a nie musiało być w Europie tak łatwo, jak dzisiaj. Zbiorowe wydanie jego „*Poetical works*“ nie istniało jeszcze, o ile wiem, poematy autora broszury „o konieczności ateizmu‘“ wydawane osobno „nakładem autora“, w formie cienkich broszurek — bo nawet największy z nich „Rokosz Islamu“ nie tworzy pokaźnego tomu — butwiały po składach księgarskich i nawet w Londynie nie widziano ich nigdzie.

Zdzisław. Masz pani słuszność. Shelley, jako „niepoczytny,“ wycofany z handlu, musiał się walać po kramach księgarskich, u antykwaryuszów, jak np. u nas dziś „poezye“ Olizarowskiego albo Brunona Kicińskiego. W pierwszorzędnych księgarniach Londynu nie wiedziano najpewniéj o „arcydziełach“ Shelley'a...

Beatrice. To w Londynie, w Anglii, w miejscu wydania, w ojczyznie autora, gdzie ludzie mówią tym samym językiem, co „Prometeusz“, urągający Zeusowi... W Europie, po za granicami Albionu w Rzymie, Genewie, Neapolu albo Paryżu nie sposób było spotkać się z którymkolwiek z poematów Shelley'a, zwłaszcza, że wtedy, w czasach, kiedy nie znano kolei żelaznych i kiedy komunikacya pomiędzy Anglią a kontynentem nie była tak ułatwiona, jak dziś, książka, wydana w Londynie — a cóż dopiero książka niepoczytna — z trudnością przedostawała się do Europy.

Władysław. Argumentowi pani, dość przekonywającemu, przyznaję, mógłbym przeciwstawić inny, równie kunsztowny, równie wyszukany, że nie powiem, naciągnięty.

Beatrice. Ciekawam.

Władysław. Czemu nie przypuścić, zapytuję, że Słowackiemu, będącemu w Paryżu — bo, o ile wiem, „Beatrice Cenci“ powstała w Paryżu — kiedy się przechadzał nad brzegami Sekwany po t. z. *quais*, na przestrzeni pomiędzy Katedrą *Notre Dame* a gmachem In-

stytutu, gdzie, jak wiadomo, na granitowych balustradach bulwaru leżą stosy starych, po większéj części „wyczerpanych“ książek...

Zdzisław. Francuskich, dodaj.

Władysław. Przeważnie francuskich, ale nie wyłącznie, bo znajdziesz tam i hiszpańskie, i niemieckie, i angielskie...

Julian. Często i polskie.

Władysław. Czemu nie przypuścić, powtarzam, że przypadkowym sposobem, tam na *quais*, w Paryżu, wpadł Słowackiemu do ręki dramat Shelley'a, „*The Cenci*,“ który, również przypadkowym sposobem, przypłynął tu z Londynu, z miejsca wydania.

Zdzisław. Strasznie „przypadkowa“ hypoteza.

Władysław. Trudno, *à la guèrre comme à la guèrre*. Słowackiego mogła książeczka ta zainteresować podwójnie: raz że sprawa „Beatrix Cenci“ nie była mu obojętną, a powtóre, że zaciekawił go dramat poety, którego grobowiec oglądał w Rzymie, a o którym słyszał, że był przyjacielem Byrona... Książeczka, niedroga zapewne, zachęcała do kupna... I tak powstała „Beatrix Cenci“ Słowackiego. Bądź co bądź, jak w danym razie, nie mam powodu nie wierzyć Lewestamowi, który mówiąc o Shelley'u, powiada wyraźnie, że „i u nas, choć ogółowi mniéj znany, widoczne są ślady jego w utworach pierwszych nawet mistrzów.“ Pisząc to, nie ma, ręczę, nikogo innego na myśli, tylko Słowackiego, autora „Beatrix Cenci.“

Zdzisław. Frazes gołosłowny, jak wiele innych, u Lewestama zwłaszcza.

Julian. Co do mnie, to, jako dyletant, nie wtajemniczony w arkana historyczno-literackie, sądziłem — i wiem, że wielu utrzymuje podobnie — iż Słowacki, przystępując do pisania Beatrix Cenci, poprostu próbował zmierzyć się z Shelley'em, tak samo, jak pisząc „Kordyana“ walczył z „Dziadami“ Mickiewicza, jak pisząc „Wacława“, w myśli stawiał go jako pendent do „Maryi“ Malczewskiego.

Władysław. Stanowczo.

Zdzisław. Właśnie, że nie. Bo gdyby Słowacki, chociażby tylko na czas pisania Beatrix Cenci, przejął się Shelley'em, z którym chciał współzawodniczyć — a przejąłby się nim nieodbicie, gdyby go czytał — można być pewnym, że na tragedyi jego znać by było taki wpływ autora „Cenci'ch“, jak to widziemy w „Balladynie“, pisanéj pod wpływem „Snu nocy letniéj,“ „Burzy,“ „Króla Leara“ i „Makbeta,“ jak to widzimy w poemacie „Lambro,“ pisanym pod wpływem „Korsarza,“ jak to widziemy w „Mazepie,“ pisanym pod wpływem dramatów Wiktora Hugo, jak to widziemy w „Beniowskim,“ pisanym pod wpływem „Orlanda szalonego“ Ariosta i „Don Juana“ Byrona, jak

to widzimy w „Ojcu zadżumionych“ pisanym pod wpływem „Trenów“ Kochanowskiego, „Więźnia Chillonu“ i „Ugolina,“ jak to widzimy w „Dantyszku“ pisanym pod wpływem „Piekła“ Dante'go, jak to widzimy w „Księdzu Marku“ i „Śnie srebrnym Salomei,“ pisanym pod wpływem Kalderona, jak to widzimy w „Lilli Wenedzie,“ pisanéj pod wpływem „Eurypidesa tragedyi,“ jak to widzimy w „Anhellim“ pisanym pod wpływem Dantego i Biblii, jak to widzimy w całych dwóch pierwszych tomach jego „Poezyi,“ w których maniera Byrona i jego rozpacz doprowadzone są *ad absurdum*, jak w „Arabie“ naprzykład... Tymczasem „Beatrix Cenci,“ o ile kolorytem, przebiegiem akcyi, kompozycyą i podobieństwem sytuacyi w wielu razach „w każdym calu“ że tak powiem, przypomina „Romea i Julię“ Szekspira — jak to wykażę niebawem — o tyle nigdzie, w niczém absolutnie, nie pozwala dopatrzéć się wpływu Shelley'a. Ani jedna scena tragedyi Słowackiego nie jest r o b i o n a, jak się mówi *entre nous*, *hommes des lettres*, na tragedyi Shelley'a, téj, zdaniem Byrona, „najlepszéj tragedyi od czasów Szekspira.“

Dość porównać oba utwory. Co dostrzegamy wówczas? Oto, że Bratrix Cenci Shelley'a jest historyczną Beatrice, taką, jaką była, a przynajmniéj jaką być mogła w rzeczywistości. Inne osoby, występujące w tragedyi, są również, jak Beatrice, historycznemi; noszą prawdziwe, historyczne imiona; a przytém działają w zgodzie z prawdą historyczną. Tragedya Shelley'a jest *par excellence* historyczną, tak, jak historycznym jest „Wallenstein“ Schillera, jak „Egmont“ Goethego, jak „Król Jan“ Szekspira, jak „Marino Faliero“ albo „Dwaj Foscari“ Byrona. Z wyjątkiem „szlachty, sędziów, straży, sług“ nie wprowadził Shelley do swoich „Cenci“ ani jednéj osobistości niehistorycznéj, jak to np. czynił Schiller.

Inaczéj Słowacki. Jego „Beatrix Cenci“ ma tyle wspólnego z prawdą historyczną, co Romeo i Julia, co Hamlet... Słowacki bowiem, nieobeznany z historyą, nie wiedząc, jaką była prawdziwa Beatrice, wiedział o niéj tyle tylko, ile mówi legenda. Studyów dziejowych — jak Shelley — zanim przystąpił do pisania tragedyi, nie przedsiębrał... Dlatego wszystkie niemal postacie, występujące w jego tragedyi, są fikcyjne, zmyślone, nie historyczne. Do tego stopnia, że nawet bracia Beatrice'y noszą niehistoryczne imiona.

Czego to dowodzi? Oto, że musiał nie znać dramatu Shelley'a, w przeciwnym razie bowiem, przekonany jestem, ustrzegł-by się podobnych niedokładności.

A że „treści do swego utworu“ — jak się zdaje p. Jezierskie-

mu — nie zaczerpnął „z archiwów pałacu Cencich“ tego dowodzi okoliczność, że tragedya „Beatrix Cenci“ powstała w Paryżu, w roku 1840 [1]).

Władysław. A o tém, że Słowacki w roku 1836 był w Rzymie, zapominasz?

Zdzisław. Wiem o tém. Wtedy jednakże, jak wiemy z listów do matki, nie zgłębiał dziejów Beatricy Cenci. A zresztą, fantazya Słowackiego, lubiąca bujać swobodnie, nie lubiła krępować się ścisłością historyczną. To nie jéj *genre*... Dla niéj, któréj krótki napis na grobowcu: „Julia Alpinula tu leży nieszczęśliwego ojca, nieszczęśliwa córka,“ dostarczył wątku do napisania „Lilli Wenedy;“ dla niéj, ażeby stworzyć postać Beatricy Cenci, wystarczało znać legendę, krążącą o téj „gołębicy białéj“ pomiędzy ludem rzymskim. Tak też się stało. Dowodem tragedya sama, gdzie — podobnie, jak w legendzie — Beatrica zabija ojca, nie zaś bandyta Martio, który — jak o tém wiemy z dokumentów historycznych zarówno jak i z dramatu Shelley'a — dokonał morderstwa na Cenci'm. U Słowackiego — podobnie, jak w legendzie — Beatrice zabija ojca „w Rzymie,“ kiedy z dokumentów historycznych zarówno, jak i z dramatu Shelley'a, wiemy, że hr. Francesca Cenci zamordowano nie w Rzymie, lecz w zamku Petrella, położonym w Apeninach Apulskich. Znając utwór Shelley'a, nie trudno by było Słowackiemu podobnych „niehistoryczności“ uniknąć.

Władysław. *A propos* zamku Petrella, nie zapominaj, że jest o nim wzmianka w tragedyi Słowackiego, mianowicie, zaraz na początku, w jednéj z pierwszych scen pierwszego aktu [2]), gdzie Tomaso, brat Beatricy, opowiadając „matce“ o „najokropniejszém wydarzeniu,“ jakie miał „téj nocy, kiedym powracał tu krwawy; bowiem zdobyliśmy dzisiaj Petrellę ze starym dyabłem Kolonną...“ Dowiedź mi, z łaski swojéj, że Słowacki o zamku Petrella dowiedział się nie z utworu Shelley'a.

Zdzisław. Cóż ci mam na to odpowiedzieć? Chyba to, że nie wierzysz sam temu, co mówisz...

Władysław. Przepraszam, wierzę w słuszność sprawy, za którą obstaję, na dowód zaś, że rozporządzam dostateczną ilością argu-

---

[1]) „Wiadomość tę można uważać za pewną. Między papierami Słowackiego znalazła się luźna kartka z napisem jego ręki: Tragedya „Beatrix Cenci,“ napisana w 1840 roku. W poznańskim „Tygodniku literackim“ donoszono w roku 1840 już dnia 18 maja, że się dramat Słowackiego pod tym tytułem właśnie drukuje w Paryżu.“ Ant. J. Małeckiego Słowacki tom II str. 176. — [2]) akt I, sc. II.

mentów, zbijających twierdzenie twoje, poproszę cię, ażebyś mi odpowiedzieć zechciał na następujące pytania.

Zdzisław. Służę ci. Przedewszystkiém jednak, póki pamiętam, odpowiadam ci na zapytania poprzednie, dotyczące zamku Petrella, o którego istnieniu mógł się Słowacki nie koniecznie dowiedzieć z dramatu Shelley'a: będąc w Rzymie i zwiedzając jego okolice, mógł bardzo łatwo — cóż naturalniejszego — i o zamku Petrella posłyszeć...

Władysław. Mniejsza o to. Mówmy o czém inném. Powiadasz, że Słowacki, znając tylko legendę, krążącą o Cencich, z historyą ich nie był obznajmiony zupełnie. A jednak, dziwna rzecz, w tragedyi jego występują osoby historyczne, jak np. „Orsini, wielki dygnitarz państwa."

Zdzisław. Gra on w tragedyi Juliusza podobną rolę, jak „Eskalus, książę panujący w Weronie" w „Romeo i Julii" u Szekspira.

Władysław. Nie zapominaj téż, że w tragedyi Shelley'a występuje „prałat", noszący to samo, a przynajmniéj bardzo zbliżone do tamtego, nazwisko: Orsino, nie mówiąc już o tém, że postać ta wielce przypomina Pietra Negri z dramatu Juliuszowego: taki sam „czarny charakter" *à la* Franz Moor.

Zdzisław. Obydwaj bowiem, jeden jak drugi, są nieodrodnymi synami nie schillerowskiego Franciszka Moor'a, ale szekspirowskiego Jago'na. Nawiasem mówiąc, prałat Orsino u Shelley'a, oprócz Jago'na, przypomina jeszcze, zgadnij kogo? Molière'owskiego *Tartuffe*'a. Sam Shelley nawet — nie przypominam sobie tylko w któréj scenie—nazywa go „zimnym świętoszkiem, co, sprawiedliwy w swych słowach, w czynach jest, jako Kain" [1]). Bądź co bądź, zaprzeczyć się nie da, że Słowacki, tworząc ohydną, wstrętną postać Pietra Negri, wzorował się na Szekspirze, a nie na Shelley'u.

Władysław. A jednak, zarówno Pietro Negri Słowackiego, jak i shelleyowski prałat Orsino, pałają miłością ku Beatricy Cenci. Obadwaj radziby ją posiąść, obadwaj ją „w myśli z szat rozbierają"... Obadwaj przytém, u Słowackiego jak i u Shelley'a, są główną sprężyną akcyi; obadwaj działają w jednéj myśli; obadwaj, jeden jak drugi, dążą do posiadania ciała hrabianki:

Orsino powiada: [2])

Piękna Beatrix! Obym cię nigdy
Tak nie ukochał! lub kochając ciebie,
Obym był umiał pogardzić nazawsze

[1]) Przekład Jana Kasprowicza. — [2]) akt II, scena II.

Niebezpieczeństwem i złotem i wszystkiém,
Co między mojém sroży się pragnieniem,
A jego celem: albo się uśmiecha
Za tym obrębem... Tu nie ma już wyjścia.
Jéj postać klęka za mną przy ołtarzu
I wręcz mnie ściga śród natłoku ludzi
I sen mój widmy napełnia dzikiemi,
Że, zbudzon, czuję miast krwi, ogień płynny.
A gdy spotniałéj, obłąkanéj skroni
Dotknę się ręką, ręka snać ją pali;
Na samo imię, gdy je obcy powié,
Drży moje serce boleścią. I tak to
Ściskam rozkoszy niedoznanych widmo,
Aż nie uwierzy chora wyobraźnia,
Że już posiadła marę — płód swój własny.
Dłużéj nie myślę już karmić swéj duszy
Strawą febrycznych widziadeł.

Podobny, choć cyniczniejszy nierównie, monolog wypowiada Pietro Negri: [1])

Łzy nastrajają serce do miłości.
Teraz czas! Wróci z pogrzebu płacząca.
Odejmę maskę i pokażę siebie
Takim, jak jestem. Kiedy miasto całe
Przerażającym hukiem dzwonów wyje:
Użyję mocy podszeptów i miodu,
Nakłaniających rad do tajemniczych
Słodyczy. Jeśli się oprze — zabiję!...
To jednak dziwna rzecz, jak się ta miłość
I ta nadzieja we mnie połączyła
Z wiedzą wewnętrzną méj własnéj brzydoty...
Albowiem ja wiem, że zwyczajna miłość
Od zmysłów bierze pierwszy popęd, który
Znów przez uczucie traci swą cielesność
I w jedno duszę i zmysły jednoczy...
O, gdyby moje czoło pomarszczone
Było tak gładkie, jak czoło pierwszego
Głupca na świecie, który nigdy nie czuł
Żadnego ognia ani namiętności!
Gdybym był jeszcze niepewny, że każda
Niewiasta daje się złowić za skrzydła
Przez miłość własną — i wtenczas szczęśliwa,
Kiedy tę bańkę mydlaną obaczy,
Swatem pomiędzy nią a jéj kochankiem.
Gdybym nie widział, że wszystkie kobiéty
Na ubiór patrzą, pióra i trzewiki.

---

[1]) akt II sc. V.

Ja, który chodzę ubogo i boso,
Wierzaj mi—śmiéj się z tego, co wyrzekę—
Sądziłbym wtenczas, że cię tylko moja
Miłość zrozumiéć może — i ocalić.

Pamiętajmy o tém, że i Orsino w ten sposób pragnie „ocalić“ Beatrice, używając swojego wpływu u papieża. A i o tém także radzę nie zapominać, że podobny wpływ, jak shelleyowski Orsino na dworze Klemensa VIII, którego jest powiernikiem, posiada Pietro Negri na dworze Orsini'ego, którego jest przyjacielem poufnym. A teraz słucham twojéj repliki, Zdzisławie.

Zdzisław. Argument twój, tak przekonywający na pozór, nie wytrzymuje krytyki. Zwykły fajerwerk, tém efektowniejszy, żeś go, jak w strusie pióra, przystroił w dwa monologi, Orsina i Pietra Negri, wyrecytowane z pamięci, godnéj podziwu. Pozwól jednak, że argumentom twoim, bardzo sprytnym, nie przeczę, przeciwstawię moje, mniéj kunsztowne. Czyje przeważą, po téj stronie będzie zwycięstwo. Wchodzę od razu *in medias res*, zaczynając od Pietra Negri, który jest, jak dla ciebie, głównym filarem, podtrzymującym hypotezę. W odpowiedzi na twierdzenie twoje nie pozostaje mi, jeno zwrócić uwagę, że ten „szatan wcielony“, ta podłość uosobiona, to nietyle brat sentymentalnego Gianiego Giani, kochanka Beatricy, ile raczéj „rodzoniutki braciszek“—jakby powiedział Gerwazy z „Pana Tadeusza“ — Jago'na z „Otella“ Szekspira, nie zaś, jak twierdzisz, shelleyowskiego Orsina. Jeden jak drugi, t. j. Pietro i Jago, nie mają czoła, ni sumienia. Tymczasem chytrość Orsina nie wytrzymuje porównania z nikczemnością Pietra. Orsino, jakikolwiek jest, to przecież kocha Beatrice, kocha naprawdę, namiętnie, jak tego najwymownéj dowodzi cytowany przez ciebie monolog. Jego namiętność jest czystą w porównaniu ze zwierzęcą chucią Pietra, niczem nie różniącą się od kazirodczéj żądzy starego Cenci. Jest-to pożądanie starego rozpustnika, nic więcéj; kiedy uczucie Orsina, to miłość, pomimo że zaprawna olbrzymią dozą tego, co Goethe *die menschliche Bestialität* nazywa. Mojém zdaniem, prałat Orsino miałby prawo obrazić się na ciebie...

Władysław. Za co, ciekawym.

Zdzisław. Że go zestawiasz z takim łotrem skończonym, jak Pietro Negri. Ten ostatni tymczasem, przeciwnie, nie miałby najmniejszego prawa obrażać się za porównanie go z Jago'nem, któremu nie ustępuje w niczém, ani pod względem podłości, ani pod względem mściwości. Bo obadwaj są mściwi w najwyższym stopniu. Upokorzona miłość własna w historyi jednego, jak i drugiego, naj-

ważniejszą odgrywa rolę. Jago powiada [1]): „Nienawidzę tego murzyna“, ponieważ „chodzą pogadanki, że on przy mojéj żonie mnie luzował...“ I to go „bodzie do zemsty“. Pietro Negri zaś — bo i on się „mści“—mści się odkosza, jakiego dostał od Beatrice'y, zakochanéj w Gianim.

Na zakończenie przeczytam ci ustęp z wspomnianéj już pracy p. Jezierskiego, ustęp, który świadczy, że jeżeli główną sprężyną akcyi zarówno w tragedyi Shelley'a, jak i w dramacie Słowackiego, jest człowiek przewrotny, w pierwszéj prałat Orsino, w drugim Pietro Negri, to dlatego, że obadwaj poeci — mimowoli może — zapatrzyli się na „Otella“ Szekspira, tragedyi, któréj osią jest „szatan wcielony“ Jago.

Oto, co pisze p. Jezierski, z powodu monologu Giacòma w scenie drugiéj, aktu trzeciego [2]): „Czytelnik bezwątpienia dosłyszał tu echo monologu Otella. Przed spełniem zemsty, murzyn wenecki, wpatrując się we wdzięki swojéj ofiary, podobnież zatrzymuje wzrok na płonącéj lampie. Gaśnięcie i zapłonienie światła, to dawna, najpodręczniejsza analogia do życia i śmierci. Użyte lirycznie, to zestawienie zużyło się; ale w sytuacyi scenicznéj, jest ono rysem wysokiéj potęgi, zwłaszcza jeśli pada na duszę widza, już silnie zajętą dojrzewaniem intrygi. Zgaszę światło, mówi Otello [3]).

Zgaszę światło: skoro zgaszę
Ciebie, żywiole świecący w pomroku,
Łatwo cię będę mógł znów rozpłomienić,
Gdy mi żal będzie; ale raz zgasiwszy
Twoje żywotne światło, o, ty cudnie
Misterny wzorze wytwornéj natury,

---

[1]) Przekład Józefa Paszkowskiego.

[2]) ....Ty lampo
Niepodsycana! twe wątłe iskierki
Wicher rozwiewa; na krawędzi twojéj
Legł zmrok zgłodniały. Ty wązki płomyczku,
Co tak się wznosisz i spadasz, migocąc,
Jak puls, gdy kona; zbyt prędko ty zgaśniesz,
Gdy cię przestanę podsycać; zbyt prędko
W to się zamienisz, czém nigdy nie byłeś!
Tak dzisiaj zgaśnie i zginie to życie,
Co niegdyś moje wznieciło. Lecz żadna
Już nie potrafi napełnić potęga
Olejem życia lampy tego ciała,
Gdy się raz stłucze.

[3]) Przekład Józefa Paszkowskiego.

Gdzież znajdę iskrę prometeuszową
Coby to światło roztliła nanowo?!...

A teraz, pozwólcie państwo, że wrócę do owych „niehistoryczności“ w utworze Słowackiego, o których wspomniałem, a których nie wymieniłem wszystkich. Mówiłem już o braciach Beatricy Cenci, którym było na imię: jednemu Bernardo, drugiemu Giacomo — jak o tém wiemy z dokumentów historycznych, zarówno jak z tragedyi Shelley'a — a którzy u Słowackiego noszą fikcyjne imiona Tomaso i Aso. Podobnie rzecz się ma z hrabiną Cenci, wspólniczką zbrodni Beatricy. Wszędzie, gdzie występuje, Beatrice—a tém samém i Słowacki—nazywa ją „matką“, co dowodzi, że, w mniemaniu poety, hrabina Lucretia Cenci, druga żona hrabiego, była matką, a nie macochą, hrabianki Beatrice, która — jak o tém uczy historya — miała za matkę pierwszą żonę hrabiego Cenci. Słowacki zdaje się o tém nie wiedzieć.

Władysław. Skąd ten wniosek? Czyż Shelley, który wiedział, że Lucretia była macochą Beatrice'y, nie każe jéj ile razy zwraca się do pierwszéj, nazywać—tak samo jak Słowacki—matką. A zresztą, zajrzawszy do spisu osób, umieszczonego na czele tragedyi Juliusza, znajdziesz wyraźnie napisane:

Beatrix Cenci,
Francesco Cenci, jéj ojciec,
Lucretia Cenci, jéj macocha.

Wyraźnie „macocha“, nie „matka“.

Zdzisław. Otóż czy spis osób, umieszczony na czele tragedyi, jest pióra Słowackiego, tego nie wiem. Czy nie ułożył go prof. Małecki? Przypuszczenie bardzo prawdopodobne, uzasadnione opowiadaniem prof. Małeckiego o stanie, w jakim go doszedł rękopism „Beatrix Cenci“. Jeśli to panu, panie Julianie, nie zrobi subiekcyi, poprosiłbym go o drugi tom dzieła prof. Małeckiego o Słowackim, — widzę je właśnie przez szybę, w bibliotece — a przeczytam państwu rzeczony ustęp.

Oto jest. „Piątą pracą dramatyczną, powstałą w tymże ustępie życia — pisze prof. Małecki [1]) — była „Beatrix Cenci.“ Była pisana w roku 1840-ym, w pierwszych jego miesiącach. Tragedyę tę oddano mi w rękopisie w nader chaotycznéj postaci, ani nawet nie przypuszczając, żeby w tych sześciu arkusikach, w których się ona mieściła, miała znajdować się całość. Arkusze były i tutaj rozleciałe,

---

[1]) „Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła.“ Wydanie drugie, tom II, str. 176.

nie ponumerowane. Zapełniał je dyalog, którego rozłożenie między mówiące osoby oznaczone było najczęściéj samemi tylko kréskami. Żadnych odznaczeń, gdzie się scena jaka kończy, a zaczyna nowa. Słowem, rękopis ten był w takim stanie, że po długich nadaremych usiłowaniach złożenia sześciu arkuszy owych w taki sposób, żeby się rzecz dała powiązać z sobą w ciąg jakiś, nabrano już przekonania, że i to tylko są urywki, a raczéj szczątki nie stanowiące całości, z powodu, że kilka arkuszy widocznie brakuje. Mianowicie sprawiało to trudność w zoryentowaniu się w rękopisie, że nie można było dopatrzéć, gdzie właśnie jest początek tragedyi. Był to bowiem dopiéro pierwszy koncept utworu, brulion, w którym nietylko dużo było ustępów przekreślonych, a potém zastąpionych nowemi pomysłami, rzuconemi na papiér w miejscu nieraz bardzo odległém od sceny, do któréj rzecz należała, ale nawet zdarzały się tam czasem wsunięte i kawałki zgoła do tego przedmiotu nienależne, naprzykład pochodzące z „Lilli Wenedy“ i t. p... Przy troskliwém staraniu jednak udało mi się wniknąć w plan budowy całéj téj sztuki. Uznawszy dwie sceny—niedokończone i zgoła téż nie wiążące się z żadném miejscem właściwem tekstu Beatryczy — za przelotne tylko projekta do pomysłów, w ciągu już pracy uznanych przez autora za mniéj właściwe i usunąwszy takowe na bok: zrekonstruowałem cały pozostały materyał tego dramatu w taki sposób, iż nie dodając ani słowa od siebie, złożyłem objątek wszystkich sześciu arkusików w jeden nieprzerwany ciąg akcyi“.

Tyle profesor Małecki. Teraz zaś, pozwólcie państwo, żebym im choć kilka słów powiedział o wpływie Szekspira na „Beatrix Cenci“ Słowackiego.

Władysław. Nie jesteś pierwszy, co tę sprawę porusza.

Zdzisław. Wiem o tém, przypominam sobie, że już p. Adama Bełcikowskiego [1]) uderzyło podobieństwo „gorącego kolorytu „Beatryczy Cenci“ Słowackiego z południową atmosferą wiejącą od „Romea i Julii.“

Podejmując tę myśl p. Bełcikowskiego, pozwolę sobie zauważyć, że tragedya nasza nietylko „kolorytem“ przypomina „Romea i Julię.“ Poemat ten — najwspanialszy duet miłosny, jaki wydała ludzkość — wywarł większy wpływ na dramat Juliusza, aniżeli przypuszczano dotychczas.

Jeżeli porównamy oba dzieła ze sobą, co widzimy? Oto, że jak w „Horsztyńskim“ odbił się „Hamlet“, jak w „Balladynie“ — „Sen

[1]) „Ze studyów nad literaturą polską“, str. 533.

nocy letniéj“, podobnie „Beatrix Cenci“ jest, poprostu powiedziawszy, polską parafrazą „Romea i Julii“...

A więc Szekspira, nie Shelley'a!

Czytając dzieło Słowackiego, bezpośrednio po przeczytaniu tragedyi Szekspira, dostrzegamy cały szereg uderzających podobieństw, podobieństw, robiących wrażenie i nie będących—w gruncie rzeczy—niczém inném, jeno kopiami scen szekspirowskich. Przedewszystkiém Beatrice i Giani, jako para kochanków, walczących z losem i padających w końcu losu tego ofiarą, są rodzonymi krewnymi Romea i Julii... A przytém znajdują się w tém samém zupełnie położeniu, co kochankowie Szekspira: są dziećmi dwóch poważnionych, w odwiecznym zatargu pozostających rodzin. U Szekspira spór Montecchi'ch i Kapuletów, u Słowackiego „Orsinich złość z Kolonnami“, uniemożliwia związek dwojga kochających się serc. U Szekspira Romeo wchodzi na bal do domu Kapuletów, z twarzą przesłoniętą maską, wchodzi zaś nie sam, lecz w towarzystwie Benvolia i Merkutia, swych przyjaciół; u Słowackiego Cesario, kiedy chce Giani'emu, swemu przyjacielowi, pokazać Beatrix, powiada: „Chodź, chodź, lecz ubiór Orsinich zakryj dominem czarném i mnie pożycz nieznaczonego żadną cyfrą płaszcza.“ Późniéj, w akcie drugim, w scenie trzeciéj, powiada mu, jak Merkutio do Romea: „Zakryj oczy płaszczem. Wszyscy wiedzą, że jesteś Orsinich malarzem. Odkrycie tu być może fatalne.“ Potém, kiedy ujrzeli Beatrix: „Płaszcza nie odkrywaj z ramion, o Giani! Ty się odsłoniłeś cały. Syn zabitego ma ciebie na oku.“ Podobnie u Szekspira Tybalt „ma na oku“ Romea. Cesario zaś, przyjaciel Gianiego, to bezceremonialna kopia Merkutia, przyjaciela Romea; tak samo, jak Padre Anselmo, zakonnik, jest kopią ojca Laurentego z tragedyi Szekspir'a. Nie mówiąc już o poznaniu Giani'ego i Beatrice, którzy, jak Romeo i Julia, ledwo się ujrzeli, już się pokochali na śmierć i życie, na każdym kroku, czytając „Beatrix Cenci“, napotyka się na reminiscencye szekspirowskie. I tak w akcie drugim, scenie czwartéj, Giani, jak gdyby był echem Romea przemawiającego do Tybalta, powiada do Tomasa, brata Beatryczy: „A więc do pochwy włóż twoje żelazo, bo ja nie będę nigdy twoim wrogiem.“ W chwilę potém następuje potyczka: Tomaso bije się z Cesariem, który „jest także z domu Orsinich“, a oprócz tego—przyjacielem Gianiego, jak Merkutio—Romea. Cesario pada zabity przez Tomasa, zupełnie tak samo jak u Szekspira, gdzie Merkutio pada przeszyty szpadą Tybalta, stronnika Kapuletów. W ślad za tą mamy drugą scenę, w któréj Giani, mszcząc się śmierci przyjaciela, bije się z Tomasem; tak samo zupełnie, jak Romeo, który mszcząc się

śmierci Merkutia, wyzywa Tybalta, którego zabija w końcu. Kto wié, czy i Giani nie zabiłby Tomasa, gdyby nie stanęło temu na przeszkodzie pojawienie się Beatryczy, która, rozdzielając walczących, mówi: „Stójcie, już dosyć krwi na mojéj duszy.“ Najwięcéj jednak trącą, że tak powiem, Szekspirem wszystkie sceny, w których występuje Ojciec Anzelmo, u którego Giani spotyka się z Beatrice, tak samo zupełnie jak Romeo i Julia spotykają się w celi Ojca Laurentego. I o tém także nie godzi się zapominać, że jak groby rodzinne Kapuletów znajdują się niedaleko celi ojca Laurentego, podobnie u Słowackiego, grób Cencich znajduje się w pobliżu celi ojca Anzelma. Ten ostatni, ułatwiając schadzki i widzenia się pomiędzy Beatrice i Giani, nie jest wcale oryginalnym: ojciec Laurenty u Szekspira tak samo zupełnie ułatwiał i umożliwiał spotkania Romea z Julią. Beatrix, kiedy, uciekłszy, kryje się u ojca Anzelma, skąd ją ma Giani ratować, naśladuje Romea, który, skazany na wygnanie, ukrywa się w celi ojca Laurentego. Ojciec Anzelmo, kiedy daje Barygielowi „proszek w pakieciku“, mówiąc: „Wmięszasz to waćpan zgrabnie do napoju“, idzie tylko za przykładem poprzednika swego, ojca Laurentego, który, jak wiadomo, daje Julii „filtrowany likwor“, ów „usypiający napój Penitenci“, mający sprowadzić sen podobny do śmierci. Giani, kiedy powiada: „Chciałem się z nią otruć“, ma na myśli śmierć Romea. Tak samo Beatrice, która, budząc się w grobie rodzinnym Cencich, gdzie stoi ciało ojca, wymawia wyrazy: „....czy pochowana w letargu, żywom się tu obudziła“ przypomina szekspirowską Julię, która, w śnie letargicznym pogrążona, stoi w grobie rodzinnym Kapuletów. To samo można o niéj powiedzieć w scenie, kiedy Dolorida przynosi jéj list od Gianiego, i kiedy Beatrix „wyjmuje strzałę srebrną z włosów Doloridy, rozpuszcza jéj warkocze i wyjmuje list“, co uczyniwszy, mówi: „Błogosławiona bądź dzieweczko moja, bo w twoich kruczych przyniosłaś warkoczach list od kochanka i śmierci narzędzie. Jeżeli zrani list — t. j. gdyby się dowiedziała czegoś niedobrego o Gianim — to strzała zabije“. Mówiąc to, daje do zrozumienia, że zabiłaby się tak samo, jak Julia, na widok trupa Romea. Romeo, zabijający Parysa, który się kochał w Julii, służył za wzór Gianiemu, który zabija brata swego, Pietra Negri, kochającego, a raczéj pragnącego posiąść ciało Beatricy.

Julian. A wspaniała scena przed sądem, z tym obrazem, malowanym przez Pietra Negri, wyobrażającym zabójstwo hrabiego Cenci, ta scena, tak wspaniała pod względem psychologicznym, czy nie przypomina sceny drugiéj, z trzeciego aktu „Hamleta“, w któréj

królewicz duński za pomocą przedstawienia teatralnego bada sumienie matki swéj i ojczyma?

Zdzisław. Istotnie. Dziękuję panu za ten szczegół, na który, co mnie dziwi, nie zwróciłem był uwagi dotychczas.

Beatrice. A mnie dziwi, że mówiąc o wpływie Szekspira na „Beatrice Cenci“ Słowackiego, o wpływie „Romea i Julii“, „Hamleta“ nawet, nie mówicie panowie ani słowa o „Wiedźmach,“ które są tylko kopią wiedźm z „Makbeta.“

Władysław. Ma pani słuszność. Przypominam sobie nawet, że Brandes w jednym z odczytów swych o poezyi polskiéj, mówiąc o „Beatrix Cenci“ Słowackiego, wyraża się o Słowackim, że tragedyę tę „zupełnie popsuł, zastępując w niéj psychologię ludzką nieskończonym tańcem czarownic, który jest tylko rozwałkowaniem motywu, użytego ręką mistrza w „Makbecie“.

Zdzisław. *A propos* „Wiedźm,“ to wbrew przypuszczeniu pani Beatrice, pamiętałem o nich doskonale; umyślnie jednak odkładałem je na koniec...

Beatrice. Czemu?

Zdzisław. Ponieważ pragnę wystąpić z hypotezą, o ile wiem, nową, a która się znacznie różni od opinii ogółu.

Władysław. Mianowicie.

Zdzisław. Hypoteza moja różni się o tyle od zdania, wygłoszonego *ex cathedra* przez Brandesa, że kiedy Brandes widzi w „Wiedźmach“ tak wybitną rolę grających w tragedyi Słowackiego, wyłącznie wpływ Makbeta, to ja, oprócz wpływu Makbeta, którego nie zaprzeczam w zupełności, dopatruję się w „Trzech furyach“ Juliusza jeszcze wpływu Eschyla.

Władysław. Eschyla? Oszalałeś chyba.

Zdzisław. Bynajmniéj. Zaręczam ci, że jestem przy zdrowych zmysłach, i jeżeli wygłaszam jakie zdanie, to, jak zawsze, na pewnéj podstawie.

Władysław. Być może. Sądzę jednak, że, jak w danym wypadku, Eschylosa swego umieściłeś na podstawie bardzo kruchéj, z któréj z łatwością może się zwalić i rozbić na drobne kawałki.

Zdzisław. Co do mnie, to przeciwnie, jestem o niego spokojny; a to na téj zasadzie, że Słowacki w tych czasach, kiedy powstała „Beatrix Cenci“, ze szczególném zamiłowaniem rozczytywał się w tragikach greckich.

Władysław. Masz na to jaki dowód?

Zdzisław. Niejeden nawet, ale kilka, i to bardzo wymownych.

Władysław. Gdzieżeś je znalazł, ciekawym?

Zdzisław. Gdzie? Przedewszystkiém w „listach“ Słowackiego do autora „Irydyona“, zwłaszcza w drugim, będącym rodzajem uwertury do „Lilli Wenedy“, pisanéj w roku 1840-ym, czyli w tym samym czasie, co „Beatrix Cenci“... [1]). W liście tym, jak wiadomo, znajdujemy wzmianki o „Elektrze królewnéj“, która „nad brzegami laurowego potoku płótno bieliła matczyne;“ o „Eumenidzie eschylowskiéj, krzyczącéj: „zwycięstwo! sto serc ludzkich za zwycięstwo;“ o „półposągowéj formie Eurypidesa tragedyi“; o „dawném sofoklesowskiém „niestety!“ etc. Prócz tego, w saméj tragedyi „Beatrix Cenci“, jak w akcie trzecim np. w scenie szóstéj — jeżeli mię pamięć nie zawodzi—spotykamy się z takiemi wyrażeniami, jak: „...a justycya, stawszy się Muzą, poddanką Eschyla...“ Ale to jeszcze nie wszystko. Są w tragedyi saméj zwroty, będące wprost parafrazami niektórych zwrotów z „Eumenid“ Eschyla.

Oto, co mówi hrabina Lucretia Cenci, zaraz na początku sztuki w scenie pierwszéj aktu pierwszego:

..O Eumenidy!
Dajcie mi wężów garść, niech mu je cisnę
Do jego łoża! Dajcie mi tę straszną
Pochodnię, która w waszych rękach
Płonie błękitno: niechaj tém piekielném
Światłem zapalę dom, gdzie takie rzeczy
Ohydne dzieją się między ścianami.

Beatrice znów, w scenie trzeciéj aktu pierwszego, woła:

Władze piekielne! Jeśli wy jesteście
Duchami wszystko wiedzącemi; jeśli
Można śmiertelnéj wyzwać was i nagiąć
Do posłuszeństwa; jeśli to wy, duchy,
Trzęsiecie domem tym, jak wicher burzy,
Wtenczas gdy parne powietrze bez ruchu
Cięży na myślach ludzkich... Ciemne władze,
Eumenidami nazwane przed wieki,
Wzywam was!...

A teraz, zajrzawszy do tragedyi Eschyla „Eumenidy“, widzimy, że cień Klitemnestry, na widok uśpionych Eumenid, woła do nich [2]): „Wy śpicie! ha! azaliż pora to do spania!“ „Już czas wam upamiętać się, boginie Hadu! Ja, Klitemnestra, w marnym śnie was teraz wzywam!“ Na co, w odpowiedzi, „chór Eumenid jęczy“:

[1]) Patrz wyżéj. — [2]) Przekład prof. Węclewskiego.

„Ha! baczność! łap! łap! Imaj! Trzymaj! Chwytaj!

„Nu! Nuże! dłoń w dłoni oplećmy go kołem
Zacznijmy pieśń zgrozy, jak postanowiono...“

W podobny sposób przemawiają także „Trzy furye“ u Słowackiego.

Władysław. I u Szekspira także. *Notabene*, liczba furyi „trzy“ każe domyślać się wpływu Makbeta, gdzie, również jak w „Beatrix Cenci“, występują „trzy wiedźmy“. Ten obraz trzech furyi zapożyczył Słowacki—twierdzę stanowczo—od Szekspira.

Zdzisław. Nie przeczę. Mówię tylko, że gdyby nie rozczytywanie się w Eschylu, kto wié, czyby Słowacki do tragedyi swéj wprowadził ten „nieskończony taniec czarownic“, które Tomaso, brat Beatrice'y, po powrocie z Petrelli, w następujący opisuje sposób [1]):

...Na odludnym stepie
Koniowi memu zaszły drogę mary.
Marami bowiem być muszą bez ciała
Te trzy okropne kształty... A może téż
Krew moja, walką rozdąsana w żyłach
Zalała moje oczy i te mary
Ubrała w czerwień straszną. Ja sam nie wiem,
Kto one były, lecz ile pamiętam,
Włos każdy miała ruchomy i jakby
Niezależny od poruszeń ciała,
Dziwnego bardzo połysku, a w rękach
Niosły pochodnie. Matko, te trzy mary
Koniowi memu zdębionemu stały
Na drodze; a koń, ostrogami rżnięty,
Jęczał, jak człowiek.

Podobnie Orestes, po zabiciu Klitemnestry, przestraszony, woła w części drugiéj trylogii „Oresteja“, w tragedyi „Choefory“:

Ach! ach! jakież niewiasty tam nakształt Gorgonów
W odzieniach czarnych widzę, w których włos rozpierzchły
Wkręcone gęsto żmije. Precz! tu nie zostanę...
I z oczu ich kroplami krew się sączy czarna.
Och! wy ich nie widzicie, ale ja, co widzę,
Uchodzę stąd.

Przy sposobności, skoro mowa o wpływie Greków na Słowackiego, wspomnę o tragedyi jego p. t. „Agezylausz“, z papierów pośmiertnych poety wydanéj przez p. Józefa Hieronima Rychtera,

---

[1]) akt I, scena 4

w roku 1884, nakładem „Przeglądu Tygodniowego“. Utwór ten jest klasycznym *par excellence*.

Władysław. Mylisz się, Zdzisławie, twierdząc, że „Agezylausz“ jest utworem „klasycznym *par excellence*“. Prawda, że greczyzny w nim niemało, choćby dlatego, iż rzecz dzieje się w Grecyi, w Sparcie, przed narodzeniem Chrystusa i że ważną rolę, ważniejszą nierównie, aniżeli w „Lilli Wenedzie“, grają w nim chóry, będące naśladowaniem chórów Sofoklesowych. Pod tym względem zgadzam się z tobą. Nie zaprzeczysz jednak, że w „Agezylauszu“, oprócz wpływu tragików greckich, Sofoklesa zwłaszcza, nietrudno dopatrzeć się i innych wpływów, Szekspira naprzykład, szczególniéj w scenach, gdzie występuje pospólstwo, przypominające sceny ludowe z „Juliusza Cezara“. A Kalderon? I on także wycisnął piętno swoje na „Agezylauszu“, jak o têm świadczy napis, nad aktem czwartym: „Dzień trzeci.“ Zupełnie, jak u Kalderona, gdzie akcya dzieli się na dni, nie na akty. Dlatego sądzę, że „Agezylausz“ Słowackiego nie powstał w tymże czasie, co „Beatrix Cenci“, t. j. w roku 1840-ym, lecz że należy go odnieść już do czasów towianizmu, zważywszy, że mistycyzmu w nim, jeżeli nie więcéj, to nie mniéj, aniżeli klasycyzmu, szekspiryzmu i kalderonizmu.

Zdzisław. Przypuśćmy, ale nie oto mi chodzi. Wypowiedziałem zdanie, że na powstanie trzech furyi w „Beatrix Cenci“ Słowackiego, wpłynął nietylko Szekspir ze swoim „Makbetem“, ale i Eschylos ze swemi „Eumenidami“; zdania tego, o ile mi się zdaje, dowiodłem dostatecznie.

Za twierdzeniem mojém przemawia tragedya sama, w któréj, w akcie czwartym np. w scenie drugiéj, rozmowa Gianiego z furyami przypomina, mojém zdaniem, więcéj nierównie, aniżeli rozmowy Makbeta z wiedźmami, rozmowy Orestesa z Eumenidami, u Eschyla. A przytém, nie zaprzeczysz mi, że jest pewien związek, pewne pokrewieństwo, że tak powiem, pomiędzy hrabianką Cenci, zabijającą własnego, rodzonego ojca, a Orestesem, zabijającym Klitemnestrę, swoją matkę rodzoną. Tak samo, jak Lucretia Cenci, nie wahająca się brać udziału w ojcobójstwie Beatricy, owszem, namawiająca ją do tego, przypomina Klitemnestrę, zabijającą Agamemnona, swego małżonka. A Cesario, przyjaciel Gianiego? Ta postać „przyjaciela“ przypomina nietylko szekspirowskiego Merkutia, przyjaciela Romea, ale i Piladesa, przysłowiowego przyjaciela Oresta. Giani zaś, bratobójca, kiedy, po zabiciu Pietra, nie może się opędzić furyom — w akcie czwartym, scenie drugiéj — przypomina mściciela Agamemnonowego,

który po zabiciu Klitemnestry, swéj matki wyrodnéj, szaleje, ścigany przez Eumenidy.

Władysław. Pod tym względem niepodobna ci odmówić słuszności.

Beatrice. Oprócz wpływu Szekspira i Eschyla — bo o Shelley'u nie ma już mowy — czy nie dopatrujesz się pan jeszcze czyjego wpływu w tragedyi Słowackiego, z którego, po dokonaniu takiéj analizy, zakrawającéj na wiwisekcyą, nie wiele zostanie.

Zdzisław. Trudno. Dla krytyka wiwisekcya taka, rozkładająca utwór poetycki na pierwiastki, taka analiza drobiazgowa, wyjaśniająca „pierwsze przyczyny", należy do przyjemności swego rodzaju, bo, jak powiada prof. Małecki: „ciekawą zdaje mi się rzeczą dochodzić — gdzie tylko na to pozwolą okoliczności — niewiadomych zazwyczaj wpływów, jakie towarzyszyły poczęciu dzieł poetyckich." Co zaś do „Beatrix Cenci" Słowackiego, to znać na niéj jeszcze, oprócz wpływu Szekspira i Eschyla, wpływ Kalderona, którego p. Jezierski, jak wiemy, uważa za *tertium comparationis* pomiędzy Shelley'em a Słowackim.

Mówiłem o moście, na którym spotykają się twórca „najlepszéj tragedy od czasów Szekspira" *The Cenci* z autorem „Beatrix Cenci"; mówiłem, że most ten, wspierający się — zdaniem p. Jezierskiego—na jednym tylko filarze, właściwie wspiera się na trzech filarach, z których główny, środkowy, nazywa się Szekspir, dwa mniejsze zaś, szczuplejsze, aniżeli tamten, to Eschylos i Kalderon.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, obadwaj poeci, w epoce, kiedy unieśmiertelniali—każdy na swój sposób — Beatrice Cenci, obadwaj, tym samym zupełnie podlegali wpływom; obadwaj byli zapalonymi Szekspirystami, obadwaj gustowali w Kalderonie, obadwaj korzyli się przed majestatem Eschyla. Shelley, jak wiadomo, utonął z Eschylem w kieszeni paletota. O zajęciu się Shelley'a Kalderonem wiemy już od Lewestama, który rzecz swoją o tragedyi *The Cenci* w ten sposób kończy: „W niektórych scenach fantazya poety wznosi się do istotnego polotu, graniczącego z upojeniem; wogóle jednak i tu góruje zbyt daleko posunięta refleksya, przerywająca bieg akcyi we wszystkich prawie nowszych dramatykach angielskich; a obok tego widoczny jest wpływ Kalderona, który w owéj epoce mocno Shelley'a zajmował. Uderzają również niektóre reminiscencye z Szekspira; jakoż np. scena zamordowania Dunkana przepisaną tu jest prawie dosłownie."

Wracając do Eschyla, to on głównie, szczególnie zaś jego trylogia „Oresteja", pobudził wyobraźnie obu poetów, Shelley'a i Sło-

wackiego, do wyboru sprawy Beatricy Cenci, jako tematu do tragedyi. Uderzeni analogią, zachodzącą pomiędzy Agamemnonem a hrabią Fr. Cenci, zamordowanymi przez najbliższych, pomiędzy Orestesem, zabijającym matkę, a Beatricą, zabijającą ojca, umyślili pójść śladem Eschyla i krwawy dramat rodzinny opracować w formie tragedyi. Tak powstały „Beatrix Cenci“ Słowackiego i *The Cenci* Shelley'a, nie wiedząc o sobie, choć obie natchnął Eschylos... Tylko, że Słowacki, mniéj, aniżeli Shelley, samodzielny, do tego stopnia zapatrzył się na twórcę „Orestei“, że naśladując go, do sztuki swéj wprowadził „Eumenidy“, czego Shelley, „ateista“, nie wierzący w nadprzyrodzone zjawiska, uniknął, zastępując „Eumenidy eschylesowskie“ głębią analizy psychologicznéj...

A teraz, pozwolicie państwo, że przerzucę się do innéj materyi, nic nie mającéj wspólnego z Shelley'em, ani z Eschylem, ani z Eumenidami. Mam tu na myśli wiadomość, podaną przez p. Witołda Gasztowta w Paryżu, a dotyczącą francuskiéj redakcyi dramatu Słowackiego, również na temat Beatricy Cenci.

Władysław. Przypominam sobie ten jego artykuł, zatytułowany, jeżeli się nie mylę: „O nowoznalezionym pamiętniku Juliusza Słowackiego“, ogłoszony w Krakowie, a którego streszczenie podała pani Seweryna Duchińska w „Bibliotece Warszawskiéj“, w miesiącu nie pamiętam już którym, z roku.... Mniejsza o rok. Nie jestem bibliografem, nie potrzebuję pamiętać miejsca i roku wydania, zwłaszcza tak drobnéj pracy, jak wspomniany artykuł, w którym istotnie, jak mówisz, znajduje się ustęp o Słowackiego znajomości języków obcych o tém, że „trochę lepiéj“ aniżeli po włosku, „mówił po angielsku“. „Nawet wiersze angielskie w czyimś sztambuchu napisał“, będąc w Londynie. Najlepiéj zaś, oprócz ojczystego, polskiego...

Julian. Którym władał, jak nikt przed nim, ani po nim...

Zdzisław. Znał, zdaje się, język francuski, którym władał dostatecznie, ażeby pisać powieści po francusku.

Beatrice. Powieść tę, zatytułowaną „Król Ladawy“, czytałam kilka lat temu w „Kłosach“ w polskim przekładzie.

Władysław. Oprócz powieści téj—dowiadujemy się od p. Gasztowta — zostawił dwie sceny dramatu francuskiego p. t. „Beatrice Cenci.“

Zdzisław. Dodaj, że wiemy o tém nietylko od p. Gasztowta, ale i z dzieła prof. Małeckiego, gdzie na str. 209 tomu I-go [1]) czytamy co następuje:

---

[1]) Wydanie drugie, Lwów, 1881.

„Przy pracach, które mu same płynęły z duszy, sprobował wtedy, już po raz drugi, roboty, która mu miała dostarczyć środków do ogłoszenia trzeciego tomu „poezyi." „W tym miesiącu — pisze poeta z Paryża, jesienią 1832 r. — byłem sześć razy na tragedyach francuskich."

Julian. Szkoda, że nie podaje tytułów tragedyi, na których był. Myślę, że musiały to być tragedye Wiktora Hugo, „Ernani," „Ruy Blas," „Marion de Lorme," „Lucrèce Borgia..."

Zdzisław. A idąc do teatru, czynił to, jak powiada w dalszym ciągu „dla poznania się lepiéj z Francuzami teraźniejszymi i z grą aktorek, albowiem pod sekretem powiem Ci Mamo, że piszę tragedyą dla jednego z tutejszych teatrów. Nie wiem jednak, czy mi ją przyjmą i zechcą wystawić, i czy zechcą zapłacić." „Między papierami — dodaje już od siebie prof. Małecki — po śmierci poety przez rodzinę jego przywiezionemi do kraju, rzeczywiście znaleziono dwa małe urywki z francuskiego dramatu pisanego jego ręką, a poprawianego gdzieniegdzie inném pismem, zapewne przez jakiego rodowitego francuza. Urywki te są z końca sztuki: jeden z czwartego, drugi z piątego aktu. Musiała ona zatém stanowić kiedyś całość skróconą. Była pisana prozą, miała za treść sprawę Beatricy Cenci, którą później opracował Słowacki wierszem po polsku. Ale osnowa polskiego dramatu zupełnie odstępuje od pomysłu, wedle którego, ile wnosić można z fragmentów, rzecz ta była przeprowadzona w sztuce fracuskiéj. Urywki rzeczone zbyt mi się zdały mało znaczące, żeby je zamieszczać w zbiorze pism Słowackiego pośmiertnych."

Julian. Szkoda. Warto by je kiedy wydobyć z ukrycia i ogłosić, na zasadzie, że nie ma rzeczy „mało znaczących," jeżeli rzeczy te należą do spuścizny po wielkim poecie.

Beatrice. Z tego, co nam pan Zdzisław przeczytał, wypada, że pomysł do „Beatrix Cenci" zrodził się w wyobraźni Słowackiego już za piewszego jego pobytu w Paryżu, przed pobytem w Genewie, i przed pobytem w Rzymie, gdzie przypuszczam, po raz pierwszy zapoznał się z historyą Beatricy Cenci.

Zdzisław. Jedno nie wyklucza drugiego. W Paryżu, w roku 1832, mógł słyszeć albo czytać coś o sprawie Beatrix Cenci, o tém, że zabiła ojca, pałającego do niéj miłością starego rozpustnika, miłością papieża Aleksandra szóstego do córki swéj Lukrecyi Borgii, a nie miłością ojca, i na tém tle, czysto kryminalistyczném, rozsnuł swój dramat, który pisał dla interesu, „dla miłego grosza" a który, wystawiony na deskach jakiego *Théâtre de l'Ambigu*, mógłby podobać się paryskiéj publiczności bulwarowéj; co by sprawiło, że do kieszeni autora

wpłynęłoby sporo złota, więcéj znacznie aniżeli wynosiły koszta druku jednego tomu „poezyi“. Już prof. Małecki powiada, że „osnowa polskiego dramatu zupełnie odstępuje od pomysłu, wedle którego, ile wnosić można z fragmentów, rzecz ta była przeprowadzona w sztuce francuskiéj.“ Na zmianę tę pomysłu, na zupełne jego przetworzenie się w głowie poety, nie wpłynęło nic inego, tylko pobyt we Włoszech, a mianowicie w Rzymie... Tu, pozwólcie państwo, że postawię hypotezę, która lubo nie poparta dowodami pozytywnemi, zdaje się być przecież, mnie przynajmniéj, logiczną i prawdopodobną. A, jak powiada Renan: *La conscience de l' écrivain doit être tranquille, dès qu'il a présenté comme certain ce qui est certain, comme probable ce qui est probable, comme possible, ce qui est possible.* Otóż przypuszczenie moje, ponieważ nie stoi w sprzeczności z zasadami prawdopodobieństwa, ponieważ nie przekracza granic możliwości i ponieważ harmonizuje ściśle z psychologicznemi prawami, rządzącemi twórczością artystyczną, choćby z tego względu zasługuje na uwagę. Czy tak się rzecz miała istotnie, jak opowiem, za to zaręczyć nie mogę, ponieważ, jako człowiek, nie jestem jasnowidzącym. Ale że mogło tak być, nikt nie zaprzeczy. Mnie to wystarcza, tak że moja *conscience de l' écrivain* jest w zupełności *tranquille.* Nawiasem mówiąc, taka psychologiczna metoda dociekania źródeł twórczości, doprowadza niejednokrotnie do nadspodziewanych rezultatów.

Władysław. W tém nikt ci nie oponuje; przeciwnie, każdy wykształcony człowiek, będący *au courant* współczesnéj psychologii, musi zgodzić się na to, że psychologia jest dla krytyka, a zwłaszcza dla historyka literatury, niby owa nitka Aryadny, z którą śmiało zapuszczać się może w ciemności literacko-historycznego labiryntu... Tymczasem słuchamy twojéj hipotezy.

Zdzisław. Chodzi mi o to, ażeby dociec źródła, z którego wypłynęła ta tragedya; jednem słowem, jaką jest jéj geneza?

Julian. „A teraz słyszę, że mnie pytasz, zkąd się w mojéj myśli biała postać Lilly Wenedy zjawiła? Posłuchaj.“

Zdzisław. Na to pytanie właśnie, z tą różnicą jedynie, że nie o „białą postać Lilly Wenedy“ mi chodzi, ale o Beatrix Cenci, pragnąłbym odpowiedzieć w ten sposób, żebyście wszyscy państwo, jak tu jesteście, byli zadowoleni i zaspokojeni.“

W roku 1836, od połowy lutego aż do połowy maja, t. j. trzy miesiące, bawił Słowacki w Rzymie, jak wiemy, w „wiecznem mieście,“ w którém w roku 1599 dnia 11 października, w pobliżu mostu Anioła, ścięte toporem kata, spadły trzy głowy, Beatricy Cenci, oraz macochy jéj, hrabiny Lucrecyi, oraz brata jéj Giacoma, który, na rok

przedtém, w nocy z dnia 9 na 10 października, w zamku Petrella, w Królestwie Neapolitańskiém, przy pomocy dwóch zbirów Olimpia i Martia zamordowali starego hrabiego Francesca Cenci, ojca Beatricy, męża Lucrecyi.

Tradycya téj zbrodni, i tych trzech głów, ściętych w pobliżu mostu Anioła, w wyobraźni ludu rzymskiego, żyje do dziś dnia, ubrana w poetyczne szaty legendy. Będąc w Rzymie, niepodobna nie słyszeć opowiadań o téj dziewicy czystéj, która w obronie swéj czci, swego honoru, nie zawahała się popełnić ojcobójstwa. Bo naród ze słów obrońcy Beatricy, Prospera Farinacci, który obwinił ojca jéj o kazirodczą namiętność, na co jednakże nie dostarczył żadnych dowodów, naród z motywu tego wysnuł w fantazyi swéj wzruszającą historyę Rzymianki, niepokalanéj w swéj cnocie, świętéj, która mając do wyboru hańbę albo śmierć, wybrała ostatnią. Legenda ta, że tak powiem, unosi się w powietrzu, zarówno w Rzymie samym, jak i w okolicy.

Zwiedzając osobliwości „wiecznego miasta," ogląda się między innémi i most Anioła, w pobliżu którego — jako się rzekło — ścięto rodzinę Cencich, i więzienie Św. Anioła, do którego wtrącono morderców. Tu pokazują salę, w któréj byli uwięzieni, tu salę, gdzie ich brano na tortury, tu salę, gdzie ich sądzono, tu korytarz, którym ich prowadzili na śmierć... Oprócz tego zwiedza się pałac Cencich „tak zniszczony i posępny" [1]), gdzie usłużny *cicerone* opowiada każdemu o dawnych właścicielach *del palazzo*, o krwawym dramacie, jaki się tu rozegrał.

Trudno téż nie obejrzéć pałacu Colonnów, których stary Cenci był stronnikiem, albo pałacu Orsinich, których „złość z Kolonnami," była w swoim czasie równie głośną, jak w Weronie spór pomiędzy domami Montekich i Kapuletów. Oglądając cmentarz, ten „mały cmentarz koło Świętego Piotra," o którym wspomina Słowacki, przechodzi się koło grobowca rodziny Cencich... Wszędzie przychodzi na myśl i staje przed oczyma Beatrix Cenci, jéj historya, jéj śmierć tragiczna... Słowackiego, który, cztery lata przedtem, pisał — wprawdzie dla chleba — dramat, mający za treść sprawę Beatricy Cenci, musiało wszystko to interesować, więcéj nierównie, aniżeli kogokolwiek innego. Wyobraźnia jego musiała tu być podniecona, ożywioną, wprawioną w ruch. Przypomniał mu się dramat, spoczywający w tece. To też ze szczególném zajęciem musiał się przyglądać takiemu np. pałacowi Cencich, „temu domowi nieszczęściem przepełnionemu," „pełne-

---

[1]) Taine. Podróż po Włoszech.

mu szmerów nieodgadnionych,“ który mu się wydał „pałacem krwi,“ a w którym, jako „w piekielnym domu są piekielne goście.“ Wszystko to są wyrażenia wyjęte z jego „Beatrix Cenci.“ I jak lat temu kilkanaście, kiedy był dzieckiem „patrząc na stary zamek, koronujący ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem, że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów rycerzy; że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy, a sklepieniom każę powtarzać dawne Sofoklesowskie „niestety!“ a za to imię moje słyszane będzie w szumie płynącego pod górą potoku, a jakaś niby tęcza z myśli moich unosić się będzie nad ruinami zamku“ [1]); podobnie teraz, na widok tego „niemego gmachu,“ zarówno, jak i na widok innych rzeczy, mających związek z historyą Beatricy Cenci, jak więzienie i most Anioła etc. „cienie już różne ludzi niebyłych“ zaczęły występować „ze mgły i otaczają mnie ciżbą gwarzącą.“ Fantazya, wprawiona w ruch, zaczęła roić, snuć sceny, obrazy, ale wszystko niewyraźne jeszcze, mętne; „potrzeba tylko [2]), aby się zebrały w oddzielne tłumy, ażeby czyny ich ułożyły się w postaci piramidalne wypadków...“ Dokonał tego obraz Guido Reni'ego, znajdujący się w Rzymie, w pałacu Rospigliosi, a będący portretem Beatricy Cenci. W swojéj „Podróży po Włoszech,“ w tomie pierwszym, na str. 295 [3]) Hipolit Taine portret ten w następujący opisuje sposób: „Beatrix Cenci Gwidona — pisze autor „Historyi literatury angielskiéj“ — jest delikatną i ładną dziewczyną, bladą; jéj mały podbródek, usta drobne i wszystkie krzywizny twarzy są wdzięczne; udrapowana w bieli, z głową przystrojoną dokoła w białe płótno, jest ona interesującą i chorowitą.“ „Jeżeli się odejmie tę bladość, która pochodzi z jéj stanu smutnego“ i t. d. i t. d. Słowacki, który, mieszkając trzy miesiące w Rzymie, zwiedzał najprzód z Januszewskiemi, a potém z Zygmuntem Krasińskim, wszystkie osobliwości wiecznego miasta, nie mógł nie widziéć obrazu Beatricy Cenci, — która, jak powiedzieliśmy już, interesowała go podwójnie, jako autora dramatu francuskiego „Beatrice Cenci.“ — Przypatrując się téj „głowie szlachetnéj,“ téj „dziewczynie delikatnéj i ładnéj,“ a przytém „bladéj“ i „smutnéj,“ „interesującéj i chorowitéj,“ „téj głowie cudownéj piękności“ [4]) „spokojnéj, jako cyprys, nadto smutny, aby nim ruszył

---

[1]) Z Listu „do autora Irydyona“ poprzedzającego Balladynę.

[2]) Ibidem.

[3]) Wydanie warszawskie, tłom. Ant. Sygietyńskiego.

[4]) Beatrix Cenci, akt. I, scena IX.

wiatr“ [1]) zachwycony nią, tém „anielskiém obliczem“ [2]) mógł Słowacki, podobnie jak jego malarz Giani, w akcie drugim tragedyi, powiedziéć: „Ta twarz zostanie mi wiecznie w pamięci...“ „W ziemię utopiłaś oczy rozwarte, błyszczące i chciwe. O, takie oczy nie widzą, lecz tworzą same obrazy i na utworzone patrzą z litością lub zamiłowaniem. A moje oczy w téj głowy oczach utonęły, jako w głębokiém morzu zachwycenia.“ Stojąc tak przed tym obrazem, przywodząc na pamięć koleje życia téj nieszczęśliwéj istoty, która mogła powiedziéć o sobie: „jestem jako najbielsza z gołębic,“ a która zginęła tak marnie; litując się nad jéj dolą nieszczęsną, tragiczną, jak trudno znaleść w historyi podobną, wspomniał mimowoli ową „francuską“ sztukę, napisaną parę lat temu, a przedstawiającą właśnie krwawe dzieje téj „najbielszéj z gołębic.“ Jednocześnie zauważył, że teraz, po pobycie w Rzymie, po widzeniu obrazu Guido Reni'ego, gdyby mu przyszło opracować ten sam temat, opracowałby go inaczéj zupełnie, aniżeli wtedy... Tu zaświtało mu w głowie, że malarz, malując portret kobiéty tak czarującéj, z łatwością mógł się zakochać w niéj, a ona w nim. Bo czemu nie przypuścić, że Guido Reni, kiedy malował portret córki hr. Cenci, był młody, piękny, namiętny. Jako taki, a przytém, jako artysta, sławny w całym Rzymie mógł wzbudzić afekt w czarującéj hrabiance... Co za tragedya! Te dwie istoty kochające się, na podobieństwo Romea i Julii, pragnące żyć razem i długo, marzące o raju na ziemi, te dwie istoty czułe i tkliwe, wyobrazić je sobie w sytuacyi, w jakiéj znalazła się Beatrice, ojcobójczyni, skazana na śmierć — toż to motyw tragiczniejszy tysiąckroć, aniżeli historya Romea i Julii! Co za rozdzierająco smutny duet możnaby wysnuć z tego motywu!

Oto w jaki sposób zrodziła się w wyobraźni poety postać malarza Giana Giani, którego imię i nazwisko — proszę i na to zwrócić uwagę—brzmi bardzo podobnie, jak Guido Reni: jest poprostu jego odmianą. I Słowacki, zapaliwszy się do nowego pomysłu, dawniejszy, opracowany we francuskiéj sztuce, a na innéj osnowie oparty, uznał za mniéj szczęśliwy, tak, iż porzucił go zupełnie, postanawiając do znanéj historyi Beatricy Cenci, wtrącić epizod oryginalny, nowy, a który tragedyi, osnutéj około zbrodni ojcobójstwa, doda poetycznego uroku: podobny do pęku promieni słonecznych, wpadających do ponuréj celi więziennéj i niosących z sobą świeże powiewy wiosny, przesycone zapachem róż i fijołków.

---

[1]) Beatrix Cenci, akt II, scena IV.

[2]) Ibidem, akt II, scena I.

Pomysł jednak, o ile przyszedł łatwo, o tyle dojrzéwał zwolna, jakby oporem. Nie przyoblekał się w konkretne kształty. Poeta nie mógł „zobaczyć“, nie „widział“ swojéj tragedyi. Może dlatego, że nie miał spokoju, że podróżował ciągle, przenosząc się to do Neapolu, to do Sorrento, to znowu wracając do Neapolu. Potém wyjechał na wschód, do ziemi świętéj, a ponieważ „życie takie i podróż taka ma dziwny urok“ — jak powiada w jednym z listów — nie dziw więc, że sprawa Beatricy Cenci do zwalczenia tyle mając nowych wrażeń, z walki téj wyszła pokonaną i jako taka, odłożoną została na późniéj... Późniéj, po powrocie z podróży, we Florencyi, przyszły inne pomysły, domagające się jak najrychlejszego napisania: „Anhelli“, „Dantyszek“, „Wacław“, „Ojciec zadżumionych“, „W Szwajcaryi“, dość, że upłynęło cztery lata, poeta przeniósł się z Florencyi do Paryża; Beatrix Cenci poszła, zdawało się, w zapomnienie.

Nagle „skutkiem téj dziwnéj władzy, która szepce do ucha nigdy wprzód niesłyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy we śnie nawet niewidziane istoty“ — dzięki Eschylesowskiéj Orestei — mógł poeta, jak jego Fantazy w „Niepoprawnych“ [1]), powiedzieć o sobie: „Prawdę ty mówisz: same jakieś światła chodzą po mojéj głowie, jak u dzieci, zielone, jasne, czerwone, jak na tła złote rzucone przez Wenecyanina świętych postaci; różne jakieś tony, z których ton każdy coś mi przypomina smutnego, a ma niewytłómaczony urok dla ucha. W powietrzu mi dzwonią różne pamiątki miejsc; koło mnie chodzą: każda ze swoją twarzą, swoją wonią, zmieniona w Nimfę, w postać...

„Myśli me, już pół-upiory, a jeszcze myśli“... Na czele tego tłumu „pół-upiorów“, które Słowacki teraz, oczyma wyobraźni swéj oglądał niby na jawie, szły dwie postaci: Beatrice i Giani, para kochanków, podobnych do Romea i Julii; ona w białych szatach, tych samych, które poeta widział na obrazie Guido Reni'ego w Rzymie, biała „jako najbielsza z gołębic“, jak posąg „białego wstydu“, „spokojna, jak cyprys, nadto smutny, aby nim ruszył wiatr“, „rozpłakana“; on, zapatrzony w jéj „anielskie oblicze“ i jak ona, smutny, złamany. Za nimi, w białym habicie mnicha, z siwą, długą po pas brodą, *padre* Anzelmo, tak podobny do szekspirowskiego ojca Laurentego. Daléj Pietro Negri, garbaty, brzydki, ze spojrzeniem żmii, istne uosobienie podłości i przewrotności, drugi Jago szekspirowski. Daléj Cesario, przyjaciel Gianiego, tak podobny do szekspirowskiego Merkutia, przyjaciela Romea. Daléj cały korowód postaci, jak hrabina Lucretia, matka Beatricy, bracia jéj: Tomaso i Aso, Barygiel,

[1]) Akt I, sc. VI

dozorca więzienia, z pękiem kluczy więziennych, Dolorida, jego córka; za nimi tłum mieszczan, penitentów, sędziów w czerwonych togach, a nad głowami tego barwnego orszaku, tych postaci, jakby malowanych przez Weroneza, „trzy furye“ blizkie krewne eschylowskich Eumenid.

„Zaprawdę, powiadam ci, jam tych mar nie wołał: przyszły same: przyprowadziła je z sobą biała... Beatrix Cenci, a ja ujrzawszy ten tłum ludzi“ — ubiorów pstrych, pióropuszów, narzędzi, któremi torturowano, rapierów dobytych, lśniących w słońcu południowém— „usłyszawszy głosy zmieszane dawno już wymordowanego ludu, wziąłem jedną z harf wenedyjskich do ręki i przyrzekłem duchom powieść wierną i nagą, jaka się posągowym nieszczęściom należy“.

Tak powstała „Beatrix Cenci“ Słowackiego, tragedya, na któréj napisanie, jak widzieliśmy, nie potrzebował Słowacki znać tragedyi Shelley'a.

Władysław. Zaczynam być twojego zdania.

Julian. I ja również.

Beatrice. Co do mnie, to jestem przekonaną w zupełności.

Zdzisław. A więc zwyciężyłem, skoro mi się udało przeciągnąć na swoją stronę panią Beatrice, kobietę.

Władysław. Istotnie, tryumf to nielada i do pozazdroszczenia.

Beatrice. Zamiast komplimentów, których, jak wiadomo, nie lubię...

Władysław. Przepraszam panią, ale nie wierzę temu.

Beatrice. Dlaczego!

Władysław. Bo wszystkie kobiéty, wszystkie, bez wyjątku, z przyjemnością słuchają komplimentów.

Julian. Zależy od komplimentu.

Władysław. Właśnie.

Beatrice. Przypuściwszy, że tak jest, choć nie zgadzam się na to bez zastrzeżeń, wyznać muszę, że w téj chwili, zamiast komplimentów, które, jakiekolwiekby były, zawsze tchną banalnością, wolałabym usłyszéć — skoro już raz mowa o Słowackim i Shelley'u — jakie jest zdanie panów, a szczególniéj pańskie, panie Zdzisławie, co do tragedyi Słowackiego? Czy wytrzymuje porównanie z „arcydziełem“ Shelley'a, tą, zdaniem Byrona, „najlepszą tragedyą od czasów Szekspira“?

Zdzisław. „Najlepszą“? Hm. Niemało dałoby się powiedziéć na ten temat. Jabym sądził, że słowa podobne, w ustach Byrona, który znał „Fausta“ Goethego— w tłómaczeniu wprawdzie — zakra-

wają, jeżeli nie na bluźnierstwo, to przynajmniéj na zdawkową kurtuazyę względem kolegi po piórze.

JULIAN. A Brandes? Wszak i on także nazywa tragedyę Shelley'a „cudownym utworem".

ZDZISŁAW. Jabym sądził, że ten przymiotnik „cudowny" użyty jest, jak w danym wypadku, niewłaściwie. Bo można dzieło Shelley'a nazwać głębokiém, potężném, wzruszającém, wspaniałem wreszcie, jeśli kto chce, ale nigdy „cudownėm", bo przymiotnik ten nie pasuje do przedmiotu, opracowanego tak realistycznie, tak nie po shelleyowsku. „Cudownym" mogę nazwać „Epipsychidiona", „cudowną" jest „Mimoza", „cudownemi" są opisy natury w „Prometeuszu". Prędzéj już, aniżeli utwór angielskiego poety, na miano „cudownéj" zasługuje „Beatrix Cenci" Słowackiego, która, niechaj kto mówi co chce, jest poetyczniejszą...

BEATRICE. Nierównie.

ZDZISŁAW. Aniżeli tragedya Shelley'a, która jest głębszą, przyznaję, bardziéj „ogólno ludzką" że tak powiem. Ale pod względem artystycznym, jako poezya, jako poetyczny sposób traktowania przedmiotu, jako koloryt — ten koloryt „cudowny", południowy, gorący, przypominający płótna Weroneza— stoi „Beatrix Cenci" Słowackiego, mojém zdaniem przynajmniéj, o wiele wyżéj, aniżeli głośny utwór angielskiego poety. Dość porównać dwie sceny przed sądem: u Shelley'a w akcie piątym, scenie drugiéj, i u Słowackiego scenę trzecią aktu czwartego. U Shelley'a obrona wypowiedziana przez Beatrice, jest bardzo przekonywającą, robi wrażenie świetnéj mowy, wypowiedzianéj przez znakomitego adwokata, broniącego niewinności dziewiczéj, a przemawiającego do rozumu sędziów; tymczasem krótka, ale rozdzierająca obrona, którą wypowiada Beatrix Słowackiego, jest istotnie „obroną Rzymianki" dumnéj i niepokalanéj, jak Westalka.

WŁADYSŁAW. Co do mnie, to sądziłbym, że trudno rozstrzygać, która tragedya, Shelley'a czy Słowackiego, jest lepsza, bo „nie to ładne co ładne, ale co się komu podoba". Bądźcobądź, nie da się zaprzeczyć, że tragedya Słowackiego jest inną, aniżeli tragedya Shelley'a.

ZDZISŁAW. To raz, a powtóre, niewiadomo, jakąby była „Beatrix Cenci", gdyby ją Słowacki tak, jak Shelley swoją, wykończył. Kto wié, coby wówczas powiedział Brandes, dzisiaj tak lekce sobie ważący utwór Juliusza?...

Shelley, jak wiemy, zanim przystąpił do pisania tragedyi, przedsiębrał przedtém wyczerpujące studya historyczne: grzebał w archi-

wach, przechowanych w pałacu rodziny Cencich, poczém dopiéro, obznajmiony dokładnie z prawdziwym przebiegiem dramatu, i najadłszy się, że tak powiem, prawdy historycznéj, zaczął ją w umyśle swym przetrawiać artystycznie; czyli, że nagromadziwszy ogromny zapas surowéj rudy, miał z czego wytapiać dzieło sztuki. Następnie, kiedy tak przygotowany zabrał się do pisania, przez rok cały, jak wiemy, nie ustawał w pracy, obmyślając każdy szczegół, każdą scenę, każde *intermezzo*, łączące jedną scenę z drugą, opiłowywując każdy wiersz, każdy frazes, jedném słowém, komponując nie w gorączce natchnienia, ale na chłodno, uzbrojony w rozwagę i w olimpijski — tylko Goethemu właściwy — spokój, w trzeźwość „przedmiotowego" autora, który tworząc, jednocześnie potrafi być krytykiem, kontrolującym poetę.

Słowacki tymczasem, jak dowiadujemy się o tém z książki prof. Małeckiego, napisał swoją „Beatrix Cenci" „na sześciu arkuszykach papiéru listowego." To téż tragedya jego, naszkicowana zaledwie — kto wié, czy nie w ciągu jednéj nocy, w przystępie natchnienia — a przytém nie oparta na żadnych przedwstępnych studyach historycznych, cała poczerpnięta z fantazyi, chciałoby się rzec, wyssana z palca, choćby dlatego samego, że jest szkicem, nigdy — prawdopodobnie — nie odczytanym po jednorazowém, gorączkowém rzuceniu go na papiér, tragedya jego, już dlatego samego, powtarzam, nie da się porównać z „cudownym", w najdrobniejszych szczegółach, jak dzieło Benvenuta Cellini'ego wycyzelowanym utworem Shelley'a.

Ferdynand Hösick.





PO TYFUSIE.

OBRAZEK.

Śnieg padał garściami drobnych płatków na czarne gałęzie drzew i szerokie aleje ogrodu, na łąki, pola, lasy, widniejące z okna pokoju, w którym siedział Edmund. Chłodny, biały całun rósł, nabrzmiéwał stopniowo, falując gdzieniegdzie czubkami drobnych wzniesień. Szare niebo i siny odblask powietrza, śnieżne puchy, pływające w przestrzeni i śnieżne kobierce, rozesłane dokoła, otulały ziemię miękkim uściskiem, w którym zamiérało życie, a zdawał budzić się spokój nirwany.

Edmund, otulony ciepłym szalem, siedział przy oknie i wodził wzrokiem za płatkami śniegu, padającemi wolno, ukośnie. Niektóre z nich zatrzymywały się na szybach okna; inne niknęły w przestrzeni: nie można było dostrzedz kresu ich biegu. Zdawało się, że żaden z nich nie spływa na dół, ku saméj ziemi, a jednak — biały całun na polach i łąkach rósł wciąż, nabrzmiéwał.

Edmund zaczął liczyć drobne puszki. Liczył je i gubił cyfrę lub, pamiętając cyfrę, tracił z oczu kierunek płatków, które śledził.

Ogień, palący się na kominku, wprost okna, rzucał żółtawo-czerwonawy odblask na twarz jego bladą i wklęsłe policzki, na zapadnięte, gęstą siatką żyłek pokryte skronie, na oczy zamglone, bez blasku, poruszające się wolno, ociężale, jak gdyby każdy zwrot ich na prawo lub lewo przychodził im z wysiłkiem.

Z sąsiedniego pokoju dolatywały dźwięki fortepianu. Marynia grała preludyum Szopena ciche, powolne, łzawe. Płatki śniegu zdawały się opadać w takt jego. Dźwięki tak, jak i one, to niknęły

chwilami, roztapiając się w przestrzeni bez wyraźnego zakończenia, to—po dłuższéj pauzie—rozbrzmiewały na nowo jednostajną, smętną modulacyą basu, w którą wpadały nuty wiolinu, łącząc się z nią tak, jak łączyły się lotne białe pyłki z jednolitą masą puchów, zaścielających ziemię.

Edmund wstrząsnął głową nagle, zbudzony z chwilowego zamyślenia. Jakiś wiersz przyszedł mu do głowy, krótkie smutne opowiadanie o tumanach śniegu, któremi wicher miotał podczas zimowego zmroku, o rozpaczy kogoś, co w długą noc ciemną, sam jeden, daleki od wszystkich ukochanych swoich, zakrywszy twarz wyschłemi dłońmi, czekał jutrzenki, jak zwiastuna lepszéj doli: czekał i doczekać się nie mógł; serce, bijąc coraz wolniéj, nad ranem bić przestało.

Edmund poruszył się kilkakrotnie w fotelu zniecierpliwiony. Chciał przypomnieć sobie wiersz cały jasno, wyraźnie: nie mógł; myśli jego plątały się, słowa odbiegały.

Tak dawno już, tak dawno nie czytał wierszy!

Czy zacznie kiedy czytać je na nowo? Czy odzyska pamięć, którą najwidoczniéj stracił?

Przez umysł jego w mglistych, bladych zarysach przemykały ogniwa krótkiego rozumowania.

— Życie — mówił sam do siebie — z konieczności nieraz miewa takie przełomy, w których człowiek zatraca przeszłość swoją, w których to, co mózg jego niegdyś tworzył, kombinował, rozwiewa się i niknie bez śladu, a jeżeli kilka słabo zarysowanych wspomnień zostaje w pamięci, to praca refleksyi nie jest w stanie złożyć ich w jednolitą całość, lub, składając, wykoślawia je w brudne, liche zlepki...

On w téj chwili właśnie czuł się na takim przełomie. Kilka tygodni strasznéj gorączki i majaczeń bez przerwy odebrało mu siły: czy odzyska je kiedykolwiek? Czy będzie tém, czém był niegdyś? Czy téż echo lat minionych zniknie dlań bezpowrotnie, a on, po długim śnie osłabienia, ocknie się wreszcie i, jak feniks, odrodzony z popiołów, rozpocznie nową erę życia, nie związaną niczém z przeszłością?

Śnieg wciąż sypał; drobne puchy rozwiewały się wciąż w przestrzeni; niebo nie zmieniało szaréj barwy; białe kobierce falowały na łąkach; ogień płonął na kominku; dźwięki preludyum to przycichały pod zdwojoną synkopą, to wzmagały się rosnącém *crescendo* i kadencyą nagromadzonych akordów.

Edmund zwiesił głowę na piersi i myślą na nowo szukał rytmu wierszy, które instynktownie podkładał pod takty preludyum. Kilka

luźnych słów, kilka słabych, źle zarysowanych obrazów majaczyło mu w pamięci.

Chwilowy wysiłek refleksyi i woli zmęczył go: przestał szukać pogubionych rymów. Przymknąwszy oczy, zdawał się usypiać: oddychał głęboko, ręce jego obwisły na kolanach bezwładnie; twarz przybrała wyraz nieruchomego skupienia; powieki tylko drgały zlekka od czasu do czasu.

Musiał spać, mózg bowiem jego i zmysły zawiesiły pracę: nie spostrzegał, nie kombinował, nie myślał...

Naraz drgnął całém ciałem i otworzył oczy.

Ogień na kominku zasyczał mocniéj, objąwszy płomieniem świeżo rzuconą wiązkę sękatego drzewa; wiatr, podniósłszy się od strony lasu, cisnął na szyby okien garść zbitego śniegu; akordy preludyum zajęczały głośnym okrzykiem bólu, rozpaczy.

„O, dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi,
I wszystkim nędzom i tęsknotom ducha,
I niech się niebo drzwiami błękitnemi
Otworzy i Bóg niech słucha!
Czy Tobie, Boże, imię „grom i burza“?
Że świat Twój w ogniach się nurza?
Czy Tobie, Boże, imię „błyskawica“,
Że mu miecz nagi przyświeca?
Czy Tobie imię „śmierć i potępienie“,
Że się krwi leją strumienie?
Czy ziemia w chwili gniewu nawałnicy,
Iskrą Ci prysła z źrenicy?“ [1]).

Edmund otworzył oczy i słuchał. Doznał wrażenia, jak gdyby czyjś szept cichy mówił mu wprost do ucha słowa wierszy, tak odmiennych od tych, których szukał pamięcią przed chwilą.

Ogień na kominku, zwęgliwszy sękate szczapy, gasnął zwolna. Wiatr, okręciwszy się dokoła suchych drzew ogrodu, uciekł na łąki. Preludyum skonało długim, powtórzonym kilkakrotnie bemolowym dźwiękiem.

Edmund obejrzał się. Nikt nie odszedł od niego, a szept, który słyszał, przycichł nagle...

Zmrok zimowéj nocy w odblaskach śniegu opadał wolno z szaréj kopuły nieba. Zalewając szerokie aleje ogrodu i tarasy przed domem, zwisł na szyby okna, przy którém siedział Edmund.

Na końcach palców, opiérając się rękami o mury ścian i futryny drzwi, do pokoju Edmunda weszła Marynia.

---

[1]) Marya Konopnicka, „Z dni smutku.“

— Czy śpisz? — zapytała poruszeniem ust raczéj, aniżeli głosem.

— Nie śpię — brzmiała również cicho odpowiedź.

Marynia przystąpiła do Edmunda i, poprawiwszy szal, który zsunął się z jego kolan, rzekła:

— Czy nie za długo siedzisz dziś w fotelu? Może lepiéj przeprowadzić cię na łóżko?

On obojętnie skinął głową. Marynia zawołała służącego, który drzémał przy kominku i z jego pomocą poprowadziła Edmunda ku łóżku.

— Zapalić światło? — spytała.

Edmund nic nie odpowiedział. Od czasu, kiedy gorączka i niebezpieczeństwo strasznéj choroby, jaką przeszedł, minęły, milczał całemi godzinami. Nic nie było w stanie pobudzić go do rozmowy. Uczucie głodu wywoływało czasami na usta jego mruczenie, które przybierało ton gniewu i zniecierpliwienia, jeżeli nie zwracano uwagi na nie: zresztą—głos jego dawał się słyszéć rzadko kiedy.

— Czy zapalić światło?—spytała Marynia powtórnie.

I tym razem nic nie odpowiedział. Leżąc na łóżku, patrzył w kwadrat posadzki, oświetlony blaskiem przygasającego na kominku ognia. Kwadrat to malał w jego oczach, to rósł, rozpadając się na ruchome cząstki, w końcu, zakreśliwszy kilka łuków, przeszedł w ciemną plamę, która znikała powoli wśród zmroku, zalewającego pokój.

Ogień na kominku zagasnął zupełnie. Edmund powiódł wzrokiem dokoła: ciemność przeraziła go trochę, a nie miał ochoty zawołać o światło.

Zamknąwszy oczy, spróbował drzémać.

Marynia w sąsiednim pokoju grała nokturn, ten sam, który niegdyś...

Tak dawno, tak dawno! — Przez myśl Edmunda przemknęło pytanie:

— Dlaczego niekiedy bliska przeszłość, dzień wczorajszy wydaje się odległym, jak inne życie?

Niegdyś do tego nokturnu napisał poemat. Dziewczyna, bohatérka poematu, miała czoło jasne, wzrok łzawy, nosiła na piersiach białą różę. Kochanek zdjął różę z jéj piersi: ucałował ją, a potém — ucałował usta dziewczyny.

Edmund otworzył oczy. Pokój zdawał mu się pełen róż białych: zawieszone na festonach firanek, na obiciach ścian, na rysunkach

sufitu, sypały się zewsząd, otulając go miękkiemi płatkami i dusząc zapachem.

— Światła!—zawołał szybko, siadając na łóżku, zakrywszy oczy obiema rękami.

Marynia wbiegła z lampą zapaloną. Przysłoniwszy ją różowym motylem, postawiła na biurku przy oknie, następnie podeszła do Edmunda, położyła rękę na skroniach jego i poruszała ustami, licząc cicho.

Puls uderzał wolno, nie zwiastując gorączki.

— Połóż się, dosyć już siedziałeś dzisiaj—rzekła.

On nie słuchał jéj. Oparłszy głowę na łokciach, patrzył w róg ściany, na którą padał cień motyla, zawieszonego na lampie.

Przez pierwszy tydzień choroby swojéj patrzył tak codzień wieczorami całemi na ten sam cień, padający na ścianę. Widział w nim wówczas wyraźnie postać kobiéty, grożącéj mu obiema wyciągniętemi pięściami i skazującéj go na śmierć. Kobiéta miała twarz ściągłą, jasne włosy, niebieskie oczy. Znał ją dobrze: wiedział, iż nazywano ją „Anną“, nie cierpiał jéj. Z ramion jéj, z piersi i bioder opadały łachmany, do których miał wstręt. Niecierpiał jéj, nienawidził.

Dziś—rozumiał, że cień jest cieniem tylko, pamiętał jednak majaczenie gorączki tak żywo, iż z niepokojem wyczekiwał przetworzenia się go do téj chwili w postać żebraczki.

Marynia przeniosła lampę na drugi stolik, mówiąc:

— Póki byłeś chory, lampa musiała stać daléj: teraz—przyjemniéj ci będzie miéć światło blisko siebie.

Edmund położył się. Patrząc w sufit, na którym drgał okrągły świetlny punkcik, odblask płomienia lampy, pytał sam siebie:

— Dlaczego „ona“, nie kto inny, groziła mi na cieniu zawsze? Dlaczego „ona“, nie kto inny, męczyła wzrok mój, myśli moje wtedy, kiedy najbardziéj pragnąłem spokoju?

Zmarszczył brwi i nachmurzył czoło. Samo wspomnienie dręczących majaków sprawiało mu przykrość. Chciał oderwać się od nich, a wracały wciąż natrętnie.

Raz—pamiętał to dobrze — ta sama twarz żebraczki, którą widywał na cieniu wieczorami, pochyliła się nad nim w dzień biały. W pokoju świeciło jasne słońce, od którego bolały go oczy. Był wtedy bardzo zmęczony. Przed chwilą kilku lekarzy zadręczało go pytaniami, badając przebieg gorączki, przykładając—każdy z kolei— głowę do piersi jego i pleców, każąc mu siedziéć prosto, kiedy krzyż przeginał się z bólu. Pamiętał dobrze, iż w głowie wówczas huczało

mu tysiąc dzwonów, rozsadzających skronie. Był bardzo, bardzo zmęczony.

„Ona“ pochyliła się nad nim i mówiła:

— Czy ty mnie poznajesz, Edmundzie? To ja, to twoja Anna. Czy ty mnie poznajesz?

Każde jéj słowo wydawało mu się krzykiem, od którego głowa pękała. Chciał wyciągnąć rękę, aby wymierzyć jéj policzek, nie miał siły. Chciał zawołać głośno:

— Idź precz! Nie cierpię ciebie.

Nie pamięta, czy zawołał, czy nie? Nic już potém nie pamięta. Chorował długo, ale nic, nic nie pamięta...

Spuściwszy wzrok z sufitu, na którym świetlne koło lampy drgało ciągle, Edmund zaczął wodzić palcem po atłasowym deseniu kołdry.

Marynia spytała:

— Może chcesz wina?

Kiwnął głową na znak, że prosi o nie.

Napoiwszy go, Marynia przysunęła mały, niski fotelik do jego łóżka i rozpoczęła z nim rozmowę, którą od tygodnia codzień usiłowała prowadzić napróżno.

— Czy pamiętasz tych, co odwiedzali cię podczas choroby? — pytała.

On krótko, niecierpliwie wstrząsnął głową na znak, że nic nie wié, nic nie pamięta.

— Czy wiész, że był także ktoś, kogo nie poznałeś, kogo pewnie chciałbyś zobaczyć w téj chwili?

— Nie chcę widziéć nikogo; zostawcie mnie w spokoju; nie sprowadzajcie mi ludzi — odparł ostrym, pełnym zniecierpliwienia głosem.

Marynia podniosła się. Długą chwilę stała przy oknie, zamyślona, z głową, zwieszoną na piersi, z wyrazem niepewności i wahania w twarzy. Nakoniec, przesunąwszy się na palcach do sąsiedniego pokoju, usiadła przy biurku swojém i napisała krótki bilecik na kartce, którą już miała przygotowaną.

„Droga moja! I dziś Edmund ze mną mówić nie chce. Dziwne to; nie pojmuję stanu jego zupełnie. Cierpliwości!... Czyż co innego radzić ci mogę? — Nagle i natarczywie działać niepodobna. Chcę zwolna przygotować go do zobaczenia się z tobą. Im późniéj to nastąpi, tém lepiéj. Lekarz zaleca mu unikanie wszelkich wzruszeń.“

Położywszy na kopercie adres Anny M., kazała służącemu zanieść list na pocztę.

. . . .

Kilka tygodni minęło. Edmund wychodził już ze swego pokoju do alei ogrodu. W południe siadywał całemi godzinami na werandzie przed domem; do łóżka kładł się samym wieczorem dopiéro. Cera jego poprawiła się znacznie; lekkie rumieńce zaczęły występować na twarz; przytył cokolwiek. Siły jednak przybywały mu zwolna, nieznacznie. Z trudnością, zataczając się prawie, schodził ze schodów. Wzrok miał ciągle zamglony. Patrząc na coś, widział często nie przedmiot sam, lecz zaledwie jego zarysy. Rozmowa zawsze jeszcze sprawiała mu trudność. Szukał samotności. Niekiedy pół dnia przesiedział w zamyśleniu z głową, zwieszoną na piersi, nie zważając na to, co działo się dokoła niego, nie słysząc głosów, nie spostrzegając sylwetek ludzi, przesuwających się przed jego oczami. Nieraz znowu coś drobnego, fakt jakiś bez znaczenia zajął jego uwagę: mógł, naprzykład, przyglądać się całemi godzinami ptakom, które przed oknem jego pokoju sfruwały z gałęzi na gałąź. Rozleglejsza przestrzeń przerażała go. Nie patrzył nigdy na krajobraz pól, łąk i lasów, roztaczający się za parkanem ogrodu. Jeżeli Marynia, siostra jego, wskazując mu stojącą w oddali polną gruszę, całą w pąkach, lub zieloną trawę ugorów i niebo, obrzucone barwami tęczy, mówiła:

— Przyjrzyj się wiośnie i wschodzącemu życiu przyrody.

Spuszczał oczy, odwracał głowę od okna i, bębniąc palcami ze zniecierpliwienia, wpijał wzrok w pierwszy lepszy przedmiot, jaki znalazł dokoła siebie.

Po paru tygodniach codziennéj powolnéj i ostrożnéj przechadzki wzdłuż lipowéj alei ogrodu Edmund ożywił się cokolwiek. Umysł jego zaczęły zajmować przeobrażenia, dokonywujące się wśród natury, lecz nie te ogólne, związane z wielkiemi obszarami przestrzeni, z gromadą tworów, zbudzonych do życia ze snu zimowego, — lecz pojedyńcze, drobnostkowe, dotyczące czegoś małego, czegoś, co w całości przyrody stanowiło zaledwie nic nie znaczącą jéj cząstkę. Wodząc wzrokiem po którymkolwiek z większych tarasów ogrodu, doznawał wrażenia nieskończonéj przykrości: sądził wówczas, iż oczy jego zapadają się wgłąb czaszki: czuł zawrót głowy. Natomiast z wytężeniem źrenic śledził kiełkujące źdźbła trawy na małych klombach przed domem. Myślał wtedy:

— Jak jednostajne epoki bytu przechodzi każda istota, obdarzona najsłabszém choćby tchnieniem siły żywotnéj! Drobny proszek nasienia, nic nie znaczący pyłek, który wiatr zwiéwa lub motyl prze-

nosi z kwiatu na kwiat, staje się rośliną: kiełkuje najpierw, potém wzrasta; przeszedłszy zenit rozwoju, zamiéra.

Patrząc na motyla, szukającego w trawie zwieszonych główek fiołków, przypominał sobie kokon wstrętnéj gąsienicy, który dał mu życie, i pytał sam siebie:

— Czy biały motyl, raz otrzymawszy skrzydła, które go unoszą, wróci kiedy do stanu brzydkiéj, pełzającéj liszki?

Odpowiedź brzmiała:

— Nie.

Po paru dniach zastanawiania się nad otoczeniem swojém, zaczął myśli swe zwracać ku sobie samemu. Porównywując byt swój z bytem trawy i motyla, pytał:

— Czy ciężkie choroby i silne wstrząśnienia, jakie w życiu swojém przechodzi człowiek, nie stanowią dlań granicy z góry nakreślonych epok, które go przeobrażają tak, jak wiosna przeobraża pyłek nasienia w kiełkującą łodygę rośliny, jak słońce i ciepło przeobrażają wstrętną liszkę do motyla?

— Jeżeli przypuszczenie to prawdziwe — myślał w dalszym ciągu—to przeszłość człowieka odrodzonego wstrętny, brudny kokon, do którego nie wraca tęczowy motyl...

Był jeszcze bardzo osłabiony. Nogi drżały mu, gdy sam, bez pomocy siostry, posuwał się wolnym krokiem wzdłuż alei lipowéj ku grabowemu szpalerowi. Umysł jego kombinował leniwie, lecz kombinował uparcie, ciągle. Niekiedy ta nieustająca praca refleksyi męczyła go: czuł wówczas pewne zniecierpliwienie, które mijało powoli. Rozglądając się następnie dokoła siebie, witał każdy objaw wschodzącego życia, jako coś nowego, coś, co i jego odradza powoli...

Dla przeszłości czuł rosnącą w piersiach swoich coraz silniéj instynktowną wzgardę. Ilekroć błyskawiczny rzut pamięci wskrzeszał ją w umyśle jego, natychmiast żywe jeszcze, niczém niezatarte wspomnienia majaków przebytéj gorączki mąciły blade jéj obrazy. Przyszłość rysowała mu się w formie nieuchwytnych, słabo skrystalizowanych marzeń, które powstawały w rozbudzonéj drugiéj jakby świadomości, w inném „ja“ jego, jakie od czasu choroby czuł w sobie wyraźnie...

Odkąd poraz pierwszy wyszedł z pokoju swego, wiosna dawała dni pogodne, niebo bez chmur i złote, ciepłe, ożywcze promienie. Kochał je: kładąc się do łóżka wieczorem po całodziennem błądzeniu w ogrodzie, myślał o jutrze, pełném barw, słoneczném, jasném; sądził, iż życie jego całe zmieni się odtąd w jeden świetlny, wiosenny ranek.

Któregoś dnia Marynia, wyprowadziwszy go do ogrodu w południe, kiedy na gałęziach drzew świegotały wróble, a zdaleka, z nad pól i łąk, dolatywał śpiew skowronków, spytała:

— Czy pamiętasz wiosnę rok temu? Chodziliśmy po ogrodzie tak samo, jak teraz, tylko z nami był ktoś trzeci...

On nic nie odpowiedział: przygryzłszy wargi, sięgnął po gałąskę dzikiéj porzéczki, któréj nie mógł zerwać, gdyż palce miał zbyt słabe.

Marynia podała mu gałązkę. Gdy doszli do altany z głogu, w któréj kilka jaskółek budowało gniazda swoje, rzekła:

— Usiądź, musisz być zmęczony; zanadto dziś chodziłeś...

Posunęła mu szal na poręcz ławki, aby oparcie było miękkie i wyjęła z kieszeni książkę, którą miała czytać mu głośno.

Edmund, patrząc na jaskółkę, która znosiła źdźbła traw i słomy do swego gniazda, myślał:

— Czy ona wié, że niegdyś sama była pisklęciem? Czy pamięta o tém? Czy obchodzi ją przeszłość jéj życia?

Marynia wysunęła z za obłożenia książki arkusik papieru listowego, złożony na pół, zapisany drobném, gęstém pismem. Położywszy rękę na ramieniu Edmunda, odezwała się:

— Dostałam dziś list, który ciebie dotyczy i więcéj pisany jest do ciebie, aniżeli do mnie: czy chcesz, żebym ci go przeczytała?

Edmund, patrząc uparcie na jaskółkę, wijącą gniazdo wśród gałęzi głogu, zdawał się nie słyszéć słów siostry.

Wówczas Marynia, stanąwszy przed nim tak, że zasłaniała sobą gałęzie głogu i skrzydła jaskółki, rzekła uroczystym głosem:

— Edmundzie, Anna ma prawo żądać widzenia się z tobą: dotąd—ogólnikami starałam się naprowadzić cię na to, abyś wspomniał, że pragniesz ją zobaczyć. Dziś mówię otwarcie, widząc, że nie rozumiész, albo nie chcesz rozumiéć słów moich.

Edmund spuścił głowę; przez chwilę zdawał się wahać, ważąc odpowiedź, w końcu odparł:

— Nie cierpię jéj, — i, podniósłszy się z ławki, wolnym krokiem, podążył ku domowi, mijając aleję lipową i skręty grabowego szpaleru.

Marynia tego dnia długo siedziała przy biurku w swoim pokoju, nie wiedząc, co napisać do Anny. W końcu rzuciła na papiér trzy słowa:

„Cierpliwości, jeszcze cierpliwości!“

. . . .

Edmund zaczął unikać towarzystwa Maryni. W pokoju zamykał się przed nią. Do ogrodu schodził najczęściéj sam, niepostrzeże-

nie. Siły jego wzrastały z dniem każdym. Stąpając coraz śmieléj, coraz dłuższe odbywał wycieczki. W końcu błądzenie tam i napowrót wzdłuż jednych i tych samych ścieżek, wśród drzew i klombów, których znał każdy listek, sprzykrzyło mu się. Uczuł potrzebę zajęcia uwagi swojéj czémś odmiennném. Postanowił czytać.

Na biurku, w pokoju jego, leżał tom poezyi modnego autora; schodząc do ogrodu, Edmund wziął go ze sobą.

Poeta pisał o kwiatach, słońcu, miłości, o parze rozstających się na wieki kochanków, o tęsknocie sieroty za matką, którą pochowała...

Rytmika słów i modulacya wierszy bawiły go z początku, po chwili czytania jednak uczuł pewne znużenie; mgła na oczach przysłaniała mu wyrazy. Ziéwając, złożył książkę i po dawnemu zaczął rozglądać się dokoła siebie.

Nad głową jego świeciło jasne słońce. Narcyzy, konwalie i jaśmin, nad któremi fruwało kilka motyli, dusiły oddech mdłym, słodkim zapachem. Od strony łąki za ogrodem, wśród któréj sterczała kulista ciemnozielona polna grusza, dolatywał powiew chłodnych rannych oparów.

Edmund wstał i, chodząc zwolna wzdłuż zwirem wysypanéj ścieżki, śledził wzrokiem kołyszące się w błękitnawych smugach powietrza motyle. Gdy ostatni z nich zniknął w gałęziach jaśminu, Edmund, zerwawszy liść łopianu, wyrosły na skraju ścieżki, myślał:

— Trwanie motyla—to trwanie jednéj doby...

Następnie, rozrywając powoli żyłki liścia, pytał sam siebie:

— Jaki cel mają barwy tęczy, które przyroda daje skrzydłom owadów? Czy przeznaczeniem ich łagodzić, czy téż przez prawo kontrastu, wzmacniać wstręt nasz do brzydkich, wynaturzonych tworów przyrody? Co we wszechświecie przeważa: piękno czy brzydota? Jakie wrażenie w umyśle ludzkim trwa dłużéj: wrażenie piękna czy brzydoty?

Chodząc wzdłuż tarasu przed domem, Edmund myślał, rozważał; w końcu, siadając na ławeczce pod gałęźmi bzu, zaczął szukać czegoś po kieszeniach ubrania i między kartkami książki, którą trzymał w rękach.

Znalazłszy przy sobie ołówek, zdjąwszy z książki biały papiér obłożenia, zaczął pisać:

...Na łące, niedaleko stawu, pod cieniem pękatéj nieforemnéj gruszy, w zwiniętym rogu wielkiego liścia łopianu, wykluło się z drobnych, białych jajeczek ośm brzydkich, żarłocznych liszek.

...Uzbrojone w zazębione, silne szczęki, z masą oczów, dziewięcioma parami nóg wdrapywały się po korzeniach i pniu na gałęzie

gruszy, snując dokoła siebie ochronną przędzę, błyszczącą w słońcu, jak złoto.

...Oskubawszy liście, wyssawszy sole z nich, najedzone, nie miały siły wracać do gniazda: przyczaiły się przez noc, gdzie mogły, aby rano, jak tylko słońce wejdzie, jeść na nowo.

...Jedna z nich, ciężka, ogromnie syta, nie mogąc utrzymać się na gałęzi, spadła na szyję pani, która usiadła pod gruszą. Pan, wachlujący panią, dostrzegł ją i odrzucił na bok ze wstrętem tak, że rozbita o kamień, nie żyła nawet kwadransa.

Pani otrząsnęła się, mówiąc:

— Jakie to brzydkie!

Nie mogła zapomnieć lepkiego, kosmatego ciała, które dotknęło jéj szyi. Podniósłszy się szybko, powiedziała, iż nie chce siedzieć tu dłużéj. Odeszła daleko, a jeszcze wstrząsała głową i ramionami z obrzydzeniem.

...Drugą, trzecią i czwartą liszkę zebrali chłopcy z drzewa, sięgając po kwaśny owoc na ulęgałki. Cztery ostatnie ze wszystkich ośmiu widziały śmierć sióstr. Były mniéj żarłoczne, aniżeli tamte, więcéj miały siły, aby wzdłuż pnia i korzeni spełznąć do gniazda, na wielki liść łopianu.

...Zasnuły się złotą przędzą.

...Zbite w jedną gromadkę, postanowiły czekać następnego dnia z odbyciem świeżéj wędrówki. Czy leżały obok siebie dzień, czy dwa dni, czy dłużéj?– nie wiedziały: Jedna z nich zaczęła ruszać się niespokojnie. Długie jéj wązkie ciało przybierało dziwaczne kształty: grubiejąc w środku, zwężało się od końca. Masy oczów zbijały się w dwa duże punkty po bokach głowy, z któréj wyrastała para pierzasto zakończonych rożków. Warga dolna wydłużyła się w zwinięty smoczek. Jeszcze słońce nie wstało, gdy po obu stronach zgrubiałego korpusu, jak rozwinięte wachlarze, wystrzeliły cztery pary skrzydeł o tęczowych barwach, pokryte łuseczką, drobną jak pyłek.

...Trzy liszki spały w kokonach, nie widząc przeobrażenia siostry. Motyl wzbił się do słońca. Rozgrzany ciepłem, oślepiony blaskiem, spadł na kielich kwiatu, którego słodycz wyssał.

...Pani, po szyi któréj pełzała wczoraj żarłoczna liszka, chodząc po ogrodzie, spojrzała na gałązkę jaśminu, na któréj kołysał się motyl o różnobarwnych skrzydłach.

— Jaki on piękny! — zawołała do towarzyszącego jéj pana.

...Wieczorem wróciwszy do domu z długiego spaceru, jeszcze powtarzała:

— Jaki on piękny! jaki piękny.

Przez noc zapomniała o nim tak, jak wczoraj zapomniała o brzydkiéj liszce.

...Nakarmiony słodyczą, marząc o ciepłém słońcu, motyl zasnął na białym krzaku.

Powiał wiatr od zachodu, spadła chłodna rosa.

Otworzył oczy. Źle mu było: nie widział dnia jasnego; drżał z zimna. Zmrużywszy oczy, zączepiony o gałązkę jaśminu, zasnął znowu i—nie obudził się już wcale...

...Z trzech pozostałych liszek wykluły się nazajutrz trzy motyle: jeden — w żółte koła i prążki, drugi — czerwony, nakrapiany złotemi centkami; trzeci—liliowy z białą obwódką po bokach skrzydeł.

...Czarny żył od rana do wieczora, fruwając z róży na jaśmin, szukając w trawie fijołków. Gdy słońce zaszło, umarł na krzaku okwitającego bzu zmęczony całodzienną pracą.

...Czerwony, zaledwie wzbił się nad liść łopianu, padł, porwany nagłym pędem wiatru, na kamienie, gdzie dziewczynka, goniąca owady, schwyciła go w siatkę.

...Liliowy z białemi obwódkami po bokach skrzydeł, nie wysysał słodkich pyłków z wnętrza kwiatów, nie przysiadał na gałęziach drzew i krzewów, tylko biegł do słońca. Coraz było mu jaśniéj i jaśniéj. Gorąco nie parzyło go: chciał stopić się w blasku.

...Nim południe nadeszło, opadł na ziemię bez tchu, ze zwieszonemi skrzydłami i—nie wzbił się do słońca już ani razu...

. . . .

Marynia, patrząc na Edmunda w chwili, gdy ręka jego, jeszcze troche drżąca, wodziła ołówkiem po papierze, napisała do Anny:

„Zaczyna wracać do życia. Dziś czytał trochę. Teraz, na tarasie, przed kląbem bzów, widzę go, jak pisze To dobry znak: tak lubił dawniéj, po skończeniu musowych zajęć swoich, pisać! Wieczorem odczytywaliśmy razem wiersze lub opowiadania prozą, które tworzył“.

Oh, gdyby dawne dobre chwile wrócić mogły jaknajprędzéj! Tak smutno, jednostajnie upływają nam dnie! Edmund nikogo jeszcze z obcych nie dopuszcza do siebie. O tobie nie wspomina dotąd. Od chwili, w któréj po raz ostatni mówiłam z nim o twéj tęsknocie, o tém, iż pragniesz go zobaczyć,—unika mnie widocznie. Chodzi sam po ogrodzie. Gdy jesteśmy razem, nie odzywa się do mnie“.

„Ta jego obojętność nie może potrwać długo. W téj chwili lekarz każe jeszcze uważać go jako rekonwalescenta. Twierdzi on, iż choroby gorączkowe wywołują przewroty w organizmie, oddziaływające wielce na umysł i ustępujące dopiéro z zupełnym powrotem chorego

do sił pierwotnych i zdrowia. Edmund dziś wygląda już znacznie lepiéj; w oczach jego jednak widzę, iż śpi jeszcze snem obezwładnienia.“

„Bądź cierpliwa, droga moja. Kochamy go obie. Ja pragnę szczęścia waszego. Bądź cierpliwa. Za tydzień, za dwa tygodnie najwyżéj, zobaczysz go może!“

. . . .

Edmund wstał. Pisanie zmęczyło go. Podarł opowiadanie o motylach w kawałki.

Nie miał ochoty wracać do domu; nie miał ochoty chodzić po ogrodzie; nie miał ochoty czytać.

Co będzie robił cały dzień? Słońce jeszcze nie obiegło połowy firmamentu; do zmierzchu daleko; godziny płyną powoli: co będzie robił?

Pierwszy raz od czasu choroby doznał uczucia nudy, téj strasznéj, rozziewanéj nudy, która gnębi i ubezwładnia! Pierwszy raz od czterech miesięcy zastanowił się nad pytaniem:

— Co robiłem dawniéj? Czy nudziłem się tak samo?

Myślał i na razie nie mógł przypomniéć sobie, w jaki sposób schodziły mu ranki, południa, wieczory. Pracował, ale jak pracował?

Chodząc po najdalszych zaułkach ogrodu, szukał czegoś, coby mogło zająć go tak, jak wczoraj zajmowało przypatrywanie się pisklętom jaskółki, karmionym przez matkę, jak onegdaj — śledzenie mrówek w mrowisku, jak tydzień i dwa tygodnie temu zastanawianie się nad kiełkującą łodygą rośliny. Wszystko nudziło go i niecierpliwiło dzisiaj. Był niezadowolony sam z siebie, ze słońca, które świeciło, z ptaków, świergocących nad jego głową.

Przyśpieszywszy kroku, dotarł do grupy topoli, wyrosłych na granicy między zwężoną szyją ogrodu a początkiem dzikiego parku.

Zatrzymał się.

— Dlaczego nie byłem tu dotąd? — zapytał sam siebie, spoglądając dokoła.

Za grupą topoli i krzakami dzikich malin, tworzących rodzaj żywopłotu, w drewnianém ogrodzeniu parku wybita była mała furtka, którą dostrzegało się wyraźnie, podszedłszy do niéj zbliska.

Edmund stanął przed nią. Przez chwilę znać było w twarzy jego wahanie; zastanawiał się, czy otworzyć ją i wejść do parku, czy téż wrócić do domu, gdzie czekała na niego z obiadem Marynia.

Kilka razy obejrzał się za siebie, jak gdyby nadsłuchując, czy kto nie podąża za nim? Wzrok jego wyrażał trwogę i pewne zaniepokojenie.

Naraz chwycił ręką za klamkę.

Nad głową jego furknęła jaskółka, sfruwająca z gałęzi topoli na gałąź leszczyny w parku. Trzepot jéj skrzydeł wydał mu się głośnym hałasem. Przeszedł szybko drewniany most, rzucony na szerokość wąwozu, dzielącego ogród od parku, w chwilkę potém był już daleko od kresu zwykłych swych przechadzek.

Biegł dosyć prędko. Zdawało mu się, iż ktoś podąża za nim. Słyszał wyraźnie głos, który wołał:

— Wróć się! Nie choć tak daleko!

Nie wrócił. Coś popychało go naprzód. Biegł wciąż przed siebie, nie zdając sobie sprawy, dokąd i dlaczego biegnie?

Minął przestrzenie, zajęte grupami dębów i leszczyny; minął małą polanę, na któréj pastuch pasł bydło; minął wreszcie aleję świerków, których cień grobowy owiał go chłodem. Wzrok jego uderzył obszar stawu, za którym w perspektywie widniała łąka, wstawiona w oprawę wierzb i topoli. Doznał wówczas lekkiego zawrotu głowy; mimo to, nie cofnął się i nie zwolnił kroku.

Okrążywszy staw wydeptaną w murawie ścieżką, dotarł do wązkiéj, zwirem usypanéj alei, prowadzącéj ku wzgórzu, którego wierzchołek i pochyłość obsadzone były szeregiem brzóz płaczących.

Uczuł silne zmęczenie. Całym ciężarem ciała opadł na jedną z ławek, stojących pod cieniem brzóz.

Z początku nic nie widział i nic nie słyszał dokoła siebie. W uszach mu szumiało, przed oczami skakały ciemne koła i plamy; oddychał ciężko, puls w skroniach i sercu uderzał szybko.

Powoli jednak zaczął wracać do równowagi. Szum ustępował; migawki znikały z pod powiek; tętno serca i skroni uderzało coraz wolniéj; oddech przynosił płucom chłodny, orzeźwiający przewiew powietrza.

Niespokojnym, trwożliwym, a jednak badawczym wzrokiem Edmund rozglądał się dokoła.

Naprost wzgórza, za ogrodzeniem parku, wznosił się wielki czerwony budynek o szeregu dużych, równemi liniami na kilku piętrach wstawionych okien, o paru olbrzymich, nad murami gmachu sterczących kominach.

Dym z wązkich ich szyjek wzbijał się pionową wstęgą ku górze. Warczenie kół parowych maszyn, huk młotów, nawoływania robotników, gwizd świstawek dolatywały stamtąd wyraźnie, niesione lekkim podmuchem wiatru, który wiał od strony fabryki.

Edmund wpatrzył się w kłęby dymu, buchające ciemną, gęstą masą, wsłuchał w gwar i stuk, dochodzący uszów jego coraz wyraźniéj.

Coś mu to przypominało. Doznał wrażenia człowieka, przyprowadzonego z zamkniętemi oczami do miejsca, którego nazwy nie wiedział. Po zdjęciu opaski z oczów, każdy kamień, każde drzewo, każdy szmer najlżejszy budził w nim wspomnienia przeszłości... dawnéj, chyba bardzo dawnéj, gdyż pamięć goniła ją, jak sen, trudny do pochwycenia, jak echa innego życia, które, zdawało się, że zgasło, które wraca jednak, walcząc o prawo bytu dla siebie.

Edmund patrzył i słuchał. Na razie, krew zbiegła mu z policzków, wargi drżały, powieki poruszały się szybko: był pod silném, ogłuszającém wrażeniem... Stopniowo jednak uspokajał się.

Powoli, od szczegółu do szczegółu, przypomniał sobie, czém były dla niego czerwone mury fabryki, czém gwizd świstawek i ten gwar głosów, zwiastujący grupę ludzi, zebranych do pracy...

Mgła opadała mu z oczów; do myśli napływała jasność...

— Tam, tą małą furtką, wybitą w czerwonym murze parkanu, przychodziłem tu codzień: tu pracowałem — mówił sam do siebie, wodząc palcem w kierunku zabudowań fabrycznych.

Spostrzegły kilkunastu robotników, którzy wyszli z wnętrza fabryki, aby przygotować formę dla wylewu żelaza, myślał w dalszym ciągu:

— Oni mnie słuchali: ja im rozkazywałem. Jak to było? Jak było?

Siedząc na ławce, zasłoniwszy oczy rękami, przypominał sobie przeszłość.

Zdawało mu się, że całe długie lata dzieliły ją od niego, że między ostatnią jego bytnością w fabryce, a chwilą teraźniejszą, zapadła wielka próżnia, któréj granic umysł nie umiał pochwycić.

Podniósłszy głowę i spojrzawszy znowu na czerwone mury fabryki, powiedział sobie:

— Nie wrócę tam nigdy.

Zdawało mu się niepodobieństwem, aby mógł znieść zbliska hałas i stuk, który dolatując do niego słabém zaledwie echem, raził jego słuch; aby mógł rozkazywać gromadzie ludzi, kiedy dotąd każdy obcy człowiek, co zbliżał się do niego, napełniał go obawą, wstrętem, niechęcią; aby myśli jego, które przywykły błądzić swobodnie, dały się ująć w karby form, z góry narzuconych umysłowi przez musową pracę.

— Nie wrócę tam nigdy! — powtarzał, patrząc z brzozowego wzgórza na ciemne dymy kominów.

— A jednak...

Pamięć i trzeźwa świadomość, budziły się w nim coraz wyra-

źniéj, natrętniéj, usilniéj; głos wewnętrzny powtarzał mu:

— Będziesz tam pracował, jak pracowałeś dotąd...

W piersiach jego powstawała już nie instynktowna, lecz świadoma siebie wzgarda dla poziomych, lichych zajęć życia codziennego, dla pracy, która zapewniała mu niegdyś byt powszedni.

— Więc z drobnego pyłku nasienia może wyrosnąć kwiat białéj lilii, z kokona potwornéj gąsienicy może wykluć się motyl o tęczowych skrzydłach, a człowiek, jak żółw skorupę lub ślimak konchę muszli, wiecznie i nierozłącznie dźwigać musi przeszłość swoją? Choćby odrodził się umysłem, siłami, całém jestestwem swojém, to, co było, dawną pracę, dawne stosunki, dawny tryb życia wlec musi za sobą, jak cień sobowtóra?

Z niechęcią wstał. Schodząc ze wzgórza, ani razu nie spojrzał za siebie, na mury fabryki. Czuł gorycz w sercu. Zdawało mu się, że słońce wiosenne pociemniało nagle; że prawo konieczności ścisnęło mózg jego kleszczami, tłumiąc polot myśli, które dotąd, swobodne, jak motyle, szybowały w przestrzeni.

Tego dnia był bardzo opryskliwy dla siostry. Marudził z odpowiedzią, gdy służący pytał go, czy podać obiad.

— Już nigdy, nigdy tam nie pójdę! — mówił sam do siebie, myśląc o ostatniéj swéj wycieczce.

Nazajutrz, zaledwie wstał, skierował kroki ku małéj furtce za grupą topoli i krzakami malin. Coś ciągnęło go do parku. Cień świerków wydał mu się mniéj grobowy, aniżeli wczoraj. Zachwyciła go błyszcząca w słońcu srebrna łuska stawu. Przystanąwszy nad wodą, patrzył na pluskające złote karpie, które chwytały z powietrza drobne muszki i owady. Trochę zwlekał z wejściem na brzozowy wzgórek, oczy jego jednak mimowolnie zwracały się co chwila w stronę drzew, bielejących korą pni i płaczących długiemi, ku ziemi obwisłemi gałęźmi.

Gdy tym razem usiadł na ławce, pod cieniem najstarszéj brzozy, gwar i stuk, dolatujący z fabryki, wydał mu się jakiś swojski, sprawiał mu pewną przyjemność. Wytężając słuch, aby nie stracić najmniejszego odgłosu, wzrokiem śledził każde poruszenie robotników, snujących się wzdłuż podwórza zabudowań fabrycznych.

Przesiedziawszy parę godzin na wzgórzu, z niechęcią wracał do domu. Gdyby nie głód, który mu dokuczał, byłby pozostał tu do samego zmierzchu.

Odtąd codzień po kilka razy wymykał się do parku, aby z pod cienia brzóz patrzéć na mury fabryki.

Raz, siedząc na ławce i przypatrując się pracy robotnika, wy-

rzucającego żużel tam, gdzie leżała ruda do przetopienia, miał ochotę wstać i zawołać:

— Daj pokój, co robisz? Posuń wózek daléj!

Już wstał i kiwając ręką na robotnika, chciał zwrócić na siebie jego uwagę, gdy w tém spostrzegł nachodzącą zdaleka Marynię.

Przygryzłszy wargi, usiadł na ławce, wyjął książkę z kieszeni i z pozorną obojętnością zaczął przerzucać jéj kartki.

Drażniło go to, gniewało i oburzało, że Marynia zbliżała się ku niemu.

— Dlaczego ona mię śledzi? Dlaczego nie zostawia mnie w spokoju? — mówił sam do siebie, uderzając nogą o korzenie brzozy ze zniecierpliwienia.

Marynia usiadłszy przy nim, nie patrząc na niego, mnąc kartkę papieru w palcach, rzekła:

— Anna wyjechała wczoraj i nieprędko zapewne wróci.

Anna! Jak dziwnie zabrzmiało to słowo w jego uszach! Kilka razy podczas jego choroby i potém, kiedy już wstał z łóżka, Marynia wymawiała je: nigdy nie zrobiło na nim takiego wrażenia, jak w téj chwili.

— Anna, Anna, Anna! — powtarzał myślą.

Na razie nic nie odpowiedział siostrze. Pamięcią gonił jakiś obraz, sen innego życia, życia, które przeszło i miało nie wrócić już nigdy!

Anna! Widywał ją w majaczeniach gorączki, jako żebraczkę, grożącą mu wychudłemi rękami i skazującą go na śmierć. Niecierpiał jéj wtedy... Niecierpiał jéj potém, póki pamięć majaczeń żyła wyraźnie w jego umyśle.

Teraz—co mogły obchodzić go majaczenia gorączki?

Anna, Anna, Anna!

— Kiedy wyjechała? Dokąd wyjechała?—zapytał machinalnie, rysując końcem laski koła i linie na piasku wąskiéj ścieżki.

Marynia spojrzała na niego. We wzroku jéj przebijała się badawczość.

— Wczoraj — odpowiedziała głośno, wyraźnie, akcentując każdą zgłoskę. Edmund nie mógł nie słyszéć jéj; pomimo to zapytał powtórnie:

— Kiedy wyjechała?

Marynia przerwała mu pytanie w połowie.

— Byłeś dla niéj niedobry — rzekła, nie patrząc niego, obrywając liść po liściu gałązkę brzozy, którą trzymała w ręku. Mówiła

szybko, niecierpliwie, nie ważąc słów, chcąc zrzucić jaknajprędzéj ciężar, który przygniatał jéj myśl.

— Byłeś dla niéj niedobry — powtórzyła. — Lekceważyłeś ją, odtrącałeś od siebie, gdy przyjechała pielęgnować cię w chorobie. Teraz—próżno czekam, abyś wspomniał o niéj. Los jéj zdaje się nie obchodzić ciebie zupełnie. Złamałeś jéj życie. Ona ciebie tylko kocha i nie pokocha już nigdy nikogo...

Schodzili z brzozowego wzgórza. Marynia wzięła pod rękę brata, który dziś był posłuszny, jak dziecko i ani jednym giestem, ani jedném spojrzeniem słów jéj nie przerywał.

— Jeszcze czas naprawić wszystko — mówiła w dalszym ciągu. — Nie bądź okrutny. Jeżeli śpisz jeszcze w odrętwieniu choroby, to zbudź się: ja cię budzę, ja proszę, abyś dziś, jutro napisał do niéj...

Edmund zdawał się słuchać siostry uważnie w pokorném skupieniu. Słowa jéj brzmiały w uszach jego wyraźnie: mógł każde z nich powtórzyć wiernie, nakształt automatu, utrwalającego sztucznie dźwięki. Nie zastanawiał się jednak nad treścią ich, nie szukał jéj; majaczyła ona w umyśle jego słabemi zaledwie, ciemnemi zarysami.

— Anna! — powtarzał bez końca poruszeniem warg, które drżały lekko.

Brzmienie tego słowa upajało go. Nigdy dotąd żaden wyraz nie wydawał mu się tak piękny, jak ten, który w téj chwili zalewał każdy zakątek jego mózgu, drgał w każdym nerwie czucia i słuchu:

Anna!...

Nie byłby umiał na razie określić dokładnie rysów jéj twarzy, nazwać koloru oczów, barwy włosów, pamiętał jednak, że miała usta, jak płatki róży, usta, które niegdyś całował.

Tego i następnego dnia Edmund był milczący, zamyślony, skupiony w sobie; nie wychodził prawie za próg swego pokoju. Siedząc przy oknie, patrzył na pola i łąki, które odbijały się we wzroku jego nakształt tła martwéj dekoracyi. Trzeciego dnia dopiéro przyszła mu ochota zejścia na taras ogrodu wieczorem, w porze, o któréj zwykle dotąd kładł się do łóżka, zmęczony całodzienném błądzeniem po zaułkach ogrodu i parku.

Noc wschodziła cicha, ciepła. Sierp księżyca połyskiwał z za grupy topoli. Słowik śpiewał w krzakach kwitnącego bzu. Wiosenne szmery drgały w przestrzeni, szeleszcząc srebrną rosą na liściach drzew i pąkach trawy, odzywając się rzechotaniem żab w stawie parku i cykaniem polnych koników na łąkach.

Marynia grała nokturn, ten sam, do którego on niegdyś napisał wiersze...

Okrążywszy kilkakrotnie główny taras ogrodu, Edmund wszedł na werendę i stanął w progu drzwi, prowadzących do mieszkania.

Słuchając nokturnu, którego dźwięki przez otwarte okna płynęły na pola i łąki, powtarzał w takt melodyi sonet o dziewczynie z białą różą na piersiach, o chłopcu, który zdjął białą różę, ucałował ją i ucałował jasne włosy, białe czoło dziewczyny... Róża nie zwiędła, czoło dziewczyny nie straciło blasku; usta jéj szepnęły: „tyś mój!“ cicho...

Pamiętał każdy wyraz wierszy, jak gdyby napisał je przed chwilą...

Rok temu wręczył je Annie. Rok temu, nie więcéj, jak rok, tu w ogrodzie, pod cieniem gałęzi głogowéj altany, powiedział jéj po raz pierwszy, że ją kocha i po raz pierwszy ucałował jéj usta.

Marynia grała. Sierp księżyca płynął wśród szafirów nieba i gwiazd migotliwych. Noc wiosenna drgała tajemniczym szeptem wschodzących oparów. Słowik śpiewał, ukryty na gałęzi kwitnącego bzu.

Anna, taka, jaką znał, jaką kochał, ukazała się w pamięci Edmunda wyraźnie. Byłby mógł narysować w téj chwili każdą niebieską żyłkę jéj skroni, każdą linię ust, rozchylonych do uśmiechu, każdy pukiel włosów, okalających czoło jéj i szyję.

Wyciągnął ręce w ciemną próżnię, jak gdyby dla pochwycenia cienia, który snuł się przed nim w zmroku nocy. Opuścił je jednak szybko: opuściwszy, przybrał wyraz twarzy człowieka, który doznał bólu rozczarowania.

Biała wstęga oparów opasała przestrzeń łąk drzemiących; rosa błyszczała na kępach traw i kiściach kwiatów; księżyc płynął coraz wyżéj i wyżéj, lśniąc srebrnym sierpem, przerzynając puchy mlecznych obłoków: w końcu skrył się znowu za grupę topoli, majaczących w oddaleniu. Długie cienie zaległy taras przed stopniami werendy. Rzachotanie żab przycichało; słowik sfrunął z gałęzi bzów i poleciał śpiewać do parku. Noc rzucała spokój i ciszę dokoła.

Edmund poruszył się; twarz jego zdradziła powzięte nagle postanowienie. Wolno, ostrożnie wszedł po stopniach schodów do swego pokoju na górę. Długo stał przy oknie, głowę zwiesiwszy na piersi, zapatrzony w cienie nocy, pełzające wzdłuż tarasu i klombów ogrodu. Nakoniec zapalił światło, usiadł przy biurku i drżącém na razie piórem zaczął list do Anny.

„Przeszłość odżyła we mnie — pisał. — Wracam do życia z tęsknotą w sercu za tobą. Marzę o twych ustach, które chcę całować, o twych białych miękkich rękach, których nie pieściłem tak dawno!...

„Jeżeli myśl, jak światło, głos, ciepło, promieniuje w przestrzeni, słyszysz mnie w téj chwili, czujesz szept mój i uścisk, którym przyciągam cię do siebie...

„Mówią, że choroba odradza: we mnie odrodziła ona miłość dla ciebie. Kocham cię podwójnie: raz, jako najdroższą moją, do któréj tęsknię tak bardzo, — drugi raz, jako serdeczną, dobrą, drogą przyjaciółką, która cierpiała przezemnie...

„Wybacz, co nie było moją winą; wybacz obojętność, którą dręczyłem cię tak długo!

„Siły moje wzmocnione; dawna energia budzi się we mnie; chcę pracować i śmieję się sam z siebie, że przez chwilę gardziłem tém, co dotąd było mi drogie.

„Los rozłączył nas, prowadząc i mnie i ciebie przez drogę krzyżową do szczęścia.

„Nie wątpię, że kochasz mnie, jak dawniéj. Nim list ten dojdzie rąk twoich, sam stanę przed tobą, wielki grzesznik, pewien przebaczenia. Nic i nigdy odtąd nie powinno nas rozdzielić: zawsze musimy być razem. Złota, jasna przyszłość, którą widzę przed nami, zaćmi wspomnienie bólu, jaki ci bez woli swojéj sprawiłem.“

Lampa gasła. Sierp księżyca i gwiazdy na niebie bladły. Szary świt zalewał pokój, w którym Edmund, siedząc przy biurku, pisał.

Coraz to nowe, coraz barwniejsze, skrzące miłością, rozżalone tęsknotą, słowa gorących uniesień oblegały mu umysł, cisnąc się pod pióro.

Notował każde z nich. Oczy jego błyszczały; usta drżały; twarz pałała. Zdawało mu się, że nie skończy listu nigdy...

Jutrzenka różowiła blaskiem widnokrąg na wschodzie: Edmund jeszcze pisał.

Wreszcie pióro samo wypadło ze zmęczonych fizycznym wysiłkiem palców jego. W ubraniu rzucił się na łóżko i przespał pół doby.

Gdy przed wieczorem obudził się, zdziwiło go, iż do okna jego pokoju zaglądały liście rozwiniętych kwiatów kasztana, że jasno, widno, ciepło w przestrzeni.

Śnił o chłodnym, mglistym, grudniowym zmierzchu, w którym wracał z fabryki i śpieszył się bardzo do domu, gdyż wiedział, iż zastanie tam Annę, która przyjechała odwiedzić Marynię.

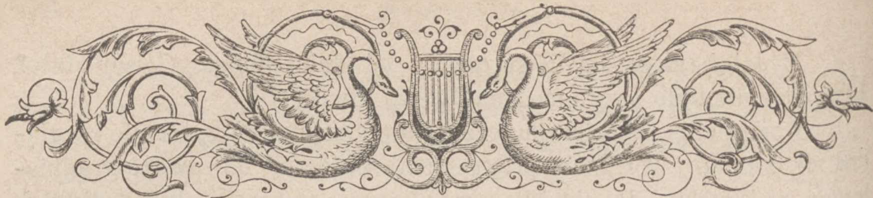
Tydzień czasu dzielił go wtedy od dnia ślubu. Co się stało? Dlaczego nie było przy nim Anny w téj chwili?

Rozespany, przecierając oczy, długi czas nieprzytomnie rozglądał się dokoła. Wreszcie przypomniał sobie, że od owego grudniowego zmierzchu do chwili teraźniejszéj upłynęło kilka długich miesięcy...

Wydały mu się one odległe, jak inne życie, jak sen niemowlęctwa, w którym rosną i rozwijają się utajone w organizmie siły.

Cecylia Walewska.





MŁODE LATA
ZYGMUNTA STAREGO.

(Dokończenie). *)

VII.

Na gładkiej powierzchni wód, które łódź żeglarza wstrzymawszy w biegu, kazały mu cierpliwie czekać sposobnej pory, aż ją pomyślne wiatry znów poniosą na pełne morze, nagle ukazują się coraz ruchliwsze fale, jakby zapowiedź zmiany ku lepszemu.

Około połowy czerwca 1501 roku nadchodzą do Budzynia głuche wiadomości, niepewne zrazu, o chorobie Olbrachta. Jakiś niepokój opanował królewicza. Brat w sile wieku, ma lat czterdzieści. Były listy od niego niedawno, na początku marca. W nich żadnej wzmianki o niezdrowiu króla. Zapewne więc pogłoski tylko, czcze, płonne, na wiatr puszczone.

Aliści nowa nadbiega wieść, która po mieście krąży, że król w Toruniu zaniemógł. Kupcy ją zapewne świeżo przynieśli. Jakżeż tu królewiczowi tak się obojętnie względem niej zachowywać?

Więc wyprawiono niebawem gońca, a było to już na schyłku czerwca w wilią św. Piotra i Pawła.

Niech co tchu pędzi do Krakowa, nie zwykłym sposobem z długiemi popasami, ale końmi najmowanemi od miasta do miasta. Borek

*) Ob. „Ateneum“ zesz. styczniowy r. b., str. 6.

tedy otrzymuje z polecenia królewicza 10 dukatów i śpiesznie wyrusza w podróż.

Nie zbyt długo każe istotnie na swój powrót czekać. W połowie drogi spotyka bowiem dążącego z przeciwnéj strony gońca z Krakowa, który właśnie niesie wiadomość pewną i dokładną. Obaj zawracają każdy w swoją stronę. Król Olbracht już nie żyje — 17 czerwca umarł paraliżem tknięty w Toruniu.

Ale nim jeszcze Borek zdążył przybyć do Budzynia, już 3 lipca nazajutrz po święcie Nawiedzenia P. Maryi zkądinąd, od pana Jana Polaka Karnkowskiego, oraz od pana Andrzeja Szamotulskiego, wojewody kaliskiego nadeszły do królewicza wiarogodne listy, donoszące o zaszłéj śmierci króla polskiego.

Zasmuciło się serce jego — ale rozjaśniły się widoki.

Chyba Zygmunta już teraz nie minie korona. Inni pozostali przy życiu bracia mają swe opatrzenia. Aleksander Litwę, Władysław dwa nawet królestwa: węgierskie i czeskie, Fryderyk jako prymas i arcybiskup gnieźnieński opływa w dostatkach.

Kupiono natychmiast librę papiéru „do pisania listów", posłano do apteki po inkaust i po wosk czerwony. Coby się w tych listach zawierać miało, nie wiadomo, ale domyśléć się łatwo. Było ich w każdym razie bardzo dużo, bo w tydzień późniéj już wypadło nowy zrobić zapas papieru. Kupiono całą ryzę znów „do pisania listów." Gdy się tak tedy rozpoczęła żywa wymiana myśli między Zygmuntem a bratem kardynałem w Krakowie, bratem Władysławem, królową matką, jako najbliższymi, nie zapomniano także jednocześnie o sprawach innéj natury. Wprzód tę ciekawą stronę odsłonić tu wypada.

Przy pierwszéj pewnéj wiadomości o śmierci brata Olbrachta, królewicz nazajutrz wysłuchał mszy św. za duszę zmarłego i natychmiast posłał 40 dukatów do klasztorów budzyńskich na trycezymy, poczém zaczęły się przygotowania do sprawienia „żałoby" sobie i całemu dworowi. Więc ustępują w skutku tego z księgi rachunkowéj wydatki na podróżnych fletnistów, gęślarzy, linoskoków, na grę w szachy, w kryzołki i t. d., jasne zaś barwy na szatach zamieniają się na czarne. Ustaje wesołość, a oznaki zewnętrzne smutku się mnożą. Wezwano do królewicza Zygmunta nadwornego krawca. Przedewszystkiem ogołocono ściany komnaty z dawnych opon różnobarwnych i zasłonięto je czarném suknem, łóżko pokryto czarnym atłasem, zamówiono czemprędzéj czarne jedwabne poszewki na poduszki. Szaty, między któremi znalazł się czarny aksamitny kabat, wystarczyły na razie. Tylko z powszami od korda, z którym królewicz się nie rad rozstawał, była biéda. Więc żeby je dostroić do ogólnego żałobnego tonu, kazano je

natychmiast poczernić. Nie kosztowało to więcéj jak dwa denary. Ale na tém bynajmniéj nie skończyły się wydatki. Trzeba było wszystko okryć kirem: konie, rydwany, uprząż, służbę, dworzan. Takie snadź były w wiekach średnich surowe wymagania zwyczaju i ceremoniału dworskiego. Więc rzemieńczyska przy siodłach czerniono, sprawiono uzdy i uzdzienice dla wszystkich koni „kolebczanych“ i dla inochodników, z czarnéj skóry, kolebki i rydwany pokryto żałobnemi poponami. Kupiono dziesięć postawów grubszego sukna czarnego, żeby ubrać w czarną barwę stajennych, stangredów, kotczych, giermków i dworzan. Nie zapomniał królewicz i o sobie. Trzy czepce kazano zabarwić. Uszyto dwie nowe koszule żałobne, do innych dodano czarne tkanki, uszyto cztery poszwiczki (poszewki), przygotowano żałobną długą szatę dzianą, do niéj czarne pasy ze srebrnem „zakowaniem.“ Zrobiono także „jezdziecką“ hazukę podbitą sobolami, czarny atłasowy kabat suknem podszyty. Jednem słowem królewicz z całym dworem wnet ukazał się w grubéj żałobie.

Nie zasnęły tymczasem zabiegi o koronę. Nadchodziły listy z Polski, które stawały się zachętą i pobudką. Odezwał się do Zygmunta wojewoda kaliski Andrzej Szamotulski — jeden z dawniejszych przyjaciół. Ale królewicz się nie ociągał. Jemu bodźca nie potrzeba było. Poruszono nawet głębsze sprężyny. Poważnym krokiem zagajono zabiegi, bo oto 3 lipca, więc natychmiast po otrzymaniu wiarogodnéj wiadomości o zgonie Olbrachta, król Władysław wyprawił śpiesznego gońca do Krakowa z listem do brata kardynała, kierującego sprawami publicznemi w bezkrólewiu. W liście tym z właściwą sobie serdecznością zalecał Zygmunta, który potrafił sobie zjednać powszechne w Węgrzech uznanie, co zdaniem jego, bez pożytku w przyszłości na nowém wysokiém stanowisku nie będzie. Po dość obojętnéj ztamtąd odpowiedzi wysłał nie gońca, ale posła w osobie Zygmunta Kurzbacha z nowém zaleceniem, do którego się przyłączył w osobném piśmie legat papieski czasowo bawiący w Węgrzech Piotr z Reggio oraz całe wyższe duchowieństwo węgierskie. Były to kroki nie bez znaczenia, po których można się było spodziewać niejakiego skutku. Głos dostojników kościoła powinien był zaważyć na chwiejącéj się szali postanowień, gdyby rozstrzygnienie sprawy obioru króla spoczywało w rękach brata-kardynała, który, zresztą w uprzejméj swéj odpowiedzi piśmiennéj nie omieszkał zapewnić o swojém życzliwém dla Zygmunta usposobieniu [1]). Ale elekcya zależała od

---

[1]) Cały szereg ciekawych w téj sprawie listów przytacza w streszczeniu lub tylko z podaniem nagłówka Ł. Gołębiowski (Dzieje Polski za panowania Kaźmirza,

panów i szlachty, którzy się dopiéro w połowie września mieli zebrać na sejm obiorczy do Piotrkowa. Dawni poplecznicy, co poprzednio popierali Zygmunta, jeszcze w 1492 roku, mieli teraz sposobność wystąpienia z lepszemi widokami swych zabiegów.

Królewicz więc z rozpiętemi żaglami nadziei wypłynął na szerokie wody.

Ale z nurtów morza wnet zaczęły się wynurzać groźne z razu nieprzewidziane przeszkody.

W końcu lipca przybył z Polski do Budzynia wojewoda Piotr Myszkowski w imieniu panów i rycerstwa wielkopolskiego. Powitał go królewicz mile, zaprosił do siebie na obiad i był zdziwiony niemało, kiedy od niego usłyszał, że nietylko brat Aleksader, w. książe litewski czyni zabiegi, ale że w pewnych kołach, od których przybywa, stanowczy powzięto zamiar obrania na tron opróżniony — innego brata — brata Władysława...

Wiadomość taka mogła istotnie wprawić Zygmunta w niemałe zakłopotanie. Stosunek, jaki go wiązał z najstarszym bratem, wyłączał wszelkie z nim współzawodnictwo. Tylko pytanie, jak się sam Władysław zachowa względem podobnéj myśli? Wszak niedawno, jak Zygmunta gorąco popierał sam do korony polskiéj. Czyżby chciał i trzecią jeszcze na swą głowę włożyć? Ależ to chyba nieprawdopodobne.

Więc gdy takie i tym podobne wątpliwości zaczęły jak nocna zmora gnębić umysł królewicza, postanowiono czémprędzéj porozumieć się z Władysławem, który bawił, jak się zdaje, w tym czasie, w Tolnie. Prawdopodobnie Myszkowski sam podążył do króla, aby go zjednać dla myśli, któréj był orędownikiem. Zygmunt zaś pchnął naprzód forytarza, do zamówienia popasów i noclegów. Zalecono mu pośpiech. Królewicz widocznie pragnął jaknajprędzéj wyrozumieć osobiście brata Władysława.

Atoli gorączkowy zrazu pośpiech nagle ustał i zamienił się na ruch powolny i ociężały. Przygotowania do podróży wprawdzie nie

Jana Olbrachta i Alexandra, Warsz. 1848 str. 454 i n.). Listy te znajdowały się swojego czasu w bibliotece w Nieświeżu. Żałować wielce wypada, że te cenne pomniki dziejowe nie są dotychczas jeszcze wydane. Szkoda także, że Gołębiowski przytaczając listy Fryderyka kardynała z 1501 roku, nie podaje przy nich dokładnéj daty — dnia i miesiąca, przez co utrudnione jest ścisłe odtworzenie przebiegu pomienionych dyplomatycznych rokowań. Prawdopodobnie do pierwszego okresu tych rokowań przypadającego na miesiąc lipiec należy odnieść list Fryderyka, na który powołuje się Gołębiowski: List kardynała do Zygmunta brata: przypomina swą przyjaźń, razem spędzone lata; co tylko będzie mógł, postara się zrobić.

ustały, ale sama podróż przyszła do skutku zaledwie po upływie trzech tygodni.

Na kilka dni przed swym wyjazdem do Tolny, który nastąpił w dniu 23 sierpnia, królewicz wysłał „na elekcyą“ Krzysztofa Szydłowieckiego, przydawszy mu do boku dworzanina — Mikołaja Ocieskiego. Zdaje się, że krok ten był już wynikiem porozumienia się Zygmunta z Władysławem, który wbrew oczekiwaniu przyjął ofiarowaną sobie kandydaturę i widocznie uzyskał on młodszego brata zapewnienie, że współzawodniczyć z nim nie będzie.

Ta chwila decyzyi Zygmunta należy niewątpliwie do najciekawszych momentów w jego życiu. Niestety, z milczących kronik tamtoczesnych nic się wydobyć nie da, coby ją choć bladem światłem oświeciło. Z księgi wydatków zdołaliśmy tylko ustalić takie zdarzenia, jak przyjazd Myszkowskiego do Budzynia i bytność u królewicza w dniu pierwszym sierpnia, zamiar wyjazdu Zygmunta do Tolny i odroczenie na pewien czas podróży, przyjęcie wreszcie przez Władysława kandydatury. O te stałe, niezachwiane i wiarogodne wiadomości zaczepić się może pajęcza tkanina domysłów.

Myśl starania się o tron polski, z którą przybył Myszkowski i podsunął ją królowi może zrazu piśmiennie a wnet i osobiście, pociągała Władysława urokiem nieprzezwyciężonym. O tém w lot z Tolny doniesiono Zygmuntowi, — jak należy przypuszczać, i to spowodowało nagłe wstrzymanie wyjazdu. Władysława wielką wrażliwość i gorączkową pohopność zrozumiéć nie trudno w danym razie. — Trzy wielkie królestwa — pod jedném berłem! A toć się na miazgę zdruzgocze strasznego Turczyna piekielną siłę. Tak w Polsce między garstką panów i szlachty błysnęła podobna myśl, któréj orędownikiem na Węgrzech w obec Władysława stał się Myszkowski. Nieprzepartym czarem wabiła ona ku sobie jedną i drugą stronę, było w niéj istotnie coś śmiałego, co porywało wyobraźnią rozbujałych umysłów. — Ale ciekawszém nad to byłoby się dowiedzieć, jak się zachował w pierwszych chwilach takiego nieprzewidzianego zwrotu Zygmunt, — wejrzéć w głębią jego duszy, jak upokorzenie, zadraśnięta miłość własna, zawiedziona nadzieja wstrząsały całą jego istotą, jak synowskie do Władysława przywiązanie, szczere braterskie uczucie walczyło z ambicyą. Z przed oczu badacza uchyla się jednak to dramatyczne domowe zajście, ginąc zupełnie w nieprzeniknionéj wzrokiem tajemnicy. To tylko wiadomo, czém się ta niema walka skończyła. Zygmunt pojechał do Tolny i tam u brata w serdecznéj z nim zażyłości prawie całe dwa miesiące spędził, późną jesienią dopiéro wróciwszy do Budzynia. Inaczéj postąpić nie mógł przy swém rozważném usposobieniu

i z tém swojém głębokiém uczuciem uległości i wdzięczności — dla najlepszego ze swych braci [1]).

Wiadomo, jak prędko rozwiały się tęczowe nadzieje Władysława oraz tych, którzy go do tronu popierali. Aleksander stał się odrazu groźnym współzawodnikiem nietyle przez swą własną osobę, ile przez myśl polityczną, którą zawierała w sobie jego elekcya, co miała znów zbliżyć do siebie rozszczepione dwie części. Litewscy panowie usilne czynili zabiegi o to, aby ku wspólnemu pożytkowi, a może nawet więcéj ku wygodzie własnego księstwa, przez obiór Aleksandra znieść dziesięcioletnie niemal rozdwojenie. Zygmunta poplecznicy, bo tych pomimo kandydatury Władysława nie brakło bynajmniéj w gronie senatorów polskich, było ich może nawet znacznie więcéj, — ustąpili w obec nalegań, próśb litewskich możnowładców, w obec wreszcie głosu rozumnéj, trzeźwéj i praktycznéj polityki. W początkach października 1501 roku Aleksander wziął górę na sejmie obiorczym w Piotrkowie nad obu swymi braćmi, którzy w tym samym czasie w serdecznéj między sobą zgodzie odbywali w Tolnie narady nad tém, coby daléj począć należało.

Po otrzymaniu wiarogodnéj wiadomości o dokonanym już obiorze [2]), uchwalono, że Zygmunt uda się osobiście do Polski i upomni się u nowego króla polskiego i brata Władysława o swoje prawa do ojcowizny. Porzuciwszy więc wnet Tolnę, królewicz około 20 października stanął w Budzyniu. Rozpoczęto niebawem przygotowania do podróży, które atoli wlokły się bardzo leniwie. Ociągano się z wyjazdem nie dlatego, żeby brakło było pieniędzy, — Władysław bowiem kazał bratu na podróż do Krakowa wyliczyć 1000 dukatów, — nie dlatego iżby przeszkadzało niedomaganie chwilowe królewicza, które prędko minęło, ale z téj głównie, o ile się zdaje przyczyny, którą zrozumiéć i usprawiedliwić nie trudno — żeby nie przybyć na samą uroczy-

---

[1]) W listach z późniejszego czasu (Gołęb. 464.) król Władysław, stwierdzając okoliczność, że z początku polecał Zygmynta, nadmienia, iż nié wie, dlaczego brat odstąpił od zamiaru ubiegania się o koronę polską. Ponieważ Władysław sam rozpoczął zabiegi o tron polski, zachęcony przez pewną część wyższéj szlachty, nie uważał więc za stosowne usprawiedliwiać swego postąpienia względem brata Zygmunta i po prostu zbył tę sprawę ogólnikiem.

[2]) Dwa listy kardynała Fryderyka do króla węg. Władysława oraz do legata papieskiego w Węgrzech przytacza Gołębiowski (str. 454), w których kardynał pisze: „usiłowania moje były za wyborem króla węgierskiego, lecz żądano obecnego (Aleksandra) pana, a ściślejsze spojenie Litwy z Koroną przeciągnęło na drugą stronę.“

stość koronacyjną, mającą się odbyć w niedługim ale niezupełnie ściśle oznaczonym czasie.

Można więc było dlatego cierpliwie czekać, aż stelmach wykończy zamówione u niego wozy, aż Chlewicki sprowadzi z Fejerwaru (z Białogrodu król. = Albo Regalis) 14 koni zwanych woźnikami, potrzebnych do licznego taboru, aż krawcy poszyją wory, kreptuchy i pokrowce, aż stolarz zrobi skrzynie do nowych szat żałobnych, a złotnik Jerzy powiększy o kilka ogniw ze czterystu dukatów zawiesisty łańcuch, zdobiący pierś królewicza. Najpilniejszą rzecz zaraz załatwiono: do Krakowa wyruszył goniec, żeby dla królewicza zamówić i przysposobić mieszkanie. Na kilka dni przed oznaczonym terminem wyjazdu, który nastąpił w wilią św. Andrzeja, 29 listopada, poczyniono jeszcze różne zakupy na daleką podróż, zaopatrzono się w żywność, wysłano forytarza dla przygotowania noclegów i popasów, zakupienia owsa, siana i słomy dla koni. Poukładano wszystko starannie na wozy: skrzynie, futerały, puzdra, pokryte oponami, złożono wory skórzane a w nich specyałów i przypraw kilka cetnarów za 132 dukaty, w téj liczbie 33 funty cukru wyborowego czyli „fainu“, uruchomiono całą służbę i wielki liczny tabor ruszył naprzód. Zdaje się, że zabrano wszystko, bo królewicz widocznie nie miał zamiaru wracać do Budzynia. Po trzyletnim w Węgrzech pobycie porzucał więc już na zawsze zaciszne miejsce swojego dobrowolnego wygnania. Wracał do kraju nie jako królewicz z gołym tytułem, ale jako książę głogowski i opawski.

Władysław czule pożegnał brata. Na rozstaniu złożył mu w upominku kilka pięknych darów. Ruszono w drogę w kierunku północno-zachodnim przez Nitrę ku Tęczynowi. Późną jesienną porą odbywano podróż zwolna. Zresztą Zygmuntowi nie było spieszno. Na drugi nocleg zatrzymano się w Granie czyli w Strigonium, w głównéj siedzibie kardynała prymasa. Jak tam nie odwiedzić księdza arcybiskupa, Tomasza Bakacs, wielkiego dostojnika, z którym się tylekroć na dworze spotykało, jak nie zajrzéć do staréj katedry, zwłaszcza że przeprawienie się całego taboru wozów i koni przez Dunaj na lewą jego stronę wymagać będzie sporo czasu. W gościnę do kardynała zajechał tedy Zygmunt — w dzień św. Andrzeja. Witają go na wstępie śpiewacy i fletniści księdza arcybiskupa, przychodzą księża prałaci, sam prymas prosi do siebie na obiad, podejmując wspaniale a wreszcie w upominku daje najlepszego ze swéj stajni siwego rumaka.

Nazajutrz pierwszego grudnia, gdy się już poprzednio tabor w całym porządku przeprawił, przedostał się i Zygmunt ze swym dwo-

rem na drugi brzeg rzeki i przez miasteczko Rakat, wieś Czusz i Many dotarli wszyscy do Nitry na dzień św. Barbary. Droga była dość uciążliwa. Przewodnicy, miejscowi wieśniacy, prowadzili naprzód podróżników. Część taboru pozostała w tyle. U jednego wozu złamało się koło. W Nitrze jednak wszyscy się znów szczęśliwie zebrali i ruszyli razem przez wieś Banowce do Tręczyna, leżącego w dolinie rzeki Wagi.

Tu zarządzono dwudniowe wytchnienie. Właśnie nadchodziło święto Matki Boskiéj 8 grudnia. Z powodu ciężkiéj drogi łamały się koła i osie u wozów. Wypadło na nowo podkuć wszystkie konie. — Zresztą jak tu nie skorzystać z tręczyńskich cieplic. Trzeba użyć kąpieli, po kąpieli wypocząć. Więc puszczono się téż daléj dopiéro we czwartek 9 grudnia.

Ale droga coraz gorsza. Około wsi Bronowa część wozów, które wiozły księdza kapelana i sprzęty jego ugrzęzła w bagnistym gruncie, rozmoczonym przez wylewy górskich potoków. Inne wozy znów w lesie utknęły. Wcześnie zapadł zmrok grudniowy. Nim sprowadzono wieśniaków okolicznych do pomocy, zaszła i noc ciemna. Straż przy wozach urządzono. Lżejsze rydwany do Bronowa i wreszcie do miasta Kłobuk a późniéj przez Seczyn już do granicy morawskiéj. W Międzyrzecu 12 grudnia nocleg i wypoczynek.

Desz pada dzień cały.

Wieczorem królewicz szuka rozrywki w kartach. Do gry zasiadają Krzysztof Szydłowiecki i brat jego Mikołaj, od niedawna przyjęty w poczet dworzan, grają i inni, którym Zygmunt wina podawać każe...

Następnie miasteczko Ostrawa, Freystad i wkrótce śląska ziemia, miasteczko Pszczyna a wreszcie 15 grudnia Oświęcim i tuż zaraz — jeszcze dzień podróży — jeden jeszcze nocleg w stodole w Kaszowie, a ukażą się przy wjeździe od strony Bielan i Zwierzyńca, wieżyce maryackiego kościoła w Krakowie.

18 grudnia w sobotę po trzech niemal tygodniach ciękiéj drogi Zygmunt stanął u zamierzonego kresu.

VIII.

Uroczystość koronacyjna, która się 12 grudnia odbyła, już minęła. Zygmunt prawie w tydzień po niéj przybył. Spóźnienie było oczywiście umyślne. Przybył nie po to do Krakowa, żeby w niéj uczestniczyć lub hołdy swe składać koronowanemu bratu, ale raczéj żeby u króla sejmującego wraz z stanami upomnieć się o swoje prawa.

Jak wyrzut sumienia — ukazał się on przed obliczem Aleksandra, z którym się już od lat kilku nie widział, a z którym dawniéj miał nieporozumienie co do ojcowizny litewskiéj. I teraz stawał przed nim, nie odwołując się do jego łaski, nie kołacząc do jego miłosierdzia, ale przypominając swe prawa do spadku po ojcu i do „opatrzenia", które go wbrew zobowiązaniu nie dochodziło. Tém śmieléj mógł występować obecnie ze swojemi roszczeniami, tém silniéj mógł nalegać, ile że nie sam się tylko zgłaszał do ojcowizny, ale i Władysław się odezwał.

Wraz z Zygmuntem przybyło do Krakowa poselstwo króla węgierskiego, które miało poprzéć żądania obu braci w skutku zaszłéj zmiany stosunków politycznych w rodzinie Jagielonów. Nie protestowano przeciwko prawowitéj elekcyi, uznawano fakt obrania Aleksandra za spełniony, choć król węgierski napomknąć kazał o tém, że pominięto jego prawa pierwszeństwa, ale podnoszono głównie tę okoliczność, iż Korona przez powołanie Aleksandra na tron polski, nadwerężyła stosunek Litwy do Polski bez jego oraz Zygmunta zezwolenia i że obaj bracia nie zrzekają się i nie zrzekli swych praw do dziedzicznego państwa, owszem dopominają się należnego im działu [1]).

Z Zygmuntem, bawiącym w Krakowie, łatwiejsze było porozumienie. Można mu było ustnie wyjaśnić i wytłomaczyć, jak dwa główne punkta poselstwa, tyczące się zarówno Korony jak i ojcowizny litewskiéj, opierały się na nietrafném pojmowaniu stosunków politycznych obu krajów. Władysławowi należało piśmiennie przesłać odpowiedź, zbijając bezzasadność jego sposobu widzenia.

Umyślnie w tym celu wyprawiono poselstwo do Węgier w imieniu króla i senatu polskiego, zakłopotanych nie mało takiemi uroszczeniami, w których przebijało się jakby świadome zacieranie różnicy między publiczném a prywatném dziedzictwem — co do Litwy, — tudzież błędne pojmowanie układów obustronnych Korony i księstwa, już dawniéj w 1413 i w 1499 roku zawartych [2]). Dyplomatyczne rokowania z Władysławem, których dość długa historya pominięta tu być może, zdołały wreszcie usunąć z drogi kamień obrazy.

Król węgierski nie popierał zbyt gorąco swoich mniemanych praw do ojcowizny, dawszy poselstwu do zrozumienia, że chodziło mu

---

[1]) Zob. Gołębiowski str. 463. Przemówienie poselstwa węgierskiego do senatu podane pod rokiem 1502 bez daty, odnosi się oczywiście do pierwszych dni stycznia.

[2]) Poselstwo sprawowali w imieniu senatu polskiego arcybiskup lwowski Róża i wojewoda sandomirski Jan Tarnowski.

głównie o młodszego brata, który słusznie pokrzywdzonym się czuje, nie otrzymując nawet zapewnionego mu opatrzenia pieniężnego.

[1]

Aleksander chętnie się zgadzał zadość uczynić wymaganiom jego wedle sił i możności. Ale zdziwiony był niemało, kiedy na zapytanie, czémby mógł bratu Zygmuntowi dogodzić, otrzymał odpowiedź od niego, że w zamian za udział lub jakie księstwo w Litwie, pragnąłby zostać namiestnikiem w Prusiech. Nie mogąc sam téj sprawy tak ważnéj rozstrzygnąć, król obiecał na najbliższym przedstawić ją sejmie. Czy szczerze czy nieszczerze łudził nadzieją wyjednania dla Zygmunta takiego w Polsce stanowiska, tego niewiadomo. Są przecież ślady jakichś zabiegów, które sam królewicz może czynił, posyłając z listami do Pruss po dwakroć swojego dworzanina Chocimowskiego (w marcu i w maju 1502 r.) właśnie podczas pobytu w Krakowie. Ale ważniejszą od tych śmiałych a wątpliwéj przyszłości powierzonych pomysłów, była sprawa urządzenia stosunku pieniężnego między braćmi. Aleksander oświadczał gotowość zapewnienia Zygmuntowi należnego opatrzenia albo wynagrodzenia za niedoszłe dziedzictwo; lubo więcéj obiecywał aniżeli uczynić mógł w rzeczywistości.

Zygmunt, który i tym razem wykazał niemałą dbałość o uregulowanie swoich stosunków majątkowych, przekonawszy dowodnie Aleksandra, że mu się należy z lat przeszłych w skutku niedopełnionych zobowiązań braci kilkadziesiąt tysięcy dukatów, domagał się całkowitéj ich wypłaty. A ponieważ skrzynie i worki królewskie były puste, bo na koronacyą nawet zabrakło i król się na nią zapożyczył, więc gotowizny nie można było się spodziewać. Kwitkami chciano zbyć Zygmunta, ale Zygmunt doświadczeniem przykrém nauczony, wiedział, co o ich wartości trzymać trzeba. Więc rozpoczęto targi i układy, które ciągnęły się kilka tygodni, nim wreszcie nastąpiło porozumienie. Zdaje się, że zaledwie w końcu lutego osiągnięto pewien sposób zadośćuczynienia Zygmuntowi, właściwie zaś dopiéro na schyłku marca i na początku kwietnia piśmienny układ zawarli między sobą bracia. Królewicz zredukował swoje pretensye do 30,000 dukatów, z których połowę miano mu wypłacić gotowizną, drugą zaś połowę zapisać na do-

[1] Podpis króla Władysława z r. 1504, mało u nas znany, dla jego rzadkości tu się podaje.

brach królewskich i takowe pod pewnemi warunkami oddać do użytkowania. Ponieważ na razie pieniędzy w zapasie zupełnie nie było, przeto król był zniewolony wystawić Zygmuntowi oblig piśmienny, którym się zobowiązywał wypłacić 7,500 dukatów na Zielone Świątki następnego 1503 r., a drugą taką samą sumę również na Zielone Świątki 1504 roku. Jakoż pod dniem 7 kwietnia wyszło z kancelaryi królewskiéj odpowiednie piśmienne zobowiązanie króla Aleksandra [1]).

Z zapisaniem drugiéj połowy należności, która wynosiła 15,000 dukatów i zabezpieczeniem jéj na zastawie dóbr królewskich, było daleko trudniéj. Wolnych dóbr i starostw nieobciążonych długami, któremiby swobodnie było można rozporządzać, nie posiadał prawie wcale ówczesny skarb koronny. A inaczéj, w innym kształcie Zygmunt nie chciał się dać zaspokoić, wiedząc, że jedynie przez posiadanie dóbr zastawnych zapewni sobie choćby tylko od 15 tysięcy dukatów stały, mniéj lub więcéj określony dochód, tudzież ubezpieczy skapitalizowaną swą należność. Za pomocą więc skupu wierzycieli dawniejszych, którym zapisane były starostwa, postanowiono rzecz w tym sposobie załatwić. Upatrzono trzy dzierżawy królewskie: biecką, kazimierską i olsztyńską. Starostwo bieckie z zamkiem grodowym, z przyległemi wsiami oraz z dochodami królewskiemi trzymał w zastawie tysiąca złotych kasztelan Jakób Sieklicki. Zamek Kazimierz nad Wisłą z Wąwolnicą i innemi miał w swym ręku Mikołaj Wrzodem zwany z Kurozwęk, wojewoda lubelski w sumie 3 tysięcy złp., a Olsztyn dzierżyła w posiadaniu za należność 4 tysięcy zł. Katarzyna z Pok wdowa po Janie Tyrnce z Raciborzan, hetmanie niedawno zmarłym. Ogólna suma obciążająca pomienione trzy starostwa wynosiła 8 tysięcy dukatów, które w gotowiźnie wypłacone być musiały zastawnikom przed wprowadzeniem w ich posiadanie nowego wierzyciela. Aleksander, któremu brakło na najistotniejsze potrzeby dworu, uczynić tego nie mógł. Zygmunt więc wziął na siebie obowiązek spłacenia wierzytelności. Ponieważ prawdopodobnie sam takich znacznych zapasów gotówki nie miał w swych skrzyniach, więc użył w sprawie skupu pośrednictwa bankiera krakowskiego Bonara, z którym oddawna pozostawał w stosunkach pieniężnych. Księga wydatków zaznacza bowiem, że pod dniem 28 marca 3 tysiące dukatów, złożonych przez tegoż Bonara, doręczono wojewodzie lubelskiemu za wykupienie starostwa kazimierskiego, a pod dniem 2 kwietnia uiszczono Sieklickiemu za starostwo bieckie tysiąc złotych, które z tego samego źródła otrzymano. Co do spłacenia wdowy po Tyrnce, która Olsztyn dzierżyła,

---

[1]) Metr. kor. 17 f. 333. „Obligatio RMtis.“

brak nam podobnéj jak powyższe, wiarogodnéj wiadomości. Nie ulega wszakże żadnemu wątpieniu, że w takiż sposób i jéj wierzytelność jednocześnie spłaconą była.

Ponieważ należność Zygmunta, przyznana mu z obliczenia się z bratem, wynosiła 15 tysięcy dukatów, zabezpieczonych na starostwach, spłacone zaś wierzytelności czyniły 8 tysięcy, ogółem więc Aleksander 23 tysiące dukatów zapewnił na Bieczu, Kazimierzu i Olsztynie, rozkładając tę sumę na każdém oddzielnie w stosunku do ciągnionych z nich dochodów. W skutku takiéj umowy król właściwie nowemi nie był obciążony ciężarami. Tylko Zygmunt, który o ile się zdaje, nie miał dostatecznéj gotówki, ponosić musiał koszta téj operacyi finansowéj, jakiéj dokonał Bonar, oczywiście nie bezinteresownie, ale za umówioną prowizyę.

Akty piśmienne co do każdego starostwa osobne, wydane z kancelaryi koronnéj pod dn. 31 marca i 7 kwietnia, orkeślając zarówno dawne sumy, które spłacić należało, jak i nowe większe, które na ich miejsce wchodziły, obejmowały w sobie zarazem warunki, pod jakiemi starostwa jako zamkowe mogły być przez Zygmunta posiadane [1]). Że w nich między innemi zastrzegał sobie Aleksander, żeby starostowie mianowani z ramienia nowego zastawnika byli krajowcami osiadłemi, którzyby przysięgę wierności złożyli królowi polskiemu, to wymaganie takie, jako odpowiadające ogólnie stosowanym przepisom prawa publicznego, nie zasługuje tu na szczególną uwagę. Że pozwalał za uprzednią swą zgodą wykupywać zastawne wsi i dobra królewskie, do zamku należące, sąsiednie, przyległe, dołączać je do całości i władać niemi prawem zastawném, — to również zgadzało się z powszechnym zwyczajem. Ale inne ciekawsze, bo niezwykłe i rzadko spotykane, mieszczą się warunki, które określają prawa do spadku obu umawiających się stron a które jako znamionujące wzajemny stosunek braci i ówczesne położenie ogólne, pominiętemi tu być nie mogą.

„Uchylmy wszelką wątpliwość za zgodą królewicza Zygmunta,“— tak akt opiewa, co do spadkobierców, widocznie mając na względzie potomstwo z Katarzyny Telniczanki. Przez spadkobierców, są słowa układu piśmiennego, chcemy rozumieć tylko dzieci płci obojga prawe. Gdyby królewicz bez nich zeszedł z tego świata, wtedy posiadane dobra wraz ze sumami pieniężnemi przejść mają na prawego syna królewskiego (Aleksander bezdzietny nie wyrzekał się więc nadziei doczekania się potomstwa), jedynie zaś tego, któryby po zgonie króla bezpośrednio drogą obioru dostał się na tron polski. Drogą testamen-

[1]) Metr. 17 f. 322. „Contractus cum illustrissimo Sigismundo duce.“

tu jednak królewiczowi Zygmuntowi przysługiwało prawo rozporządzenia na cele pobożne, lub jakie inne, sumą nie większą jak pięć tysięcy dukatów nie na każdém ze starostw, ale na wszystkich trzech łącznie i razem, lub na jedném z nich w powyższéj wysokości osobno, pozostałe zaś z zapisanych wierzytelności przejdą na króla lub jego syna obranego królem polskim. Testament, byle był rzetelny i prawny, mieszczący w sobie postanowienia co do owych 5 tysięcy dukatów, król z góry zatwierdza, daje nadto zapewnienie egzekutorom i legataryuszom, że z posiadania, oraz i z dochodów w stosunku owéj sumy nie będą wyzuci, dopóki przez niego lub syna, obranego królem, spłaceni nie będą.

Z drugiéj zaś strony, w razie bezpotomnéj śmierci króla, albo pozostawieniu syna, którvby tronu nie dostąpił, królewicz zachowuje prawo rozporządzenia zapisanemi mu sumami według swego uznania, z zastrzeżeniem jednak, że osoba z zapisu darowizny korzystać mająca, powinna z rodu swego, pochodzenia, zamieszkania, oraz mowy swojéj być Polakiem lub Polką.

Chyba że Telniczankę miano tu na widoku?

Wszelkie dobra, zarówno świeckie jak już obecnie i królewskie, gdy ponosić winny, według prawa pospolitego, ciężar ruszenia wojennego, więc i zapisane królewiczowi starostwa podlegałyby temuż obowiązkowi. Jednakże, takie są słowa końcowe układu, mając na względzie osobę księcia Zygmunta, powodowani miłością braterską, postanowiliśmy zmienić ów statut w tym sposobie, że jakkolwiek królewicz nam oraz Rzeczypospolitéj, w któréj się urodził i wychował, winien wszelką zachować przychylność i przyjaźń, jednakże szczególniéj dla posiadanych w Koronie starostw królewskich, zobowiązany będzie w razie wojny wspierać nas, oraz następców swojemi radami, tudzież kierować posiłkami królów i innych książąt przeznaczonemi na pomoc Polski. Wszakże potomstwo prawe królewicza, jeżeli wejdzie w posiadanie starostw, ma na równi z innemi ziemianami podlegać osobiście obowiązkom wojennéj służby pod karami w statutach i przywilejach Królestwa opisanemi.

Ciekawe szczegóły wynurzają się z tego układu i dają możność obznajmienia się, jak to w onym czasie w przyszłość spoglądano. Aleksander bezdzietny żywi nadzieję doczekania się syna i w danym razie umieszczenia go na tronie polskim. Ta otucha dobra, to przewidywanie, ta troskliwość ojcowska dziwić nie mogą, jako z naturą rzeczy zgodne. Lubo zaś warunki w akcie podane nie przesądzały jeszcze przyszłości, Zygmunt atoli w danéj chwili liczyć się musiał ze stanem i położeniem, w jakiém się znajdował, a które bądź co bądź

jaśniejszych przed nim nie otwierało widoków. Zdawało się, że siłą okoliczności będzie skazany na jałowy żywot w dwóch małych księstwach śląskich i zarządzanie kilkoma starostwami w Koronie. O téj przyszłości, która nie zapowiadała się bynajmniéj świetnie i różowo, pamiętał téż Zygmunt pilnie i troskliwie, awykupując starostwa, spłacając wierzycieli, zdaje się, że miał ją głównie na względzie. Zaciągając prawdopodobnie dług u Bonara, liczył na to, że z należnéj sobie od króla za rok gotowizny, pokryje go zupełnie i powoli urządzi gospodarstwo w starostwach tak, iżby go pewniéj zyski z nich dochodziły.

Niebawem téż uwydatnił się ten przymiot gospodarności Zygmunta. Jeszcze przed podpisaniem umowy i zawarciem układu z królem, był wysłany Mikołaj Szydłowiecki (dn. 3 marca) do Olsztyna dla sporządzenia opisu stanu i położenia, w jakiém się starostwo znajdowało. Może właśnie wtedy załatwiono stosunek pieniężny z zastawniczką, wdową po Tyrnce. W jakie trzy tygodnie potém temuż Szydłowieckiemu wyliczono ze szkatuły książęcéj 30 dukatów na naprawę pieców (wapiennych) w Olsztynie. Po zawarciu z królem umowy wyprawiono Leszczyńskiego do Biecza dla ustanowienia tam starosty, z podobném zleceniem pojechał do Kazimierza Chlewicki, który sam czasowo pełnił tamże obowiązki starosty. Zdaje się, że powołany do dworu Zygmunta w pierwszych tygodniach pobytu w Krakowie ów słynny budowniczy włoski, Franciszek delle Lore, kierował naprawą pieców olsztyńskich według swego pomysłu i może był używany do podawania projektów nowych budowli. Jeżeli ten ciekawy szczegół odnieść należy do rysu znamiennego gospodarności Zygmunta, to i inny ściągający się do religijnego nastroju królewicza pominięty być nie może. Jednocześnie przy wprowadzeniu w posiadanie nowego zastawnika, złożono w jego imieniu w ofierze umyślnie zamówiony w Krakowie u złotnika Marcina kielich złoty do kościoła olsztyńskiego, a do Wąwolnicy posłano komżę haftowaną wartości 4 dukatów dla księdza proboszcza, zakonnika mistrza Jana, z klasztoru XX. Benedyktynów.

IX.

Jakkolwiek układy między braćmi ciągnęły się długo, do czego przyczyniały się niewątpliwie poselstwa, wyprawiane z konieczności do nieobecnego, bawiącego na Węgrzech króla Władysława, między Aleksandrem a Zygmuntem panowała jednak mniéj lub więcéj szczera braterska zgoda. Mogła do jéj podtrzymania przyczyniać się kró-

lowa-matka, oraz brat-kardynał. Raz nawet Zygmunt zaprosił na wystawny obiad do siebie króla Aleksandra, brata Fryderyka i innych wielkich dostojników. Było to połączone z niemałym kłopotem, ale właśnie w tém możnaby upatrywać dowód choćby pozornéj harmonii między królem i młodszym bratem, księciem głogowskim.

Zygmunt prowadził wprawdzie swój własny dwór, odrębnie i niezależnie, ale nie mieszkał na zamku krakowskim, nie miał u siebie tych urządzeń wygodnych, do których zaprowadzenia zachęca stały w miejscu pobyt taki, jak w Budzyniu. Stanął był w domu prywatnym mieszczanina acz bogatego, ale nie zasobnego w sprzęt domowy do tyla, żeby można było przyjmować króla, kardynała i cały poczet panów. Zachodów wymagało więc takie przyjęcie nie mało. Zamówiono na prędce u stolarza duży stół do jadalnéj komnaty, aby się przy nim wszyscy pomieścić mogli. Stół przyniesiono, ale okazało się, że jest za mały. Nuż nowy robić, nuż zawieszać opony na ścianach, „poławiem" okrywać ławy, szyć serwety, odbijać skrzynie i tyle innych przysposobień. Trzy wielkie marcypany zamówiono u aptekarza. Kilka beczek wina zakupiono. Wyśmienity obiad, gdzie takie ukazały się przysmaki i łakocie, jak owe aptekarskie marcypany, odbył się w niedzielę karnawałową 16 stycznia. Stary lutnista Marek grał na klawicymbałach i rozweselał gości, a współzawodniczył z nim niemniéj biegły w swéj sztuce i ulubiony wtedy Wirowski. Musiał to być niezwykle świetny bankiet, taki co stanowi epokę w życiu codziennem, potoczném, przynajmniéj w głowie bakałarza, który, zapisując wydatki w księdze rachunkowéj, w kilka tygodni późniéj jeszcze kilkakrotnie odwołuje się do tego wypadku.

Warto jednak nie poprzestać na pobieżnéj wzmiance o tym jednym wielkim obiedzie. Możeby nie wadziło zstąpić teraz z wyżyn spraw i stosunków dyplomatyczno-politycznych na poziomy powszedniego żywota, żeby poznać tło miejscowe, swojskie, na którém się ukazuje w Krakowie postać królewicza Zygmunta. Jeżeli ciekawe z pobytu w Budzyniu szczegóły mogły obudzić w czytelniku pewne zajęcie, o ile więcéj wywołaćby je powinny zupełnie nieznane nam rysy ze świata społecznego, który w podwawelskim grodzie otacza Zygmunta. Zdaje się, że z owéj epoki rozpoczynającego się u nas XVI wieku, ogołoconéj jak drzewo jesienne z barwnego liścia, pozbawionéj jak pustynia piaszczysta wszelkiego urozmaicenia, każdy drobiazg, każdy pyłek jest krynicą ożywczą, jest smugą świetlną, jest brzaskiem wśród pomroku. Te cenne listki więc jak złota przędza wejdą w osnowę tkaniny, aby ożywić i ubarwić mogły obrazek rodzajowy na tle życia krakowskiego.

Królewicz na czas swojego pobytu w stołecznym grodzie Polski stanął u Kacpra Bara „w myncy“ czyli kamienicy, gdzie się mieściła dawniéj mennica. Sam zajął dolne i pierwsze piętro, a wyżéj zapewnie gospodarz z rodziną zamieszkał. Służba i dworzanie, co najpotrzebniejsi, obok w tym samym pewnie domu skromny przytułek znaleźli. Inni zaś, jak gdzie kto mógł, w gospodach stanęli. Konie wyprowadzono na przedmieście, część służby przeniosła się do niejakiego Faltyna, bakałarz zaś u Adama Szworca się pomieścił, w „szaréj kamienicy“ złożono skrzynie i tłomoki z rzeczami, z ubraniem i bielizną. Kaplica potrzebna nie była z powodu bliskości kilku kościołów, zresztą ksiądz-kapelan Mikołaj, korzystając ze sposobności, uwolnił się na pewien czas i pojechał do Warty. Przy królewiczu, w najbliższém otoczeniu, pozostał ów Bielik śnieżno-kudłaty, kilku pokojowych i... inni.

Dla bogatego rajcy i dozorcy mennicznego, pana Kacpra Bara, dom był dostatecznie wygodny i obszerny, wymaganiom zaś królewicza, pomimo dostatków gospodarza, nie we wszystkiém odpowiadał. Co najniezbędniejsze, to zaraz po osiedleniu się w nim dodano i poprawiono. Dorobiono okienice do okien; kilka ław dokupiono, naprawiono zamki, wstawiono szybę we drzwiach sypialnéj komnaty, a potém zwolna przybywały i inne sprzęty. Ponieważ domy w Krakowie miały swe znaki odrębne malowane na ścianie frontowéj lub wykute w kamieniu, kazał więc królewicz, żeby nie mówiono, że mieszka pod stemplem czyli „w myncy“ wymalować i zawiesić przed domem dużą tablicę z herbem rodzinnym, czyli „szczytem“, wyobrażającym Pogoń litewską.

Życie w ciągu pięciomiesięcznego pobytu w Krakowie toczyło się dawném kołem, lubo o mniejszém promieniu, w odmiennych warunkach i wśród innego otoczenia. Samo położenie nieokreślone nadawało mu bieg nieprawidłowy — to powolniejszy, to przyśpieszony. Niepewność jutra ciążyła nad tętnem, rytmem i nastrojem życia. Schowanie na rzeczy „w szaréj kamienicy“ wynajęto wprawdzie na rok cały, co świadczyło nie tyle o zamiarze pozostawania tak długo w Krakowie, ile o zwyczajach, jakich się trzymano przy wynajmowaniu lokalu. Właściwie i królewicz nie potrafił zrazu odmierzyć czasu, jaki potrzebny będzie dla uporządkowania własnych stosunków. A jeżeliby wypadło w myśl pierwotnego żądania przenieść się czy to do Prus, czy na Litwę, wtedy pobyt w Krakowie także długoby nie potrwał. W każdym razie tymczasowość, wyczekiwanie z dnia na dzień, wycisnęły właściwe swe piętno na życiu powszedniém królewicza, który z konieczności zerwać musiał z wygodą,

spokojem i bezczynnością, jakiém się odznaczał żywot jego na zamku w Budzyniu. To i owo przeto się zmieniło, skurczyło, przybrało odmienną postać, ale treść pozostała ta sama. Ten sam porządek, te same nawyknienia, ta sama natura Zygmunta.

Od praktyk religijnych na krok nie odstępuje królewicz — pozostaje im wiernym — tak jak w Budzyniu. Kapelan wyjechał, na domową kaplicę miejsca nie masz, ale kościołów w Krakowie nawet w pobliżu nie brak. Więc prawie codzień na mszy bywa. Czy bliskość miejsca, czy szczególniejsze nabożeństwo,—przyczyna niewiadoma, ale dość, że najczęściéj odwiedza Zygmunt kościół XX. Franciszkanów. W dni uroczyste udaje się do katedry na Wawelu, gdzie z całym dworem król bywa. Niekiedy do „Panny Maryi“ wstąpi. Jak przyjdzie Wielki tydzień,—odwiedza groby w kościołach, i rozdaje biédnym przed kościołami i po drodze jałmużny. W wielki piątek, odbywając taką pielgrzymkę, wyda 20 dukatów. Dla dostąpienia odpustu, ogłoszonego przez papieża z powodu obchodzonego w 1501 roku jubileuszu pieszo udaje się na Skałkę do św. Stanisława. Tamże składa częściéj pieniężne ofiary.

Nie uchyla ręki żebrakom, ubogim, zakonnikom, księżom świeckim, mniszkom, zakonnikom przychodzącym po jałmużnę. Do szpitala św. Jadwigi, oraz do innych posyła swoje datki. Nie odmawia żebrakom.

Przyjdzie szlachcic, któremu w niewoli Tatarzy rękę ucięli, opatrzy go groszem, aby sobie „żelazną rękę“ przyprawił. A kwestarze zawsze liczyć na to mogą, że królewicz względem nich spełni dobry uczynek chrześciański. Ze wszystkich zakonów zgłaszają się po jałmużnę, jedni z miarkami, inni z tabliczkami. Tym się da „w tabliczki“ kilka groszy, owym chleba, mąki lub kaszy. Już to bardzo często kołaczą do miłosierdzia królewicza XX. Franciszkanie, to na wino do mszy, to na chléb, to na oléj, na świéce i t. p. Ale i z innych zakonów się zgłaszają po kweście, od św. Marka, od św. Trójcy, od św. Szczepana, od Bernardynów, od św. Stanisława na Skałce, od Wszystkich Świętych, mniszki od św. Katarzyny, od św. Agnieszki. Przychodzą również od Panny Maryi: zakrystyanie, dzwonnicy, księża świeccy z opłatkami, z kropielnicą i wodą święconą. Wstępująca do zakonu mniszka prosi, żeby ją królewicz odprowadził do klasztoru św. Andrzeja, na obłóczyny. Odmowy nie doznaje — Zygmunt w ofierze składa dukata na kościół, a późniéj przysyła mniszce cukierków (konfektów) także za dukata. Przyjdzie post, to się kupi cztery beczki śledzi i po jednéj pośle się do klasztorów.

Świątnicy i żacy z różnych szkół zwykle ze śpiewem przychodzą

i odwołują się do hojności królewicza. Czeka ich zawsze wspomożenie. Biedni, nieszczęśliwi kalecy, cierpiący na pomieszanie zmysłów, nie odchodzą z próżnemi rękami od jego drzwi i mieszkania.

Zygmunt trzyma się także dawnego zwyczaju—uczęszczania do kąpieli. Nie ma wprawdzie w Krakowie „cieplic“ budzyńskich, ale do wanny nie przestaje chodzić, nie tak już ściśle w soboty, jak poprzednio. Łaźnię ma niejaki Śliwka, który dla gościa swego sprawia nową wannę. Ze współzawodnictwem z nim występuje Ramołt, którego królewicz częściéj nawiedza. Bielik kudłaty towarzyszy swemu panu i po dawnemu jest przedmiotem jego troskliwości. Sidor go myje i czesze, nawet dostaje kilka groszy na kupienie nożyc do strzyżenia wełnistéj jego powłoki.

Kuchnia skromniejsza, piwnica nietyle zasobna, jak w Budzyniu. Polska — to nie Węgry, płynące winem. Żywności dostarcza dwór królewski do kuchni samoistnéj Zygmunta, ale na tym dworze nie przelewa się wierzchem. Tam cienko bardzo, a niekiedy skąpo. Snać brat Aleksander na małém poprzestawał. Trzeba było czasami dokupować zwyczajnych nawet rzeczy. Wina z piwnicy królewskiéj dostarczano mało. Więc częściéj ukazywało się na stole królewicza piwo proszowskie, a nawet dalekie piwo piotrkowskie. Nie było w Krakowie i w jego okolicy takich biskupów, co to jak węgierscy mogliby przysyłać szczupaki, łososie, bażanty, przepiórki. Raz od brata Władysława z Węgier nadeszły bażanty, ale łakoci i przysmaków skądinąd prawie nigdy.

Post zachowywał Zygmunt ściśle wedle dawnego zwyczaju. Łosoś zwłaszcza żywy dostawał się rzadko do kuchni. Kupowano więc często gęsto tańsze gatunki ryb, jak płocice zwyczajne, kiełbie, ślizie, karasie, okonie, kleszcze i lipienie. W końcu marca i przez dalszy czas aż do wyjazdu królewicza coraz częściéj dawał powód do skarżenia się ksiądz Wojciech, który na dworze Aleksandra był ekonomem-szafarzem, czyli zarządzał śpiżarnią. Niekiedy tak skąpo odmierzał, że nie było z czego obiadu ugotować. Masła nie dawał, chleba odmawiał. Chyba się usprawiedliwiał tém, że z próżnego i Salomon nie naleje. Kupowano przeto świeże zemelki na Stradomiu, a szczególniéj „pracliki“, czyli obwarzanki do stołu Zygmuntowego. Już to te pracliki stały się prawie przysmakiem codziennym, tak były przez królewicza ulubione. Jak się zbliżała wiosna, a post się skończył z powodu wczesnéj Wielkanocy, to kurczętami się raczono, które trzeba było kupować tak samo, jak „śmiotanę“ do nich lub sałatę. O owocach prawie ani słychać. Czasami jabłka, gru-

szki lub figi podadzą, albo kilka pomarańcz kupi kuchmistrz Pustota na stół królewicza, ale to ze szkatuły książęcéj.

Może téż i dlatego po tych skromniejszych ucztach poobiednie siesty nie bywały tak długie i nie potrzeba było senności odpędzać rozmaitemi rozrywkami, chociaż, co prawda, i w Krakowie poobiednia gra w karty nie ustaje, a wieczorne nudy rozpraszają szachy. Nawet nową kupiono tam szachownicę. Ale śpiew i muzyka, jak dawniéj tak i obecnie, w różnych porach dnia, najczęściéj przy jadalnym stole pieści ucho i bawi umysł królewicza. Nie masz cyganów, nie przewijają się tak ustawicznie wędrowni lutniści, harfiarze i harfiarki, fletniści i trębacze, lecz nie brak téż miejscowych artystów, którzy harmonią tonów rozweselać, lub do miłéj zadumy ukołysać potrafią. Przy boku Zygmunta bawi stale jego dawny lutnista. Może się już osłuchały wszystkie jego melodye. Zmiana i rozmaitość jest przyjemną. Przychodzi więc niekiedy podczas obiadu stary lutnista Marek i zagra na klawicymbałach. Zgłosi się wędrowny Niemiec brodaty z cytarą i o „minnie“ pieśń zanuci. Ale najmiléj słucha się gry Wirowskiego na klawicymbale. Był to snać artysta niepospolity, sławny na owe czasy. Dwa dukaty dawał królewicz za jedno posiedzenie, gdy tymczasem stary organista, który na takim samym grał instrumencie, brał tylko trzy lub cztery grosze. Ponieważ wielcy panowie świeccy i duchowni trzymali różnych muzykantów na swych dworach i z niemi jeździli, więc i w Krakowie często gęsto przewijali się ich śpiewacy, trębacze, piszczkowie i inni, włócząc się od domu do domu. Nawiedzali więc i królewicza śpiewacy niemieccy pana Górskiego, lutniści biskupa płockiego, harfiarze księdza-kardynała, gęślarze królewscy, wreszcie i muzykanci miejscy, a było ich 14-tu, przed domem grywali. Co zaś do żaków szkolnych, którzy śpiewem pragnęli roztkliwiać serce królewicza, to tych bez liku rano, w południe i wieczorem. Taniec i widowiska nie tak częste, jak w Budzyniu. Mniéj w Krakowie wędrownych linoskoków i kuglarzy, mniéj Włochów z tresowanemi psami, mniéj Niemców z tańczącemi dziewczętami. Nie masz lancknechtów szermierzy. Są swojacy. Tylko „Rusaków“ widać z niedźwiedziem, około Nowego Roku przyjdą chłopi okoliczni i urządzą pląsy z mieczami, a w czasie karnawału przybędą kuglarze zamaskowani i puszczą się w taniec, który się zwie „maruską.“ Nie mniéj biegłemi w pląsach okażą się „studenci“ akademii. I oni także z wdziękiem zatańczą maruskę.

Sam Zygmunt umié w danéj chwili być nietylko widzem, ale osobiście wziąć udział w wesołéj tanecznéj zabawie. Zdarzyło się to raz w zapustny poniedziałek. Gospodarz, pan Kacper Bar, ma dwie

córki niezamężne, a dwie zamężne. Dla nich wieczór urządził tańcujący na przewody karnawału. I był to zapewnie nie jedyny tylko w Krakowie ojciec, który, ulegając prośbom i naleganiom żony i dzieci, bal wydał u siebie, grajka sprowadził, gości zaprosił; a tém dostojniejszych, ile że sam królewicz miał ów wieczór tańcujący obecnością swą zaszczycić. Jakoż Zygmunt dotrzymał danego słowa, przyjął gościnę u swego gospodarza i z córkami jego wesoło pląsał. Grajek, co przygrywał, dostał dukata od królewicza.

Uczty proszone w domu Zygmunta rzadko się odbywają. Kiedy raz króla, kardynała i innych przyjmowano, ile tam było kłopotu i zachodu! Szczupłość miejsca, brak przysposobień, tymczasowość pobytu sprawiły, że się wstrzymywano od urządzania hucznych i ludnych biesiad. Ale dzień św. patrona, to już przy całéj wstrzemięźliwości, nie mógł ujść na sucho. Z życzeniami przybywali ci i owi. Wprawdzie uczty nie było, lecz była libacya. Trzeba się było trącić kieliszkiem, szklenicą, pucharem lub roztruchanem. Z królewskiéj piwnicy wina nie dostarczono. Kupiło się tedy z własnéj szkatuły małmazyi sześć garncy, a każdy garniec po dwanaście groszy, coby na naszę cenę wyniosło mniéj więcéj po 3 ruble za kwartową butelkę. Nie najgorsze więc téż musiało to być wino, ale nadto było mocne i szło prędko do głowy. Ani się królewicz spostrzegł, jak z tym i owym wychyliwszy aż do dna puchar jeden i drugi, dobrze sobie podchmielił. Może nawet więcéj, bo bakałarz, zapisujący w rachunkach to niezwykłe zdarzenie, wyraził się tak malowniczo po łacinie i w części niepoprawnie, jak gdyby żywcem przełożył z polskiego — przepił się — *se perbibebat.* No — i cóż dziwnego, był to dzień św. patrona, obchodzony raz do roku, 2-go maja. A nazajutrz już i król Aleksander na Litwę jechał.

Raz zaprosił do siebie na obiad Adam Szworc, pisarz bankiera Bonara.

Raz téż zaprosili do siebie na ucztę rajcowie miejscy, która się w ratuszu odbyła, a królewicz dla biednych więźniów, których trzymali w podziemiach lub wieżach, złożył dukata w ofierze. Zresztą o innych biesiadach lub wycieczkach, albo wyjazdach jakoś zupełnie nie słychać. Przy sposobności tylko przyjrzał się królewicz, jak to pieniądze w myncy kują. Nie widać także, aby jakieś datki, ofiary, upominki składano Zygmuntowi. Jakoś skąpo w Polsce, wszyscy się kurczą. Pani wojewodzina (może kaliska — pani Szamotulska) złożyła w darze królewiczowi pierścień czy sygnet, — niejaki pan Brodecki dał konia do stajni, matka-królowa żywą kozicę przysłała, brat

Aleksander na wyjezdném parę kubków srebrnych i parę rumaków darował. To i wszystko.

A tymczasem wydatków dużo, takich, co to ani przewidział. Na królewicza ogląda się służba niższa i wyższa nietylko własna, ale obca. Niech przyjdzie św. Szczepan, dzień kolendowy, każdego trzeba opatrzéć, co się zgłosi z życzeniami „dosiego roku.“ Około 200 dukatów wyjdzie wtedy ze szkatuły. A kto się tam nie zgłasza: fletniści króla, trębacze księcia Konrada mazowieckiego, panięta królewscy, łaziebnicy dworscy, Tatarzy, koniuchowie, wrotni, piszczkowie, kucharze, łożniczych i łowczych cały poczet, pisarze z kancelaryi ruskiéj, pisarze tatarscy, piwniczni, bykowie (?), obroczni, dworzanie-polacy, dworzanie-litwini, bakałarze królewscy, rotmistrzowie, szermierze pokojowi starsi i młodsi, płatnerz dworski, łucznicy, „szwajcarowie“ króla, Wołosi, karły i inni. I podobnież długi szereg służby od kardynała, od królowéj, od wojewody kaliskiego, od pana Halickiego, że tu nie wspomnimy już własnych królewicza dworzan i służby.

A są przecież inne jeszcze wydatki pokryte jakąś tajemnicą, o których się wzmiankę czyni: „tyle a tyle dukatów, jak to sam książę dobrze wié.“ Czyżbyśmy nie mogli dojść tego, co się to tak bezimiennie ukrywa pod tą grubą, a jednak przejrzystą osłoną. Czyżby nie można było zaspokoić ciekawości czytelnika?

To „coś, o czém królewicz dobrze wié“, to nie coś, ale ktoś, co się skromnie i wstydliwie chowa, jak fiołek pod szerokim liściem pospolitego łopianu. I zawsze jeden i ten sam „ktoś“, nie różny, nie coraz inny, ale stale i nieodmiennie dawny przedmiot miłości.

To panna Katrina.

Starannie poprzednio ukrywana postać wychyla się teraz coraz jawniéj. Anonym staje się dość przejrzystym. Sam pisarz zdradza tajemnicę, bo przy notatce, dla swojéj pamięci, kładzie zawsze znak, który jest tak wyraźny, że wszelki domysł zamienia się na pewność. Jest-to inicyał w kształcie dwóch trójkątów z dodatkiem obok liter *e. r.*, więc ma taką postać ✡ E R albo ✡ później ✡ RE

Wydatki na ten znak, występujący kiedy niekiedy, nie wynoszą więcéj jak sto dukatów. Tylko że z osobą pod tym znakiem łączy się maleństwo — drobny chłopczyna, na którego także łożyć trzeba. Janusz wyraźnie jest raz nazwany synkiem „Katriny.“ Chowa się on nie u matki, ale u jakiéjś kobiety, która go karmiła, a późniéj pielęgnowała. Rajca miejski, Keyser nim się opiekuje, na jego ręce kró-

lewicz składa kilka dukatów, aby czém było opędzić potrzeby maleńkiego dzieciaczka.

Powoli zbliżał się czas wyjazdu. Załatwiło się najważniejsze sprawy, nie było już na co czekać w Krakowie. Więc wypadnie przenieść się na stały pobyt do Opawy lub Głogowa i objąć w zarząd dane sobie księstwa. Które z nich wybrać, żeby się osiedlić, zagospodarować i osiąść już raz na swojém?

I jedno i drugie posiadało zamki mieszkalne. Opawę dzieliła od Krakowa mniejsza odległość, do Głogowa nad Odrą było znacznie daléj, a jednak ostatecznie Zygmunt postanowił zamieszkać wraz z dworem w Głogowie. Prawdopodobnie dlatego, że to był szmat dawnéj ziemi polskiéj, wtedy, gdy Opawa do Moraw przedtém należąca, przez ludność swą i panujący wśród niéj język do czesko-morawskiéj zaliczała się rodziny. Głogów zaś z okolicznemi miastami i wsiami stanowił rodzimą cząstkę polskiego kraju, a nadto księstwo opierało się krawędzią swą północno-wschodnią o granice Wielkopolski. Tuż o miedzę była Wschowa, a daléj nieco o mil kilkanaście Poznań.

Rozpoczęto przygotowania do podróży głogowskiéj. Nowa kolébka czyli kareta już była gotowa, uzupełniono uprząż, podkuto konie, naprawiono siodła, uszyto worki, pokrowce na tłómoki, futerały i puzdra. Powiększono tabor, zamówiono malowane proporce dla bębnistów i trębaczy i zaopatrzono się w różne drobne rzeczy, których łatwiéj w ludném Krakowie było można nabyć. Nie zapomniał królewicz i o swoim gospodarzu. Dla czterech jego córek kazał kupić kitajki na suknie, po 16 łokci na każdą, a łokieć płacono po 11 groszy. Trzem służącym i trzem husnachtom (*Hausknecht*) polecił wypłacić 7 dukatów. Pani Kacprowéj Bar sam dał 30 dukatów złotem, a 70 dukatów jéj mężowi, właścicielowi domu. Wywzajemnił się za gościnność jeszcze w inny sposób, bo wstawieniem swojém wyjednał u króla piśmienne dla Bara zapewnienie, iż nie gdzieindziéj, gdy mennica krakowska będzie otworzona, jeno w jego domu urządzoną będzie (Metr. kor., 17, f. 361).

Na te różne przy wyjeździe wydatki, na drogę dalszą, na pierwsze urządzenie się w Głogowie dostarczył pieniędzy bankier Bonar, prawdopodobnie w kształcie zaliczki na poczet przypadającéj Zygmuntowi od króla w następnym roku należności. Wpłynęło od niego tym sposobem 2,386 dukatów. Rozeszło się jednak już w Krakowie nie mało grosza. Trzeba było najprzód poselstwu węgierskiemu, które z królewiczem z Budzynia przybyło, teraz na pożegnanie gotowizną wywzajemnić się za popieranie przez tak długi czas sprawy o ów

udział w dziedzictwie i ojcowiznie litewskiéj. Wprawdzie nie należało się posłom wynagrodzenie, bo opatrzenie mieli od swego króla, ale Zygmunt uważał za stosowne „tak im coś dać w upominkn“, jak wzmiakuje księga rozchodów, z łaski książęcéj. Więc książę Bartłomiéj z Münsterbergu, czyli z Ziembicy, oraz pan Potmański otrzymali po 80, a inni jak Desi, Srayberstorff i Ciesielnicki po 60 dukatów. Nierównież więcéj wyszło na opłacenie dworzan i służby, bo każdego wypadało przed wyjazdem zaspokoić, a grono to przez przyjęcie wielu nowych, snać potrzebnych dla przyszłego w Głogowie stanowiska, — znacznie się powiększyło. Szczególniéj urósł poczet dworzan. Do dawniejszych, jak dwaj bracia Szydłowieccy, jak Leszczyński i inni już poprzednio wzmiankowani, przybyli jeszcze Pustota, Lasocki, Łabędź, Rachemberg, Sednicki, Stadnicki, Myszkowski i Brodecki. Służyli oni w 70 kilka koni. Do dworu królewicza przystał nadto młodszy brat Szydłowieckich, Paweł, proboszcz szredzki, doktór prawa, który zaczął pełnić obowiązki kanclerza książęcego. Ksiądz Jan zastąpił dawnego kapelana Mikołaja. W liczbie młodszych dworzan spotykamy jeszcze Szydłowieckiego — Marcina. Przyjęto doktora nadwornego, a imię jego było Śmigiel. Do „pokojowych“ przybrano Świderskiego, Zedlicza, Wielogłowskiego, Zupkę, Taltenberga. Pomnożono poczet bębnistów i trębaczy. W rzędzie „byków“ i panoszów, prócz poprzednich, także nowe ukazują się nazwiska.

Więc dworno było.

Obóz wyruszył w drogę wcześniéj. Najprzód wysłano forytarzy. Sam królewicz 19-go maja po pięciomiesięcznym pobycie puścił się w podróż w orszaku dworzan. Przyprowadzono przed dom rumaka, Zygmunt dosiadł konia. Otoczył go tłum żegnających. Ubogim kazał dać jałmużnę. Żaków także opatrzył i przez bramę floryańską skierował się na gościniec, który do Olkusza prowadził. W Olkuszu pierwszy nocleg, następny w Kromołowie, dalszy w Żarkach, a stamtąd wprost do Olsztyna. Nie można było pominąć zamku, który tylko co przeszedł w posiadanie królewicza. Wzięła chętka obejrzenia tego nowego nabytku i przypatrzenia się robotom, które przed niedawnym czasem z polecenia jego były zarządzone. Tego samego dnia pod wieczór ściągnął Zygmunt na nocleg do nieopodal leżącéj Częstochowy. Następnie przez Krzepice do Kruczborka, gdzie królewicz znalazł gościnę u księdza plebana. Z powodu święta Bożego Ciała, które przypadało nazajutrz 26-go maja, zatrzymano się tam na noc dla wysłuchania rano mszy św., poczém wyruszono w drogę do Namysłowa na całodzienny wypoczynek. Dziesiątego dnia podróży, w niedzielę 29-go maja, stanął cały orszak

we Wrocławiu, głównem mieście prowincyi, w któréj leżały oba księstwa królewicza.

Do Głogowa już było niedaleko, jeszcze jeden tylko po drodze do Nowego Miasta nocleg w Lubieniu, ale we Wrocławiu kilka dni zabawić wypadło. Trzeba było z księciem biskupem, a był nim Jan Roth, znajomość zawrzéć, bo bogaty dostojnik rozległéj dyecezyi zajmował na Śląsku wydatne i wpływowe stanowisko. Samo téż miasto ludne i handlowne używało wielkiego znaczenia politycznego. Przyjęto królewicza polskiego z należną czcią i uszanowaniem. Książę biskup przysłał w porze obiednéj do gospody dostojnego gościa przez swego kucharza jakąś znakomitą potrawę, rajcy miejscy ofiarowali beczkę wina, wprawdzie trochę późno, kiedy już przez szafarza ze szkatuły dworskiéj beczułkę kupiono, miejscy kucharze w hołdzie od siebie przynieśli marcypan. Skorzystali téż ze sposobności, żeby coś zarobić, wrocławscy gęślarze, lutniści, piszczkowie z bębnami, organiści z pozytywkami i przygrywali przy obiadach lub wieczerzach. Zaczęli się téż popisywać swojemi tańcami jacyś wieśniacy podczas uczty, na którą Zygmunt zaprosił księcia lignickiego. Musiały to być jakieś nieznane królewiczowi tańce. Kazał dać dukata tancerzom, czyli „krzepczym“, jak ich księga rachunkowa nazywa, za to że „krzepczyli“. Nareszcie, porzuciwszy Wrocław, w niedzielę 5 czerwca Zygmunt zawitał do Głogowa, głównego miasta swojego księstwa.

X.

Od półtora z górą już wieków Śląsk, czyli właściwie Śląsko, prastara dziedzina polska, wypadł był ze zwierzchnictwa polskiego i przyznawał nad sobą władzę korony czeskiéj. Chwilowe panowanie w nim węgierskie Macieja Korwina zastąpiły znów od 1490 roku rządy króla czeskiego Władysława Jagielończyka, który objąwszy elekcyjną koronę św. Szczepana, zdołał niejako w swojéj osobie połączyć i pogodzić czeskie oraz węgierskie uroszczenia, jakie w skutku zmian politycznych się wyłoniły. Pod zwierzchniczą władzą obcego mocarza pozostawał kraj nie jednolity, nie z jednéj utworzony całości, ale owszem spojony z różnych i rozmaitych, mniéj lub więcéj zależnych części. Górny i dolny Śląsk rozpadał się na cały szereg księstw, hrabstw i terytoryów, uznających w wyższym lub niższym stopniu powagę korony czeskiéj, pod którą zgarnięte razem, luźnie ze sobą spojone dziedziny stanowiły jednę, odrębną prowincyą. Dzielona przez Piastowiczów ziemia, poszarpana na kawałki, przedstawiała na początku XVI wieku, kiedy Zygmunt przybywał do Głogowa,

taki sam niemal jak dawniéj obraz pstréj szachownicy, z tą tylko niekorzystną w stosunku do poprzednich czasów różnicą, że gałęzie starego pnia rodzinnych książąt znacznie się przerzedziły, a natomiast jakby kliny powciskali się inni, obcy władcy. Na schyłku XV wieku tak zmalała ich liczba, że właściwie na rozległym obszarze śląskiéj ziemi, z potomków Władysława i jego synów (r. 1168) pozostało tylko trzech książąt. Kazimierz panował nad Cieszynem, Fryderyk nad Lignicą i Brzegiem, a w opolskiéj dzielnicy Jan siedział. Księstwo zaś takie, jak świdnicko-jaworskie przeszło drogą związków małżeńskich do panującego w Czechach domu luksemburskiego. Wrocław przypadł bezpośrednio koronie czeskiéj. W Raciborzu usadowili się potomkowie Przemyśliczów. Opawę zagarnął Jan Korwin, dorywczy syn Macieja króla węgierskiego. Krosno z Celichowem oderwano od Głogowa i tam się zagnieździł dom brandeburski Hohenzollernów. Żegań pochwycili książęta sascy. Księstwo głogowskie, o które po zgonie ostatniego Piastowicza Henryka XI († 1476) długoletnie krwawe, lubo bezskuteczne zatargi wszczął Jan II Żegański, utrzymał za sobą król Maciéj.

Dziedzinę tę, którą rozrządzał Władysław, jego następca na tronie węgierskim, uzyskał był zrazu Jan Olbracht, jako zaspokojenie uroszczeń do korony św. Szczepana, poczém po zrzeczeniu się przezeń w 1498 roku Głogowa, w posiadanie księstwa był właśnie wprowadzony młodszy brat—królewicz Zygmunt.

Oprócz większych książęcych dzielnic potworzyły się mniejsze terytorya hrabiów i panów różnéj narodowości, prócz miejscowéj, którzy przybywali z Niemiec, Czech i Węgier. Hrabiowie Hardegg'owie w Kładzku założyli swą siedzibę. Kurzbach podkomorzy węgierski otrzymał dominium w Miliczu i Trachenbergu, bogata rodzina Turzów nabyła hrabstwo w Pszczynie (Pless), że się tu wiele innych o mniéj głośnych pominie nazwiskach.

Kraj cały uznawał z wyjątkiem zastrzeżeń co do rozdawnictwa kilku księstw władzę zwierzchnią króla czeskiego, który przez swego namiestnika sprawował rządy w prowincyi. Namiestnik czyli najwyższy haytman a sprawca, jak go nazywano w języku urzędowym czeskim, miał naczelne dowództwo nad siłą zbrojną, przewodniczył w najwyższym sądzie i doglądał poborów oraz dochodów królewskich.

Kierował nadto obradami sejmu, na który peryodycznie zgromadzały się stany śląskie, złożone z książąt, prałatów, panów, rycerstwa i miast. W czasie przybycia Zygmunta do Głogowa namiestnicze rządy piastował w swym ręku Kazimierz, książe cieszyński, Kazkiem czyli Kazikiem przez Ślązaków zwany. Jak wszędzie w kra-

jach, które ulegały berłu Jagielonów zarówno w Czechach, na Węgrzech oraz w Polsce, tak i na Śląsku rozszerzały się swobody i wolności stanów z uszczerbkiem zwierzchniéj władzy monarchicznéj. Za Władysława właśnie panowania uzyskały stany śląskie w 1498 roku wielki przywiléj ziemski, który rzucił mocną podwalinę pod gmach ich wpływu i znaczenia politycznego. Ta śląska *charta libertatum* zawierała między innemi przyrzeczenie króla, że namiestniczą władzę zawsze piastować będzie nie obcy, lecz tylko jeden z miejscowych książąt. Z mocy tego przywileju ustanowiono najwyższy trybunał prawa lennego z udziałem książąt i rajców mający rozstrzygać wszelkie między książętami lub feodalnemi posiadaczami sprawy, ograniczono prawa króla względem służby i powinności wojennéj, względem ustanawiania ceł oraz podatków pośrednich. Wybieranie poborów poniekąd także uczyniono zależném od zezwolenia stanów, a organem ustroju, ujętego w podobne kształty, stał się sejm prowincyonalny. W obrębie zaś księstw, hrabstw i terytoryów utrzymało się po dawnemu zwierzchnie prawo lennych władców, w miastach prawo saskie czyli raczéj magdeburskie, we wsiach podobneż — w zależności od dworskiego zarówno w świeckich, jak i duchownych posiadłościach. Książęta z mocy uzyskanych nadań mieli przywiléj bicia monety. Takie prawo przysługiwało i niektórym miastom.

Na schyłku XV wieku kraj cały, przez długie lata będący widownią krwawych zapasów między ścierającemi się potęgami Węgier, Czech i Polski, oddany na łup swawoli wojowników, pogrążył się w nierządzie podsycanym przez domowe walki książąt śląskich, oraz orężne spory z brandeburskiemi, z saskiemi władcami, a nawet koroną węgierską. Wojna, którą prowadził Jan książę żegański w 1488 roku o posiadanie Głogowa, przeciwko królowi Maciejowi, odznaczała się z obu stron niezwykłą zaciętością. Miasto przez długi czas oblegane, bronione przez żołdactwo czeskie będące w służbie zaciekłego księcia Jana, pożogą mszczone, głodem morzone, przyszło do niewysłowionego znędznienia. Wśród tych bojów, w których brali udział i inni książęta śląscy, stający w jednym lub drugim obozie, zachwiały się do gruntu podstawy gmachu społecznego. Domowa wojna podniecała tlejące zarzewie prawa przemocy oraz samowoli. Ustało wszelkie bezpieczeństwo. Kupy rycerstwa drapieżnego obsiadły kraj cały. Największy postrach roznosił niejaki Krzysztof z Ryszewic (Reysewitz), zbójca, rabuś istny i łupiezca, Krzysztofem Czarnym zwany. Kilkanaście lat bezkarnie trudnił się on mordem i grabieżą, aż dopiéro w 1513 roku zawisł na szubienicy. Przebiegał ze swą zgrają zbójecką kraj od końca do końca. Tu się

ukrył, tam się nagle ukazał i znów do siebie wracał, jak sęp do swego gniazda. Sięgał aż do polskiéj granicy, a w dzień i w nocy obdzierał kupców na drogach, wieśniaków w chatach, wdowy i sieroty w zamkach [1]).

Spokojnych mieszkańców, zarówno we wsiach jak i w miastach, kupców czy rolników, gnębiła inna jeszcze dotkliwa bardzo klęska — istna powódź fałszywéj lub spodlonéj monety.

W każdém niemal księstwie osobna mennica, puszczająca w obieg drobne srebrne pieniądze z podłego kruszcu bite na odmienną stopę. Nominalnie niby grosz srebrny, a na liczalną monetę złotego potrzeba jednych 36, innych 40, to znów 48, aż wreszcie 60 gr. Ci rachują na kopy czeskie, inni na złote lub dukaty [2]). Ciągle ważyć trzeba i zmieniać, bo istnieje wyłączność—tam i owdzie téj lub owéj nie przyjmują monety. Jeżeli w stosunkach handlowych, kupieckich wzajemne dwu stron porozumienie łatwiéj osiągać się dało, to w zobowiązaniach czynszowych, w opłacie dziesięciny kościelnéj wynikały trudności, które prowadziły do gorszących zatargów z duchowieństwem umiejącém pilnować swojego interesu. Więc gromy i klątwy spadały z ambon na ludność niższą, rolną, bezbronną.

Taki właśnie stan kraju, podmytego nurtami nierządu, zastał Zygmunt, osiadłszy w zamku głogowskim.

Lubo księstwo, które objął w posiadanie, leżało już na kresach północno-wschodnich Śląska, jednak i tam jak o brzegi morskie odbijały się burzliwe fale ogólnéj anarchii. Miał wszakże Głogów oprócz powszechnego i swoje własne, miejscowe źródło złego. Był nim starosta królewski, ustanowiony przez Jana Olbrachta, sprawujący rządy w księstwie w jego imieniu. Zwano go Janem Polakiem, a z Karnkowskich z Wielkopolski pochodził. Trzymał go Zygmunt na tém stanowisku po objęciu władzy jeszcze w Budzyniu. Na razie nie chciał zapewnie nagle zmieniać starosty, na miejsce którego może i nie miał odpowiedniéj osoby. Ten Jan Polak pilnował spraw swojego pana. Pierwszy pchnął śpiesznego gońca na Węgry z wiadomością o zgonie króla Olbrachta w Toruniu. Ale i o sobie pamiętał i dopuszczał się zdzierstw weresowych i drakońską rządził się surowością. W Głogowie i w całém księstwie stał się przedmiotem ogólnéj nienawiści. Zdaje się, że wkrótce po objęciu księstwa, Zygmunt ulegając

---

[1]) Klose's Darstellung der inneren Verhältnisse der Stadt Breslau v. J. 1458 bis z. J. 1526, zob. Script. res. sil. I. Br. 1847.

[2]) Friedensburg Schlesiens Münzgeschichte im Mittelalter. Cod. dipl. Sil. XIII. Breslau 1888.

uczuciu sprawiedliwości, Jana Polaka z urzędu starosty złożył, chwilowo powierzył zarząd znanemu nam już Sobkowi, a następnie zamianował niejakiego Mikołaja Pesika z Białéj (von der Bila nazywano go wówczas po niemiecku).

Nie tak łatwo można sobie było poradzić z innėm złem, które uciskało ludność, z duchowieństwem kolegiackiém w Głogowie, które wybierało czynsze z niezwykłą surowością i bezwzględnością.

Z Budzynia, gdzie królewicz przebywał przez lat trzy, nie widząc swego księstwa głogowskiego, wychodziły często listy do Głogowa. Treści ich nie znamy. Wysyłano gońców, ale niewiadomo, z jakiém zleceniem. Jeździł Leszczyński. Także w księdze rachunków nie zamieszczono — po co? Z Głogowa przybywały listy — również nie nadmieniono — jakie? W grudniu 1500 roku przybył do Zygmunta z listami z księstwa głogowskiego jakiś ksiądz. Późniéj był wysłany pan Sobek, który następnie został starostą opawskim. I znów kilku gońców w pewnym czasie po nim wyprawiono. Nie wiadomo, co mogło spowodować taką żywą wymianę myśli. Aż oto szydło z worka wychodzi. Jeszcze w 1501 roku dano na ręce Leszczyńskiego 15 dukatów, aby je wypłacił doktorowi (prawa) legata papieskiego, naonczas bawiącego przy dworze królewskim w Budzyniu, za ułożenie dla królewicza (fol. 114) kilku traktatów przeciwko duchowieństwu głogowskiemu. Użyto więc aż Włocha kanonistę do napisania jakichś rozpraw i wywodów, w których widocznie zbijano nieuzasadnione roszczenia kleru, tyczące się, o ile miarkować można, czynszów wybieranych z posiadłości świeckich. Piśmienne atoli wywody, na prawie kościelném oparte, prawdopodobnie służyły tylko za przygotowanie do rozstrzygnięcia sporu, który się jeszcze dłużéj ciągnął, aż nareszcie Zygmunt za osobistém w 1502 roku przybyciem do Głogowa gorszącym niesnaskom koniec położył. Rzecz całą na miejscu poznawszy zbliska, obu stronom duchownéj i świeckiéj przez opisanie praw i obowiązków sprawiedliwość wymierzył. Powściągnął skwapliwość duchowieństwa w rzucaniu klątw kościelnych za nieuiszczanie czynszów, uwzględniać kazał przy współudziale swego starosty wypadki, w których zubożona ludność nie miała możności zadośćuczynienia wymaganiom prawa kościelnego, przeciwko zaś opornym, nie zasługującym na jakiekolwiek pobłażanie i ulgi, ostre ustanowił kary. Wreszcie najważniejszy usunął powód, który do zatargów ustawicznie pobudzał, oznaczywszy stały stosunek drobnych pieniędzy do jedności monetarnéj Niezapłacone w ciągu trwającego sporu czynsze miały być uiszczone duchowieństwu w dwóch równych ratach, licząc na jeden grosz czeski 10 denarów monety

obiegowéj w dolnym Śląsku. Na następne sześć lat wartość tegoż grosza ustanowiono na 11 denarów, po upływie zaś tego terminu miał Zygmunt, zbadawszy całą rzecz głębiéj, trwałą do skutku doprowadzić ugodę [1]).

Podobnéj natury zatargi zachodziły między biskupem wrocławskim a miastem Wrocławiem, do których przyłączyło się jeszcze i niezadowolenie wywołane przeciwko duchowieństwu wyższemu między książętami.

Pierwotne niesnaski wywołał zamiar obrania koadjutora do pomocy starzejącemu się biskupowi Janowi Roth. Biskup upatrzył sobie Fryderyka, syna Kazimierza księcia cieszyńskiego, naówczas nanamiestnika królewskiego. Kapituła niechętnie spoglądała na kandydata z krwi książęcéj. Miléj przez nią był widziany dziekan Jan Turzo, z bogatego rodu węgierskiego, spanoszonego z gór kruszcowych. Książęta zaś śląscy upatrywali w tém wyraźną przeciwko sobie niechęć. Przyłączyły się skargi na biskupa o krzywdzenie miasta w dochodach propinacyjnych. Gromiono mieszkańców Wrocławia klątwami kościelnemi, urząd zaś miejski zabronił się do nich stosować. W tym stanie rzeczy, gdy skargi z różnych stron szły do króla, wyznaczono sąd polubowny, złożony tylko z komisarzy królewskich.

Zasiadł w tym sądzie książę namiestnik Kazimierz, cieszyński, Albert Kolowrat, kanclerz korony czeskiéj, a na trzeciego powołano oczywiście tego, który nie stanowiskiem swojém, ale związkiem krwi z królem, górował nad wszystkimi innymi książętami — królewicza Zygmunta.

Za wpływem tych trzech komisarzy przyszła do skutku w d. 3 lutego 1504 r. ugoda, znana pod nazwą Kolowrata, niezmiernie do-

---

[1]) Wyrok z dn. 5 lipca 1502 r. wydany na zamku głogowskim, mieści się w całkowitém brzmieniu w rzadkiém dziele p. n. „Glogauisches Fürstenthumbs Landes Privilegia aus denn Originalen an tag gegeben von Andrea Gryphio“. Lissa 1653, które się znajduje w bibliotece miejskiéj we Wrocławiu. Odpisu kilku ważniejszych aktów z czasów Zygmunta dostarczył mi łaskawie p. Ign. Chrzanowski, kand. fil. Prócz powyższego źródła drukowanego, istnieje inne rękopiśmienne, a mianowicie zbiór przywilejów księstwa głogowskiego z czasów Zygmunta w bibliotece ordynackiéj hrabiego Oppersdorfa w Górnym Głogowie (Ober-Glogau), o czém wiadomość zawdzięczam uprzejmości prof. J. Przyborowskiego, który podczas swéj niedawnéj tamże bytności wynotował sobie starannie tytuły wszystkich aktów, pomieszczonych w pomienionym rękopisie. Ktoby się zajął ż historyków polskich szczegółowemi dziejami księstwa głogowskiego za Zygmunta, a które oczywiście nie wchodziły w zakres naszego badania, znalazłby jeszcze dużo materyału do takiéj pożądanéj monografii.

niosła co do swéj osnowy. Szeroko w niéj był uwzględniony interes ogólny, publiczny. Pociągnięto kapitułę do ponoszenia ciężarów podatkowych, ograniczono prawo rzucania klątwy kościelnéj, włożono na duchowieństwo obowiązek zwalniania wsi pogorzałych lub zniszczonych od danin, uchylono dowolność w wybieraniu dziesięciny i opisano bardzo szczegółowo wiele innych stron tych stosunków. Do najważniejszych jednak punktów ugody zaliczyć należy wyłączność piastowania wyższych dostojeństw kościelnych przez rodowitych Ślązaków. Widocznie Zygmunt, przychylając się do takiego postanowienia, ożywiony był uczuciem solidarności względem interesu książąt, którego zapewnie najsilniéj bronił Kazimierz cieszyński, dotknięty pominięciem syna, a wyniesieniem na domniemanego następcę biskupa—Jana Turzo, węgierskiego pochodzenia. Jeżeli tym sposobem dogodzono Ślązakom, to z drugiéj strony skrzywdzono metropolią gnieźnieńską, do któréj należała dyecezya wrocławska, tym choć słabym węzłem połączona z ciałem macierzy polskiéj. Trudno wyrozumiéć obecnie, jaki mógł miéć wpływ na całe ukształtowanie się ugody—książę głogowski—królewicz polski Zygmunt. Atoli sądząc z ducha, jaki z niéj wieje, przypuszczaćby należało, że w przeważnéj części była ona dziełem kanclerza czeskiego — Kolowrata, którego też imię umowa ta nosi.

Dopiéro kiedy Zygmunt stanął na wyższym szczeblu, kiedy w maju (17-go) 1504 roku został margrabią Dolnych Łużyc a w następnym namiestnicze w imieniu brata Władysława objął rządy, gdy zatém zaczął piastować godność „najwyższego haytmana a sprawcy górnego i dolnego Śląska“ urosło niezmiernie jego znaczenie i rozszerzyło się niezwykle pole jego wpływów. Zwłaszcza stosunki krwi, jakie go łączyły z królami ościennych państw Polski, Czech i Węgier, przyczyniały się do tém większego ugruntowania namiestniczéj jego powagi. Do skutecznego pośrednictwa Zygmunta w sprawach ułatwień handlowych zagranicznych uciekały się nieraz miasta śląskie, Wrocław zaś przedewszystkiém.

Czynny też udział wziął w rzeczy uporządkowania stosunków monetarnych i podźwignienia z upadku i nierządu jednego z najsilniejszych czynników życia i rozwoju ekonomicznego — monety, z początku jako książe głogowski, a późniéj jako namiestnik śląski. Jeszcze przed osobistem przybyciem do Głogowa, podczas pobytu w Budzyniu, na samém niemal już wyjezdnem, uzyskał od króla Władysława przywilej bicia półgroszków na stopę polską, poczém dwa inne jeszcze otrzymał (1504, 5 czerwca) bicia groszy na stopę czeską oraz w 1505 r. (26 maja) prawo bicia monety na „ziarno“ wrocławskie. Jeżeli z tych przywilejów korzystał, to niedlatego, iżby chciał

w obieg puszczać spodloną monetę, jak to czynili właśnie Fryderyk z Lignicy, Karol, książę oleśnicki i inni, ale iż sądził, że przez swoje grosze polskie czy czeskie, potrafi choć w części zaradzić złemu w granicach swojego księstwa.

Tymczasem wrocławianie, którzy najwięcéj cierpieli w swych stosunkach handlowych, powzięli zamiar uporządkowania téj sprawy w ogólniejszym zakresie. Na usilne ich prośby pozwolił im król Władysław zająć się tą rzeczą na sejmie prowincyonalnym w początkach 1504 roku i w tym celu poruczył swemu kanclerzowi Kolowratowi skarg wrocławian wysłuchać i ukrócić nadużycia menniczne książąt. Wynikłe z tego powodu zatargi uśmierzyć się nie dały. Wrocławianie (1504 r. 1 kwiet.), z prośbą udali się do króla, aby upoważnił swego namiestnika Kazimierza ks. cieszyńskiego do wydania jak najsurowszych poleceń, celem zahamowania złego, a gdy i tą drogą celu dopiąć nie mogli, zakrzątnęli się około przywiedzenia do skutku już poprzednio zamierzonéj ugody dobrowolnéj między książętami, która nareszcie stanęła w dniu 19 kwietnia 1505 roku, pod przewodnictwem ówczesnego namiestnika, jakim był właśnie — królewicz Zygmunt. Umowa zyskała potwierdzenie królewskie. Wzięli w niéj udział wszyscy książęta, na ich czele biskup wrocławski, Kazimierz cieszyński, Jan opolski, Fryderyk i Jerzy z Lignicy, Albert i Karol na Ziembicy (Münsterberg) i inni. Zobowiązano się wzajemnie wywołać z księstw i z terytoryów całego kraju wszelką obcą monetę i bić grosze srebrne w liczbie 36-ciu na złoty czyli dukat węgierski, z których to nowych groszy jeden miał się równać 20-tu dawnym halerzom, a 12 nowych halerzy miało iść na nowy grosz biały i t. d. Obok nowéj monety wolnéj, obieg zachowano atoli groszom czeskim, polskim i starym wrocławskim [1]).

Tym sposobem za namiestniczych rządów Zygmunta ujęto w pewne karby na niejaki czas dawniejszy menniczy nieład. W skutku téj umowy uzyskał królewicz, jako książę głogowski, przywiléj wyżéj powołany bicia monety na „ziarno“ wrocławskie.

Trudniejsze zadanie, również jak moneta mające ogólne i doniosłe znaczenie w zarządzie krajowym, spadło na namiestnicze ramię Zygmunta. Tak, jak umysł jego z natury usposobiony do porządku i ładu, uczucie do sprawiedliwości się nakłaniające wskazywały mu drogę ciążącego na nim obowiązku, trzeba mu było w tym duchu ukrócić swawolę rycerstwa łupieżnego, ugruntować pokój, utrwalić bezpieczeństwo, uśmierzyć nienawiść między stanami. Na podołanie takiemu

---

[1]) Fredensburg, Cod. dipl. T. XII. r. 1887.

wielkiemu zadaniu zabrakło czasu. Dwuletnia tylko władza namiestnicza prędko kres swój znalazła, jak wiadomo, przez powołanie Zygmunta na tron litewski oraz polski i w tym ciasnym przeto obrębie czasu nie dała mu pola do rozwinięcia szerszéj a owocnéj działalności. Nie mogły dojrzéć rzucone przezeń ziarna pokoju i porządku. Nawet podjęte w tym kierunku usiłowania nie wynurzają się dość jasno i w pożądanéj pełni z pomroku, w jakim jeszcze toną dzieje wewnętrznego zarządu Śląska z owego okresu. Wiadomo tylko — między innemi, że Zygmunt starał się przywrócić w kraju bezpieczeństwo i surowemi karami ścigał złoczyńców. Na sejmie w Neustadzie czyli Pruduiku wymógł na stanach uchwałę, w skutku któréj zaciągnięto dwieście lekkiej jazdy, przeznaczonéj do chwytania łupiezców i gwałtowników. Sprężysta władza, która hamowała nieokiełznane samowładztwo rycerzy i osłaniała tarczą opieki słabszą, bezbronną ludność, jednała sobie wnet ogólniejsze uznanie, którego ślady dochowały się w poetycznym zwrocie jednego ze współczesnych rymotwórców: „Tyś nam wrócił, największy z Jagielonów, pokój i bezpieczeństwo. Tobie winien kupiec, że próżen trwogi może swobodnie z bogatym towarem spocząć, gdzie go albo zmierzch albo upał słońca zapadnie. Niewzględny na żadną zacność ani potęgę wziąłeś zemstę ze wszystkich potworów krwi naszéj niesytych. Pan i sługa dzieliwszy z sobą zbrodnie, za twoim wyrokiem na jednym haku karę dzielą. Za ciebie pierwszy raz zadrżał przed haniebném drzewem przemożny złodziéj.“

XI.

Zejdźmy teraz z pola szerszéj działalności Zygmunta, skoro się nam już wysnuł niedługi wątek, zawróćmy do dawnych jego larów i penatów i rzućmy okiem na sprawy codziennego żywota. Do poprzedniego obrazu, o tak wybitnych rysach, przybywa niewiele ciekawszych i znamiennych szczegółów. Po rządnym i gospodarnym królewiczu możnaby się spodziewać, że w zamku głogowskim, nie cudzym ale już własnym, zastąpi teraz dawną ruinę i zniszczenie, sprowadzone przez pożogę wojenną oraz przez czas wszystko niszczący, zewnętrzna okazałość feniksa odradzaiącego się z popiołów, że wśród murowanych ścian odnowionego siedliska rozwinie się życie na stopę odpowiednią godności królewicza. Na dobrych chęciach może tu nie zbywało. Zygmunt przywiózł ze sobą wizerunki pałaców włoskich, które był nabył jeszcze za czasów swego pobytu w Budzyniu. Miał sposobność przypatrzenia się wzorom, ale zdaje się, że dla ważnych bardzo powodów wstrzymać się musiał od zamiarów naślado-

wania zbytku książąt i panów hołdujących we Włoszech sztuce Odrodzenia. Trzeba było, osiadłszy w zamku głogowskim nad Odrą, dbać przedewszystkiém o to, żeby dach nie zaciekał i deszcz komnat nie zalewał. Zajęto się więc założeniem na miejsce nadgniłych, nowych krokwi i pokryciem dachów. Miejscowy murarz Hanusz objął ogólny kierunek robót i doglądał blacharzy, którzy dach miedzią pokrywali. Z sąsiedniego Wrocławia kilkadziesiąt centnarów blachy sprowadzono. Wewnątrz poprzestano na odnowieniach niezbędnych drzwi i okien, żelaznemi sztabami spajano rozwiedzione mury, dorabiano szkoble i zamki. W swojéj komnacie królewicz kazał ciemne założyć zasłony, na prętach żelaznych. Na ścianach zawieszono opony, drewniane ławy pokryto „poławiem“ włoskiem. Nie zapomniano ozdobić łazienki domowéj, w któréj ustawiono piec czy kominek „spisany“ albo malowany. Na więcéj zbytku — mówiąc otwarcie — nie starczyło. Mieszkalnych komnat w obszernym, nadrujnowanym zamku snadź było nie wiele, skoro dostojni goście, przybywający zdaleka, w mieście szukali przytułku. Kiedy do Głogowy przyjechał książe Bartłomiéj z Münsterbergu, w poselstwie od króla węgierskiego, stanął gdzieś w gospodzie, choć przecie w zażyłości od dawna zostawał z królewiczem i mile przez niego zawsze był widziany.

Dworno było, co prawda, to jest ludno na zamku głogowskim, ale téż i wydatków się przysporzyło. Spiżarnia królewska, jak niegdy w Budzyniu lub Krakowie, już teraz nie zaopatrywała kuchni i piwnicy królewicza. Piękne dni Aranjuezu minęły. Trzeba było z własnéj szkatuły żywność wszelką nabywać. A gospodarstwo folwarczne wycieńczone, zbiedniałe, najpotrzebniejszych rzeczy dostarczyć nie mogło. Kupowało się cielęta, kury, kaczki, gęsi. Raz sprowadzono 264 skopów, nabytych na jarmarku, żeby już na cały rok starczyły na kuchnią zamkową. Coraz częściéj bywa wysyłany na polowanie strzelec nadworny, który bierze po kilka groszy na proch, na kulki, a przynosi jako łup myśliwski kuropatwy, przepiórki. Nadchodzą kiedy niekiedy dary dla księcia głogowskiego, ale nie bażanty, łososie, pstrągi jak poprzednio w Budzyniu, tylko zwierzyna obdzielna, co to na kilka obiadów starczy. Więc sarninę i najczęściéj sarninę przysyła z sąsiedniéj Wielkopolski pan Zbąski, wojewoda poznański, również i Sobek starosta opawski. Korzenie i przyprawy sprowadzać trzeba z Poznania, wino z Węgier a odległość miejsc znacznie koszt tych przedmiotów podnosi.

W ogóle stopa życia dworskiego jakby się zniżyła w Głogowie. Nie znać dawniejszego dostatku. Wszystko stosunkowo się kurczy, maleje, traci blask i koloryt. Muzyka i śpiew rozlegają się rzadziéj.

Obcych gęślarzy, wędrownych lutnistów mniéj w głogowskim zaścianku. Przyjdą chłopi, którzy krzepczą, kuglarze ze smokiem *(cum dracone et cum Rodis?, cum castro ad modum Rodis?)* niekiedy wędrowny śpiewak niemiecki zabłądzi do Głogowy... *Dolce far niente* jakby straciło swój czar upajający — obowiązki nowego stanowiska przerywały poobiednią chwilę błogiego marzenia. Jest po dawnemu nieodłączna Katrina, wychylająca się już jawnie z obłoków poprzedniéj tajemniczości. W księdze rachunków odtąd zdjęto z niéj całkowicie bezimienność i więzy wstydliwéj nieśmiałości pod działaniem czasu odpadają jak obsłona rozwijającego się kwiatu. W kancelaryi ruch się wzmaga, ożywia i urozmaica. Spraw coraz więcéj przybywa. Ale przesuwają się téż przez nią gęste cienie, które padają i na obraz życia zamkowego, przyćmiewając dawny jego blask, obniżając nastrój, co się już uwydatniło w rzuconych tylko co rysach.

Równowaga w budżecie chwiać się zaczyna. Dochody z różnych źródeł nadpływają skąpo, z trudnością, niekiedy się urywają zupełnie i w skarbie nadwornym następuje przarażająca posucha. Więc oczywiście wszystko wtedy kurczyć się musi. Pisarz, który w księdze rachunkowéj o téj mieliźnie pieniężnéj wzmiankę czyni, zaznacza ją temi prostemi słowy: „owego czasu, kiedy w skarbie pieniędzy nie było, wzięliśmy na kredkę.“ Z takim spokojem filozoficznym, jak pan rachmistrz bakałarz, zapewnie Zygmunt mądry i przezorny, nie spoglądał na to kłopotliwe położenie, które go wbrew oczekiwaniu zaskoczyło. Prawdopodobnie zawiodły go nadzieje spodziewanego zysku z wykupionych w Polsce starostw, które prócz spłacenia zastawników, wymagały znaczniejszych nakładów, nim większe a stałe dochody mogły zacząć dawać. Nie masz śladu w ciągu całych dwóch lat, żeby z Bieczą lub Kazimierza choć jeden grosz wpłynął. Tylko ze starostwa Olsztyńskiego raz niewielką pobrano sumę, tak iżby przypuszczać należało, że dochody z tego źródła obracano na pokrycie zaliczenia, jakie się wzięło od Bonara dla spłacenia poprzednich zastawników.

Sumy, które wpływają z dzierżawy starostwa głogowskiego i opawskiego oraz innych, o ile wymiarkować można, nie przenoszą rocznie 2,000 dukatów [1]). Przygodnie zasilały szkatułę królewicza takie dochody, jak

[1]) Dochody z księstwa głogowskiego płynęły z dóbr ziemskich czyli z włości należących do zamku głogowskiego oraz z opłat, ceł, czynszów, które pobierano z miast należących do księstwa. Szczegółowy spis tych dochodów z pierwszych lat XVI wieku, przed 1507 rokiem jak się zdaje, wykazuje następujące miasta i miasteczka: 1) Głogów—zamek i miasto, oraz sześć wioseczek; 2) Polkiewice miasto: 3) Freisztad — miasto i zamek; 4) Grünberg miasto bez zamku; 5) Sprotawa zamek i miasto; 6) Swebodzyn zamek i miasto. Ogólny dochód podany jest

pieniądze z jubileuszu 1501 roku, — w ilości około 500 zł., z mennicy głogowskiéj, 100 zł., z ofiary miasta Swiebodzyna 30 fl., z poboru uchwalonego przez szlachtę w ks. opatowskiém 545 fl. Zaczęło być krucho. Ratowały Zygmunta jakieś niewielkie dochody z margrabstwa łużyckiego, późniéj może z namiestnictwa, o czém jednak brak wiadomości. Król Władysław także coś jeszcze gotowizną dawał, ale w ogóle kłopoty pieniężne się powiększały, wzmagały, rosły i do zaciągania długów zmuszały, co mogło oczywiście niemałą stanowić dla Zygmunta nieprzyjemność. W 1502 roku w drodze powrotnéj z Węgier do Krakowa, pożyczyło się kilkadziesiąt dukatów, a w następnym 1502 r. coraz częściéj brało się to od starosty to od myncarza głogowskiego Jakóba Bonara, to od własnego marszałka dworu Szydłowieckiego. Niemiłem to także być musiało, kiedy wypadło się zapożyczyć na 30 dukatów u koadjutora Jana Turzo, właśnie podczas pobytu we Wrocławiu na początku 1504 roku, gdy Zygmunt jako jeden z komisarzy królewskich brał udział w sprawie zatargu z duchowieństwem, załagodzonego ową ugodą, która nosi miano Koolwrata. Byłto już niedobry znak, kiedy się takiemi drobnemi sumami dziury łatało. Raz tylko w 1503 r. wzięto większą kwotę tysiąca flor. od niejakiego Bernata Ursyna. Łatwo ocenić niedogodności, jakie wynikały z podobnych kłopotów. Brało się często na potrzeby dworu na kredkę najrozmaitsze przedmioty, to w Głogowie to w Wrocławiu. Kupcy z tego zysk ciągnęli a kredytu nie odmawiali, wiedząc, że zaspokojeni będą.

Jednym z głównych sprawców, jak się zdaje, tego nieładu, który się zakradł do budżetu domowego Zygmunta, stał się niesłowny król Aleksander. Na Zielone Świątki 1503 roku przypadał termin wypłaty 7,500 dukatów przyznanych przez oblig piśmienny. Termin nadszedł i minął, a król zobowiązania nie dotrzymał. Wysłano więc z Głogowy na początku lipca Mikołaja Szydłowieckiego do Aleksandra, który przebywał podówczas na Litwie i w liście przypomniano mu prawdopodobnie, daną przed rokiem obietnicę. Ale poselstwo żadnego skutku nie odniosło. Król stał się dłużnikiem prawie niewypłacalnym. Skarb koronny znajdował się w takiém znędznieniu, że nie było już prawie co zastawiać. Gdy Aleksander do Korony wrócił i w Lublinie w końcu 1503 roku bawił, pojechał był do niego w podobnéj myśli Leszczyński i także, jak się zdaje, nic nie wskórał. Nowe znów listy przez tegoż Leszczyńskiego wyprawiono na początku następnego

na 9752 grzywny czeskie oraz 2879 duk. węgierskich, ale wszystek niemal znajduje się w zastawie miast lub pewnych osób.

roku, na sejm do Piotrkowa, ale również bezowocnie [1]). Dopiéro po upływie kilku miesięcy udało się znaglić Aleksandra do przekazania 5,000 zł. na księżnę Annę mazowiecką, od któréj za ustąpienie lenna miał król w ratach umówionych pobrać 30 tysięcy zł. Resztę zaś przypadającéj należności czyli 10 tysięcy zł., zapewnił sobie Zygmunt na dochodach solnych z żup wielickich [2]) Były to więc okoliczności, łagodzące winę dopuszczenia przez królewicza nieładu w stosunkach swego gospodarstwa pieniężnego.

Wśród takiego stanu rzeczy zabiegi o zgromadzenie grosza wywoływały ożywioną czynność kancelaryi. Rozpisywano listy i wysyłano gońców do Krakowa, zkąd często przybywał pisarz Bonara Hanusz Bot i znów powracał, do — Poznania, zkąd celnik Amandus z trudnością przysyłał pieniądze, do Budzynia, dokąd wyprawiano różne do króla Władysława listy politycznéj lub prywatnéj treści, znoszono się wreszcie piśmiennie z rodziną królewicza. Królowa matka Elżbieta o młodszym synie pamiętała. Kiedy w Krakowie bawił darzyła go choć „konfektami;“ bo zapewne się i u niéj wierzchem nie przelewało. Syn się wywzajemniał przywiązaniem i troskliwością, raz i drugi wysyłał dla niéj chirurga Włocha. Snadź jéj cierpienia zaczęły się już na kilka lat przed śmiercią, która ostatecznie w 1505 roku nastąpiła. Od brata kardynała przybywa do Głogowy w 1502 r. (23 lipca) Tomicki, przywiózłszy od niego jakieś dary.

Czego piśmiennie załatwić nie było można, to osobistemu poruczało się porozumieniu. Na porządku dziennym ukazują się więc wycieczki i podróże. Nawet do odległego Budzynia jeszcze Zygmunt po dwakroć się puszczał. Zmiana miejsca stanowiła po części miłą rozrywkę po dłuższym pobycie w małym, cichym i zapadłym Głogowie.

Nie masz jednego roku w czasie pobytu na Śląsku, żeby królewicz jakiéj dalszéj nie przedsięwziął wycieczki. Kilka miesięcy posiedzi w swym posępnym zamku i jedzie do Wrocławia, Krakowa lub na Węgry dla ważnych syraw politycznych lub rodzinnych.

---

[1]) Zob. Gołębiowski str. 466. Poselstwo Zygmunta królewicza w osobie Rafała Leszczyńskiego na sejmie piotrkowskim 1504. Zygmunt ponawia żądanie dania mu namiestnictwa w Prusiech oraz przypomina dług swój 15 tysięcy duk. Król stanowczo odmowną daje odpowiedź co do Prus, co zaś do Mazowsza, które król węgierski radzi dać Zugmuntowi po zaszłéj właśnie śmierci księcia Konrada mazowieckiego, i w téj także sprawie nie przychyla się do wniosku a uiszczenie się z długu odkłada do pomyślnejszego czasu.

[2]) Wzory pism dawnych. Warsz. 1839 Nr. 74 z dn. 29 Paźd. 1504 r. w Krakowie.

W kilka miesięcy po porzuceniu Budzynia a po pewnym krótkim pobycie w Głogowie, zaszła nieodbita potrzeba odwiedzenia króla Władysława, który we Wrześniu 1502 roku odprawiał swe gody weselne z Anną księżniczką francuską, córką Gastona de Foix. Jak tu nie wziąć udziału w takiéj uroczystości brata, dla którego ma się tyle wdzięczności i tyle serdecznego przywiązania? Niech choć przynajmniéj jeden z rodziny Jagielonów uczestniczy w obrzędzie zaślubin i koronacyi młodéj królowéj węgierskiéj. Może ona nareszcie wyda na świat pierwszego prawnego potomka jagielońskiego, na którym dotychczas zbywało trzem budrysom litewskim.

Jedzie się więc z całym dworem i taborem na Węgry: dwór przez Wrocław do Opawy, królewicz najętemi końmi w nielicznym orszaku wpada na krótko (początek września 1502 r.) do Krakowa. W Opawie wszyscy się łączą i razem znaną nam już drogą przez Trenczyn. Nitrę, Gran czyli Strygonium zdążają do miłego Budzynia. Tam krótki także odpoczynek, małe sprawunki, naprawa puchara złotego, który się w upominku przywiozło dla króla i daléjże w drogę do Białogrodu (Stuhl Weissenburg), gdzie obrzęd koronacyi. Po tygodniowym tam pobycie powrót do Budzynia na początku października.

Na dworze królewskim w Budzyniu uczty, zabawy, wesele. Ani się królewicz spostrzegł, jak pięć z górą tygodni minęło w naddunajskim grodzie. Zajmuje on dawne swe mieszkanie. Odwiedzają go znajomi, prałaci, biskupi. Nadchodzą dary i upominki. Biskup sirmiński z pogranicza serbskiego przysyła beczkę wina, którego wysokie zalety znane są dobrze na Węgrzech, mnisi od św. Szczepana także beczkę wina, król również, inni zakonnicy przychodzą z koszem jabłek. Biskup nitrzański ofiaruje trzy psy angielskie, proboszcz z Białogrodu Turzo po dwakroć do stajni daje inochodniki czyli rycerskie konie. Zupełnie inaczéj jak w Głogowie. Królewicz używa gorących kąpieli w cieplicach, kudłatego Bielika po dawnemu prowadzi Sidor do łaźni. Na każdym kroku tyle tam wspomnień świeżych, jakby to wczoraj było. Żacy ze wszystkich stron się zgłaszają. Muzyka uprzyjemnia uczty. Przychodzą lutniści, gęślarze, błazny od króla, od królowéj, od Kolowrata, fletniści od księcia lignickiego Fryderyka, herold z dworu margrabiego brandeburskiego, z jakąś laską spiżową (*cum baculo eneo et cum wopi?*). Królewicz przyjmuje u siebie króla i innych gości, po obiedzie gra się w karty, czasami w szachy. Trzeba nawet zabrać ze sobą instrument muzyczny (*virginalis*), który się za 24 dukaty kupuje w Budzyniu. Jak to tam miło musiało być w tém mieście! Po trzech latach jeszcze raz się tam doń wróci — odwiedzić brata.

Najbliższa droga z Budzynia do Głogowy prowadzi wprawdzie przez Opawę i Wrocław, ale trzeba nadłożyć nieco drogi i wracając wstąpić do Krakowa. Zatrzymuje się najprzód w Opawie. Pierwszy raz królewicz dłużéj bawi, przez cały niemal grudzień 1502 r. w głównem mieście swojego księstwa opawskiego — a ztamtąd podąża do brata kardynała Fryderyka, który coraz więcéj zapadał na zdrowiu. W styczniu, kiedy Zygmunt właśnie go odwiedził, około św. Trzech Króli, jeszcze wieczorem grywał z nim w karty. Ale choroba toczyła już ciało i nadgryzała szpik kości. Nadzieja wyzdrowienia i odzyskania dawnéj czerstwości była słaba. Zdawało się, że życie już gaśnie, że dni kardynała są policzone. Dlatego przeciągnął się téż pobyt Zygmunta w Krakowie. Przy łóżku chorego przesiadywał królewicz często, tydzień za tygodniem upływał. Zygmunt znów stanął „w myncy" u Kacpra Bara. Widywał téż czasami małego Janusza. O potrzebach jego kazał pamiętać Kayzerowi, dając mu po kilka dukatów. Aż oto w połowie marca (1503 r.) stan zdrowia brata Fryderyka się nagle pogorszył i kardynał żywot swój zakończył.

Więc żałoba, uroczystość pogrzebu, a potém po ośmiomiesięcznéj nieobecności powrót w końcu kwietnia do Głogowy.

W dwa lata późniéj (1505 r. 30 Sierpn.) matka, królowa Elżbieta umarła i dobry, czule ją kochający syn podążył na smutny obrzęd pochowania zwłok i znów z tego powodu przez czas pewien gościł w Krakowie. Przyczyny poprzednich i następnych jeszcze przyjazdów nie są wiadome, ale to tylko jest rzeczą pewną, że w ciągu kilku lat, poczynając od 1502-go, nie masz ani jednego roku, żeby Zygmunt na krótszy lub dłuższy czas nie zajrzał do Krakowa. W ostatnim nawet roku, kiedy doczekał się nareszcie wyniesienia swego na tron litewski i polski, gościł w stołecznym grodzie Polski kilka, jak się zdaje miesięcy, wyjechawszy do Głogowa dopiéro w końcu marca 1506 roku.

W sąsiednim Wrocławiu, odległym od Głogowa, stałéj swéj siedziby, o dwa tylko noclegi, także rok rocznie bywał Zygmunt niejako z urzędu, jako książe głogowski biorący udział w obradach sejmu prowincyonalnego, lub jako komisarz królewski w sprawie zatargów duchowieństwa; następnie zaś jako namieśnik królewski i najwyższy starosta, lubo w 1505 roku zjazd stanów szląskich odbył się nie we Wrocławiu ale w mieście Prunidku.

We Wrocławiu nie bywało tak dworno jak w Budzyniu. Królewicz przybywał zwykle ze szczupłym swym orszakiem dworzan i służby, chociaż nie mógł uchylać się od świadczenia gościnności licznym książętom i panom śląskim. Jeszcze namiestnikiem nawet nie był,

a już się wszyscy na królewicza polskiego oglądali. Stosunki krwi z bratem Władysławem, zwierzchnim władcą Śląska, tudzież z bratem Aleksandrem, królem sąsiedniéj Polski dawały mu to pierwszeństwo przed innymi. To zaś zaszczytne stanowisko narzucało pewne obowiązki towarzyskie. Trzeba było podwoje trzymać otworem. Podczas obrad w sprawie owéj ugody Kolowrata (w styczn. 1504 r.) przyjmował u siebie Zygmunt wszystkich książąt wspaniałym obiadem.

W ich towarzystwie bywało, jak się zdaje, niekiedy wesoło, swobodnie, może nawet za swobodnie. Odznaczali się oni oddawna usposobieniem hulaszczém, skłonnością ku pijatyce i zawdzięczali te nabytki wraz z wynarodowieniem szerzącym się między nimi obyczajom niemieckim. Hazardowne gry, które były, jakby dziedziczną, narodową namiętnością Niemców, według świadectwa Tacyta, stały się jedynym powabem zebrań towarzyskich. Zygmunt zasiada téż do gry w karty z księciem Kazikiem, ale już chyba nie dla samego tylko zabicia czasu, bo każe sobie podać ze szkatuły aż dziesięć dukatów. Tego w Krakowie lub w Budzyniu nigdy nie czynił. Najwyżéj brał do gry jednego dukata, dwa zaś lub trzy — wyjątkowo. W tém samém towarzystwie wesołych i hulaszczych książąt zaszła téż raz około tego czasu (a było to w karnawale) potrzeba kupienia u aptekarza aż sześciu pudełek „z konfektami,“ które były ofiarowane paniom (?) przy wysiadaniu z powozów owego wieczoru, kiedy na ucztę i biesiadę do królewicza przybyły.

Miałyżby to być same księżne małżonki, które na wstępie, u progu takiemi witano słodyczami. Być może, że ta wytworna uprzejmość względem dam cechowała rycerską duszę gościnnego gospodarza, ale wątpić się godzi, ażali ówczesny obyczaj pozwalał księżnom i paniom bywać na biesiadach u nieżonatego królewicza?

Panna zaś Katrina, która wraz z Zygmuntem przybyła z Głogowa do Wrocławia i jednocześnie w tem mieście bawiła, nie mogłaż chyba czynić honorów domu... Więc domyśléć się nie trudno... Ale na szczęście Zygmunta ten wyższy świat książąt i panów śląskich, przejęty nieco zgnilizną moralną, otaczał naszego królewicza niezbyt długo.

Latem 1506 roku po odbyciu sejmu prowincyonalnego we Wrocławiu, wypadło mu znów daleką przedsięwziąć podróż i porzucić na czas jakiś Głogów, wzywał go bowiem do siebie na Litwę chorobą znękany brat Aleksander. Zygmunt puścił się wnet w odległe strony, ani przeczuwając, że już do Głogowa i do Śląska w ogóle nie wróci, bo go niebawem czeka w Wilnie tron litewski, a w Polsce korona królewska. W początkach stycznia 1507 roku zdążał téż Zygmunt do Krakowa, żeby nią nareszcie ozdobić swoje skronie.

Nasz wątek się opowieści wysnuł. Stanęliśmy u kresu zadania w chwili, kiedy Zygmunt został królem polskim. Wprawdzie młode jego lata, które wystawiliśmy na czele rozprawki, skończyły się może już znacznie wcześniéj, ale względnie do następnéj połowy jego żywota spędzonego na tronie, mogą poniekąd uchodzić jeszcze za epokę młodości i przeto usprawiedliwić tytuł, na początku naszéj pracy położony. W każdym razie powołanie go na tron, powrót z obczyzny do własnego kraju zamykają jeden, długi okres w życiu Zygmunta i otwierają nowe przed nim pole działalności. Rozstajemy się z nim w dobie, gdy się znajduje *nel mezzo del' cammin di... vita*, jak mówi Dante (*L'inferno*, I. 1.). To właśnie sposobna chwila, żeby przebieżoną już połowę drogi ocenić, jéj kierunek wyrozumieć, zmierzyć siłę biegu i sięgnąć okiem przed siebie na tę następną drugą część życia, aby zestawić je wzajem i porównać, wykazać ich podobieństwo lub różność, wyszukać ich wspólne rysy. Tyle nowych przybyło wskazówek, takie dawniéj nieznane wystąpiły na jaw strony charakteru i usposobienia Zygmunta, z pierwszéj epoki jego życia, że warto usiłować choć tém drobném światełkiem wydobytém z ukrycia oświetlić obraz późniejszéj doby i przypatrzéć się temu, jak zawiązki z lat młodych w bujny kwiat się rozwinęły, a owoce z lat dojrzałych jak wyrosły z ziarn rzuconych w glebę duszy w wiośnie życia.

XII.

Korona królewska, berło i tron w niczém istotném nie zmieniły Zygmunta, kiedy w drugiéj połowie swego życia na długie i bardzo długie lata obejmował ster losów wielkiego państwa. Jakim był poprzednio, takim i nadal pozostał. Młode, niewyrobione charaktery mogą być dla współczesnych nieprzeniknioną zagadką, gdy przychodzą do władzy, ale nie ludzie dojrzali, którzy przywykli już kroczyć po wydeptanych przez siebie ścieżkach. Natura drzewa przez to bynajmniéj się nie zmienia, że ono rośnie albo w ogrodzie skromnego wieśniaka, lub wśród kwietników nieopodal wspaniałego pałacu. Jednakiem tu i tam pokryje się ono liściem i kwieciem, a we właściwéj porze podobne do siebie wyda owoce. Gęstwina sąsiednich drzew może powstrzymać bujny wzrost konarów, którym sprzyjać będzie słoneczny przestwór wielkopańskiego ogrodu, ale zarówno tam, jak i owdzie, istota drzewa nie ulegnie zmianie. W inne otoczenie dostał się Zygmunt, kiedy ujął w swe ręce najwyższą władzę, stanął wśród blasku słońca, pełni światła i powietrza i znalazł sprzyjające warunki do roztoczenia w całym powabie właściwości swéj duszy. Jakoż do

wyższéj potęgi wyniosły się pierwiastki duchowéj jego istoty, zolbrzymiały przez samo tło, wielkie i szerokie, na którém się rozpostarły jego dobre skłonności, uzdolnienia, popędy i upodobania, ale istota sama, znamienne jéj cechy, jak natura owego drzewa, pozostały te same. Duchowa jego treść nie wyłoniła z siebie żadnych nowych sił, którychby poprzednio w zawiązku dostrzedz nie było można. Tylko wyjątkowych ludzi staje się udziałem, że potrafią w dojrzałym już wieku wydobyć z siebie na jaw nieprzeczuwane przez nikogo bogactwa umysłu, duszy i charakteru. Zygmunt, jako król na tronie polskim, nie zgotuje niespodzianek tym, którzy przy świetle zebranych przez nas szczegółów zdołali zbadać głębię duszy Zygmunta, jako królewicza. Z wątków już znanych powstawać będzie pasmo działalności na widowni publicznéj.

Jako głowa państwa i wódz narodu, nie poprowadzi on społeczności na drogę zaborów, krwawych zdobyczy i śmiałych podbojów. Nie pali go żądza zbierania wawrzynów na polu orężnéj walki. W obozie się nie wychował, do surowego wojskowego życia nie przywykł, czterdzieści lat spędził w spokojnéj i wygodnéj atmosferze dworskiéj. Rycerskie ćwiczenie nie było mu obcém, koniem toczył zwinnie, w turnieju zręcznie kruszył kopią, niezwykłą siłą uderzenia wyrzucał z siodła przeciwnika, ale w te zabawy i szermierki nie kładł całego swego zapału, całéj swéj duszy. Podczas nieszczęśliwéj wyprawy mołdawskiéj służył w 40 koni, szła wielka gra o tron hospodarski dla siebie. Nie mógł zresztą inaczéj dobijać się przyszłości. Lecz z téj niefortunnéj wojny tylko jeszcze większe zniechęcenie do wszelkich przedsięwzięć wojennych mógł wynieść. Oręż polski pokrył się ciężką niesławą. Taka klęska, jak bukowińska, odstraszy, zrazi do krwawego boju — nietylko wodza — ale całe współczesne mu pokolenie. Wspomnienie jéj świeże w umysłach, niezatarte, ostudza zapał, hamuje zapędy, do rozwagi pobudza. Wyłamać się z pod gnębiącego jéj wpływu potrafią tylko niezwykłą energią obdarzone natury, oraz narody przejęte na wskroś wojowniczym duchem. Klęska zaś bukowińska spadła na społeczność polską w epoce już gasnącego usposobienia do orężnych wypraw, w chwili rozpoczętego już gnuśnienia. Zygmunt z całém współczesném mu pokoleniem, które brało udział w tém wielkiém a tak bezowocném ruszeniu pospolitém przeciwko Mołdawii, dzielił uczucia zniechęcenia do niebezpiecznéj i pełnéj zawodów polityki zdobywczéj, zaborczéj, zaczém poszło odwrócenie się wogóle od obozu, od życia żołnierskiego.

Wszystkie niemal wojny, które Zygmunt prowadzi, są raczéj obronne niżeli zaczepne. Konieczność znagla go do odbijania ciosów

zadawanych na granicy wschodniéj, do odpierania zagonów tatarskich lub mołdawskich napadów, do zabezpieczenia się od strony zakonu krzyżowego, ale to nie akcya płynąca z samoistnéj woli celem urzeczywistnienia jakiegoś szeroko i śmiało zakreślonego pomysłu. Nawet ta wyprawa turecka, tak ustawicznie narzucana przez papieży, która najwięcéj jeszcze przypaść mogła do religijnego usposobienia Zygmunta, nie potrafiła go tak zagrzać, jak zapaliła stryja jego rodzonego Władysława, któremu też śmierć pod Warną zgotowała. W tych obronnych wyprawach bierze wprawdzie król udział osobiście, szczególniéj dogląda przygotowań, jest czynnym w rozległych i wszechstronnych zarządzeniach, przebywa w obozie, zwłaszcza w pierwszym okresie wojen z w. ks. moskiewskim, ale zapał wojenny nie unosi go tak, żeby na czele hufców szedł w ogień nieprzyjacielski, jak Franciszek I-szy, jak Ferdynand, jak późniéj Batory. Ani zdolności nie posiada wielkiego wodza i tego świadom jest najzupełniéj, ani uważa za stosowne życie swe narażać zwłaszcza wtedy, gdy z licznéj poprzednio rodziny Jagiełłów on tylko z bratem pozostał Władysławem, którego wątły syn nie zapowiadał mocnéj podwaliny dla podtrzymania dynastyi, a sam tak późno wstąpiwszy w związki małżeńskie, dopiéro z drugiéj żony doczekał się męzkiego potomka, spadkobiercy swego imienia, podpory nadwątlonego rodu. Pięćdziesiąt kilka lat życia liczył, kiedy nareszcie przybył mu w osobie Zygmunta Augusta przyszły dziedzic ojcowizny litewskiéj i wtedy tylko starzejący się już król mógł z pewną otuchą spoglądać na dalszy rozrost pnia Jagiełłowego. Ale i w takim razie, kiedy nadzieja utrzymania dynastyi polegała na jednéj jedynéj latorośli, nie było jeszcze powodu do lekceważenia niebezpieczeństw, jakie zwykle niesie ze sobą każda wojna.

Ta okoliczność objaśnia i poniekąd usprawiedliwia umiarkowany zapał wojenny króla. Jego oględność pochodziła nadto i stąd, że spotkawszy w pierwszych zaraz latach swojego panowania wyraźną niechęć szlachty do wypraw wojennych [1]), tém mniéj uczuwał w późniejszym wieku pobudki narażania swego zdrowia na niewygody życia obozowego. Lubo w orędziach królewskich wystawioną jest gotowość Zygmunta położenia życia w razie potrzeby dla sprawy ogólnéj i lubo nie masz zasady podawania jéj w wątpliwość, jednakże konieczność tak wielkiéj ofiary nie nastąpiła, bo uznanie jéj od samego Zygmunta zależało. Nie widać też wogóle u króla zamiłowania do rzemiosła rycerskiego, do tego oddania mu się z zapałem, jaki zna-

[1]) Zbytecznem jest — pisze król w 1513 r. w liście do kasztelana krakowskiego — pracować dla dobra tych, którzy dobra swego nie pragną i niém gardzą. Acta Tom., II, 224.

mionował dobę bohatérskich dziejów Polski. Tak blisko spokrewniona z niém żyłka myśliwska nie rozwinęła się u niego w namiętność, jakiéj hołdował ojciec—Kazimierz Jagielończyk i inni.

Zygmunta ideały, jako głowy państwa, jako wodza narodu, płynęły z innego źródła, które niewiele miało wspólnego z klęskami, jakie towarzyszą wojnie, z mordem, pożogą, łupem i grabieżą. Do innéj i wprost przeciwnéj odnoszą się one dziedziny, biorąc swój początek z zamiłowania do sprawiedliwości, do porządku, ładu, harmonii, do pracy około doskonalenia się w zakresie życia materyalnego, jak i duchowego. Zygmunta ideał, kiedy przychodzi do władzy — to misya cywilizacyjna, spełnienie wielkiego posłannictwa celem ugruntowania podstaw społecznych, ujęcia w karby burzliwych żywiołów, podniesienia bogactwa narodowego, zaprowadzenia ogłady i poloru, nadania całemu życiu cechy lepszych i wyższych dążeń. Zygmunt jest nieodrodném dzieckiem epoki humanizmu, płynącego do Polski na schyłku XV-go wieku coraz szerszém korytem. Ten wskrzeszony świat klasyczny przemawia do jego wrażliwéj duszy wspomnieniami tych wielkich dzieł, jakie powstały pod wpływem dobroczynnego pokoju, tego szczęścia i zadowolenia między ludami, które sprowadziła na nich owa *pax romana*. Ta *immensa majestas* — ta niewysłowiona wielkość złotego pokoju rzuciła, jakby czar nieprzeparty na Zygmunta i wzbudziła w jego umyśle chęć dorównania tym wzorom, jakie w swych rządach zostawili postacie Adryanów, Antoninów, Aureliuszów. Zródła wpływu humanistycznego nie płynęły, jak się zdaje, z bezpośredniego zgłębiania dzieł starożytnych, bo śladu ich nie widać wcale wśród nielicznych druków, jakie miał Zygmunt pod ręką, ale raczéj z téj atmosfery duchowéj, która go otaczała w części w Polsce na dworze ojca i brata Olbrachta, w części zaś i to przeważnéj na Węgrzech w Budzyniu. Za życia króla Macieja Korwina stolica węgierska stała się ogniskiem bardzo ożywionego ruchu humanistycznego, łacina miała swych wybitnych przedstawicieli zarówno w prozie jak i poezyi, a w bibliotece nadwornéj gromadzono niepospolite skarby. Częste były stosunki z Wenecyą oraz z Rzymem. Stamtąd szły ożywcze promienie. Sztuka odrodzenia znalazła hojnych mecenasów w osobie króla, magnatów i duchowieństwa. Polor humanistyczny udzielił się biskupom, opatom i dostojnikom kościelnym. W tém otoczeniu, które swego nastroju nie zmieniło nawet po śmierci króla Korwina, w téj stolicy Węgier, która świetność swą zachowała na czas jakiś, chociaż Władysław jéj nie podtrzymywał, spędził trzy lata swego życia królewicz Zygmunt.

Rządy na Śląsku, od których zaczął się publiczny zawód Zyg-

munta, skierowały go od razu na drogę pracy około ustalenia pokoju, zaprowadzenia ładu i porządku w zarządzie wewnętrznym. Tém łatwiéj przyjmowały się ideały pracy w podobnym kierunku na korzyść własnego swego, ojczystego państwa, ile że znajdowały grunt w saméj duszy Zygmunta. Jego cała istota duchowa dałaby się streścić w kilku słowach. Jego *force maitresse* — że tu użyję terminu Taine'a—jego górująca nad innemi własność, to zamiłowanie harmonii, piękna, symetryi, blasku, przepychu i wytworności w najrozmaitszych postaciach widzialnych i niewidzialnych, w kształtach tonów, barw, form architektonicznych, przepychu szat, wystawności zastawy stołowéj, domowego ładu i wewnętrznéj, duchowéj zgody i pokoju. W téj jego właściwości znajduje się klucz do zbadania całéj pracowni jego ducha. Przez nią objaśnia się jego powaga i statek, słoneczna pogoda umysłu i usposobienia, złote serce, tkliwe i pełne delikatności uczucie względem pierwszéj i drugiéj żony, gorące przywiązanie do dzieci, wreszcie szczery religijny nastrój duszy. W życiu zaś publiczném, w pracy około dobra ogólnego głębokie uczucie sprawiedliwości, gospodarność i rządność, dbałość o pomyślny rozwój państwa, o jego rozkwit materyalny i duchowy. Kierunki, które się w okresie lat młodych zlekka zaznaczyły, wystąpiły w działalności królewskiéj pełniéj i wyraźniéj.

Te praktyki religijne, które się ujawniały w ścisłém przestrzeganiu przepisów kościelnych wszędzie i zawsze, gdzie nam się odsłoniła postać Zygmunta, były wyrazem nie jakiegoś nawyknienia, czczéj formalności, ale szczeréj, głębokiéj wiary, żywéj i czynnéj. Na tronie królewskim bynajmniéj nie ustaje ta religijna gorliwość. Zygmunt zostaje do końca życia wiernym swojéj wierze i swoim przekonaniom. Nietylko po dawnemu wiąże go z kościołem praktyka, uczęszczanie na nabożeństwa, pielgrzymki na Skałkę, jazdy do Częstochowy, do klasztoru ś-tokrzyskiego na Łyséj Górze, bogate wota składane na ołtarzach, posty, jałmużny, częsta spowiedź, lecz zarazem ożywia go mocne przekonanie, że króla obowiązkiem jest wspierać, podtrzymywać kościół i bronić téj boskiéj instytucyi. To téż wciskająca się do Polski reforma, nowa nauka religijna znajduje w jego osobie zaciętego przeciwnika. Bo za tą rzekomą wolnością, zdaniem jego, ukrywała się swawola polityczna, która podkopywała i burzyła w swych następstwach porządek społeczny. On stanął przeciwko niéj, jako jéj jawny nieprzyjaciel i tego stanowiska nie opuścił do końca swego królowania. Nie masz tu potrzeby powtarzania powszechnie znanych środków, rozporządzeń i edyktów, które pod jego wychodziły powagą, może za jego wprost wskazaniem, ale nie zawadzi podnieść tu nowéj

okoliczności, jego niestrudzonych starań, aby córka Jadwiga, która wyszła za Joachima brandeburskiego, późniéj różnowiercę, została wierna wbrew wpływom męża wierze swych przodków. Te króla zabiegi, już prawie zgrzybiałego, te jego napomnienia w listach do córki tak szczere, serdeczne, świadczą o jego przekonaniach lepiéj może, niżeli wszystkie urzędowe orędzia i edykta. Na schyłku swego długiego życia zawsze jeszcze objawiał tę samę gorliwość religijną, jaką jako królewicz się odznaczał podczas pobytu w Budzyniu, Krakowie.

Jeżeliby ta strona charakteru i usposobienia Zygmunta nie wydała się dostateczném świadectwem jego dążeń do utrzymania w mocy stosunków wyższego rządu, religijno-kościelnych, stanowiących w jego pojęciu zasadę harmonii społecznéj, to inne wyrażały jak najdobitniéj jego wszechstronne staranie celem przywrócenia i ustalenia porządku, ładu we wszystkich dziedzinach życia publicznego. Od pierwszéj chwili wstąpienia na tron, aż do jakich lat 70-ciu życia, w ciągu niemal 30-tu lat panowania, bo ostatniego okresu ciągłéj choroby i zgrzybiałego zniedołężnienia nie można już brać w rachubę, snuje się szereg nieprzerwany usiłowań, poświęconych urzeczywistnieniu tego wielkiego ideału—dźwignienia Polski z toni jéj rozstroju, spojenia rozluźnionych składowych jéj części w jędrniejszą całość. Na têm polu wyrósł tytuł niespożytéj Zygmunta chwały. Jak w Głogowie i Opawie, i wogóle na Śląsku, przywracając spokój, ustalając sprawiedliwość, zaprowadzając ład i porządek, zjednał sobie trwałą u ludności wdzięczność nietylko współczesnego pokolenia, ale i potomnych pokoleń, tak w tym samym postępując duchu w Polsce, zasłużył sobie na niezatartą pamięć swych dobroczynnych rządów.

Gospodarność, rządność, które cechowały królewicza, pozostały znamienną jego właściwością, kiedy w wielkiém, rozległém państwie administrować zaczął. Współczesne źródła, późniejsze wiarogodne świadectwa stwierdzają zgodnie jednę niezaprzeczoną okoliczność, że Zygmunt brał w spadku Polskę, któréj skarbowość do zupełnéj ruiny doprowadzili ojciec Kazimierz i dwaj bracia, Olbracht i Aleksander. Takiego zubożenia skarbu, obdłużenia dóbr koronnych, takiego wycieńczenia, jakie zapanowało na dworze, chyba nigdy jeszcze nie widziano. Ta straszna nędza sprawiła, iż dziejopisowie, na których się powołuje mówca pogrzebowy Orzechowski, przekazali pamięci, iż nic biedniejszego nie masz nad króla polskiego. Nietylko nie ma za co wojny prowadzić, posagu córce dać nie może, ale nawet gotówki nie posiada, kiedy chce sobie konia kupić. Jeżeli go nabędzie, to tylko w ten sposób, że do zastawnéj sumy, w jakiéj wierzyciel trzyma dobra królewskie, kilkanaście dukatów dopisze. Istotnie, prawdziwości tego

obrazu nędzy nic więcéj i wymowniéj nie stwierdza, jak wspomniana już za Aleksandra na dworze oszczędność szafarza, który miał Zygmunta kuchnią zaopatrywać, a nie miewał w śpiżarni ani mąki, ani chleba, ani masła i zmuszał królewicza do nabywania z własnéj kieszeni na swój stół to bułek, to obwarzanków, piwa i wina. Czego to na krédkę nie brano u kupców krakowskich za Aleksandra?

Zygmunt dźwignął górę Atlasu i w ciągu kilku lat dokonał pracy herkulesowéj. Istotnie, z podziwienia wyjść nie można, jak król potrafił w tak prędkim czasie oczyścić tę stajnię Augiasza. Gospodarność jego i rządność, zamiłowanie ładu i porządku w tych sprawach występuje w blasku niezaćmionym. Energia w tém niespożyta, wytrwałość żelazna, napięcie uwagi ani na chwilę nie słabnące. Dobra z zastawu wykupione, żupy solne podobnież, cła przywrócone skarbowi, mennica powołana do życia. Na pieniądzach nawet odtąd puszczanych w obieg widać jakiś znak porządku, na wszystkich odbity rok, tak iż pod tym względem rok 1507-my jest niejako epoką w numizmatyce polskiéj. Kredyt ma król u bankierów krakowskich otwarty. Jego słowność i rzetelność budzi powszechne zaufanie. I ten ład w skarbowości to nie chwilowy, ale ciągły, stały, nieprzerwany, wynik starania nie jednorazowego, przelotnego, ale owoc niezmiennéj właściwości umysłu i charakteru Zygmunta. Skarb zaś publiczny, o którego założenie tak samo król zabiega, nie przychodzi do skutku, ale nie przychodzi do skutku z winy króla, tylko tych dwóch stanów duchownego i szlacheckiego, które strzegły jak oka w głowie swego przywileju niedawno zdobytego—nieprzyzwalania na pobory, z jakichby się mogły utworzyć zawiązki skarbu publicznego. Bo że taki przezorny, przewidujący gospodarz i szafarz jak Zygmunt, o konieczności jego był przekonany, ulegać żadnéj wątpliwości nie może. Opór, jaki spotkał w téj mierze, był tak silny, że go przełamać nie potrafił ku szkodzie swojéj sławy i swojego państwa. Azaliż szczęśliwszym był w téj mierze Batory, Zygmunt III, Władysław IV i inni? Niepowodzenie więc nie staje się wyłącznie winą jego charakteru, usposobień i zdolności.

Jako szafarz majątku i dóbr stołowych królewskich, umiał Zygmunt podtrzymać swą sławę z okresu królewiczowskiego, jako oszczędny i przezorny gospodarz, który się kocha w ładzie, porządku; gromadzi zasoby, aby módz podtrzymać godność i powagę majestatu. Miał w tym kierunku tak wyrobiony zmysł, tak czujny i wraźliwy, że w kościele podczas nabożeństwa dostrzegał na ołtarzu braku świecy lub niewłaściwego jéj umieszczenia. W gospodarstwie publiczném dbał także o ten ład, szczególniéj przestrzegając tego, aby zamki

które miały służyć do obrony, utrzymywane były w należytym stanie. Wiész o tém—pisze do jednego ze starostów,—że bardzo dbamy o ich podźwignienie z ruiny (Tom. I, 220, r. 1511).

Zamiłowanie tego porządku sięga u Zygmunta dalej i objawia w nim dążenie do ogłady, wdzięku, okazałości, przepychu i do piękna artystycznego. Nietylko go muzyka i śpiew zajmuje, nietylko jest wrażliwym na harmonię tonów i dźwięków, ale ma głębokie wogóle poczucie estetyczne. Kocha się w budownictwie zarówno religijném, jak i świeckiém, potrafi ocenić wartość rzeźby i malarstwa, smakuje w przepychu zastawy stołowéj, tak uszlachetnionéj przez styl renesansowy, dba o piękne dla siebie szaty i stara się wdzięk oblicza podnieść, zdobiąc swe czoło wieńcem z róż i fiołków. Musiał w królu ten zmysł estetyczny stanowić bardzo silny pierwiastek jego ducha, skoro od pierwszéj chwili wstąpienia jego na tron, mimo ciężkich warunków i wycieńczenia skarbu nadwornego szukał środków zadośćuczynienia swym wymaganiom. Ów Franciszek, Włoch, architekt, zgodzony jeszcze w 1502-im roku do dworu królewicza, już stał się przewodnikiem na drodze budowlanéj,—a późniéj inni wspierali króla. Dźwigał się zaraz w pierwszych latach rządów Zygmunta z zaniedbania i ruiny zamek na Wawelu, który wspaniałością swoją olśnił współczesnych. Decyusz, który był świadkiem naocznym tego rozkwitu wiosennego sztuki w Polsce, już pod rokiem 1518-ym wspomina o Wawelu i dodaje, że niewiadomo, czy podziwiać więcéj królewską okazałość w artyście, czy artystyczny zmysł króla. Uderzał go szczególniéj nadobny, śliczny krużganek, włoskim obyczajem wsparty z zewnętrznéj strony szeregiem wysmukłych kolumn. A były to przecież tylko początki, które następnie tak bujnie się rozwinęły, że powstała owa przecudnie piękna kaplica Zygmuntowska, jedno z najsłynniejszych arcydzieł włoskiego renesansu. O ile nie mylą pewne wskazówki, można przypuszczać, że król nietylko żywo zajmował się postępem saméj budowli, ale udzielał nawet pewnych wskazówek, opartych na znawstwie i wyrobionym smaku artystycznym. Przykład króla, który budował jak niegdy Salomon, działał na otoczenie niby słońce, które rzuca w około promienie, ożywia, podnieca i ku niebu podnosi. Poszli tą drogą możni panowie, poszli Szydłowieccy, owi towarzysze lat młodych króla, jego satelici nieodłączni, poszedł Kmita, Bonar i inni. Nietylko Kraków stroił się w zamki i kaplice królewskie, ale i inne siedziby, w których Zygmunt przebywał: więc Niepołomice, więc Piotrków, Lublin, Sandomierz, szczególniéj zaś Wilno. Król stawał się sprężyną artystycznego ruchu, nietylko w Krakowie, ale i w innych miastach. Bogate mieszczaństwo wtórowało temu upodobaniu. Więc zazieleniło się na

wszystkich polach sztuk nadobnych, zaczęło kwitnąć malarstwo, rzeźba, snycerstwo, złotnictwo, odlewnictwo i t. d. Każde takie nazwisko, jak Dürer, jak Hans Sues von Kulmbach, delle Lore Berecci, Stanisław Stwosz, Behain i inni, stanowi jakiś postęp na drodze ogłady i uspołecznienia ówczesnéj Polski.

Plastyczna sztuka nie pochłonęła jednak całéj artystycznéj uwagi Zygmunta, obok niéj po dawnemu występowało zamiłowanie do melodyi tonów i dźwięków. Śpiewacy, lutniści, gęślarze nietylko krajowi, ale i z obczyzny sprowadzani, stanowili przy dworze nieodzowne otoczenie, dostarczając artystycznych przyjemności [1]. Mogła królowa Bona istotnie przyczyniać się do podniesienia skali wytworności i dworskiéj ogłady, ale przed jéj przybyciem już wyraźnie się uwydatniła artystyczna króla natura. Dlaczegóż więc podnosić nadmiernie wpływ Włoszki, a Zygmunta obierać z liści wawrzynu?

Porządkujący zmysł Zygmunta, zamiłowany w ładzie i układzie, potrafił znaleść dla siebie wdzięczne pole w dziedzinie sprawiedliwości, która się opiéra niemal wyłącznie na harmonii stosunków ludzkich. Przywracaniem równowagi, naprawianiem złego, wzmacnianiem zasad nadwerężonych zajmuje się król żywo przez długie lata, dopóki sił starczyło. Miał głęboko wkorzenione uczucie słuszności i to dobre o jego sprawiedliwości mniemanie nietylko po całym kraju było rozpowszechnione, ale i po za granice Polski sięgało, tak iż powoływany niekiedy za rozjemcę Polski przez współczesnych monarchów, zjednał sobie zaszczytne miano sędziego królów. Na polu kodyfikacyi nie tak szczęśliwy, jak Kazimierz W., znaczne jednak i w tym względzie położył zasługi. Gdyby pobudki jedynie za miarę wartości moralnéj człowieka brane być mogły, umiałby Zygmunt wytrzymać porównanie z tym, który statut wiślicki powołał do życia. Zygmunt już bardzo wcześnie zarówno w Koronie, jak i na Litwie poruszył myśl zebrania zwyczajów prawnych i sprowadzenia ich do ogólnéj normy. Jeśli chybiły długie zabiegi i dzieło Taszyckiego oraz innych nie uzyskało mocy obowiązującego prawa, to przynajmniéj statut litewski w 1529 roku przyszedł do skutku, a był to bądź co bądź krok naprzód, postęp znakomity na drodze rozwoju ustawodawczego.

Orędzia królewskie przedsejmowe, mianowicie z epoki ostatnich lat dwudziestu rządów Zygmunta, tak mało jeszcze znane, nastrojone

---

[1]) Nawet rozrywki teatralne weszły na porządek dzienny. W niedzielę zapustną 1518 r. jacyś „poeci grali przed królem komedyą.“

są na bardzo wysoki ton moralizujący. Ciężkie wyrzuty z powodu unicestwienia kodyfikacyjnych usiłowań, surowe napomnienia w skutku mnożących się zabójstw i rosnącéj swawoli, stanowią niemal główną osnowę tych odezw, idących od tronu. Jeżeli burzliwe dążenia wiodły organizm do rozstroju, to powolne tym kierunkom i na oślep idące żywioły nie mogły się już składać brakiem rozumnych ostrzeżeń. Głos atoli proroczy rozlegał się, ale jak w puszczy, bez echa.

Długie lata pokoju, sprawiedliwych rządów, gospodarności publicznéj sprowadziły na cały kraj nieznaną oddawna pomyślność i zamożność. Rękodzieła w miastach zakwitły, wzmógł się znakomicie handel z ościennemi narodami. Bogactwo wzrastało. Z dobrym bytem podnosiła się oświata, ogłada i polor. Ustępowała powoli wieśniacza grubość obyczajów, nieokrzesanie w mowie. W jednêm ze swych orędzi już na schyłku swego panowania król zlekka przypomina szlachcie, co się to z Polską za jego rządów zrobiło, którą zastał zrujnowaną, zdziczałą niemal, a widzi ją wreszcie zamożną, murowaną, polerowną, czyli, jak my dziś mówimy, cywilizowaną. Podnoszą zgodnie tę okoliczność w swoich mowach pogrzebowych zarówno Kromer, jak i Orzechowski. Obaj oni, świadkami będąc tego rozkwitu, przemawiając do tych, którzy również własnemi patrzyli oczyma na stan ówczesny, a dawniejszego niemniéj byli świadomi, nie byliby przecież nawet w najwyższym zapale retorycznym głosili panegiryków, którymby rzeczywistość kłam zadawała. W oczach jednego i drugiego mówcy, którym nikt chyba trafności zdania w rzeczach historycznych nie odmówi, Zygmunt był wielkim królem i jako *pater patriae* na trwałą zasłużył pamięć i sławę.

Czy słusznie?

Opinie i sądy współczesnych, choćby najświatlejszych umysłów, w niczêm nie obowiązują potomnych. Historya zdoła samoistnie swój pogląd wypowiedziéć. Ona umié zarówno przyćmić blaski aureoli, którémi świecą czoła rzekomych bohatérów, jak złotym nimbem opromienić głowy zapomnianych i niepoznanych. W oddaleniu wieków, w świetle dziejoznawczéj nauki postacie historyczne odzyskują właściwe swe rozmiary.

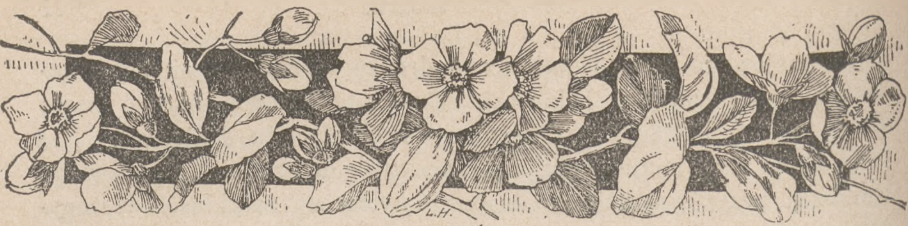
O rozwiązanie tak wielkiego zadania nie chodziło nam bynajmniéj w téj skromnéj pracy. Nie zamierzaliśmy wieńców rozdawać, ani z tarpejskiéj strącać skały, wznosić posągi na cześć Zygmunta, lub pod pręgierzem go stawiać. Kto rolę jednostki w działaniu publicznêm zrozumiéć i ocenić potrafi, ten procesu dziejowego, czy on się dobrym lub złym wyda, nie będzie czynił ściśle zależnym od jednego tylko człowieka, choćby ten nawet stał na szczycie władzy. Rydwan

życia dziejowego toczy się nieraz po drodze wprost przeciwnéj usiłowaniom najpotężniejszéj jednostki. Często téż znowu i bardzo często droga ta jest, jak owa przekątnia równoległoboku dwóch sił. Nie podzielając bynajmniéj zdania krańcowych deterministów, co wagę jednostki przyrównywają do drobnego pyłku na szali losów historycznych, przyznajemy owszem czynnikowi temu niejaką siłę, oraz pewien zakres wpływu. Dlatego téż nie bez pewnego starania zgromadziła tu ręka piszącego tyle drobnych kamyczków, aby z nich się odtworzyć dała postać Zygmunta, jak mozaika, zbliżona do rzeczywistości, o konturach acz nieco twardych, lecz prawdziwych, o rysach lubo grubych, ale nie fantazyjnych. Jeżeli z czasem nauka przeszłości zdobędzie się na poprawny, wykończony rysunek króla, wtedy łatwiéj przyjdzie koloryzować obraz i dać mu tło albo ponuro-ciemne rembrandtowskie, albo pogodne, jasne, rafaelowskie.

Po takich tylko szczeblach umysł historyka zwolna, oględnie, a ciągle sprawdzając swoje wnioski, może się wznieść do trwałéj syntezy.

A. Pawiński.





PIŚMIENNICTWO ANGIELSKIE.

W 1891 ROKU.

Jeżeli wątpliwości nie ulega, iż Niemcy, Francya i Anglia przodują w rozwoju cywilizacyi, to wszak w umyśle każdego wykształconego spostrzegacza może powstać wątpliwość co do wartości ich piśmiennictw, która pod wielu względami nie odpowiada ich znaczeniu politycznemu i społecznemu. Stosuje się to mianowicie do pierwszych. Nie sądzimy, ażeby ktokolwiek zechciał utrzymywać, iż współczesne Niemcy, dzierżąc hegemonię polityczną i militarną w wiecu europejskim posiadały ją także w dziedzinie umysłowéj. Na żadném polu nie mają obecnie tych twórczych, potężnych geniuszów, któreby idąc w ślady wielkich poetów i wielkich filozofów, co zaznaczyli początek naszego stulecia, otworzyły przez ludzkością nowe szlaki i napiętnowały je swojém narodowém znamieniem. Oczekujemy cierpliwie ich narodzin, ale przygotowani jesteśmy na długi jeszcze czas brzemienności. We Francyi rzeczy stają nie lepiéj. Odrodzony przez republikańskie instytucye organizm narodowy zdumiéwa jałowością w piśmiennictwie. Dawniejsze talenta wyczerpują się i zasklepiają w zużytéj modle, młode, hałaśliwe, obiecują wiele, skwapliwie nowych dróg i nowych horyzontów poszukują, ale widoczném jest, że ich dotąd nie znalazły. Jeżeli dzięki rozpowszechnieniu i poczytności pisarzy francuskich, reputacye ich rozbiegają się po świecie, to wkrótce spostrzegamy zwodniczą ich nicość. Na pytanie, jakie dzieła, wyszłe w ostatnich dwóch dziesiątkach lat z pód pióra pisarzy francuskich, zajmą miejsce w Panteonie ludzkości, wątpimy, czy mogłaby być daną odpowiedź dodatnia.

Anglia bardziéj zadawalniające pod tym względem przedstawia

zjawisko. Jéj ustrój polityczno-społeczny, spoczywający na silnych podstawach, uświęconych wiekową tradycyą, ale otwierający na rozcież podwoje wszelkiemu postępowi, pozwala rozwijać się piśmiennictwu we wszystkich kierunkach nietylko zgodnie z potrzebami i wymaganiami narodu, ale odpowiednio do téj coraz poważniejszéj roli, jaką rasa anglo-saska odgrywać jest przeznaczona w przyszłości. Nic bardziéj pokrzepiającego, jak rozwój i wzrost jego, jak ilość czerstwych, jasnych umysłów badających wszystkie formy, wszystkie manifestacye życia, jak oryginalność ich poglądów, sumienność ich poszukiwań i wysoki nastrój moralny ożywiający każdego prawie z ich pisarzy. Byłoby przesadą utrzymywać, że Anglia sama jedna zmonopolizowała wszystkie żyjące dzisiaj wielkości piśmiennicze, ale tylko ci, co literatury angielskiéj bieżącéj nie znają, mogą podawać jéj nadzwyczajną, niewyczerpaną i wszechstronną żywotność w wątpliwość i tylko oni mogą się wahać w przyznaniu jéj palmy pierwszeństwa. Przypominamy sobie, że przed kilku laty jeden z dzienników londyńskich, lubiący odwoływać się do indywidualnéj opinii swych czytelników, zaproponował im wskazanie czterdziestu kandydatów kwalifikujących się do zajęcia miejsca nieśmiertelnych w mogącéj istniéć akademii angielskiéj. Odpowiedzi posypały się obficie i tyle wymieniono znakomitości, że liczbę z góry oznaczoną uznano jako niewystarczającą. Polemika, która się z téj okazyi wywiązała, wywołała śmiech ironiczny u kilku głupich dziennikarzy francuskich, którzy oniemieli z podziwu, gdy im Hipolit Taine usta zamknął poważném oświadczeniem, iż na każdém polu twórczości piśmienniczéj Anglicy o wiele przewyższają Francuzów.

Jest zamiarem naszym, korzystając z uprzejmie udzielonego nam miejsca w „Ateneum“, przedstawiać tu od czasu do czasu literackie fizyognomie najznakomitszych współczesnych angielskich pisarzy, niedostatecznie, jak nam się zdaje, znanych i cenionych u nas. Jako rodzaj wstępu ogólnego do tych szczegółowych studyów chcemy tym razem przebiedz szybko piśmienniczą twórczość ubiegłego roku i wskazać nie wszystkie, zachowaj Boże! ale niektóre przynajmniéj z prac naczelnych, które narzuciły się uwadze publicznéj w dziedzinie poezyi, historyi, biografii, powieści, teatru, zaczepiając choć pobieżnie, jeżeli na to miejsca i czasu starczy, o inne sąsiednie działy filozofii, estetyki, ekonomii i t. d. Nie dotkniemy prawdopodobnie i najlżejszą wzmianką niejednego z wielkich pisarzy, o których mówić nam przyjdzie w następstwie, gdy nowych dzieł w ciągu ostatniego roku nie wydali; do innych powrócić będzie można szczegółowiéj, ale już obecnie, z téj kalejdoskopowéj mozajki, tuszymy, czytelnicy potrafią

wynieść przeświadczenie o żywotności i wewnętrznéj wartości piśmiennictwa angielskiego.

Pierwszorzędni poeci angielscy milczeli w ciągu ubiegłego roku, czekając nawiedzenia muzy. Ani lord Tennyson, ani Karol Swinburne ani William Morris nie dodali nowych liści do swego wawrzynowego wieńca. Jest to czysty traf i byłoby błędem przypuszczać, że poezya straciła wśród społeczeństwa angielskiego swych miłośników. Dzieje się wręcz przeciwnie. Nigdzie nie są czytywani i odczytywani gorliwiéj; cytaty poetów popularnych są na ustach i pod piórem wszystkich, i nietylko młodzież i kobiéty, jak to bywa w innych krajach, ale ludzie praktyczni, mężowie stanu nie przestali nigdy z nią obcować. Nie dziwota tedy, że szereg poetów nie przerzedza się mimo ciosów, jakie mu w ostatnich czasach śmierć zadała. Matthew Arnold, Robert Browning, a w ostatnich miesiącach Amerykanin Russell Lowel, który uważany był za Anglika, i nakoniec lord Lytton, którego poezye wydawane pod pseudonymem Owena Meredith'a, mimo swego byronowskiego pokroju nie pozbawione były czytelników i nawet zapalonych zwolenników—oto straty ostatnie i ubytki, które dla tego jedynie przeboléć można, że ich dzieła nie przestały być w ręku masy czytającéj i że mają już godnych siebie następców. Poezya, która się szczycić może oprócz owych trzech olbrzymów, takimi ich kolegami jak Edwin Arnold, Lewis Morris, Alfred Austin i nakoniec urocza Mary Robinson, ma wszelkie prawo uważać się za żywotną,

Największą ciekawością wśród twórczości poetycznéj były dwa zbiory liryk, ogłoszone ku ogólnemu zdumieniu przez dwóch wielkich pisarzy, chluby i zaszczytu Anglii od lat wielu; ale na całkiem innych polach. Wielki historyk, William Lecky, którego ośmiotomowa „Historya XVIII wieku w Anglii" i „Historya racyonalizmu" są klasycznemi dziełami, pisarz, który tak długo uważany był za godnego następcę Macaulay'a, a pod wielu względami za wyższego nadeń, i John Ruskin, ta potężna, ta kolosalna figura, ten odnowiciel etyczno-estetycznych doktryn; ten patryarcha, który wycisnął na społeczeństwie angielskiém piętno niemniéj głębokie, jak to na inném polu uczynił był Carlyle,— Lecky i Ruskin, oba wystąpili jako poeci. Że posiadali poetyczne zdolności, że byli nawet nawskroś poetami, oba, a Ruskin przedewszystkiém, oddawna wiadomo było ich czytelnikom, ale o pisanie wierszy nie byli podejrzewani. Łatwo zrozumiéć, z jaką chciwością rzucili się do nich czytelnicy. Jeżeli doznali zawodu, to w połowie tylko. Dlaczego Lecky ogłosił swoje, jest zagadką. Są to wogóle płynne wierszyki, marzenia miłosne, sny i fantazye takie,

jakie każdy młodzieniec pisał, pisze i pisać powinien, nim go mróz życia nie wyziębi, ale nietylko, że mu brak polotu wyobraźni, lecz nawet téj kunsztownéj, misternéj formy, któréj od każdego wierszującego ma się prawo wymagać. Doradzili mu zapewne ogłosić te młodociane utwory zdradzieccy przyjaciele, przypominając, że Macaulay w pełnym rozkwicie swego historycznego talentu napisał świetne *Lays of Ancient Rome.* Ten niebaczny krok nie oddziała na sławę uczonego historyka, ale dla przyszłych jego biografów będzie twardym do zgryzienia orzechem. Tak łatwo mogło było przyjść autorowi ukryć ten grzech młodzieńczy!

Dwutomowy zbiór poezyi, pisanych przez Ruskina w dzieciństwie i wieku młodzieńczym, znalazł licznych czytelników i krytyka nie przestała ich rozbierać wszechstronnie. Niepodobna po ich uważném odczytaniu zaprzeczyć, że natchnienie istnieje i że nawiedza czasami niewiniątka. Niektóre z najpiękniejszych wierszy napisał licząc lat siedm! Sonety pisane w dziesiątym roku są śliczne i nie napisał podobnych, gdy się zbliżał do trzydziestki. Jest u niego wrażliwość nadzwyczajna na piękności natury, są wybryki dobrego humoru i naiwności porannéj, jak w wierszu do swego psa, jest mieszanina patetyczności z prostotą i nakoniec mnóstwo niespodzianych zwrotów i obrazów. W chronologicznie uporządkowanym zbiorze można dopatrzéć się z łatwością, jak tę przyrodzoną oryginalność tłumi zaznajamianie się z dominującą w danéj chwili poezyą i jak młodzian naśladuje z kolei Scotta i Byrona. Ale gdy się wié, jak się dalsze jego życie rozwinęło, jakiemi wsławił się dziełami, gdy się przypomni, że od pół wieku jest najznakomitszym z prozaików angielskich, to się poetyczne te kwilenia czyta nie z interesem tylko, ale z pewném rozrzewnieniem. Aureola, jaką jest otoczony, rzuca swe promienie i na te młodociane próby.

Trudniéj jest zdać sprawę z ruchu w dziedzinie powieściowéj a to poprostu z nadmiaru wytwórczości. Blisko czterysta nowych powieści trzytomowych wykazuje katalog publicystyki 1891 roku, pomijając nowe wydania dawniejszych. Byłoby herkulesową pracą przeczytać je, a całkiem niepodobném wyszukać wśród nich jakieś wspólne, charakterystyczne cechy, mogące posłużyć za symptomatyczne rysy etyki i estetyki angielskiéj. W takim stanie rzeczy staje się koniecznością pozostać przy indywidualnym przeglądzie powieściopisarzy. Chociaż odpowiadając na pytanie: jakie najznakomitsze powieści pojawiły się w ostatnim roku, można popełnić nietylko opuszczenia, ale nawet minąć się ze sprawiedliwością; zmniejszymy niebezpieczeństwa obudwóch, poprzestając na wzmiance o dwóch od-

dawna już rozgłośnych, ukoronowanych sławą i dwóch młodych przybyszach, ktorych imiona i utwory nadzwyczajną pozyskały sobie popularność. Pierwszymi są: Jerzy Meredith i Tomasz Hardy; do drugiéj kategoryi należą J. M. Barrie i Rudyard Kipling.

Nowa powieść Jerzego Meredith'a nosi tytuł *One of our conquerors* i pojawiwszy się naprzód w słynnym przeglądzie *Fortnightly Review* w formie streszczonéj, wyszła w lecie r. b. w ostatecznéj, jeżeli nie doskonałéj, to przynajmniéj doskonalszéj. Zbyt niedawno[1]) podaliśmy tutaj szczegółową monografię tego najznakomitszego z żyjących powieściopisarzy angielskich, abyśmy potrzebowali rozwodzić się nad najnowszą jego powieścią, która nosi na sobie cechę rodzinną. Nie można przewidzieć jeszcze, jakie miejsce zajmie ostatecznie w téj galeryi, którą po mistrzowsku zbudował. Jeżeli krytyka, tak długo ślepa na jego pierwszorzędne zalety, obecnie bije mu czołem i jeżeli powszechnie uznaje, że z wyjątkiem Shakespeara, ani jeden pisarz angielski nie stworzył takiéj ilości doskonałych, skończonych typów, to publiczność, przeciętna masa, nie jest jeszcze podbitą ostatecznie i nie można powiedzieć, ażeby smakowała w téj ostatniéj powieści. Łopatą włożono jéj w głowę, dlaczego dawniejsze powieści są arcydziełami i tak często dawano komentarze, do jego epigramatów i dowcipów, że je już i Beocyanie zrozumieli. Ale każdą nową powieść Mereditha, trzeba pracowicie przestudyować; krytycy, jak Lionel Johnson, przyznają, że ażeby plan obecnéj i jéj tendencyę zrozumiéć, musieli ją odczytać kilka razy z rzędu. Takiego wysiłku od pierwszego lepszego czytelnika oczekiwać nie można. Prawdopodobnie jeszcze lata upłyną, nim „Jeden z naszych zdobywców“ zdobędzie sobie popularność. Przeszkodą będzie prawdopodobnie i to, że autor i tutaj, jak w „Rhodzie Fleming“ i kilku innych powieściach, zerwał zuchwale z tą konwencyonalną moralnością, która tradycyonalnie krępuje polot twórczości powieściowéj. Osnową powieści jest złamanie wiary małżeńskiéj przez bohatera Wiktora Radnora. Poślubiwszy starzejącą się bogatą wdowę dla jéj majątku, nie ma odwagi spełnić do dna czary piołunowéj i ucieka z piękną, młodą jéj towarzyszką, Natalią. Opuszczona żona mści się, stawiając mu wszelkie możliwe przeszkody w dalszym jego bycie i zawodzie, a gdy umiéra nakoniec z przebaczeniem na ustach, umiéra dla jego szczęścia za późno, gdyż poprzedziła ją do grobu Natalia, a życie jego córki, Nesty, było jeżeli nie zwichnięte, to przynajmuiéj utrudnione. Z tego suchego streszczenia, czytelnicy nie mogą sobie zrobić najmniejszego wyobrażenia o wartości

---

[1]) Patrz Ateneum za listopad 1890.

psychicznéj charakterów. Oryginalność ich, świeżość i logiczne wystudyowanie ich działalności są zdumiewające. Humor i sarkazm Meredith'a w kreśleniu niektórych doszedł do rozmiarów, które nawet jego nieprzyjaciół rozbroić muszą. Nesta jest jedną z tych uroczych postaci, którą tylko on jeden stworzyć był w stanie i będzie zajmowała siostrzane miejsce obok Lucyi Feverel i Klary Middleton, tych dwóch gwiazd, które nie zbledną nawet przez porównanie z najświetniejszemi utworami fantazyi.

Tomasz Hardy, który od czasu wydania swéj słynnéj powieści: *Mayor of Casterbridge* stanął w pierwszym rzędzie powieściopisarzy i który się umiał na tém stanowisku utrzymać dzięki wiejskim powiastkom, pełnym poetycznéj świeżości i głębokiego wniknięcia w psychiczną naturę kreślonych charakterów, napisał teraz nową trzytomową powieść *Tess of the D' Urbervilles.* Już gdy pojawiła się w illustrowanym tygodniku *Graphic*, pozyskała sobie olbrzymi rozgłos u szerokiego koła czytelników. Wrażenie to potwierdzone zostało przez krytykę, która jednogłośnie wita w téj powieści utwór pierwszorzędny, potężny. Autor umieścił swych bohaterów zrazu pomiędzy wiejską ludnością Wessexu, których opisywał już nie raz. Powiedziéćby raczéj należało bohaterkę, bo Tess góruje indywidualnością nad swém otoczeniem i można powiedziéć, że mamy tu monografią kompletną kobiéty ze sfery ludowéj, w któréj krwi krąży wprawdzie spuścizna przodków arystokratycznych, ale która swym zawodem, swemi ideami, przekonaniami, a przedewszystkiém swemi cierpieniami, należy do warstw niższych. Z nadzwyczajną delikatnością autor prowadzi nas przez perypecye duchowe téj istoty dziwnie sympatycznéj mimo swego upadku a może właśnie dlatego, że nie jest żadnym abstrakcyjnie doskonałym typem ale przeobrażającą się w miarę okoliczności i otaczających ją wpływów kobiétę. Pod dwoma względami autor okazał w téj powieści odwagę cywilną i z wysokości swego czystego wzniosłego talentu, rzucił rękawicę ciasnym i niedorzecznym przesądom społeczeństwa, dla którego pisze. Chociaż bohatérka jego zgrzeszyła i podług zwykłych pojęć uważaną by być mogła za kobietę upadłą, autor śmiało nazywa jéj życie życiem kobiéty czystéj. Nikt kto przejdzie wraz z nim przez tę bolesną opowieść nie będzie mógł zaprzeczyć, że jéj się ta nazwa należy, ale nie da się zaprzeczyć, że w oczach konwencyonalizmu angielskiego jest to zuchwałość nie lada. Oprócz tego p. Hardy rozwinąwszy logicznie charaktery i naszkicowawszy ich społeczne otoczenie, okazał się nieubłaganym jak starożytne fatum. Sentymentalizm angielski, który chce nietylko w powieści szczęśliwego zakończenia, ale i świetnéj tkaniny, musiał po sto razy zaprotestować przeciwko łzami

i boleścią serdeczną cechowanemu opowiadaniu. Żadnego cierpienia bohatérce swéj nie oszczędził i czarę piołunu kazał jéj wysączyć aż do ostatniéj kropli. A jednak takiém życiem i taką wewnętrzną prawdą dźwięczała ta powieść, że nie można przypuścić, ażeby ktokolwiek mógł był porzucić ją w połowie. Chociaż całkiem odmienna treścią i nastrojem, daje się ona postawić na téj saméj linii co dwa nieśmiertelne obrazy wiejskie George Eliota: „Adam Bede“ i „Silas Mazner.“ Większéj pochwały oddać jéj nie można.

Pomiędzy dwoma nowemi talentami, w których publiczność i krytyka powitały w tym roku mistrzów, wymieniliśmy wyżéj Rudyarda Kipling i J. M. Barrie. Co do pierwszego, nie wiemy, czy się potrafi utrzymać na wysokości, na którą się tak nagle i tak niespodzianie przedostał, i mamy nawet co do tego wątpliwość. Ale jeżeli ma przyjść rozczarowanie, to do téj chwili nie ma go śladu i nie tylko że publiczność rozchwytuje każdą jego nowelę i kładzie ją pod mikroskop jak okaz rzadki i ciekawy, lecz nawet obstalowuje u niego powieści takie, jakie jéj zdaniem on tylko a nie kto inny napisać jest w stanie. Pisarz ten o imieniu i nazwisku dziwaczném, przybył jako młodzieniec 26-o letni przed dwoma laty z Indyi i przyniósł w swéj tece kilkanaście powiastek i obrazków życia angielskiego w Indyach. Pojawiły się jedne po drugich w druku, wywołały zdziwienie, swoją nowością, siłą brutalną, gwałtowną nieledwie, językiem bogatym i o istotnie wschodnim kolorycie. Co się w nich przedewszystkiém podobało, to było zapewne owo niezwykłe tutaj piętno realizmu. Stosunki oficerów i urzędników angielskich z ludnością indyjską albo ich ze sobą wzajemne, naszkicowane są z szorstką precyzyą i widocznie odznacza je prawda wewnętrzna. Nuta sarkastyczna, która w nich brzmi od początku do końca, nie obraziła, lecz pozwoliła widzieć w nim głębokiego znawcę natury ludzkiéj. Sądzimy, że to wniosek nieuzasadniony. Łatwiéj szydzić aniżeli sądzić bezstronnie. Każdy dowcipkujący młodzieniec łatwo zdobędzie poklask galeryi, ale trzeba czekać egzaminu dojrzałości, ażeby się przekonać, czy będzie w stanie znaleść syntezę społeczną. Zbyt często widzieliśmy u realistów francuzkich takie zespolenie sarkazmu i pesymizmu, aby oczekiwać od R. Kiplinga, iż się stanie nowym Thackerayem. Brakuje mu jak dotąd wszelkiego śladu czułości, litości, współczucia, owego mleka uczuć ludzkich. Bez niego wielkim pisarzem być nie podobna.

Od wybornego autora noweli zażądała publiczność większych rozmiarów powieści i dał ją albo usiłował dać ją w ostatnim swym *The light that failed.* Jest to najsłabszy ze wszystkich dotychczasowych jego utworów. Chociaż autor, nieznający bynajmniéj tutejszych, angielskich stosunków, obrał dla téj powieści bohaterów egzotycznych,

to zmuszony był zaczepić o różne koła towarzyskie londyńskie i nie tylko że nie nakreślił żadnego oryginalnego obrazu, ale powtórzył tylko stare oklepanki. Opis kół artystycznych i estetów wywołał uśmiech politowania. W drugiéj części swéj powieści, tam gdzie autor powraca ze swym bohaterem na Wschód i gdzie mu śmierć tragiczną gotuje, pokazał się znowu obrazowym i interesującym. Jest to tedy dotąd po prostu obiecujący talent, nic więcéj, i trzeba mu zostawić czas, ażeby się wyszumiał, i gdy przestanie szarpać się i szamotać, gdy posiądzie równowagę umysłową i spokój, wtedy dopiéro będzie można osądzić, czy da piśmiennictwu żniwo, którego odeń oczekują. Jako stylista i jako malarz Wschodu jest on i teraz już poetycznym artystą oryginalnym.

Szkoci, którzy od wielkiego Walter Scotta jedynie posiadali pierwszorzędnego powieściopisarza w Williamie Blake, mogą sobie powinszować świetnego nabytku w p. Jakóbie Mocquereau de la Barrie. Chociaż nazwisko ma francuzki zakrój i zdradza pochodzenie od francuskich hugonotów, jest on Szkotem aż do szpiku kości: zna swój kraj, i w każdéj swéj powieści powracać do niego lubi. Drobna mieścina w dolnéj części Szkocyi, Thrums, jest prawdopodobnie jego rodzinnèm gniazdem i obecnie stała się sławną przez wycieczki, jakie raz po raz czyni doń wysoce utalentowany autor. Jest on jedną z najbardziéj na widowni stojących postaci literackich nowego pokolenia. Zasłynął nie tylko ze swych noweli i powiastek, ale i ze świetnych krytycznych artykułów, które pisuje do *Contemporary* i do kilku innych przeglądów. Przy wielostronnèm a gruntownèm wykształceniu posiada on dwie rzadko jednocześnie spotykane zalety: gorący entuzyazm dla tego co szlachetne i piękne, i humor pełen jowialności. Nie wiemy czy piśmiennictwo angielskie mogłoby nakoniec znaleść drugiego krytycznego pisarza o formie równie misternéj i wykwintnéj, z wyłączeniem, jak się samo przez się rozumié—Waltera Pater. Chociaż p. J. M. Barrie zdaje się rozstrzeliwać swą działalność piśmienniczą w wielu kierunkach, to widocznie umié ją ześrodkować gdy potrzeba, skoro probując nieledwie po raz pierwszy swych sił w dłuższéj trzytomowéj powieści, odrazu potrafił napisać tak wyborną jak *The little Minister*. Treść jéj da się zebrać w kilku rysach. Młodziuchny pastor przybywający na proboszcza do Thrums pod skrzydłami matki, która go do tego trudnego portu doprowadziła po nadzwyczajnych wysiłkach, pozyskuje sobie żywą sympatyę parafian, należących do téj gałęzi szkockiego kościoła, która nazywa sama siebie „Starèm Światłem," przez swoją gorliwość i zapał religijny. Ale właśnie gdy tryumfuje wśród tego pobożnego i rygorystycznego otoczenia, pokusa staje przed nim w postaci uroczéj — ah, jakże uroczéj! — dziewczyny cygańskiéj. Cała powieść

jest obrazem walki, jaka w sercu tego wysoce religijnego młodzieńca toczy się pomiędzy poczuciem obowiązku a instyktem miłosnym. Analiza psychologiczna przeprowadzona jest ze ścisłością i z jasnością nadzwyczajną. Jaki rozwój i jakie jest zakończenie powieści, nie chcemy z góry powiadać czytelnikom, skoro, jak się dowiadujemy, jeden z dzienników warszawkich ma niebawem ją drukować. Chociaż w przekładzie artystyczna forma i że tak powiemy, woń szkockiéj gleby się ulotni, chociaż trzeba znać atmosferę duchową drobnéj mieściny prezbyteryańskiéj, ażeby jaskrawość i dramatyczność narysowanéj walki należycie ocenić, to nie wątpimy, że nasza czytająca pnbliczność przyklaśnie temu utworowi tak samo, jak to uczyniła tutejsza.

Przechodząc z kolei do sprawozdania o produkcyi teatralnéj, przypuszczamy, że zdziwienie wywołamy w czytelniku, przeciętnie nawet obeznanym ze stanem dramatycznego piśmiennictwa angilskiego. Wiadomo dobrze, iż ogół przypuszcza, że od czasów Shakespeara Anglicy liczyli tylko jednego utalentowanego pisarza scenicznego, Sheridan'a, i że żaden inny na uwagę nie zasługuje. Od wielu lat teatr w Anglii ma nie posiadać najmniejszéj oryginalności i żywi się wyłącznie przeróbką francuskiego. Nie tutaj, w pobieżnym przeglądzie, miejsce jest do prostowania tego rodzaju niedokładnych co najmniéj i wielce przesadzonych pojęć. Zostawiając nawet na stronie wspaniałe dramata i tragedye pisane przez Tennysona i Swinburna, jako należące raczéj do poezyi aniżeli przeznaczone dla sceny, moglibyśmy wymienić kilku co najmniéj pisarzy dramatycznych, którzy w ciągu ostatniéj ćwierci wieku usiłowali wyrwać teatr narodowy z hołdowniczego naśladownictwa obczyzny i których utwory mają prawo do zajęcia trwałego miejsca w rozwoju piśmiennictwa. Lecz skoro do chwili obecnéj ograniczyć się mamy, to pomijając starszą generacyę, która właśnie w tych dniach straciła jednego ze swych przedstawicieli W. G. Wils'a, ale posiada jeszcze płodnego Roberta Buchanan'a, nie myślimy lekceważyć młodéj, która liczy takich pisarzy dramatycznych jak Sydney Grundy, jak Pinero i jak Henryk Artur Jones.

Zanim do nowych utworów tych pisarzy przejdziemy, wypada przypomnieć, że do rozkwitu teatru oni sami nie wystarczają, i że potrzeba także innych warunków mianowicie publiczności o zamiłowaniu w scenie i o dobrym smaku, dyrektorów przedsiębiorczych, wykształconych i zamożnych i nakoniec doskonałych aktorów. Powinniśmy byli zresztą publiczność postawić na końcu, gdyż dobrze wiadomo, iż jedynie dzięki autorom, dyrektorom i aktorom wyrabia ona w sobie zamiłowanie i trafny sąd o teatrze. Pod ostatniemi przynajmniéj względami Anglia nie zależała pola. Dyrektorowie scen przedniejszych,

którzy byli zazwyczaj artystami dramatycznymi pierwszorzędnymi, rozwijają energiczną działalność i nie szczędzą zachodów i nakładów. Pod względem organizacyi teatrów, wystawy scenicznéj i całego mechanizmu, oraz cechy artystycznéj, teatry londyńskie daleko pozostawiają po za sobą kontynentalne. Kto nie widział oper i sztuk czarodziejskich, wystawianych przez p. Augusta Harris, szekspirowskich tragedyi przez Irvinga, melodramatów przez Wilsona Barrett a salonowych komedyi dawniéj przez Bancroft'a a obecnie przez Beerbohm-Tree, ten nie może miéć wyobrażenia, do jakich rózmiarów dochodzi wspaniałość, wytworność i wyrafinowany smak w wystawianiu sztuk na scenie. Sława genialnego aktora Henryka Irvinga i jego wiernéj towarzyszki Heleny Terry oddawna przekroczyła granice Anglii. Ale nie jest to bynajmniéj wyjątkowa para, i teatry, które posiadają takich artystów jak Alexander Terris, R. Forbes, Karol Wyndham, Beerbohm-Tree, albo jak panie Kemble, Neilson, Monkton i t. d. mogą szczycić się rozmaitością i świetnością swych talentów dramatycznych. Pod takiém przewodnictwem i wobec takich tłómaczy utworów scenicznych, stopniowo rozszerzyły się pojęcia publiczności, pierzchły uprzedzenia przeciwko teatrowi i aktorom, a smak powszechny, który długi czas zadawalniał się widowiskiem dla oczu, podniósł się i uszlachetnił i obecnie wymagania jego są wielkie. Z jednéj strony spieszy się poznać z wszystkiemi oryginalnemi szkołami narodów postronnych, z drugiéj żąda od swych własnych pisarzy nie konwencyonalnych błahostek, ale sztuk stojących w bezpośrednim związku z życiem społeczném i dających wierny jego wizerunek.

Pod obu temi względami rok ubiegły pozostanie pamiętnym. Co do pierwszego, odznaczył się on utworzeniem Teatru niezależnego, który, idąc w ślady paryzkiego Teatru Wolnego p. Antoine, przedstawia dla dyletantów i wykształconéj publiczności sztuki, w których ogół nie smakuje dotąd i które otwierają — albo przynajmniéj roszczą pretensye do tego — nowe drogi przed produkcyą teatralną. Na scenie téj przedstawiono Teresę Raquin, dramat Zoli, i kilka sztuk Henryka Ibsena jak *Ghosts*, *Rosmerholm*, *Hedda Gabler*, *Et Dukehjem* i *Vildanden.* Jak samo się przez się rozumié, krytyka przyjęła utwory Ibsena szyderstwami i napaściami, i przedsięwzięcie p. J. T. Grain'a, organizatora Teatru niezależnego, zostało wydrwione. Ale polemika, która się z téj okazyi wszczęła, i agitacya w świecie teatralnym nie przejdzie bez śladu. Nowe przedstawienia sztuk Ibsena i nawet Maeterlincka są zapowiedziane i nie można zaprzeczyć, że nowe życie rozsadza spróchniałe ramy dawniejszego teatru.

Sztuki angielskich pisarzy scenicznych oddychają już także no-

wym duchem. Widocznie przywiązują oni do nich literackie znaczenie i są przeświadczeni o ich oryginalności, skoro zaczynają je drukować, co jest tutaj prawdziwą nowością. Wymieniliśmy pomiędzy najoryginalniejszymi pisarzami dramatycznymi trzech. Jeden z nich, p. Sydney Grundy, nie dał w ubiegłym roku żadnéj nowéj sztuki i dlatego mówić tym razem o nim nie ma powodu. Dopełnia za to nowatorskiéj trójki, najpierwszy z powieściopisarzy amerykańkich Henryk James, który sił swych w zawodzie teatralnym próbować zaczyna. Przerobił on swą znaną powieść *The American* dla sceny. Chociaż delikatna analiza psychologiczna, cechująca tego pisarza, daleko bardziéj zdaje się przeznaczać go do studyów powieściowych aniżeli do energicznéj a jędrnéj akcyi dramatycznéj, ta pierwsza jego sztuka miała żywe powodzenie. Drastyczne przeciwieństwo istniejące pomiędzy republikaninem, synem dzieł swoich, a arystokratyczną, uwikłaną w sieć tradycyi rodziną francuską, dało osnowę interesującą. Widocznie jednak brakuje autorowi doświadczenia i przypisać należy niepewności i wahaniu, iż sztuka ta nie otrzymała żywszego powodzenia. P. Pinero, którego ostatnie laury *Sweet Lavander* i *The Profligate* nie zwiędły jeszcze, lecz przeciwnie postawiły w pełnem świetle jego bystrość spostrzegawczą, głęboki komizm, sarkastyczny nastrój i dowcip błyszczący, wystawił z wielkiém powodzeniem satyryczną komedyę *The Times*. Jest to rękawica rzucona snobizmowi, téj manii chorobliwéj, jaka grasuje wśród dorobkowiczów, pięcia się do arystokratycznych stosunków. Temat to, jak słusznie zauważy czytelnik, nie nowy. W Anglii nie przestał być żywotnym, niestety! Udało się zresztą autorowi odświeżyć go, wplatając do osnowy kilka nowych postaci, a między innemi przedziwną figurę pośrednika, faktora albo profesora, który wychowuje dorobkowiczów, oświeca i wprowadza w labirynt wielkoświatowy. Najznakomitszy nakoniec ze współczesnych scenicznych pisarzy angielskich Henryk Ar. Jones, którego słynna sztuka *Saints and Sinners* postawiła na wyżynach, w ubiegłym roku dwie sztuki wystawił. Jedna, *the Dancing Girl*, chociaż od roku codzień grywana jest na wykwintnéj scenie Heymarket i chociaż publiczność, rozmiłowana w jéj romantyczności, ogłosiła ją za arcydzieło, nie może rościć, zdaniem naszém, żadnych pretensyi do takiego dostojeństwa. Druga za to, *the Crusaders*, mimo dotykalnych swych usterek, jest jedną z najciekawszych i najpoważniejszych sztuk, jakie napisano w ostatnich czasach. Autor przedstawił świat filantropów i reformatów społecznych w świetle nadzwyczaj komicznem, i wrażenie ujemne, jakie obraz działalności ich sprawia na widzach, tém jest

głębsze, że autor nie wpada nigdzie w karykaturę i nawet za ich ośmieszeniem się nie ubiega. Jest to pióro wysoko obiecujące.

Najznakomitszém dziełem historyczném ostatniego roku był nowy tom wyszły z pod genialnego pióra wielkiego narodowego historyka Jakóba Andrzeja Froude. Poświęcony on jest *Rozwodowi Katarzyny Aragońskiéj z Henrykiem VIII.* Treść ta zdziwi bezwątpienia czytelników, którzy wiedzą, że najpierwszym tytułem p. Froude do jego sławy jest dwunasto-tomowa historya panowania właśnie tego samego Henryka VIII, i zrozumieć im będzie w pierwszéj chwili trudno, dla czego powraca do jednego epizodu, który dostatecznie wyświetlonym i ostatecznie osądzonym został. Ale niech zechce sobie przypomnieć że p. Froude wziął na się paradoksalne zadanie obrony, więcéj nawet niż obrony, apoteozy Henryka sinobrodego. Wprawdzie kilka dziesiątków lat upłynęło od chwili, gdy z tą tezą wystąpił, i wiele nowych dokumentów, nowych komentarzy przybyło by zwalić jego sztuczną budowę. Nie przychodzi jednak bynajmniéj obecnie przyznać się do błędu i dołączyć głosu swojego do powszechnego, lecz przeciwnie nowemi dowodami, nowemi argumentami poprzéć pierwotne swe opinie. Że czuł potrzebę złamania nowéj kopii w obronie swego bohatéra, dziwić się nie można: po pracach ostatnich D-ra Brewer i Gairdner nie podobna było ażeby głos sprawiedliwéj potomności stanął po stronie kata a nie po stronie jego ofiar. Ale że zasadnicza jego teza nie przekona nikogo, zbyteczném byłoby dowodzić. Napróżno pastwi się i oczernia biedną Katarzynę, napróżno pokazuje, że opinia publiczna współczesna podtrzymywała króla, napróżno przypomina, że ludzie tacy jak Cranmer, Latimer, Ridley, etc. zsolidaryzowali się z polityką, z namiętnościami i wybrykami króla; czytelnik czuje w całym ciągu téj sążnistéj monografii, że autor nie postawił jéj na niewzruszonym gruncie prawdy. Jeżeli wolno powiedzieć, że dzieło historyczne fałszujące prawdę jest arcydziełem, to epitet taki da się tu zastosować. Autor jest mistrzem nad mistrze. Nie tylko, że umié wskrzesić dawno zamierzchłe czasy, ale zdaje się nadawać im większe życie niżeli je w istocie posiadały; najsuchsze szczegóły i drobiazgi, wplecione do jego obrazowego opowiadania, błyszczą jaskrawemi barwy. Przesuwając sceny z Westminsteru do Rzymu i z dworu cesarskiego na dwór króla Francyi, szkicując osobistości pierwszorzędne, albo stojące na drugim planie, jest zawsze nieporównanym malarzem. Nikt nie pisze piękniejszym a zarazem naturalniejszym językiem, nikt nie umié się wznieść do większéj patetyczności w chwilach doniosłych. Odnosi najwyższy tryumf, jaki pisarz odnieść może: nie przestaje się go podziwiać, chociaż się z nim nie sympatyzuje.

Inna monografia historyczna, która najpochlebniejszego przyjęcia doznała od publiczności i od krytyki, wyszła z pod dziewiczego jeszcze pióra lorda Rosebery. Znakomity mąż stanu, oddalony od lat kilku od władzy przez upadek gabinetu liberalnego, nie przestaje w wielu sprawach narodowych brać czynnego i kierującego udziału i o piśmiennicze laury się nie ubiegać. Trzeba było straty ukochanéj żony, aby go z wiru politycznego wycofać i skłonić do odpoczynku. Owocem tego odpoczynku jest świetna monografia Williama Pitta. Mężowie stanu angielscy lubią badać swych wielkich poprzedników i czerpać z ich działalności przykłady lub przestrogi. Lord Rosebery dał nowy dowód swéj politycznéj dojrzałości studyując, on, liberał i postępowiec, wyniosłą postać Pitta, torysa i wroga postępu. Umiéć ocenić geniusz przeciwnika jest niezaprzeczonym dowodem siły umysłowéj. Pora téż już mówić o Pitt'cie z bestronnością historyczną. Długo torysi traktowali go jak bożyszcze a whigowie tarzali w błocie. Wprawdzie, gdy się po upływie stulecia widzi zasady rewolucyi francuskiéj, któréj Pitt był pogromcą, tryumfujące na całym cywilizowanym świecie, gdy się widzi reformy, którym się tak zawzięcie opierał, nietylko urzeczywistnione, ale skutecznie wypróbowane, gdy się nakoniec wspomni, na jakie ciosy, na jaką materyalną i finansową ruinę kraj swój wystawił, to niepodobna wysławiać go bezwzględnie. Lecz przyznać trzeba, że był szczerym i bezinteresownym, że nie za własném dobrem, ale za wielkością swéj ojczyzny się uganiał, że miał plany szerokie i orle poglądy. Historya widzi w nim rycerza sprawy pokonanéj, ale rycerza, przed którym nie wstyd ugiąć czoła. Lord Rosebery z żywością i z wdziękiem nadzwyczajnym kreśli tę dziejową fizyognomię, i praca jego obok dawniejszéj Goldwina Smith'a godne miejsce zająć może.

W nigdy nie wyczerpującym się dziale biografii, dziwnym zbiegiem okoliczności rok ubiegły przyniósł, w kilkomiesięcznym odstępie, życiorysy dwóch przywódzców państwowego rozwoju, Gladstona i lorda Salisbury. Naturalnie o żyjących mężach stanu, znajdujących się w pełnym wirze politycznego prądu, mówić nie można ani bezstronnie, ani dokładnie. Każdy dzień następny jest poprawną edycyą poprzedniego. Ale gdy się weźmie na uwagę, że nic nie jest mniéj znaném przez ogół jak historya onegdajsza i wczorajsza, do podręczników jeszcze nie wpisana, to można zrozumiéć interes i użyteczność tego rodzaju prac biograficznych. Wielcy ludzie są jak wysokie góry, powiedziano trafnie: trzeba się od nich oddalić, aby ich wielkość należycie ocenić. Lecz nim to nastąpi, jest niezbędném przygotować materyały do owego ostatecznego sądu, i wykazać jak się współcześni

na tych wodzów zapatrywali. Autorem „Życia Gladstone“ jest Jerzy Russell, członek parlamentu, i jeżeli się nie mylimy, przez kilkanaście lat jeden z jego sekretarzy. Świadek jego życia prywatnego wyznawca jego opinii daje w swym treściwym zarysie szkic pobieżny jego publicznego zawodu, obecnie blisko 60-letniego. Idąc w ślad za biografem Gladstona, staje się z kolei przed wszystkiemi najważniejszemi religijnemi, politycznemi i ekonomicznemi zagadnieniami naszego stulecia i można powiedzieć, że imię i działalność jego stały się jednoznacznikiem wszelkiego postępu i wszystkich reform, dokonanych w Anglii w ciągu ostatniego pół wieku. Nie ma wątpienia, że jest to jedna z najpotężniejszych postaci, jakie dała nam historya i można być z góry przeświadczonym, iż wyrok przyszłości będzie tylko potwierdzeniem zapatrywania współczesnych.

P. H. D. Traill wydał biografię margrabiego Salisbury. Główną jéj wadą jest właśnie to, że nie ma w niéj dość szczegółów biograficznych, ani ścisłéj charakterystyki osoby i temperamentu. Nie ma wątpliwości, że lepiéj poznana, postać jego stałaby się tak sympatyczną dla ogółu, jak nią jest dla jego osobistych przyjaciół. Z politycznego zarysu, który autor nader sumiennie wykonał, łatwo zobaczyć jak dalece wykształcony, umiarkowany, rozważny i zachowawczy lord Salisbury różni się od swego awanturniczego, cynicznego poprzednika, Disraelego, który był, jak słusznie powiedziano, reakcyjnym rewolucyonistą. Przez porównanie z nim lord Salisbury zyskuje wielce, a różnica czasu i nastroju zachowawczego stronnictwa angielskiego, obecnie a przed niewielu jeszcze laty jest uderzającą.

Na niwie mitologii klasycznéj i archeologii, tak szeroko i tak gorliwie uprawianéj przez uczonych angielskich, dzieło p. Ludwika Dyer, profesora w Oxfordzie, o „Bogach Grecyi“ wywarło bardzo korzystne wrażenie pośród specyalistów, którzy ocenić je kompetentnie są w stanie. Jest ono na wysokości ostatnich studyów i badań archeologicznych a jednocześnie wykazuje gruntowną znajomość nietylko ogólnéj historyi religii, ale podań i legend natury religijnéj. Autor podróżował dużo i długo przebywał na ziemi klasycznéj Hellady, kocha ją namiętnie jak ci co w jéj ducha głębiéj wniknęli, i dziwić mu się nie można, jeżeli, jak się to zazwyczaj monografistom przytrafia, wysnuwa z tego kłębka całe pasmo dalszéj cywilizacyi. Podług niego cały chrystyanizm leży już spowity w czci greckich bogów! Takie systematyzowanie, w którém szkoła ewolucyjna się lubuje, ma w p. Dyer nowego i gorliwego adepta. Odrzuciwszy ten punkt widzenia jako sztucznie naciągnięty, można wielce skorzystać z jego pracy. Zajmuje się szczegółowo obrzędami i właściwościami

bogów natury w ich różnych postaciach, mytami i alegoryami, które stopniowo pomieszały jedne z drugiemi. Jest niemniéj interesujący w ogólnym toku swych wywodów jak i w różnych epizodach, które czyni, będąc przepełniony swym przedmiotem. Do takich epizodów należy ustęp poświęcony Eskulapowi, w którym upatruje, wbrew homerowéj tradycyi, boga natury i pogląd na sztukę leczniczą starożytności. „Afrodyta z Pafosu“, „Apollon z Delosu“ wystudyowani są szczegółowo i sumiennie. Krytyka, która zasługom autora hołd oddała, zwróciła jednakże jego uwagę, iż jest niepodobieństwem ułożyć w logiczne i symetryczne kształty tych mytów i legend, utkanych przez fantazyę, spaczonych przez niedostateczne i odległe podania. Ludzkość po wszystkie czasy powracać będzie do nich, jak do baśni czarodziejskich, będzie w nich czerpać ożywczą rozrywkę, ale czego innego szukać zapewne w nich nie trzeba.

Inny z oxfordzkich profesorów, Evelyn Abbott, autor „Historyi Grecyi“ szeroko w Anglii rozpowszechnionéj, wydał popularne studyum o „Peryklesie i złotym wieku Aten“. Nie podnosząc żadnych nierozstrzygniętych kwestyi i nie rozpoczynając polemik, autor uwiadomiwszy czytelnika, że ma o Peryklesie inne pod wielu względami opinie aniżeli powszechnie przyjęte, przechodzi do dydaktycznego opowiadania, które mimo czci, jaką autor dla Greków wogóle a dla Peryklesa w szczególe wyznaje, daje czytelnikowi o nich niemniéj jak korzystne wyobrażenie. Grecy, w złotym wieku ateńskim, są dziczą, pozbawioną ducha rycerskiego i szlachetności a posiadającą jako dodatnią stronę chyba cześć dla plastycznego piękna. Perykles sam jest pedantem i chytrym, podstępnym człowiekiem. Nie wiemy, czy autor chciał wywrzéć takie wrażenie na czytelnikach, ale że takiéj doznają nie ma wątpliwości. Przeciwko tak okrutnemu zdarciu iluzyi zaprotestują prawdopodobnie wszyscy miłośnicy Hellady uidealizowanéj i są krytycy, którzy mu ten postępek wyrzucają, jak zamach zbrodniczy.

Przejście od archeologii i historyi greckiéj do studyów estetycznych jest samo przez się wskazane, i mielibyśmy do wymienienia niejedną ciekawą pracę w téj dziedzinie, przedewszystkiém nowe studya Vernon Lee i Austina Dobson. Ale do nich, tak samo jak do licznych utworów z dziedziny krytyki literackiéj, brakuje nam miejsca. O poważném dziele Johna Robertsona: „Humaniści nowocześni“ i o jego wysoce oryginalnych filozoficznych pracach mamy zamiar pomówić niezadługo szczegółowo.

W dziale ekonomii społecznéj istnieje prawdziwy nawał prac oryginalnych i ciekawych. „Historya przemysłowa Anglii“, H. Gib-

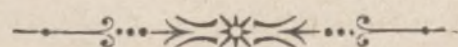
bins'a i „*Land and Labourers*“, K. W. Stubbs'a górują nad innemi: pierwsza jest obrazem ewolucyi społecznéj, która zmieniła całkowicie nietylko wygląd, ale i naturę społeczeństwa angielskiego; druga, w kwestyi gruntowéj pierwszorzędnego dla niéj znaczenia, przygotowuje teoretycznie pole dla praktycznéj agitacyi, która się obecnie rozpoczyna. Ale nad wszystkiemi pracami ekonomicznemi góruje świeżo wyszły drugi tom słynnego dzieła Karola Booth *Labour and Life of the People.* Jest to utwór pomnikowy i nigdy jeszcze od czasu jak Leplay dokonał swéj ankiety nad warunkami bytu klasy robotniczéj, statystyka nie przeniknęła głębiéj do samego jądra najważniejszego problematu społecznego! Pobieżną wzmianką tak doniosłéj pracy zbyć nie ma się prawa.

E. N. T.

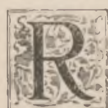




LISTY CZESKIE.



XXII.



Rok 1891-szy przyniósł narodowi czeskiemu na wiązanie dwie rzeczy: krajową wystawę jubileuszową i młodoczeską deputacyę do rady państwa.

Wystawa krajowa przyniosła Czechom niezaprzeczone korzyści, dowiodła bowiem naocznie całemu ukształconemu światu, że naród ten, jakkolwiek nieliczny, dzięki pracom, dokonanym własnemi siłami, zasługuje na miejsce w pośród oświeconych ludów europejskich; zdobyła ona narodowi czeskiemu w całéj Europie pewną popularność, jaką się dotychczas jeszcze nigdy nie cieszył, a którą w naszych stosunkach musimy zaznaczyć jako zdobycz znakomitą.

Wystawa krajowa została 18-go października uroczyście zamknięta. Dla naszych stosunków miała ona w sobie jeszcze tyle dobrego, że dla całego narodu utworzyła punkt łączny, na którym przecież nie ujawniły się przykre rozterki stronnicze. Owa liczba 75,000 gości, którzy byli obecni na wystawie 18 października 1891 r., przedstawiała każdemu spostrzegaczowi jedynie obraz zgody braterskiéj i jednakowego zapału narodowego. Skoro jednak tego punktu łącznego zabrakło, pozostaje nam tylko rozdwojenie narodowe i zaostrzające się coraz bardziéj rozgoryczenie rozterki bratniéj, tak zgoła nienaturalnéj, a tak zgubnéj dla naszych zwłaszcza stosunków.

Deputacya młodoczeska jest pełnym znaczenia wypadkiem w dziejach narodu czeskiego; jest ona obecnie prawną jego przedstawicielką w wiedeńskiéj radzie państwa, a zatém faktem speł-

nionym, z którym się liczyć trzeba. Jako wypadek historyczny, deputacya młodoczeska stanowi przedmiot krytyki historycznéj, a kwestye: jak do tego przyszło? i: czego się ma stąd naród spodziéwać — narzucą się zapewne same przez się każdemu, kogo interesują cokolwiek dzieje tego narodu.

2-go i 4-go marca 1891 r. odbyły się w Czechach ponowne wybory do rady państwa, a mianowicie: 2-go marca w okręgach wyborczych wiejskich, 4-go zaś marca w okręgach miejskich; te ostatnie wskutek wyborów ściślejszych, które się stały koniecznemi, zostały ukończone dopiéro 16 marca.

W gminach wiejskich wybory są pośrednie, t. j. za pomocą wyborców, których obiéra naprzód każda gmina zosobna, i którzy następnie schodzą się na jedno miejsce wyborcze w całym okręgu; w miastach wybory są bezpośrednie, a każde miasto, należące do okręgu wyborczego (6 do 9-ciu miast), jest zarazem miejscem wyborczém.

Ogółem kandydaci młodoczescy otrzymali w dniach owych dwie trzecie oddanych głosów, kandydaci staroczescy jedną trzecią. Stosunek głosów w szczegółach poruszał się pomiędzy następującemi ostatecznościami:

	Głosy młodoczeskie	Głosy staroczeskie
Gminy wiejskie	367	32
Miasta	989	1,020

W gminach wiejskich młodoczesi mieli wszędzie stanowczą większość; w miastach staroczesi mieli znaczne mniejszości, a w 28 miastach z pomiędzy 100 — większość. W Pradze i przedmieściach (Karlin, Smichov) wzięli w wyborach udział i Niemcy, wskutek czego przyszło wszędzie do wyborów ściślejszych. Jako przykład stosunku głosów przytaczam Nowe Miasto w Pradze:

Staroczech	Młodoczech	Kandydat niemiecki
Dr. Rieger	Dr. Trojan	Dr. Schmeykal
1255	1437	910

Przy wyborach ściślejszych staroczesi i Niemcy powstrzymali się od głosowania, i dr. Trojan otrzymał tylko 883 głosy, a zatém o 554 mniéj, aniżeli przy pierwszych wyborach. To samo zdarzyło się we wszystkich innych okręgach wyborczych Pragi i obu przedmieść.

We wszystkich okręgach wyborczych Pragi (Stare i Nowe Miasto, Mała Strona) i obu przedmieść Karlina i Smichowa Niemcy

postawili tylko jednego kandydata, mianowicie politycznego swego przywódcę d-ra Schmeykala, który tym sposobem otrzymał 1,655 głosów.

Zwycięstwo zatém młodoczechów podczas ostatnich wyborów do rady państwa jest faktem niewątpliwym i ma to niezaprzeczone znaczenie, że naród czeski odjął swe zaufanie stronnictwu staroczechów i kierownictwu d-ra Riegera, a zwrócił je partyi młodoczeskiéj pod kierunkiem d-ra Juliusza Grégra. W gminach wiejskich stało się to przygniatającą większością, w miastach nie tak znaczną, zawsze jednak większością, wynoszącą wogóle ⅔ oddanych głosów.

Jeżeli mam odpowiedziéć tylko na pytanie: jakim sposobem doszło do tego? to muszę obejrzéć się w krótkości na przeszłość.

Przed r. 1848-ym, w czasach, kiedy naród czeski nie odgrywał jeszcze żadnéj roli w życiu publiczném cesarstwa austryackiego, kiedy Czechy w całéj Europie były uważane za kraj niemiecki, kiedy nietylko Praga, ale niemal wszystkie znaczniejsze miasta w kraju mogły o tyle uchodzić za niemieckie, że żywiołem, panującym w nich stanowczo, byli Niemcy, kiedy językiem urzędów i sądów była niemczyzna, kiedy w całym kraju nie było ani jednéj czeskiéj szkoły średniéj, a czeskie szkoły ludowe w gminach wiejskich, i to nie we wszystkich, istniały, że tak powiem, tylko jako wyjątki, kiedy słowem całe Czechy zdawały się ulegać szerzącéj się coraz bardziéj germanizacyi, — w owych to czasach istniała w naszym kraju tylko jedna partya narodowa, składająca się z mężów, którzy, nie dbając o osobiste korzyści, postawili sobie za zadanie — obudzić naród czeski z długoletniego snu śmiertelnego i wydrzéć go zgubie, na którą zdawał się być skazanym. Czynili to z małą nadzieją pomyślnego skutku; jeżeli zaś dodam, że uczony patryota czeski, ksiądz Dobrovsky, traktował język czeski jako podległy wymarciu, i że Palacky pierwsze tomy swojéj historyi Czech napisał i ogłosił w języku niemieckim, to będzie to chyba wystarczającém do zcharakteryzowania owych czasów, jako czasów dla narodu czeskiego dość beznadziejnych.

W tém nadszedł r. 1848-my z jego ruchami, porywającemi całą Europę środkową. I w cesarstwie austryackiém zanosiło się na nowe ukształtowanie stosunków publicznych. Mniéj lub więcéj uorganizowana narodowa partya czeska mogła ze swemi pretensyami wystąpić publicznie, program zaś jéj działalności streszczał się w żądaniu, ażeby upośledzony dotychczas naród czeski został w życiu publiczném i państwowém równouprawniony obok narodu niemieckiego,

którému pod tym względem w Czechach, oddawano dotychczas pierwszeństwo i któremu użyczano obrony; żądano zatém jednakowego uwzględnienia narodowości czeskiéj w szkole i urzędzie i całém życiu publicznem.

Takie całkowite przekształcenie życia publicznego w Czechach nie mogło być naturalnie dziełem jednéj chwili, a jeżeli zważymy, że przed r. 1848-ym rodzice czescy w Pradze upominali swoje dzieci, ażeby na ulicy mówiły tylko po niemiecku, że po sklepach co najwyżéj posługacze czescy żądali czegoś w językn własnym, i że językiem tak zwanego przyzwoitego towarzystwa była wyłącznie niemczyzna nietylko w Pradze, ale i w miastach prowincyonalnych, jeżeli, jakem tego doświadczył, wiemy, że czeskim kawalerom wzbroniony był przystęp do dworu cesarskiego, za to że przyłożyli się czémś do czeskich celów narodowych; słowem, jeżeli wiemy, do jakiego stopnia poniżenia i lekceważenia, ażeby nie użyć wyrazu mocniejszego, zszedł naród czeski w czasach przed 1848, to nie możemy się dziwić, że potrwało i naturalnie musiało to potrwać długie lata, zanim żądane już w 1848 równouprawnienie narodowe mogło się istotnie urzeczywistnić. Jeżeli zaś w sposób nieuprzedzony porównamy teraźniejsze stanowisko narodu z ówczesném położeniem bez nadziei, jeżeli wiemy, że naród ten posiada teraz ludowe i średnie szkoły czeskie, czeski uniwersytet, czeską wyższą szkołę techniczną, czeską akademię umiejętności, że język czeski doszedł do znaczenia w urzędach państwowych i sądach, i że w całym kraju językiem urzędowym czeskich władz autonomicznych jest również język czeski, jak władz niemieckich język niemiecki, i że w stosunkach publicznych język czeski już dawno nie jest uważany za język niższych warstw ludowych, lecz zdobył sobie pełne znaczenie i uprawnienie wszędzie i we wszystkich kołach, to musimy się chyba zgodzić, że usiłowania czeskiéj partyi narodowéj, prawie bezsilnéj przed r. 1848-ym, zostały uwieńczone świetném powodzeniem, powodzeniem, które każdy nieuprzedzony sędzia naszych stosunków narodowościowych i naszego rozwoju narodowego musi nazwać bezprzykładném, jak się to właśnie już stało i jak się dzieje z wielu stron.

A jeżeli obecnie, w r. 1891, ten sam mąż, który już przed rokiem 1848-ym stał na czele ruchu narodowego w Czechach, który w ciągu wielu lat był czczony i szanowany powszechnie jako wódz partyi narodowéj, ponieważ zawsze konsekwentnie, nie bacząc na osobiste korzyści i używając z całą ofiarnością swego mienia na cele narodowe, poświęcał swoję działalność na służbę swemu narodowi, jeżeli mąż ten przez tak zwaną czeską partyę narodową, jest dziś napięt-

nowany jako zdrajca swego ludu, i jeżeli większość ludu czeskiego odbiera temu mężowi swe zaufanie, mężowi, którego uczciwe usiłowania zostały uwieńczone tak bezprzykładném powodzeniem, to jest-to zjawisko, które możnaby nazwać również bezprzykładném, jak bezprzykładném musi być nazwane powodzenie narodowe ludu czeskiego.

Nie chcę się dalej rozwodzić w rozmyślaniach nad taką niewdzięcznością, chcę tylko wyjaśnić, jak się to wszystko stało.

Ponieważ w ostatnich czasach stosunki partyjne w naszym obozie narodowym tak się zupełnie wyjaśniły, że nie jest bynajmniej rzeczą trudną wytworzyć sobie o nich sąd wyraźny i całkiem obiektywny, mogę więc powiedzieć zaraz tutaj, że wielka zmiana, jaka nastąpiła wskutek zwycięstwa młodoczechów przy ostatnich wyborach do rady państwa, jest wyłączném dziełem jednego jedynego człowieka, mianowicie d-ra Jul. Grégra, właściciela „Národních listów“. Jeżeli ta zmiana okaże się zbawienną dla czeskiego narodu, jeżeli doprowadzi do tego, że wszystkie życzenia narodowe, jak o tém dr. Grégr zapewniał swoich wyborców, zostaną w krótkim czasie i w sposób stanowczy spełnione i zaspokojone, to wtenczas dr. J. Grégr może być najzupełniéj pewny wdzięczności ludu czeskiego i nieśmiertelnéj sławy. Gdyby się wszakże ostatecznie pokazało, że zmiana ta przynosi narodowi więcéj szkody, aniżeli korzyści, i że zaspokojenie jego życzeń nie zostało tym sposobem przyśpieszone, lecz raczéj uległo zwłoce na czas nieokreślony, to wtenczas tylko dr. Grégr musiałby przed forum historyi przyjąć na siebie całą odpowiedzialność za ten niepomyślny zwrot w losach i tak już ciężko doświadczonego narodu. Jakkolwiek wypadłby rezultat ostateczny, jedno tylko nie ulega żadnéj wątpliwości, mianowicie znaczny wpływ „Národních listów“ na opinię publiczną w narodzie czeskim.

Partya narodowa, która przed r. 1848-ym miała na widoku tylko jeden cel, mianowicie podniesienie ludu czeskiego z jego poniżenia narodowego, i która nawet w początkach ówczesnego ruchu występowała przed publicznością, jako partya zupełnie zjednoczona i zwarta, nie mogła naturalnie wśród przybierających coraz groźniejszą postać burz owéj niespokojnéj epoki zatrzymać nadługo swéj pierwotnéj zgody. Ponieważ wszystko zdawało się ulegać rozprzężeniu i wkrótce wszystko, co tylko istniało, zostało zakwestyonowane, więc i spokojna rozwaga mistrzów została nadwérężona, a wszelkiego rodzaju wybryki i radykalne zachcianki, którym w czasie spokojnym niktby nie dawał ani wyrazu, ani posłuchu, weszły i u nas na porządek dzienny i znalazły oddźwięk w głowach zapalonych i obałamuconych.

Wkrótce naprzeciw partyi ludzi rozważnych i umiarkowanych, którzy, korzystając roztropnie ze sprzyjających okoliczności, dążyli do tego, co było możebne do osiągnięcia, stanęła partya radykalno-rewolucyjna, która, unoszona przez płynące wysoko fale ruchu, nie będąc świadomą celu ostatecznego, zaspokojenie swych pragnień upatrywała tylko w ruchu rewolucyjnym i wskutek tego przyczyniała się wszędzie do popierania i zwiększania tego ruchu, o ile jéj na to starczyło sił.

Partya rozważnych, dzięki swym usiłowaniom, osiągnęła dwa rezultaty: popierwsze zwołanie do Pragi kongresu Słowian austryackich, którego zadanie miało polegać na tém, ażeby stwierdzić większość ludności słowiańskiéj w cesarstwie austryackiém, zaznaczyć głośno przed całym światem, że dążność téjże ludności zmierza do utrzymania cesarstwa, razem atoli również głośno zaprotestować przeciwko dalszemu kierunkowi germanizacyjnemu rządu wiedeńskiego. Jednakowe polityczne i narodowe uprawnienie wszystkich ludów, zamieszkujących w spokojnéj zgodzie to cesarstwo, miało odtąd w nowych i lepszych czasach być programem i celem centralnego rządu wiedeńskiego.

Drugim wielce ważnym rezultatem usiłowań téj partyi było zwołanie krajowego sejmu czeskiego, którego zadanie miało polegać na tém, ażeby odpowiednio do potrzeb czasu poddać rewizyi ustawę krajową, obwarować stanowisko autonomiczne królestwa czeskiego i uregulować wzajemne stosunki obu zamieszkujących kraj narodowości.

Kongres słowiański został otwarty w Pradze w początku maja 1848 r., podzielił się na rozmaite sekcye i mniéj więcéj w połowie czerwca miał być zamknięty uroczyście przyjęciem wypracowanych w pojedyńczych sekcyach proklamacyi i manifestów, pomiędzy któremi ułożony przez Palackiego „Manifest do ludów Europy“ zajmował osobliwie wybitne miejsce, ponieważ tutaj w wymownych i ożywionych szlachetnym zapałem słowach znalazła godny słusznéj sprawy wyraz cała dążność tego kongresu, skierowana jedynie ku temu, ażeby gnębionym i upośledzonym dotychczas słowiańskim ludom Austryi zapewnić godną człowieka egzystencyę, nie wyrządzając krzywdy i nie nadwérężając zgoła w niczém praw innych narodowości.

Do krajowego sejmu czeskiego pod koniec czerwca 1848 roku porobione były wszystkie potrzebne przygotowania, a zwołanie jego miało się odbyć w najbliższéj przyszłości. Pojedyńcze okręgi wyborcze były utworzone podług istniejących wikaryatów kościelnych, tak iż stosunek mieszkańców według narodowości znalazł jaknajlepsze

uwzględnienie. Wybór deputatów już się był odbył, a dr. Rieger na kilka dni przed wybuchem fatalnéj katastrofy z obozu cesarskiego w Innsbrucku przywiózł patent cesarski, zwołujący krajowy sejm czeski do Pragi, i wręczył takowy namiestnikowi hr. Leonowi Thunowi z nadmienieniem, że dzień zwołania sejmu pozostawia się uznaniu namiestnika.

Gdyby kongres słowiański w Pradze został był zamknięty w sposób formalny, a wypracowane już przezeń manifesty i proklamacye zostały opublikowane w sposób urzędowy, jako przyjęte na posiedzeniu końcowém, to tym sposobem byłyby się stały niemożebnemi owe oszczerstwa i podejrzenia, jakie następnie ze strony niemieckiéj zostały rozpowszechnione przeciwko kongresowi słowiańskiemu i znalazły nawet wiarę, że oto kongres miał jakoby właściwie za cel przygotowanie wojny rasowéj przeciwko Niemcom, przedewszystkiém zaś wypędzenie Niemców z Pragi i Czech, i że kongres słowiański był właściwym sprawcą powstania czerwcowego w Pradze.

Gdyby się był czeski sejm krajowy zebrał w czerwcu 1848 r., to w późniejszych wypadkach, wstrząsających podstawami istnienia Austryi, byłby on z konieczności musiał odegrać nader ważną rolę polityczną. Czechy, lub można nawet rzec kraje korony czeskiéj byłyby się stały podstawą rekonstrukcyi cesarstwa. Wszystkie wysoce ważne kwestye polityczne, których stanowcze załatwienie i dziś stanowi ciągle przedmiot naszych dążeń, począwszy od czeskiego prawa państwowego aż do zakresu działalności wszystkich władz krajowych i gminnych w myśl rzeczywistego samorządu, można było wówczas załatwić ku ogólnemu zadowoleniu, stanowisko królestwa czeskiego mogło się stać decydującém w cesarstwie, a nieszczęsną waśń narodową, którą i dziś jeszcze musimy uważać za jedną z największych klęsk krajowych, prawdopodobnie można było załagodzić przed jéj powstaniem.

Nie są to czcze wytwory fantazyi. Każdy, znający dzieje roku 1848-go, musi przyznać, że przypuszczenia te są całkiem usprawiedliwione. Prawowity sejm w Czechach obok rewolucyi w Wiedniu i powstania w Węgrzech musiałby koniecznie stać się podstawą akcyi dla tych wszystkich, którzyby chcieli utrzymać Austryę, i musiałoby to leżeć w ich interesie, ażeby według możności podstawę tę wzmocnić przez przyłączenie krajów korony czeskiéj, t. j. Morawy i Śląska co znowu oznacza nie co innego, tylko utworzenie powszechnego sejmu tych krajów dla nadania większéj wagi jego postanowieniom. Wszystko to mogło i musiałoby się stać w r. 1848-ym, a wszystko, o co do dziśdnia w sprawie narodowych praw i żądań musimy walczyć

mozolnie, a często bezskutecznie, mogłoby się było stać wówczas bez wielu wysiłków, jako rzecz sama przez się zupełnie zrozumiała; królestwo zaś czeskie, podobnie jak i czeski naród zajmowałyby dziś w cesarstwie austryackiém zupełnie inne stanowisko i odgrywałyby zupełnie inną rolę, aniżeli to ma miejsce obecnie.

Lecz w czerwcu 1848 r. kongres słowiański w Pradze nie mógł być zamknięty w sposób formalny i urzędowy, krajowy sejm czeski nie mógł się zebrać, podobało się bowiem partyi radykalno-rewolucyjnéj uszczęśliwić Pragę powstaniem czerwcowém, byle tylko miéć także barykady i rewolucyjną walkę uliczną.

Nie jest mi wiadomém, ażeby ze strony powstańców postawiony był określony program jako rezultat, który wypadało osiągnąć za pomocą powstania, i wskutek tego mam, jak sądzę, prawo powiedziéć, że znaczna ilość tych, którzy brali czynny udział w owém powstaniu, nie wiedziała zupełnie dokładnie, czego właściwie chce; jednakże z największą stanowczością mogę powiedziéć, że obcy agenci przygotowali to powstanie i zarazem kierowali niém, i że ci wiedzieli bardzo dobrze, czego chcą. Byli tu najsamprzód agenci madziarscy, którzy mieli za zadanie przeszkodzić urzędowemu zakończeniu niemiłego dla nich kongresu słowiańskiego, a przytém zgotować rządowi austryackiemu trudności i w Czechach; obok tych działali agenci powszechnéj europejskiéj partyi rewolucyjnéj, która narazie dążyła tylko do zburzenia wszędzie rzeczy istniejących, nie myśląc wiele o tém, co i w jaki sposób chce znowu następnie wybudować.

Powstanie czerwcowe w Pradze, w którém nie brała udziału ani inteligentna, ani osiadła ludność miasta, zostało po kilkudniowych walkach ulicznych stłumione siłą wojskową, a kto, podobnie jak ja, widział Pragę w dniach, następujących po powstaniu, ten musiał powziąć przekonanie, że tu nie była czynną jakaś partya politycznie dojrzała, dokładnie świadoma jakiegoś rozumnego celu; miasto bowiem Praga robiło wówczas wrażenie człowieka, który się ocknął szczęśliwie z ciężkiego snu gorączkowego i który się tylko cieszy, że oto znowu jest spokojny.

Namacalnym rezultatem powstania czerwcowego był stan oblężenia i reakcya wojskowa, która popierwsze dawała zupełną wiarę wszystkim podnoszonym ze strony niemieckiéj przeciwko kongresowi słowiańskiemu obawom i rozpuszczanym podejrzeniom, powtóre zaś zwołanie czeskiego sejmu krajowego ogłosiła teraz za całkiem zbyteczne. Wszystkie korzyści, jakieby w r. 1848-ym urzędowe zamknięcie kongresu słowiańskiego i zwołanie sejmu krajowego mogło i musiało koniecznie przynieść narodowi czeskiemu, były obrócone

w niwecz, i owszem zamiast nich nastąpiło coś wręcz przeciwnego, dzięki działalności partyi radykalnéj, która już wówczas odosobniła się od umiarkowanéj i rozważnéj partyi narodowéj, a swemi ekscentrycznemi urojeniami udaremniła jéj rzetelne dążenia, skierowane ku temu, co było możebne do osiągnienia. Sierdzistość radykałów zachodziła już wówczas tak daleko, że Palacký i Havliczek zostali umieszczeni na liście proskrypcyjnéj i mieli być usunięci za pomocą stryczka i szubienicy.

Wspomnienia te są dlatego i dziś jeszcze, po 43-ch latach, nie pozbawione znaczenia, ponieważ utworzona w nowszych czasach przez d-ra J. Grégra partya młodoczeska przy każdéj sposobności utożsamia się z partyą radykalną z r. 1848-go, uniewinnia takową i broni jéj, a zarazem ponieważ „Národní listy“, organ téj partyi, konsekwentnie zapisują w sposób sympatyczny każdy czyn europejskiéj partyi rewolucyjnéj i biorą go pod swą obronę.

A dziś partya młodoczeska jest prawną przedstawicielką narodu czeskiego w wiedeńskiéj radzie państwa.

Skoro wiedeńska rewolucya z października r. 1848-go, również jak i bunt czerwcowy w Pradze zostały stłumione siłą zbrojną, a wreszcie pod koniec r. 1849 i powstanie węgierskie zostało zakończone przy pomocy interwencyi ruskiéj, wtedy nastąpiły w Austryi smutne czasy niemal 10-letniéj reakcyi, w czasie któréj wszyscy patryoci czescy byli bez różnicy uważani i prześladowani, jako niebezpieczne dla państwa żywioły. Germanizowanie Czechów stało się znowu po stronie austryackiéj zasadą rządzenia; powstałe zaledwie dziennikarstwo czeskie zostało zupełnie stłumione, a nawet wydawnictwo encyklopedyi czeskiéj w Pradze nie mogło przyjść do skutku z powodu przeszkód ze strony władzy. Zdawało się, że podniesienie narodowe ludu czeskiego zostało znowu odroczone na czas nieograniczony. Najpopularniejszy dziennikarz czeski, Karol Havlíček, którego wielki talent publicystyczny nabrał wysokiego znaczenia w krótkim okresie swobody politycznéj, zakończył swe życie jako prawdziwy męczennik, bez wyroku sądowego, na wygnaniu w Tyrolu, a i wszyscy inni patryoci czescy, którym właśnie można było zarzucić tylko ich czeski patryotyzm, zostawali pod nadzorem władz i byli wykluczeni od wszelkiéj działalności publicznéj.

Te czasy 10-letniéj reakcyi w Austryi były dla czeskiéj partyi narodowéj nierównie krytyczniejszemi i bardziéj beznadziejnemi, aniżeli czasy przed r. 1848-ym. Wówczas rząd wiedeński mało zważał, i można rzec, nie patrzał wręcz nieprzychylnie na dążenia narodowe

Czechów, wszyscy zaś ukształceni Niemcy w Czechach z nietajoną sympatyą śledzili za usiłowaniami małéj garstki patryotów czeskich, zmierzającemi do wskrzeszenia czeskiego języka i literatury. Teraz wszystko się zupełnie zmieniło. Rząd austryacki upatrywał w piastunach patryotyzmu narodowego niebezpieczeństwo dla państwa i wystąpił przeciwko nim ze stanowczą nieprzyjaźnią; co się zaś tyczy Niemców czeskich, to wskutek wypadków r. 1848 znikły w nich zupełnie wszelkie sympatye dla dążeń narodowych Czechów i ustąpiły miejsca stanowczemu niedowierzaniu.

Tak stały rzeczy, gdy oto wskutek nieszczęśliwéj wojny włoskiéj r. 1859 czasy reakcyi w Austryi doszły do swego kresu, a wtedy znów nikt inny, tylko dr. Rieger powziął ryzykowne postanowienie doręczyć osobiście cesarzowi Franciszkowi Józefowi obszerny memoryał, w którym narodowe skargi i życzenia ludu czeskiego były zdane na sprawiedliwy sąd i uwzględnienie monarchy. Nie potrzebuję chyba nadmieniać, że dr. Rieger był autorem tego memoryału; niepodobna mi jednak nie wspomnieć, że mógłbym z imienia wyszczególnić ówczesnych patryotów czeskich, którzy przez lękliwość odmówili podpisania tego memoryału.

Po tém, co się rzekło powyżéj, byłoby chyba rzeczą prawie zbyteczną zaznaczać wyraźnie, że pretensye narodowe Czechów w roku 1860 nie mogły właśnie znaleść zupełnie chętnego posłuchu wśród rozstrzygających kół wiedeńskich. Toć przecie sam dr. Rieger nie był wówczas w Wiedniu bynajmniéj *persona grata.*

W r. 1860-ym, przy gotującém się właśnie konstytucyjném ukształtowaniu cesarstwa, w Wiedniu zdobyły sobie znaczenie dwa prądy. Jeden z nich możnaby nazwać federalistycznym lub decentralizacyjnym, drugi centralistycznym. Pierwszy, na czele którego stała zachowawcza szlachta czeska, dążył do nowego ukształtowania monarchii na podstawie stosunków istniejących, a więc z należytém uwzględnieniem indywidualnych właściwości pojedyńczych składowych części cesarstwa i narodowych różnic ich mieszkańców; był on przeto w zasadzie przeciwny ujednostajniącym wszystko centralnym rządom wiedeńskim. „Samorząd historyczno-politycznych indywidualności“ cesarstwa był krótkim, lecz pełnym znaczenia programem tego prądu. Drugi prąd miał swoje pod każdym względem wpływowe oparcie w wiedeńskiéj, prawie wyłącznie niemieckiéj, lub przynajmniéj zniemczonéj biurokracyi, która, uderzając na administracyjną decentralizacyę monarchii, walczyła przedewszystkiém o swą własną egzystencyę i, naturalnie, w oczach stanowiących o wszystkiém kół umiała nader zręcznie zapewnienie swojéj egzystencyi utożsamiać

z zapewnieniem egzystencyi państwa. Nic zatém dziwnego, że przy nowém konstytucyjném ukształtowaniu cesarstwa w r. 1861-ym prąd centralistyczny otrzymał przewagę.

Jest-to rzecz osobliwa, że tak zwany dyplom październikowy z r. 1860, gdzie nakreślone zostały główne rysy, mającéj dopiéro być wypracowaną w szczegółach rekonstrukcyi państwa austryackiego, nosi tak wyraźne ślady prądu autonomistycznego, że dyplom ten mógłby był również utworzyć podstawę decentralistycznéj konstytucyi państwowéj, a nawet wstęp ogólny, który urzędowa „Gazeta wiedeńska“ 26 lutego 1861 r. dołączyła do ogłoszonéj w tym dniu zupełnie centralistycznéj konstytucyi państwa, zapowiadał wyraźnie na przyszłość uwzględnienie pojedyńczych krajów i narodowości w monarchii, — co wskutek następujących potém konstytucyi krajowych Schmerlinga nie miało się wcale urzeczywistnić.

Wypracowanie konstytucyi państwowéj i pojedyńczych „ordynacyi krajowych“ (całe państwo otrzymało „konstytucyę“, pojedyńcze zaś kraje koronne, czyli, jakby powiedziano chętniéj odrazu w sensie centralistyczno-biurokratycznym, „prowincye“ otrzymały tylko „ordynacye“, ponieważ ostatecznie wszystko musi być uporządkowane) powierzono baronowi Schmerlingowi, wyobrazicielowi niemiecko-centralistycznéj myśli państwowéj, i w tych słowach powiedziane jest wszystko. Według austryackiéj myśli państwowéj Schmerlinga, cesarstwo Habsburgów miało być państwem z niemieckim rządem centralnym, państwem, w którém zgodnie z konstytucyą naród niemiecki miał być narodem pod każdym względem uprzywilejowanym, któremu się należało pierwszeństwo i panowanie. Parlament centralny w Wiedniu czyli rada państwa miała tworzyć właściwą konstytucyjną reprezentacyę ludów Austryi, obok niéj zaś sejmy pojedyńczych krajów były przeznaczone bardziéj na to, ażeby przy pomocy sztucznych ordynacyi wyborczych wysunąć naprzód większość niemiecką w reprezentacyi krajowéj, aniżeli na to, ażeby same sejmy wystąpiły jako niezbędnie konieczne części składowe skomplikowanéj maszyny konstytucyjnéj. To téż większość niemiecka sejmu czeskiego z r. 1861 zażądała natychmiast, ażeby językiem rozpraw na sejmie czeskim był wyłącznie język niemiecki.

Ze wszystkiego, co się dotychczas powiedziało, wynika najniewątpliwiéj, że akcye narodowe Czechów jeszcze w r. 1861-ym stały bardzo nisko. To, co od owego roku zostało wywalczone na korzyść narodowego rozwoju, jedném słowem, całe podniesienie się narodowe ludu czeskiego, wprawiające wykształconą Europę w zdumienie, jest dziełem partyi staroczeskiéj pod doświadczonym sterem politycznym

d-ra Riegra. Jeżeli tedy w r. 1891-ym większość narodu, za dyktandem d-ra J. Grégra i pod obwołanym przez niego pretekstem: „Nie osiągnęliście nic dla narodu czeskiego“ — odsuwa na bok d-ra Riegra i całą partyę staroczeską, a dalsze kierownictwo polityki składa w ręce młodoczechów, to w taki sposób zdobyte zwycięstwo wyborcze można zapewne nazwać kawałkiem roboty nieuczciwéj.

Dr. J. Grégr, któremu Palacký i Rieger powierzyli w zaufaniu redakcyę założonego przez sebie jedynego wtedy dziennika czeskiego „Národni listy“, -- dr. J. Grégr w gazecie swojéj wygłosił zasadę: „My musimy zawsze czynić coś przeciwnego, aniżeli to, co czynią staroczesi“, — i istotnie postępował zawsze według téj zasady. Pokazało się to zwłaszcza w uderzający sposób, kiedy chodziło o wielce ważną kwestyę opozycyi biernéj. Kiedy partya staroczeska pod przewodnictwem d-ra Riegra zdecydowała się na to, ażeby opuścić sejm krajowy i wiedeńską radę państwową, a wstąpić na drogę biernéj opozycyi, wtedy dr. J. Grégr w gazecie przemawiał za polityką czynną, i przyszło nawet do tego, że 7 młodoczechów wstąpiło samych jednych do sejmu krajowego, jako przedstawiciele narodu czeskiego. Kiedy następnie w r. 1879-ym dr. Rieger, naglony przez młodoczechów, wstąpił znowu do rady państwowéj, to znów nie kto inny, tylko dr. J. Grégr ogłosił niebawem politykę bierności za jedynie prowadzącą do upragnionego celu.

Że dr. J. Grégr w swéj polityce brał się do rzeczy z wielką konsekwencyą, tego mu nikt nie zechce zaprzeczać, to téż koniec końców udało mu się powagę d-ra Riegera w takim stopniu zachwiać i poniżyć, że dalsze istnienie partyi staroczeskiéj nietylko zostało wystawione na groźne niebezpieczeństwo, ale uległo poprostu zakwestyonowaniu.

Otóż ostatecznego celu swéj niezmordowanéj działalności dr. Grégr dopiął szczęśliwie, i to wśród następujących, dla kraju i narodu czeskiego pełnych znaczenia okoliczności.

Według własnego orzeczenia cesarza, ostateczne załagodzenie zatargu narodowościowego w Czechach, czyli innemi słowy: pokojowa ugoda między Czechami a Niemcami stała się „koniecznością państwową“, jeżeli Austrya nie miała się wystawiać na niebezpieczeństwo, ażeby w Czechach powstał nowy Szlezwig-Holsztyn, jako pożądany przedmiot dla wielko-niemieckich planów zaborczych.

Ugoda między Niemcami a Czechami miała przyjść do skutku i stała się jednym z najważniejszych punktów programu rządowego w Wiedniu. Niemieccy i czescy mężowie zaufania zostali w końcu

r. 1889 powołani do Wiednia, a rozprawy ciągnęły się kilka tygodni. Funkcyę mężów zaufania ze strony czeskiéj pełnili przytém trzéj mężowie, wyróżniający się długoletniém doświadczeniem politycznem i działalnością parlamentarną: dr. Rieger, dr. Mattusz i Zeithammer.

Ugoda przyszła do skutku i 19 stycznia 1890 r. została podpisana w Wiedniu przez przedstawicieli obu stron, ażeby następnie być przedstawioną do przyjęcia i ostatecznego załatwienia obu stronnictwom narodowym.

Jużem wspominał w swoich listach, że ja, stary patryota, byłem zupełnie zadowolony z wyniku ugody, i mogę tylko dodać, że i dziś jeszcze jestem pod tym względem tego samego zdania, co w styczniu 1890 r., ponieważ najprzód twierdzę, że jest niepodobieństwem, aby ugoda, zawarta między dwiema spierającemi się partyami, oddała wszystkie korzyści jednéj stronie; powtóre zaś, ponieważ obok innych mniéj ważnych korzyści, przedstawiciele narodu czeskiego za pomocą téj ugody zdobyli coś, do czegośmy napróżno dążyli od roku 1861, mianowicie rewizyę niesprawiedliwéj ordynacyi wyborczéj do sejmu czeskiego.

Jak ja, tak i wszyscy niemal członkowie zwartéj jeszcze wówczas partyi staroczeskiéj, byli wtedy z ugody wiedeńskiéj zupełnie zadowoleni—w tém przeświadczeniu, że niepodobna, aby tego rodzaju ugoda mogła przynieść spełnienie wszystkich pragnień narodowych i zaspokojenie wszystkich żądań ludu czeskiego; i mogę postawić twierdzenie, że owa ugoda wiedeńska byłaby dzisiaj całkiem spełnionym faktem, gdyby dr. J. Grégr nie dojrzał w niéj pożądanego zawsze dla siebie powodu do nowych napaści na d-ra Riegera.

Dr. Grégr, dobrze świadomy rosnącego własnego wpływu na opinię publiczną w Czechach, był już wskutek tego dotknięty i uprzedzony przeciwko ugodzie, że ani jego, ani kogoś innego z pomiędzy młodoczechów nie powołano do rozpraw ugodowych. Gdyby to Grégr i jeszcze dwaj młodoczesi byli ułożyli wiedeńskie punktacye ugodowe, to „Národni listy“ byłyby się wszelkiemi siłami starały udowodnić, że naprzód ugoda była nieodbicie potrzebna, a powtóre, że dzięki usiłowaniom przedstawicieli narodu czeskiego osiągnęliśmy dla siebie znaczne korzyści, przedewszystkiém zaś rewizyę sejmowéj ordynacyi wyborczéj. Ponieważ jednak ugodę z Niemcami zawarł dr. Rieger i staroczesi, więc „Národni listy“ podjęły się wmówić w lud czeski, że wskutek punktacyi wiedeńskich został on (lud) w swoich najświętszych prawach najdotkliwiéj pokrzywdzony, że przez tę tak zwaną ugodę cały byt narodowy Czechów został wystawiony na niebezpieczeństwo, że ugoda ta nie ma żadnego innego celu, tylko zgermanizo-

wanie ludu czeskiego, że zatém ci, którzy ową ugodę zawarli i podpisali, muszą być uważani nie za obrońców interesów czeskich, lecz za zdrajców sprawy narodu.

Uważam za zbyteczne dowodzić, że w tém wszystkiém jest tylko bezzasadna przesada; zaznaczam jedynie niezaprzeczony fakt, że ostatnia ta napaść d-ra Grégra na powagę i wpływ d-ra Riegra i partyi staroczeskiéj uwieńczona została najzupełniejszém powodzeniem. Oskarżenia, z jakiemi wystąpiły „Národní listy", nietylko znalazły chętny posłuch wśród téj wielkiéj masy ludzi, pozbawionych własnego zdania, którzy zawsze są skłonni silne wyrażenia uważać za silne dowody, ale sprawiły także wielki zamęt w szeregach partyi staroczeskiéj i dotychczasowych bezwzględnych zwolenników d-ra Riegera, z pomiędzy których wkrótce bardzo wielu, nastraszonych coraz gwałtowniejszemi napaściami wspomnianéj gazety, wykonało potrzebny zwrot, aby ich nie zaliczono do liczby „punktatorów", których właśnie „Národní listy" umieściły na liście proskrypcyjnéj.

W tych czasach krytycznych partya staroczeska dopuściła się wielkiego błędu: zamiast w zwartym szeregu wystąpić przeciwko napaściom młodoczechów, zrobiła ona wszystko, co było możliwe, byle tylko powiększyć zamęt i zniechęcenie we własnym obozie i zachwiać zaufaniem narodu do téj partyi, tak iż wobec wzmagającego się coraz bardziéj wahania „Národní listy" mogły wkrótce wystąpić z twierdzeniem: nikt wśród ludu czeskiego nie stoi już po stronie d-ra Riegera, cały naród odrzuca jednogłośnie zawartą przez niego ugodę.

Wobec powstałéj tym sposobem niepewności co do stanowiska prawnych przedstawicieli narodu czeskiego, wiedeńska rada państwowa została w styczniu 1891 r. rozwiązana, i w Czechach nowe wybory do parlamentu zostały rozpisane na 2-go i 4-go marca. Teraz więc młodoczesi robili wszystko, co się tylko da pomyśléć, byle przy tych wyborach zapewnić swéj partyi stanowcze powodzenie. W prowadzących do tego środkach nie bardzo przebierano.

Tutaj byłoby może na miejscu wspomniéć o tém, jakim sposobem dr. J. Grégr utworzył sobie partyę, którą uważał za konieczną podstawę swojéj potęgi i która oto jemu i jego zwolennikom miała dopomódz do ostatecznego zwycięstwa. Dr. Grégr zrobił to bardzo prosto. Wszystkim z czegokolwiek niezadowolonym, wszystkim przeciwko czemukolwiek walczącym, wszystkim niepoznanym lub nieuznanym ambitnym karyerowiczom pozostawił on do swobodnego rozporządzenia łamy swego dziennika i tym sposobem uczynił z siebie opiekuna wszystkich tych, którzy nie są niczém, a chcieliby czémś

być, którzy nie mają nic, a pragnęliby coś mieć. Łatwo sobie wyobrazić, że przy takiém, niczém nie krępowaném przyjmowaniu, klientela jego wkrótce stała się pokaźną. O zaspokojenie wszystkich tych życzeń dr. Grégr nie potrzebował się narazie troszczyć; przyjdzie to dopiéro później, choć bodaj czy nie doprowadzi do niejakich nieporozumień.

Jak bardzo dr. J. Grégr pamiętał o tém, ażeby w interesie swéj agitacyi stronniczéj wyzyskać wszystkie namiętności, okazuje się bardzo wyraźnie w sprawie Husa. Dr. Grégr wiedział bardzo dobrze, że dr. Rieger i staroczesi z powodu ich związku z duchowieństwem i szlachtą katolicką, oraz przez wzgląd na katolicką dynastyę i wogóle jako partya zachowawcza nie mogą wziąć udziału w nielicującéj zgoła z teraźniejszemi naszemi stosunkami gloryfikacyi rewolucyjnego husytyzmu; zainaugurował on jednakże tę sprawę i popierał ją na wsze sposoby, ażeby łatwe do podbudzenia masy ludowe uprzedzić przeciwko d-rowi Riegerowi, który téż z całą słusznością mógł powiedziéć na sejmie czeskim, że ze strony młodoczeskiéj nawet jasna postać Husa jest nadużywana do namiętnéj agitacyi stronniczéj.

Wszystko zatém ze strony d-ra Grégra było dobrze przygotowane. Nawet czeskich studentów po wszechnicach umiał on już oddawna dla siebie pozyskać. Znaczna większość studentów stawała wszędzie ostentacyjnie w obozie młodoczeskim, służyła chętnie przy wszelkich agitacyach wyborczych i demonstracyach na trybunie sejmowéj. Młodość nie jest wiekiem umiarkowania i rozwagi; było przeto bardzo łatwo wmówić w młodzież, że umiarkowana polityka Riegera i jego rozważne postępowanie nie może doprowadzić narodu do upragnionego celu, i że w téj mierze potrzeba wystąpić energiczniéj, robić więcéj hałasu, postępować bezwzględniéj, nigdy nie wchodzić w układy, lecz zawsze się tylko domagać i rzecz pożądaną wymuszać. „Opozycya radykalna“ stała się w kołach młodzieńczych ulubioném hasłem, choć przytém nie trudzono się zbyt wiele nad tém, ażeby sobie zdać jasno sprawę z potrzebnych środków i wyznaczonego celu.

Na krótko przed rozstrzygającym dniem wyborów dr. Grégr, dla większego wzmocnienia swoich zastępów, zawarł sojusz z partyą, którą przedtém zwalczal gwałtownie. Jest-to partya tak zwanych realistów. Partya ta nie miała wprawdzie za sobą znaczniejszego stronnictwa wśród ludu, ponieważ jednak składa się niemal wyłącznie z młodych profesorów uniwersytetu, więc d-rowi Grégrowi chodziło tutaj widocznie o pozyskanie dzielnych pracowników parlamentarnych.

Na czele realistów stał i stoi prof. Masaryk. W swoim czasie dr. Grégr najgorliwiéj bronił autentyczności rękopisu królodworskiego przeciwko prof. Masarykowi, a odnośna polemika między tymi panami toczona była w taki sposób i doprowadziła obustronnie do tak osobistych wycieczek i namiętnych zniewag, że każdy był przekonany, iż pomiędzy d-rem Grégrem a prof. Masarykiem nie może nigdy istnieć stosunek przyjazny, a témbardziéj zgodne współdziałanie w jednym zamiarze. A jednak stał się ten cud, i prof. Masaryk wraz ze swymi towarzyszami, ku powszechnemu zdumieniu, został przez „Národní listy“ proklamowany jako młodoczeski kandydat do rady państwa.

Teraz mogła się rozpocząć kampania wyborcza. We wszystkich okręgach wyborczych postawiono samoistnych kandydatów młodoczeskich. Zadanie ich było wszędzie to samo: popierwsze, d-ra Riegera, punktatorów i całą partyę staroczeską o ile można zelżyć; powtóre, wyborcom wszelkie rzeczy możliwe przyobiecać. Staroczesi nie osiągnęli jeszcze dla ludu nic; my młodoczesi osiągniemy wszystko,—w tém się zawsze streszczały długie mowy; specyalnie zaś przyobiecywano: natychmiastowe uznanie czeskiego prawa państwowego, o którém miano mówić w Wiedniu nie z ministrami, lecz tylko wprost z „królem“; zupełne przeprowadzenie równouprawnienia narodowego, zmniejszenie ciężarów wojskowych, wogóle zmniejszenie podatków, przejęcie długów hypotecznych przez państwo, tani pieniądz na 2% z banków angielskich, dla nauczycieli powiększenie płacy, dla rzemieślników rewizyę ordynacyi rzemieślniczéj, — słowem, jak sławny kuglarz Döbler: z niewyczerpanego kapelusza obietnic dla każdego „bukiecik“. Odpowiednio do tego, czy z inteligencyą odnośnych kandydatów rzecz miała się mniéj lub więcéj dobrze, wyborcom wypadało słuchać mniéj lub więcéj niedorzeczności, jak np. zapewnienie pewnego młodoczeskiego kandydata, że wybrani posłowie młodoczescy wjadą do Wiednia, jako ryczące lwy, przed których rykiem zadrżą okna cesarskiego Hofburgu.

Na niektóre obawy, wypowiedziane przez staroczechów co do tego, o ile deputacya młodoczeska w wiedeńskiéj radzie państwowéj okaże się przydatną do zawierania związków, odpowiedziano z wielką stanowczością, że cały świat będzie szukał związku z młodoczechami, że młodoczesi utworzą „języczek u wagi“ i wskutek tego będą odgrywać rolę decydującą w parlamencie wiedeńskim.

Nie wiem naturalnie, czy wszyscy posłowie młodoczescy wierzyli istotnie w to wszystko, co wypowiadali przed wyborcami, nie chcę także twierdzić, ażeby wszyscy nowoobrani posłowie młodoczescy, w liczbie 35, weszli do gmachu parlamentu z równą ufnością

w zwycięstwo; być może jednak, że wyobrażali oni sobie rzeczy w Wiedniu lepiéj, aniżeli im się późniéj przedstawiły.

Przeszła sesya wiosenna rady państwowéj, posłowie młodoczescy powrócili do kraju, ale o powodzeniach parlamentarnych nie mieli nic do opowiedzenia na licznych zgromadzeniach wyborczych, gdzie deputat młodoczeski w pocie czoła wysilał się na udowodnienie, że partya staroczeska wszystko do tego stopnia popsuła, że już nic zrobić niepodobna, — poczém wyborcy młodoczescy dawali mu *votum* zupełnego zaufania. Młodoczescy jednak wyborcy pozwalali sobie mówić wszystko, jeżeli tylko obok tego porządnie wymyślano na staroczechów. Pokonano partyę staroczeską w walce wyborczéj, ogłoszono ją następnie za zupełnie umarłą, a przecież, jak gdyby nie dowierzając własnym swoim słowom, starano się ustawicznie jeszcze raz ją uśmiercić. *De mortuis nil nisi bene* nie miało tutaj żadnego zastosowania, i wydawało się niemal, jak gdyby młodoczesi chcieli osłonić własne swoje niepowodzenia, rozbudzając namiętności ludu przeciwko staroczechom, których przecie uczyniono nieszkodliwymi.

Rozumie się samo przez się, że posłowie młodoczescy nie bardzo się chwalili przed swymi wyborcami z zupełnego odosobnienia frakcyi młodoczeskiéj, składającéj się z 35 członków, w parlamencie wiedeńskim, liczącym 354 członków. Dawniejszy klub staroczeski, pod nazwą „Český klub“, w którym obok posłów z czeskich gmin i miast znajdowali się także posłowie zachowawczy z czeskich większych posiadłości ziemskich, oraz czescy posłowie z Morawy, liczył 68 członków, był łącznie z Galicyanami i klubem Hohenwartha częścią parlamentarnéj większości, i wskutek tego posiadał w radzie państwa, jeżeli nie rozstrzygające, to w każdym razie poważane i wpływowe stanowisko. Na jedynie możliwéj drodze kompromisu ze stronnictwami, należącemi do parlamentarnéj większéj, ów klub staroczeski miał do zapisania nie jedną zdobycz i jest-to niezaprzeczonym faktem, że deputacya staroczeska pod przewodnictwem d-ra Riegera zdobyła sobie w parlamencie centralnym stanowisko, nakazujące szacunek.

Wszystko to zmieniło się od czasu wstąpienia do parlamentu deputacyi młodoczeskiéj. Z nową tą frakcyą parlamentarną, o któréj trudno było powiedziéć z góry coś stanowczego, pojedyńcze części dawniejszéj większości parlamentarnéj nie mogły zawierać żadnego sojuszu; przedstawiciele zachowawczych posiadaczy czeskich większéj własności ziemskiéj, przeciwko którym radykalni młodoczesi oddawna występowali w sposób jaknajbardziéj szorstki, nie mogli się do nich przyłączyć, czescy posłowie z Morawy nie uważali również

takiego przyłączenia za stosowne, konserwatyści niemieccy z klubu Hohenwartha wzgardzili naturalnie wszelkim związkiem z czeskimi nowohusytami; posłowie zaś galicyjscy wobec wszelkich ich zalecanek zachowywali się odpornie. Tym sposobem wskutek wstąpienia młodoczechów do rady państwa dawniejszy, tak zwany „żelazny pierścień“ parlamentarnéj większości został ostatecznie złamanym, naturalnym zaś skutkiem tego było z konieczności zbliżenie się rządu do dawniejszéj lewicy niemieckiéj, i wynikła stąd parlamentarna większość „od wypadku do wypadku.“

Że tym sposobem sprawa poparcia czeskich życzeń i pretensyi narodowych nie odniosła w radzie państwa żadnego pożytku, — jest rzeczą oczywistą. Z drugiéj strony jednak, nie do pojęcia jest, że posłowie młodoczescy robili wszystko, co było w ich możności, ażeby powagę deputacyi czeskiéj w kołach parlamentarnych jaknajdotkliwiéj zachwiać i poniżyć. Mianowicie ze wszystkich tych rozmaitych mów, jakiemi posłowie młodoczescy w czasie feryi parlamentarnych na zgromadzeniach wyborczych raczyli swoich słuchaczy, okazał się smutny fakt, że panowie ci co do najważniejszych spraw trzymają się zupełnie odmiennych poglądów, że przeto nie tworzą oni zwartéj i jednolitéj w swych zasadach i zamiarach ostatecznych partyi. Przemawiał tam jeden za rozważną i umiarkowaną polityką oportunistyczną, drugi za bezwzględną opozycyą radykalną; jeden bronił w polityce zewnętrznéj trójprzymierza mocarstw środkowo-europejskich, inny głosił konieczność aliansu rusko-francuskiego; jeden przemawiał stanowczo przeciwko taktyce bierności, inny znowu oświadczał, że opozycya bierna z jéj ostatecznemi konsekwencyami jest nieodbitą koniecznością. Ba, od jednego posła młodoczeskiego usłyszeliśmy, że czeskie prawo państwowe, które przecież młodoczesi obiecywali przywieść ludowi czeskiemu z Wiednia gotowém i uznaném, właściwie wcale nie istnieje, i że je trzeba dopiéro nanowo zbudować. Przytém doszło także między pojedyńczymi posłami do osobistych zaczepek, dla których załagodzenia uważano za potrzebne zwołanie sądu honorowego; wynik ostateczny był taki, że ów sąd ogłosił wszystko za czyste nieporozumienia i obwieścił najzupełniejszą zgodność stronnictwa. Prof. Masaryk, przywódca partyi realistów, oświadczył na pewném zgromadzeniu wyborców, że partya (nie było zupełnie jasném, czy ma na myśli partyę realistów, czy téż młodoczechów) potrzebuje własnego organu publicznego, co w każdym razie musiało oznaczać, że „Národni listy“ pod tym względem nie wystarczają; wkrótce atoli potém odwołał on to z żalem, twierdząc, że jest ze

wszystkiego całkiem zadowolony i uważa się za wiernego i powolnego członka zupełnie jednolitéj partyi młodoczeskiéj.

Wreszcie dr. Juliusz we własnéj osobie doprowadził do szczytu zgubny zamęt, oświadczając, z okazyi wyborów zastępczych do praskiéj reprezentacyi miejskiéj, publicznie i dosłownie, że „tylko głupiec“ może od deputacyi młodoczeskiéj oczekiwać powodzeń parlamentarnych. On sam jest zupełnie przekonany, że się nie doczeka uznania czeskiego prawa państwowego i przeprowadzenia równouprawnienia narodowego w Czechach. Nie posłowie, lecz lud czeski musi to wszystko wywalczyć.

Tak mówił dr. Grégr 26 października 1891 r. na zgromadzeniu publiczném, chociaż na 8 miesięcy przedtém dał on wyborcom kilkakrotnie i na różne tony powtarzane zapewnienie, że deputacya młodoczeska w Wiedniu wszelkie rzeczy możebne w jaknajkrótszym czasie przeprowadzi i zdobędzie; to téż należy przypuszczać, że tego rodzaju poważne oświadczenie nie oznacza nic innego, tylko całkowitą likwidacyę młodoczeskiego przedsiębiorstwa. Lecz stronnicy gazety „Národní listy“ są zanadto przyzwyczajeni do słyszenia stamtąd prawie codzień czegoś innego, tak iż prawdopodobnie powyższe zdania swego pana i mistrza uważali oni tylko za wyraz chwilowego złego humoru i nie przypisali im żadnego donioślejszego znaczenia. Kiedy kandydaci młodoczescy przy odbytych 28 października wyborach do reprezentacyi gminnéj miasta Pragi w pierwszém i drugiém „ciele“ wyborczém nie zostali wybrani, i przebili się tylko w trzeciém, natenczas dr. Grégr ogłosił taki rezultat za zwycięstwo wyborcze młodoczechów, i w obozie młodoczeskim panowała znowu radość i uciecha.

Wszystko to mogłoby się wydawać bardzo wesołém i zabawném, gdyby całość nie posiadała strony arcy-smutnéj pod względem dalszego rozwoju naszych dziejów. My jesteśmy narodem małym, który stałe i zapewnione stanowisko wśród europejskiéj rodziny musi sobie dopiéro wywalczyć, gdyż dotychczas jeszcze go nie posiada.

Dzięki umiarkowanéj polityce staroczeskiéj, byliśmy już na najlepszéj drodze do tego, ażeby usunąć istniejące ciągle w Wiedniu przeciwko nam uprzedzenia i, chociaż w powolném tempie, to jednak z ciągłym postępem zdobywać dla naszych interesów narodowych potrzebne poważanie. Teraz wszystko się to znowu zmieniło, a jakkolwiek młodoczesi częściowo próbowali w Wiedniu prowadzić staroczeską politykę oportunistyczną, to jednak pobudzeni namiętnie wyborcy wkrótce zaczynali ich nanowo naglić do występowania

z opozycyą radykalną. W swojém zakłopotaniu grożą oni jeszcze większym radykalizmem, jaki musiałby przyjść po nich, a w końcu i otwartą rewolucyą. Nie zdaje się jednak, ażeby tym sposobem napędzili wielkiego strachu, i rzeczywiście nie wiem, ktoby właściwie w Czechach miał robić rewolucyę; natomiast jestem mocno przekonany, że rewolucya taka mogłaby prawdopodobnie sprowadzić interwencyę wojskową ze strony cesarstwa niemieckiego, co znowu w żadnym razie nie byłoby wielką wygraną dla czeskich interesów narodowych.

Tymczasem stowarzyszenia „postępowych“ studentów czeskich i radykalnych, partya chłopska, wyhodowana przez „Národní listy“, dają posłom młodoczeskim rady, co powinniby czynić, ażeby się wydostać z manowców odosobnienia; w krótkości treść tych rad brzmi z obu stron jednakowo: Jeszcze radykalniéj! Jeszcze więcéj hałasu i zawziętéj opozycyi! — co znaczy innemi słowy: starajcie się w Wiedniu odstręczyć od siebie wszystkich jeszcze bardziéj, aniżeli dotychczas, a wtedy z pewnością dopomożecie narodowi czeskiemu! Jak się zdaje, radykałowie nasi niewiele się troszczą o to, że tym sposobem popychają oni wprost rząd austryacki w otwarte ramiona Niemców, co znowu nie jest wygraną dla interesów czeskich.

Na podstawie wszystkiego, co się rzekło dotychczas, mogę, jak sądzę, wypowiedziéć twierdzenie, że wskutek zwycięstwa wyborczego młodoczechów naród nie zyskał nic, że owszem znajduje się on w niebezpieczeństwie utraty niejednego, co zostało zdobyte przy pomocy mądrego umiarkowania. Dr. Grégr we własnym interesie osobistym uważał za potrzebne zburzyć dotychczasową organizacyę polityczną narodu, i to mu się téż powiodło. Zdruzgotawszy partyę staroczeską, ogłosił on zgodę polityczną narodu za naglącą konieczność, musi jednak teraz widziéć, że burzyć łatwiéj, aniżeli budować.

Wprawdzie partya staroczeska nie jest całkowicie umarłą, gdyż dała ona przecie znowu znak życia przy wyborach zastępczych do praskiéj reprezentacyi 28 października; z tém wszystkiém atoli jest ona znacznie zdezorganizowana, tak iż wydaje się wątpliwém, czy i kiedy odegra ona jakąś rolę w naszém życiu publiczném.

Tak zwana partya młodoczeska nie jest, właściwie mówiąc, prawdziwą partyą polityczną, i przytém grozi jéj niebezpieczeństwo rozpadnięcia się na większą ilość frakcyi, które możnaby nazwać: gregryanami reguły ścisłéj, realistami, krańcowymi radykałami i partyą chłopską, jeżeli ktoś nie chce przybrać do tego jeszcze partyi studenckiéj.

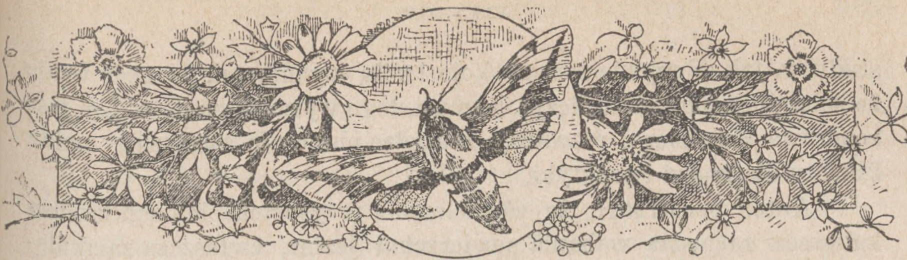
Pod względem powagi i wpływu nigdzieśmy nie zyskali, przeciwnie znajdujmy się w niebezpieczeństwie ostatecznéj utraty wszystkiego.

Jednêm słowem, zbliżamy się do przesilenia, o którém aż do dziśdnia nie da się nic stanowczego powiedzieć. Jedno tylko jest pewne: w narodowym obozie czeskim panuje wielki zamęt, i to ku wielkiéj uciesze naszych nieprzyjaciół narodowych — Niemców.

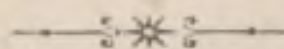
Praga, 10 listopada 1891 r.

Dr. Gabler.





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.



Peryodyczne wahania klimatu ziemskiego. — Okresy trzydziestopięcioletnie. — Praktyczne rezultaty spostrzeżeń meteorologicznych. — Jak powstaje deszcz. — Próby sprowadzania sztucznego deszczu. — Co wiemy o przyczynach burz.

I.

W samą porę ukazała się praca berneńskiego profesora geografii, p. Brücknera. Lato przeszłoroczne, zamiast upałów i blasków słońca, darzyło nas prawie bezustannie chłodem i deszczem. Ze wszystkich stron słychać było pytanie, co jest powodem téj niepogody; najrozmaitsze tu i owdzie wygłaszane poglądy mówiły o powolnéj, lecz stałéj zmianie, jakiéj ulega klimat ziemski; są nawet i tacy prorocy, którzy stanowczo utrzymują, że glob ziemski statecznie się ochładza, że zbliżamy się stopniowo do nowego okresu lodowego.

Rzetelna meteorologia współczesna nie może mieć bynajmniéj pretensyi do doskonałości; pozostaje ona raczéj jeszcze w stadyum gromadzenia istotnego materyału, na którego podstawie możnaby z czasem ogólniejsze wyciągnąć wnioski i wysnuć prawa, rządzące zjawiskami atmosferycznemi. Przewidywanie pogody należy jeszcze obecnie do najtrudniejszych zadań nauki, i jedynie nadzwyczaj wysokiemu znaczeniu, jakie stan powietrza posiada dla tylu gałęzi działalności ludzkiéj, przypisać trzeba tę okoliczność, że niestety zbyt wielka liczba niepowołanych bawi się w przepowiednie, w błąd wprowadzające tych, którzy im ufają.

Przedewszystkiém wytrwała, długoletnia obserwacya, a następnie statystyczne zestawienie materyału mają dla meteorologii niezrównaną doniosłość. Jak zaś praca w tym kierunku gorliwych wymaga

studyów, jak olbrzymie zatacza koła i z ilu czynnikami, napozór wcale ze sobą niezespolonemi, liczyć się musi, tego wymownym dowodem jest rozprawa Brücknera, rozważająca bardzo obszernie znaczenie zmian klimatu dla teoryi i praktyki.

Autor spostrzegł, że równolegle z przyrostem lub zanikaniem lodowców zachodzą wahania powierzchni jezior, zwłaszcza zamkniętych w sobie, nie posiadających większych odpływów. Analogicznie z zesuwaniem się i cofaniem lodowców powierzchnie jezior podnoszą się i opadają. Przyczyny tych wahań tkwią oczywiście w większych lub mniejszych ilościach opadu atmosferycznego w granicach zasilających jeziora wodą; gdy zaś ilość opadu zależy od chwilowego stanu ciśnienia powietrza, a zmiany ciśnienia znów wywoływane bywają przez zmiany temperatury, przez to wszystkie te zjawiska kolejno zbadać wypadało.

Z obserwacyi swych doszedł Brückner do nieoczekiwanego rezultatu, mianowicie, że zarówno wahania w objętości lodowców i jezior, jako też w obfitości opadu, wysokościach ciśnienia atmosferycznego i w temperaturze powracają w oznaczonych okresach czasu, przeciętnie co 35 lat. W ten sposób ważne powyższe czynniki meteorologiczne sprawiają, że klimat całéj ziemi podlega zmianom według 35-letnich okresów. Wahania te nazywa Brückner okresowemi wahaniami klimatu (*saeculäre Klimaschwankungen*). Mamy na zmianę okres chłodny i zarazem wilgotny, oraz ciepły i suchy. Lodowce wskazują przyrost, a jeziora wysoki stan wody w okresie chłodnym a wilgotnym, kiedy przeciwnie kurczenie się lodowców i niski stan wody przypadają na okres suchy i ciepły. Każdemu dżdżystemu okresowi towarzyszą łagodne wahania w zmianach barometrycznych; podczas okresów suchych zaś różnice w ciśnieniu atmosfery znacznie wzrastają.

Istotne przyczyny tych wahań klimatycznych nie tkwią w zjawiskach ziemskich, tellurycznych; najprawdopodobniéj słońce jest tym regulatorem naszych stosunków ziemskich. Właściwych przyczyn dotąd nie poznano; tyle wszakże napewno twierdzić można, że plamy słoneczne nie zostają w żadnym związku z opisanemi wahaniami.

Prof. Brückner zbadał w powyższym kierunku 11 jezior w Europie, 12 w Azyi, 12 w Ameryce, 6 w Afryce i 3 w Australii; daléj uwzględnił materyał zebrany przez 320 stacyj meteorologicznych, w którym ogółem zawartych było spostrzeżeń nad deszczami za 13,500 lat, oraz z 280 stacyi ze spostrzeżeniami nad temperaturą za 10,000 lat. Wahania temperatur można było wyśledzić wstecz aż do roku 1731, a różnica pomiędzy *maximum* a *minimum* obudwu okresów dla całéj ziemi wynosiła nieco nad 0,76 stopni Celsyusza. Centrami z innych

a wilgotnych okresów okazały się lata: 1700, 1740, 1780, 1815, 1850 i 1880; suchych zaś a ciepłych: 1720, 1760, 1795, 1830 i 1860. Z wahań, zachodzących w terminach winobrania, które od wielu lat dokładnie są notowane we wszystkich rodzących wino krajach — a materyał ten sięga do roku 1000-go — udało się prof. Brücknerowi stwierdzić 25 kroć, iż rzeczywiście zachodzą 35-letnie okresy klimatyczne. Zależnie od klimatu winobranie następuje wcześniéj lub późniéj; rezultat ten jest wymownym dowodem słuszności wniosków autora.

Wpływ zmian klimatycznych najsilniéj naturalnie daje się odczuwać rolnictwu. W środkowéj i zachodniéj Europie 77% obfitych zbiorów przypada na ciepłe, suche peryody, a 77% złych plonów na okresy wilgotne, zimne. W krajach suchych dzieje się naturalnie odwrotnie; Syberya, Indye Wschodnie bardzo cierpiały na posuchę i nieurodzaje około r. 1860, kraje zaś wilgotne miały podówczas najbogatsze zbiory.

Zdawać by się mogło, że wymieniona wyżéj różnica najwyższéj i najniższéj temperatury, wynosząca około 3/4 stopnia, niedostatecznie jest wielką, aby mogła istotnie wpłynąć na nasze stosunki ziemskie. Lecz już to, co przytoczyłem o rolnictwie, dowodzi czegoś wprost przeciwnego. Dodam jeszcze, że np. stan rzek niemieckich podczas suchych okresów o 1/2 metra jest niższy aniżeli w okresach wilgotnych; to zaś przedstawia już wartość, z którą żegluga dobrze liczyć się jest zmuszona.

Ponieważ równolegle z wahaniami klimatu opada téż lub podnosi się woda gruntowa, a zmiany w jéj wysokości, zwłaszcza szybkie opadania, wywierają znaczny wpływ na rozpowszechnianie się niektórych chorób epidemicznych, przeto i dla stosunków sanitarnych i hygieny zapobiegawczéj zmiany te duże mają znaczenie. Tak np. co do tyfusu, statystyka wykazała, że śmiertelność wzrasta w okresach opadania wody zaskórnéj. Oto jeden z wielu przykładów: w Bazylei w początkach piątego dziesiątka naszego wieku śmiertelność wynosiła 8,1 na 1000 mieszkańców, podniosła się zaś w epoce suchéj do 1864 roku na 30,1, a następnie do roku 1877 znów opadła na 5,3. Podobne zestawienia mamy dla wielu miast i dla całego szeregu chorób zakaźnych.

Widzimy więc, że zmiany naszego klimatu, zachodzące przeciętnie co 35 lat, jakkolwiek odbywają się niezmiernie powolnie, jednakże sprowadzają olbrzymie skutki w nader rozmaitych kierunkach. Ponieważ w r. 1860 mieliśmy ostatnie *maximum* suchego, a w 1880 wilgotnego okresu, zatém stopniowo zbliżamy się obecnie znów do okresu suchego, którego *maximum* przypadnie prawdopodobnie około r. 1900.

Możemy się spodziewać, że najbliższa przyszłość przyniesie nam ciepło i suszę, że wielkie zalewy, które w czasach ostatnich tyle pracy ludzkiéj zniszczyły w następnych latach mniéj będą srogie, że powrócą nam wkrótce lata cieplejsze niż roku ubiegłego.

Praca prof. Brücknera może posłużyć za doskonały dowód, jakiego rodzaju wniosków praktycznych możemy się spodziewać od badań meteorologicznych. Niestety, nawet śród ukształconego ogółu panuje to przekonanie, że albo stacya meteorologiczna, dajmy na to dzisiaj w Warszawie założona, powinna natychmiast przepowiedzieć stan pogody na jutro, albo téż, że stacye są instytucyami czysto naukowemi, od których żadnych rezultatów praktycznych oczekiwać nie powinniśmy. I jedno i drugie mniemanie jest błędne. Nauka meteorologii znajduje się w téj fazie rozwoju, w któréj nie sformułowano jeszcze z pożądaną ścisłością ogólnych praw, w któréj jedyną prawie drogę do dalszych postępów jest skrzętne notowanie tych wszystkich objawów atmosferycznych, które składają się na stan pogody. Potrzeba bardzo obfitego materyału, obejmującego wiele dziesiątków lat, aby dla danéj okolicy wykryć choćby pierwsze wskazówki, które mogłyby badaczowi dać do zrozumienia, jakim wahaniom ulegają poszczególne momenty meteorologiczne. I nie na tém koniec. Rezultat ten jest niezawodniejszy, im mniejsze odległości dzielą sąsiadujące ze sobą stacye. Zrozumiano to już dawno i w całym cywilizowanym świecie praca na tém polu wre w najlepsze; tam też, gdzie materyał dostatecznie bogaty został już zgromadzony, potrafią także korzystać z niego, a rolnictwo i żegluga, w tak wysokim stopniu od atmosferycznych warunków zależąc, nieraz już na Zachodzie dużo miały do zawdzięczenia wskazówkom otrzymanym ze stacyj meteorologicznych.

W kraju naszym nie zbyt dawno rozpoczęto poważną pracę w tym kierunku; założono sieć stacyj meteorologicznych, które zbierają skrzętnie odnośny materyał. Lecz kilka, nawet kilkanaście lat pracy tworzą w téj dziedzinie ledwie najpierwsze początki. Korzyści faktycznych spodziewać się można dopiéro po bardzo długich okresach czasu. Szkoda wielka, że sprawę tę pojmuje dobrze bardzo niewielu ludzi. Zdarzało mi się od osób zupełnie inteligentnych słyszéć, że cała ta praca nic niewarta, skoro pochłania dużo pieniędzy, a nie pozwala stanowczo przepowiedziéć z tygodnia na tydzień, jaką będziemy mieli pogodę. Doprawdy, trudno się dziwić podobnéj ignorancyi, skoro zważymy, jak wogóle mało uczą nas poznawać zjawiska przyrody. Zrozumiałem jest téż, że sensacyjne wiadomości w rodzaju sprowadzania sztucznych deszczów bardziéj mogą zająć naszą uwagę aniżeli wiadomość o rozważnym, powolnym, rzetelnym postępie wiedzy.

Co prawda, z góry niezawsze można powiedzieć, aby najśmielsza nawet idea była niewykonalną. Dlaczegóżby wreszcie niemożliwém było wytworzenie deszczu środkami sztucznemi? lecz koniecznie zawsze liczyć się trzeba z warunkami w przyrodzie dobrze poznanemi, trzeba pomysły wielkich wynalazków mierzyć jedynie miarą naturalnych zjawisk, nad któremi panować jesteśmy w stanie. A zobaczmy, jak w świetle tego wygląda pomysł sprowadzania sztucznego deszczu.

Gdy znaczna objętość powietrza oziębioną zostaje poniżéj temperatury, przy któréj skrapla się zawarta w niéj para wodna, wówczas ta ostatnia przestaje być niewidzialną. W razie, kiedy to obniżenie temperatury nie jest bardzo znaczne, para wodna ukazuje się w postaci obłoczków i chmur; przy silném natomiast oziębieniu powstaje dészcz lub śniég.

Probowano niejednokrotnie w ostatnich czasach na ograniczonych powierzchniach globu ziemskiego wywoływać opad atmosferyczny za pomocą silnych eksplozyi np. nitrogliceryny lub innych materyałów wybuchowych. Sama myśl sprowadzania w ten sposób deszczu opiera się, jak twierdzą, na fakcie niejednokrotnie podobno spostrzeżonym, mianowicie, że silne deszcze towarzyszą wielkim bitwom i wybuchom wulkanicznym lub następują po nich. Lecz pozostawiając na uboczu wpływ spalonego prochu, zauważyć należy, iż w rzeczywistości nie bardzo jest dziwném podobne działanie wybuchów wulkanicznych: bo przecie nie tylko mamy tu do czynienia z olbrzymią siłą wybuchu i znaczną ilością wytwarzanego ciepła, które wywołuje prądy powietrzne, lecz — co może najważniejsze, z przeważnéj liczby kraterów wulkanicznych wydziela się ogromna masa pary wodnéj.

Ogólnie przypuszcza się obecnie, że obniżenie temperatury niezbędne do wywołania deszczu może być osiągnięte albo przez zmieszanie ze sobą mas powietrza zimnego i ciepłego, albo przez wprowadzenie ciepłego, nasyconego wilgocią powietrza do masy powietrza zimnego. W obudwu wypadkach dészcz zawdzięczamy oziębieniu powietrza do tego stopnia, przy którym nie jest ono w stanie zatrzymać w sobie w postaci niewidzialnéj pary téj ilości wody, jaką pierwotnie zawierało. Obfitość deszczu zależna jest przeto i od zawartości pary wodnéj w powietrzu i od stopnia obniżenia temperatury.

Przy pomocy pierwszego sposobu, t. j. zmieszania zimnych mas powietrza z gorącemi nie można nigdy otrzymać znacznych opadów; gdyż jeżeli gorące powietrze oziębia się i w ten sposób zbliża się do stanu nasycenia parą wodną, to jednoczesne ogrzewanie się powietrza zimnego działa w kierunku wprost przeciwnym. Pozostaje przeto ozpatrzéć możliwość drugiego sposobu, jeżeli chcemy zrozumieć po-

wstawanie bardzo obfitych deszczów. Otóż trzy tu są rozmaite drogi do uwzględnienia: 1) działanie gorącego i wilgotnego prądu powietrza, płynącego ku okolicom zimniejszym; tak np. wiatry równikowe, biegnące ku biegunowi wywołują bardzo silne deszcze; 2) wpływ prądów wznoszących się od ogrzanych powierzchni, przyczém czynnikiem współdziałającym może być znaczne rozszerzenie się powietrza, i, co zatém idzie, zmniejszenie ciśnienia; wreszcie 3) sprzyjająco działać może np. łańcuch górski, powstrzymujący wiatry, które skutkiem tego niejako prześlizgują się tylko po grzbietach gór. To są główne warunki, w jakich deszcze na kuli ziemskiéj drogą naturalną się wytwarzają. Z kolei wypada więc zapytać, o ile warunkom podobnym czynią zadość próby sztucznego sprowadzania deszczów.

Nagłe, a także wielokrotne, po sobie następujące wybuchy znacznych ilości eksplodujących materyi w wyższych warstwach atmosfery wywołują bezwątpienia silne wstrząśnienia i mniéj lub więcéj dokładne zmieszanie otaczających mas powietrznych. Rozszerzenie powietrza, wynikające z dużéj ilości wyzwolonego przy eksplozyi ciepła, zarówno jak i duża objętość wytworzonych gazów, sprowadzą gwałtowny ruch powietrza ku centrowi wybuchu. Jako bezpośredniego skutku przedewszystkiém spodziewać się należy obniżenia ciśnienia atmosferycznego, t. zw. depresyi barometrycznéj. W metodycznie prowadzonych doświadczeniach należałoby zatém przedewszystkiém stwierdzić, czy istotnie taka depresya ma miejsce.

Daléj, trzebaby koniecznie liczyć się z chwilowym stanem hygrometrycznym powietrza, czego, jak się zdaje, nie uwzględniają dotychczasowe próby; nie ulega przeto wątpliwości, że pewna metoda produkowania deszczu może dobry dać rezultat w pewnéj okolicy o sprzyjających warunkach meteorologicznych, a zawieść w innych miejscowościach. Nie możemy tu wchodzić w rostrząsanie wszystkich szczegółów, które zaważyć mogą na szali ostatecznego rezultatu; opierając się zaś na wykładzie p. E. J. Houstona, wygłoszonym niedawno w instytucie Franklina i rozpatrującym całą sprawę ze stanowiska istotnych naszych wiadomości meteorologicznych, poprzestaniemy na przytoczeniu najpewniejszych wniosków, do jakich uczony ten dochodzi.

1) Nie można nigdy dowolnie wywołać deszczu przez wybuchy powietrzne w jakiémkolwiek miejscu powierzchni ziemi, jeżeli się nie uwzględnia klimatycznych warunków tego miejsca.

2) W pewnych warunkach meteorologicznych wybuchy w atmosferze są w stanie sprowadzić deszcz na dość znacznéj przestrzeni.

3) Wyzwolenie energii, potrzebnéj do wytworzenia tych sztu-

cznych deszczów, nie pochodzi z samych eksplozyi, lecz i energii zawartéj w wilgoci powietrza, skraplającéj się na deszcz.

4) W większéj części wypadków, jeśli nie we wszystkich, warunki meteorologiczne potrzebne do tego, aby sztucznym sposobem (przez zastosowanie wybuchów) pomyślny osiągnąć skutek, same przez się wystarczają do naturalnego wytworzenia deszczu.

Zdaje się, że ostatnie dwa punkty dostatecznie krytykują zasady dzisiejszego postępowania, mającego na celu stwarzać deszcze na zawołanie. Czy w dalszym ciągu swych postępów myśl ludzka na téj drodze będzie szczęśliwszą, orzekać stanowczo nie można. Można się nie cofać przed najśmielszemi choćby porywami, jeżeli tylko umiemy je trzeźwo miarkować współczesnym stanem naszych wiadomości o przyrodzie. Po za tém otwiéra się tylko rozległe pole dla domysłów, hypotez, fantazyi i mrzonek. Trudno się obyć w nauce bez hypotetycznych dociekań, gdyż one to właśnie w wielu razach wskazują nowe drogi badania, otwierają nowe szlaki, z których nieraz cofać się wypada, lecz które mogą téż często do prawdziwych prowadzić skarbów wiedzy. Natomiast dla fantazyi i mrzonek nie miejsce w obrębie nauki; wiodą one na manowce, nie przynosząc nikomu korzyści. A cała sztuka polega na tém, żeby módz odróżnić myśl, będącą dobrze uzasadnioném domniemaniem naukowém, od myśli, które raczéj do świata fantazyi należą. Sztuki téj nabywamy nie łatwo, jedynie przez długie, wytrwałe ćwiczenie się w logiczném naukowém myśleniu.

* * *

Co to jest burza? Trudno w kilku słowach odpowiedziéć na to pytanie, jeśli zaś mówimy: jest to zjawisko atmosferyczne, którego charakterystycznemi objawami błyskawice i grzmoty, a towarzyszami grad lub dészcz, to raczéj opisujemy w krótkich słowach samo zjawisko, lecz nie objaśniamy go bynajmniéj.

Ścisły związek pomiędzy napięciem elektryczném atmosfery a burzą już bardzo dawno temu został stwierdzony. Chcąc przeto dobrze zrozumiéć poszczególne zjawiska, dające w wyniku burzę, musielibyśmy poznać warunki, w jakich występuje elektryczność w atmosferze. Lecz jest to przedmiot zbyt obszerny, wymagający omówienia bardzo rozległego; korzystam przeto z wykładu mianego niedawno temu w Monachium przez profesora Sohnckego i wyjmuję kilka punktów najważniejszych, dotyczących powstawania burzy.

Nauka meteorologii odróżnia dwa główne rodzaje burz: c i e p l n e, powstające w największe upały letnie, czysto miejscowe i nie sprowa-

dzające trwałego oziębienia powietrza, i wirowe, powstające przy bardzo rozległéj depresyi barometru. W tych ostatnich charakterystycznem jest to, że pociągają za sobą zmianę pogody; są one wogóle dotąd niedostatecznie zbadane. Lepiéj znacznie znamy burze pierwszego rodzaju.

Pod wpływem długotrwałego działania promieni słonecznych, ogrzewa się silnie ziemia, zarówno jak i spoczywające na niéj, nasycone parą wodną warstwy powietrza. W tym stanie powietrze pozostaje w bardzo chwiejnéj, nietrwałéj równowadze i niewielki bodziec wystarcza do wywołania wznoszącego się prądu. Prąd ten oziębia wyższe warstwy, a zawarta w nim para wodna zagęszcza się w postaci chmur kłębiastych (*cumuli*). Gdy prąd taki wyżéj jeszcze się podnosi, wówczas u granic chmur powstają lekkie obłoczki, zwiastujące niezawodne zbliżanie się błyskawic i grzmotów, deszczu lub gradu. Według badaczów szweckich Eckholma i Harströma, wierzchołki chmur kłębiastych znajdują się przeciętnie powyżéj 3,000 metrów Znane są nam temperatury rozmaitych warstw powietrznych, mierzone przez aeronautów. Zwłaszcza cenne spostrzeżenia w tym kierunku zawdzięczamy Anglikowi Gloskerowi, według którego, nawet podczas najgorętszego lata, na wysokości3000—4000, a niekiedy już i na 2000 metr. panuje temperatura 0°. Objaśnia to dostatecznie nieprawdopodobną napozór wiadomość, komunikowaną przez niektórych żeglarzy powietrznych, mianowicie, że w stosunkowo nieznacznych wysokościach wypadało im przedostawać się przez chmury, złożone z igiełek lodowych. We wznoszącym się prądzie powietrza temperatura we wnętrzu nie opada tak szybko, jak na powierzchni, gdzie para wodna zamienia się na lód poniżéj punktu zamarzania wody. Właśnie te igiełki lodu, na granicach płynącego w górę strumienia powietrznego tworzą owe lekkie obłoczki, po których poznajemy nadciąganie burzy. Na znaczniejszych jeszcze wysokościach para wodna wznoszącego się prądu zamarza odrazu na kulki gradu.

Musimy poprzestać na hypotezach, chcąc zrozumieć źródło elektryczności, zawartéj w chmurach burzowych. W wielkiéj wszakże liczbie tych hypotez, jest jedna tylko, któréj nie sprzeciwia się żadne ze znanych nam zjawisk burzowych i którą przeto jako najbliższą prawdy przytoczymy.

Elektryczność znajduje się w atmosferze zawsze w mniejszém lub większém napięciu, lecz wyłącznie téj stałéj elektryczności atmosferycznéj poczytywać nie możemy za jedyną przyczynę burz, gdyż w zimie napięcie jéj jest najsilniejsze, latem zaś najsłabsze; tymczasem burze najczęściéj podczas lata zachodzą. Elektryczność, spro-

wadzająca burze, jest wynikiem zjawiska ruchu, tarcia cząsteczek lodu o krople wody. Już Faraday w pracowni swéj dowiódł doświadczalnie, że lód przy ruchu takim elektryzuje się dodatnio, a woda odjemnie. Podczas gradu drobne kawałki lodu przenikają przez chmury, złożone z kropelek wody, a tarcie to wytwarza elektryczność. Hypoteza ta znajduje znakomite poparcie w monachijskich sprawozdaniach meteorologicznych, z których widać, że w Bawaryi ani razu nie było gradu bez burzy, bądź w téj saméj okolicy, bądź téż w bliskiém sąsiedztwie. Zwykłe przeto napięcie elektryczności atmosferycznéj zostaje silnie wzmożone podczas burzy. Lecz brak nam dotychczas doświadczeń, któreby nam objaśniły, w jaki sposób powstać mogą tak olbrzymie wyładowania elektryczne, jakie istotnie w przyrodzie obserwujemy. Fizycy i meteorologowie nie ustają w pracy, spodziewając się i ten szczegół z czasem zadawalniająco wyjaśnić.

Maksymilian Flaum.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Akta grodzkie i ziemskie.“ Tom XV. We Lwowie. Główny skład w księgarni Seyfartha i Czajkowskiego. Z. I. Związkowéj drukarni we Lwowie 1891 r.

Przyrzeczenie, jakie dał ś. p. dr. Liske, puszczając w świat tom czternasty tego wydawnictwa, spełnione. Leży przed nami dalszy ciąg zapisek z aktów sądowych lwowskich za czas od r. 1457—1500 i brak już tylko lat od 1501 do 1506, by dla ziemi lwowskiéj wydawnictwo to zostało doprowadzoném do końca. W tym tomie, pomimo że objął on dwa razy tyle arkuszy, ile ich program urzędowy zakreślił, już nie można było pomieścić lat ostatnich nie było już na to miejsca.

W tomie XV-ym wydrukowano akta grodzkie, fragmenta aktów ziemskich, a wreszcie kilkanaście kart z akt podkomorskich. Pierwsze zachowały się stosunkowo najlepiéj, chociaż brak w nich zapisek od d. 27 stycznia 1458 r. do 30 sierpnia 1465 r., które najprawdopodobniéj jeszcze w XV-ym wieku zniszczyli Odrowążowie podczas słynnego ich sporu z szlachtą i mieszczanami ziemi lwowskiéj i żydaczowskiéj. Akta ziemskie uległy zniszczeniu w czasie bytności Szwedów we Lwowie w r. 1704-ym tak, iż zachowały się z nich ułamki; podobnież brak dziś i aktów podkomorskich. Ileż to trudu trzeba było użyć, ile pracy, by fragmenty te i luźne karty w jednę zebrać i spoić całość! Porządkowano je już raz, ale pożal się Boże, jak! Schwyciła je biurokracya austryacka w swe ręce z końcem zeszłego wieku i zrobiła w nich ład, ale na swój sposób. Serce się kraje na widok tego ładu. Znaczna ilość kart była wskutek wilgoci na brzegach wystrzępiona, dla porządku tedy zrównano je, obcinając nożycami litery i całe słowa, albo, co z tém stoi na równi, popodlepiano papiérem tak grubym, iż znajdującego się pod nim pisma nigdy

przez najlepszy teleskop na świecie już nikt nie odczyta. Następnie pojedyńcze zeszyty składano w tomy, trzymając się przy téj pracy raczéj formatu zeszytów, niż lat, które one obejmowały. Wydawca musiał to teraz naprawiać, zapiski do siebie należące odszukiwać i w nową układać całość. Trud opłacił się w zupełności, bo posiadamy dziś 4,634 zapisek, z których wiele stanowi dla nas cenny materyał, przydatny zarówno historykowi, prawnikowi, ekonomiście, i heraldykowi, byle tylko znalazł się ochoczy pracownik, chcący z nich korzystać.

Treść wydanego materyału jest nader rozmaita i zajmująca; odźwierciedla się w nim życie społeczne ówczesne jasno i wyraziście, występują postaci, które zaledwie z imienia dotychczas znaliśmy, w całéj swéj barwie lub grozie. Stają przed nami obrazy pokoleń, które już dawno, i to bardzo dawno, rozsypały się w proch, ich bóle, radości, niepowodzenia i dni szczęścia zamknęły się z niemi w ciasnych trumnach, zdawało się, na wieki, aż niespodzianie dzielny badacz oddał je znowu pamięci i życiu.

Sam już wydawca w przedmowie swéj zwrócił uwagę na tę okoliczność, iż od r. 1457, t. j. od czasu, kiedy się nasze zapiski zaczynają, zdumiewa czytającego wielka ilość spraw sądowych o gwałty, rozbój, najazdy, porwanie dziewic i morderstwo, tak straszne i wyrafinowane, iż sam król Kazimierz z okazyi jednego takiego wypadku strwożony pisze: „*a tempore dominacionis nostre tam immanem nunquam inter subditos nostros audivimus casum.*“

Rzeczywiście téż niezwykłym był wypadek, z powodu którego głowa państwa słowa takiego oburzenia wyraża.

Oto szlachcic Mikołaj Braniecki zamordował bawiącego u niego w gościnie Jana, wojewodzica bełskiego, syna wojewody Dobiesława Byszowskiego. Król wdał się w sprawę osobiście, polecając osądzenie jéj sądowi grodzkiemu lwowskiemu, który skazał winnego na wieżę i cywilne odszkodowanie familii zamordowanego.

Kraj niemal ciągle w zaburzeniu i niepokoju, w niedługich stosunkowo przerwach sąd z urzędu odracza swe sesye, zawiesza wymiar sprawiedliwości. Dziś grozi napad Tatarów, za tydzień gotuje się wojna, za chwilę zaczyna grasować zaraza. Każdy taki wypadek odzywa się zaraz w zapiskach sądowych głośném echem, bo ogół jest w nim ściśle interesowany. Gdzież to w czasie nawały tatarskiéj myśléć o dochodzeniu swych krzywd, lub w czasie zarazy ściągać strony do sądu i szerzyć w ten sposób daléj chorobę straszną, narażać na nią urzędników sądowych, dygnitarzy lub świadków, których zwykle strony po kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu z upodobaniem do

urzędu ciągały? Jak tu wymierzać sprawiedliwość, gdy powód albo pozwany zajęci są czyszczeniem broni, przygotowaniem koni i służby na tuż gotującą się wyprawę? Chętniéj w takich chwilach myśli się o sposobie, w jakiby ratować całość swéj skóry, a nie o pieniactwie.

Nie dziw téż, że wśród takich stosunków rozluźnia się węzeł łączący rządzonych z rządem i pierwsi widząc uwagę drugiego odwróconą od siebie, czują się swobodniejsi, śmielsi i zwolna od słuchania i spełniania swych obowiązków odwykają. Odbija się to rychło w codziennem życiu, w codziennych sprawach. Natychmiast powstają zaległości podatkowe, — nie dla braku pieniędzy, jak sądzi wydawca, bo przecież ciągle dość znaczne gotówki są w obrocie — które ustawicznie egzekwuje się w ziemi lwowskiéj, następnie zaś pojawia się pewne lekceważenie władzy. Jakżeż wymowny dowód daje na to zapiska 2,392. Hawryło Niesłuchowski przybył z woźnym Maciejem do Stratyna dla przeprowadzenia egzekucyi. Egzekut Iwaszko Bałaban nie dopuszcza ich do wykonania czynności urzędowych, grożąc, że tego, kto coś ruszy, powiesi lub zarąbie. Dlaczegóż nie miał zresztą pozwolić sobie na nieposłuszeństwo wobec władzy taki szlachetka Iwaszko Bałaban, kiedy dawali mu przykład tego najwyżsi dostojnicy w ziemi. Przecież już zaraz w pierwszym arkuszu aktów w zapisie 23 z r. 1457 spotykamy się z takiém nieposłuszeństwem dla władzy, z lekceważeniem jéj. Wydelegowani z polecenia królewskiego sędziowie w sprawie między Dersławem z Brzeżca a Stanisławem z Chotcza, starostą halickim, o najazd na dobra Łowczyce, wzywają do swego grona i Grzegorza, arcybiskupa lwowskiego *„aspicere alias* d o z r z e c z *iustitiam.“* Arcybiskup nie stawił się i kazał odpowiedziéć, że nie pójdzie, „bo ma ważniejsze własne sprawy do załatwienia.“ Wzywano go trzykrotnie, a on po trzykroć odpowiedział tak samo, a nawet odprawił z niczém specyalnego wysłańca wojewody Andrzeja Odrowąża. Niewątpliwie miał arcybiskup swe powody, dla których w sądzie nie chciał zasiadać, bo że tylko dla pozoru zasłaniał się własnemi sprawami, to rzecz pewna. Ze starostą halickim miewał on aż nadto często wspólne interesa, ale z drugiéj strony musiał się także liczyć i z powagą wojewody, którego obrażał, odmawiając udziału w sądzie, a jednak go odmówił.

Wszystkie w tomie tym mieszczące się zapiski są „sądowemi“, ale nie wszystkie równą przedstawiają ważność dla prawnika. Są tu zarówno przedstawione sprawy należące do zakresu sądownictwa „dla spraw spornych“, jak i „niespornych.“ Pierwszych jest najwięcéj i one to są dla prawnika najbardziéj interesujące.

Przedewszystkiém w dziale tym uderza stosunkowo znaczna ilość zapisek ze sporów znanych w zakresie prawa cywilnego pod tytułem „ewikcya.“

Do bardziéj interesujących w tym kierunku należy spór Jana Hermanowskiego przeciw Katarzynie i Elżbiecie Gołogórskim, pomieszczony w zapiskach 580—582 i 585 pod datą 23 marca i 3 kwietnia 1467 r. Ś. p. Mikołaj Gołogórski, kasztelan halicki, odstąpił tenutę dóbr Kozłów Janowi Hermanowskiemu. Pozwolenie na wykupno tych dóbr otrzymał następnie od króla Albert Zborowski, sekretarz królewski, który pragnął co prędzéj z pozwolenia tego skorzystać. W tym celu wezwano Hermanowskiego, by on ze swemi prawami wylegitymował się przed wojewodą ruskim. Okazało się jednak, że Hermanowski żadnéj legitymacyi nie posiadał i wskutek tego Kozłów w pierwszéj instancyi przysądzono Zborowskiemu bez odszkodowania. Hermanowski przypozwał zaraz w pierwszéj chwili córki ś. p. kasztelana, t. j. Katarzynę i Elżbietę, te faktycznie do sporu przystąpiły i sprawa przeniosła się przed sąd królewski do Piotrkowa.

Zajmującym jest również drugi wypadek (zap. 653 do 657). Andrzéj Wołczko z Kłodna wydzierżawił Juraszkowi ze Lwowa dobra Toldyn ze stawem i pół stawu w Sokołowie pod zakładem 50 grzywien. Matka Wołczka, Małgorzata, wyłowiła bez względu na tę dzierżawę ryby w stawie sokołowskim w wartości 20 grzywien, a Wołczko wezwany o pomoc odmówił interwencyi. Juraszek tedy pozwał go i o przepadłość zakładu i o odszkodowanie. Spór ostatecznie wypadł dla strony powodowéj korzystnie.

Niemniéj zajmujące są spory o odszkodowanie, a zwłaszcza jeden z nich zasługuje na opowiedzenie go. Jest-to spór Piotra z Szamotuł, kasztelana poznańskiego i starosty wielkopolskiego przeciw Elżbiecie Gołogórskiéj. Pozwał on ją o to, że, sprzedając mu dobra Czarnuszowice, wartości 400 grzywien, zobowiązała się również dostarczyć mu przywileju królewskiego na posiadanie tych dóbr pod zakładem 500 grzywien i przywileju tego nie dostarczyła. Pełnomocnik pozwanéj bronił ją bardzo jasno i prosto, twierdząc, że pozwana przywiléj ów wręczyła Mikołajowi Brejczuchowi, który był pełnomocnikiem powoda i zaofiarował kasztelanowi dowód z przysięgi (prawdopodobnie nieodkazalnéj), że on wié o tém, iż przywiléj ten został jego pełnomocnikowi doręczony. Podstarości z sędzią grodzkim spór uważają za zawiły i nie umiejąc go rozstrzygnąć, odraczają wydanie wyroku aż do narady ze starostą lwowskim, Rafałem z Jarosławia (zap. 677, 5 lipca 1468 r.).

Dziś, gdy stosunek pełnomocodawcy do pełnomocnika jest tak ściśle ustawami unormowany, sprawa taka nie natrafiałaby na najmniejsze trudności w rozstrzygnięciu, co najwyżéj sędzia skontrolowałby pełnomocnictwo i jego zakres, i już wiedziałby, jaki wydać wyrok.

Najwięcéj sporów w tomie tym publikowanych ma swe źródło w wypadkach, które my dziś obejmujemy pod kategoryą czynów karygodnych, przekazanych do osądzenia sądom karnym, a jak są różnorakie występki na świecie, tak téż rozmaitemi są i pochodzące stąd spory. Są tu ich całe szeregi i to od zbrodni najcięższych aż do zwykłych obraz słownych i lekkiego pobicia, które sędzia dzisiaj stara się przez ugodę dobrowolną obu stron załagodzić. O jednym wypadku ciężkim morderstwa mówiliśmy już u wstępu, tutaj opowiemy jeszcze sprawę inną, która lubo romantyczna, a pod względem prawnym arcy pouczająca, dla osób w niéj działających niewątpliwie miłą nie była.

Dnia 3-go lub 4-go stycznia 1471 r. (zap. 786) staje przed sądem Andrzéj z Sienna i oskarża Jana, syna Juchna Nagwazdan o porwanie żony i ofiaruje się dowodzić, że, ścigając go ze służbą „*ferventi vestigio alias* gorącym kopytem“, przychwycił winowajcę z licem „*cum facie*“. Sprawa była poważna i wobec ofiarowanego dowodu trudno było myśléć o wykręceniu się z niéj. Imieniem Jana stanął ojciec Juchno i prosił o dopuszczenie aż poczwórnego odwodu na fakt „że Jan tego lica nie winien.

Przedewszystkiém 1) zeznać mieli trzéj szlachetnie urodzeni i cała gmina Przybyń, gdzie przytrzymanie nastąpiło, że Andrzéj przychwycił Jana bez lica. Następnie 2) miał zeznać Stanisław Żędowski, który widział Jana wiedzionego przez służbę Andrzeja w drodze z Przybynia do Gołogór, że Jan wołał doń, iż go schwytano bez lica, a służba Andrzeja nie zaprzeczyła. 3) Świadek Marcin ze Sknilowa, urzędnik w Glinianach, do którego Jan prowadzony przez Gliniany zwracał się ze skargą, iż go bez lica prowadzą, miał również zeznać, że służba temu nie przeczyła. Powód czwarty miał się opierać na zeznaniach samego Juchna, który na wiadomość o tém, że syna prowadzą do Lwowa, wziął ze sobą woźnego Macieja i wobec niego i zebranéj szlachty stwierdził, że Jana prowadzą bez lica. Sąd dopuścił te odwody i Juchno przeprowadził je jak najszczęśliwiéj, wskutek czego nastąpił wyrok uwalniający.

Że Jan nie był niewinny, to rzecz pewna, Andrzéj nie byłby sprawy, tak ostatecznie dla niego skandalicznéj, rozmazywał, nie byłby się jawił przed sądem i ciągnął przez pół ziemi lwowskiéj Jana,

tylko że ten ostatni, widząc za sobą pogoń, umiał się zręcznie wywinąć od „lica“.

Spory małżeńskie są bardzo tutaj rzadkie i mają wprost na celu unieważnienie małżeństwa, przytaczamy je tutaj, gdyż są zajmujące.

Do ręki Agnieszki, córki Anny Cebrowskiéj Włochowéj z Żabokruk, rości sobie pretensyą aż dwu naraz konkurentów, t. j. Włodek, dziedzic Biłki i Rafał z Sieniawy. Obaj twierdzą z całą stanowczością, że ona jest ich prawowitą żoną, jedno tedy małżeństwo musiało być nieważném. Agnieszka oświadczyła się za Włodkiem i jéj przyznanie było rozstrzygającém, atoli Rafał miał jeszcze do niéj pretensyą o jakiś „statek“, który jéj oddał w postaci szubki, kitajki i t. d., a które Włodek wraz z nią zabrał. Ponieważ pan Sieniawski, o ile szło o Agnieszkę, był gotów do ustępstw, lecz, gdy szła sprawa o szubkę, okazał się bardzo twardym, przeto wojewoda, nie mogąc sporu rozstrzygnąć, odesłał spiérających się pod zakładem 1,000 grzywien przed *convencio* w Piotrkowie (zap. 2,262 pod d. 18 grudnia 1492 r.).

Również mocno przyćmioną pobudkami materyalistycznemi jest i następna sprawa małżeńska.

Fiedka, żona Michała Łopatki, skarży się przed sądem, że mąż ją „porzucił“, nie mając do tego najmniejszéj przyczyny. Sąd tedy zapytał Łopatkę, czy chce z Fiedką żyć, czy téż nie, a otrzymawszy odpowiedź przeczącą, skazał go na zapłacenie jéj 30 grzywien tytułem wiana, drugich 30 grzywien „za sromotę“, a królowi „za rozwód“ również 30 grzywien. Pan Michał protestował, lecz napróżno. Rychło wyjaśnia się sprawa „niechęci jego“ do byłéj żony. Oto zaledwie kończy on słowa protestu, a przed tymże samym sądem staje Jaczko Troschka i z żalem opowiada, że Michał Łopatka porwał mu żonę. Jawi się i ta żona i twierdzi, że wobec przyjęcia przez nią chrztu katolickiego, przestała być żoną Jaczka. Sąd w takich wypadkach okazywał się zawsze miękkim dla przestępców, więc téż i Jaczko Troschka nietylko stracił żonę, którą przysądzono Łopatce, ale nadto musiał za rozwód „za rozpust“ zapłacić 30 grzywien i tyleż królowi tytułem kary. Najbrzydsza strona całéj téj sprawy okazała się dopiéro na końcu, bo p. Michał, jako człowiek bardzo praktyczny, zabrał Jaczkowi nietylko żonę, ale także i wiele jego monety i kosztowności (Zap. 2,513 do 2,516 z d. 15 września 1496 r.). A więc już samo przyjęcie wiary katolickiéj *eo ipso* uprawniało do rozwodu, co więcéj, ponoszący winę rozwodu opłacał królowi grzywnę, a stronie

wygrywającéj karę „za sromotę,“ Czy i mężczyzna miał prawo do należytości „za sromotę?“

Sądownictwo niesporne koncentruje się głównie w przyjmowaniu przez władzę do ksiąg sądowych kontraktów kupna i sprzedaży dóbr nieruchomych, kontraktów dzierżawy, skryptów dłużnych, ustanowienia prawa zastawu. Sprawy opiekuńcze są bardzo rzadkie, a wypadek, jaki podaje zapiska 1111 pod dniem 3 października 1472 r. wyjątkowym. Marcin, syn Dymitra Kierdeja ze Szpikłos poddaje się pod „*tutoriam*“ swego stryja Jana Kierdeja z Urmania. Jaki był zakres takiéj „*tutoria*“ jest nam obecnie nieznaném. To pewna, że kuratela, tak jak my ją obecnie rozumiemy, jest tu wykluczoną. Godzi się z działu tych zapisek wspomnieć tu jako bardzo charakterystyczną, jednę t. j. zapiskę 1472. Jagna i Bohdan zaciągnęli u obywatela krakowskiego Stanisława dług w kwocie 77 złotych węgierskich i poddali się w razie nie zapłaty sumy téj w terminie umówionym temu rygorowi, że wierzyciel może ich zatrzymać w więzieniu. Jestto w każdym razie niezwykły sposób umocnienia zobowiązania.

Znaczną jest ilość zapisek odnoszących się do stosunku żydów do chrześcian a tylko niezbyt wiele do stosunków włościańskich. Te ostatnie dotyczą przeważnie spraw o t. z. reklinacye, a raz tylko wieje z nich ton ostrzejszy i jakiś głos rozpaczy i zwątpienia. Nie po różach też szło życie włościan. Całe gminy z Janczyna i Matejowa (?) uskarżają się na Jana Budziwy, dzierżawcę, że uciska ich wyrządzając im nieprzeliczone szkody i krzywdy i zabierając gwałtem ich własność.

Zapisek rodowych jest tu również mało, mniéj może niż w innych tomach Aktów grodzkich i ziemskich, toż do historyi kolonizacyi zaledwie kilka znajdzie się drobnych szczegółów.

Metoda wydawnictwa. — Jest u nas rzeczą powszechnie wiadomą, że ś. p. Liske był jednym z najdzielniejszych wydawców kodeksów dyplomatycznych, nietylko polskich, i że był znakomitym paleografem. Do tego głosu opinii powszechnéj tylko przyłączyć się nam należy. Mając z powodu prac naszych nad sprawami Czerwonéj Rusi ciągłą styczność z „Aktami grodzkiemi i ziemskiemi“ i zżywając się niejako z nimi, nie mieliśmy nigdy dosyć słów pochwały i wdzięczności dla ich wydawcy. Jeżeli tedy dziś wobec tomu XV „Aktów“ chcemy zająć stanowisko krytyczne i wnikając głębiéj nieco w metodę, w myśl któréj tym razem wydawnictwo kroczyło, wyrażamy opinią odmienną nieco co do niéj od wydawcy, to nie należy tego poczytywać za słowa nagany, do któréj nawet uprawnionymi byśmy się nie czuli, tylko trzeba odnieść to do różnicy zapatrywań, tak zresztą wśród pracujących naukowo, łatwéj.

Oto wedle naszego zdania w metodzie, wedle któréj zapiski sądowe „Aktów“ się wydało, leży błąd zasadniczy, którego wydawcy tomów następnych stanowczo unikać powinni. Błąd ten leży w sposobie takiego skracania zapisek sądowych przez wydawcę, jakie on w publikacyi w zastosowanie chciał wprowadzić. Sprawę całą wytłomaczymy najjaśniéj w ten sposób, iż podamy przykłady, z których każdy od razu zrozumie o co nam tu idze i czy mamy słuszność lub nie. Wyjmijmy tedy kilka dowolnych zapisek drukowanych w tym tomie i porównajmy je z tekstem oryginalnym, który dzięki uprzejmości Dyrekcyi Archiwum Aktów grodzkich i ziemskich we Lwowie był dla nas dostępnym.

Akta grodzkie i ziemskie T. 15. zap. 501. Nobil. Primus de Nycunkowycze, Nicolaus Catharlynszky, Choythko, Ywan, Chodor, Andrey, Chrycz Popowycz, Ywan Yunko filius Stanko omnes de Czaykowycze fideiusserunt pro nobili Jacobo alias Julko de Czaykowycze, quia ipsium coram dom. Capto. post sue Magnificencie in Leopolim (*statuere debent*) sub sexaginta marc. in manus Cptei. solvendis

Castrensia Leopoliensia T. III str. 427. Nibiles Primus de Ny Cunkowycze, Nicolaus Catharlynszky, Choythko, Ywan, Chodor, Andrey, Chrycz Popowycz, Yvan, Yunko filius Stanko, omnes de Czaykowycze fideiusserunt pro nobili Jacobo alias Julko de Czaykowycze, quia ipsum coram domino Capitaneo post felicem sue Magnificencie felicem (sic) in Leopolim ingressum et si non statuerent, extunc fideiusserunt manu coniuncta et indivisa sexaginta marcas in manus domini Capitanei et si non statuerent ipsum extunc dictas sexaginta marcas sub pignore solvere tenebuntur.

zap. 2637. Vanyko Anastasia. Nobil. Anastasia filia dom. Vassyl Swystelnyczky consors nobil. Michaelis Podhorodzynszki de distr. Chelmensi cum consensu mariti sui donavit nobil. Vanyko Lachowszky heredem de Stanymyrz awukulum suum germanum sibi bona post mortem vetule sue succedencia alias Bapczysnǫ post olim dom. Annam heredem de Syedlyszka partem in Podyarkov, Syedlyszcza, Dworzyska et in Smarakov

Castr. Leop. Tom. V. str. 422. Veniens personaliter nobilis Anastasia filia domini Wassyl Swystelnyczky, consors nobilis Michaelis Podchorodzynszky de districtu Chelmensi cum consensu mariti sui protunc ius terrestre habere non potens coram iure castrensi leopoliensi palam recognovit. Quia donavit nobilem Vanyko Lachodowszky, heredem de Stanymyrz awululum suum germanum. Donavit sibi bona post mortem vetule sue succedencia alias Bapczysnǫ post olim dominam Annam, heredem de Syedlyszka partes in Podyarkow, Syedlyszcza, Dworzyszka et in Smarakov perpetue dedit et donavit cum suis posteris et a pueris propriis alienavit cum omni iure dominio et proprietate ita longe late et circumferencialiter, prout dicta sors in se est divisa, distincta et limitata, prout divisio lacius

obloquitur, prout sola eandem sortem tenuit, nichil iuris dominii et proprietatis in eadem sorte pro se et suis successoribus reservando. Et debent eundem prefatum dominum Vanyko et suos successores protegere et intercedere ab omni persona sexus utriusque iuxta consuetudinem terrestrem super quod prefatus Vanyko Lachodowsky memoriale posuit, quod iudicium recognovit.

Otóż pierwszy już rzut oka na treść zapisek skróconych i drukowanych w całem brzmieniu jasno wykazuje, jaka zasadnicza między niemi istnieje różnica i jak bardzo należało sobie życzyć, by skrócenie nie miało w nich miejsca, a przynajmniéj, bo go nie przeprowadzano w ten sposób, jak tutaj.

W zapisie 501 opuszczono klauzulę, że Prymus, Mikołaj, Choytko, Iwan, Chodor, Andrzéj, Hryć, Iwan i Junko odpowiadają za zakład korrealnie. Filozof mógł uważać dodatek ten za mało znaczny, bo dla niego było zasadniczą rzeczą tylko to, że oni zobowiązali się zapłacić zakład, ale prawnik musi go poczytać za zasadniczy, bo tego prócz samego zobowiązania interesuje i jego rodzaj i stosunek zobowiązujących się.

W zapisce 2637 skrócenia zrobiły jeszcze więcéj szkody niż w poprzednio wymienionéj. Z drukowanéj wynika, że Anastazya, córka Wasyla Świstelnickiego, żona Michała Podhorodzyńskiego, z powiatu chełmskiego, za zezwoleniem męża swego darowała Wańkowi Łachodowskiemu udziały w Podjarkowie, Siedliszczach, Dworzyskach i Smarakowie. Z oryginału zaś wynika, że A n a s t a z y a za z e z w o l e n i e m m ę ż a s t a j e p r z e d s ą d e m g r o d z k i m l w o w s k i m, n i e m o g ą c z e z n a w a ć p r z e d z i e m s k i m, b o t e n p o d ó w c z a s n i e f u n k c y o n o w a ł i darowuje swe udziały, w y ł ą c z a j ą c o d n i c h s w e d z i e c i b e z w a r u n k o w o i n i e b i o r ą c n a s i e b i e n a j m n i e j s z é j o d p o w i e d z i a l n o ś c i a n i z a o b s z a r l u b j a k o ś ć d ó b r, a tylko gwarantując posiedanie w tym zakresie, do jakiego uprawnioną była obdarowująca. Pomijam już inne szczegóły i to, że opuszczono w zapisce, kto złożył pamiętne, ale zwrócę uwagę na ten szczegół, że przez nienależyte oddanie treści oryginalnéj zapiski wynikło odmienne znaczenie, co do zakresu owego zezwolenia mężowskiego.

W zapisce 2735, któréj dla braku miejsca przytaczać nie możemy, skutkiem skrócenia zatarły się pojedyncze szczegóły cytacyi ory-

ginalnéj, co przecież dla wyrokującego ma doniosłe znaczenie, kroki bezpieczeństwa, poczynione przez pokrzywdzonych dla zachowania trwałego dowodu „ku wiecznéj pamięci,“ znikły, a wreszcie kto i na jakiéj podstawie nałożył 100 grzywien. Wreszcie w zapisce 3849 pominięto wszelkie obostrzenia, zobowiązania, rygory, jakie wziął na się Jan Jura i klauzulę zrzeczenia się wszelkiéj prawnéj obrony, co przecież nie w każdém powtarza się zobowiązania, a wreszcie nie zaznaczono, że oryginalna zapiska jest zdefektowaną.

W ten sam sposób poskracano zapiski 772, 773, 1101, 1,453, 2,542, 2,547, 3,079, 3,081, 3,082, tak samo skrócono bardzo a bardzo wiele innych. Błąd ten w wydawnictwie jest tém doniośléjszym i dotkliwszym, że chcący korzystać z „Aktów“ nie jest zupełnie na to przygotowany, że materyał będący pod jego ręką faktycznie nie odpowiada treści zapisek oryginalnych. Wydawnictwo niczém nie przygotowało czytelnika na to, ze skrócenia nastąpią w tym kierunku i w tym stopniu, iż korzyść z wydanego materyału przynajmniéj częściowo staje się względną. Byliśmy przygotowani na skrócenia, ale nie takie; sądziliśmy, żo one dotyczą tylko formułek oklepanych, znanych w pospolitéj praktyce sądowéj, nawet dzisiejszéj, lecz nie przypuszczaliśmy nawet, by wydawnictwo chciało dotknąć istotnéj treści zapisek i do tego tak dowolnie. Można opuszczać takie formułki jak: „*veniens personaliter*“ „*stans coram iudicio*“ „*venientes personaliter*“ „*stantes coram iudicio*“ „*actum etc.*“ można skracać *generosus, nobilis, magnificus strenuus* na *gens.*, *nils.*, *magfs.*, *strens.*, lub *generosi*, *nobiles*, *magnifici*, *strenui* na *gsi.*, *nles.*, *magfci*, *streni.*, ale pod żadnym warunkiem nie należy z aktu prawnego wyrzucać wyrazów, zdań całych i ustępów, które nadają mu pewne znaczenie i wagę. Bez tych ostatnich akt taki wygląda niejasno, staje się niezrozumiałym i jest jakby u podstawy podciętym. Bez nich nie zrozumie go przyszły badacz historyi procesu polskiego, chociażby miał najznakomitsze wykształcenie teoretyczne i praktyczne, pominie je, nie zużytkuje, przypuszczając błędnie, że praktyka sądowa ówczesna była nędzną i niedbałą, a sąd wręcz niesprawiedliwym.

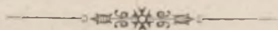
Owe obostrzenia aktów, które wydawca pominął, miały swoje znaczenie i to bardzo wybitne, jak wykazują inne zapiski, znajdujące się w tym tomie. Powoływały się na nie strony spór toczące, przez nie wygrywały lub przegrywały procesy nie raz nawet o bardzo znaczne sumy.

Jakie praktyczne okazały się rezultaty z tych „skróceń“ już wykazaliśmy wyżéj na dwóch przykładach. Znikło wiele wiadomości, prawda że dla historyka obojętnych, lecz dla prawnika bardzo wa-

żnych, zatarł się częściowo charakter prawny materyału i powstała konieczność dla badacza cofnięcia się do zapisek oryginalnych. Mamy nadzieję, że na przyszłość wydawnictwo uwzględniając słuszność naszych uwag powróci do systemu publikowania pełnego tekstu zapisek sądowych.

Tom XV również jak i poprzednie zaopatrzony w bardzo dobry i sumiennie ułożonéj „Index“ nazw i miejscowości, wyborny „*Index rerum*“ i spis wyrazów polskich. W indeksie nazw i miejscowości należy ściągnąć wyrazy Borka villa i Drohousz, pod Bóbrka i Drohowycze, jak się bowiem z zapisek okazuje są te miejscowości identyczne; pod nazwę *Brathkowcze* należy dodać *ecclesia* str. 585 (zap. 2,389). Nie widzimy rubryki *errata*, a przecież wydawnictwo je mieści.

Dr. Zygmunt Lisiewicz.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Bogusławski Edward*, **Szkice lito-windyjskie**. II. Teoryja nazwisk na *awa*. Kraków 1891. Autor zgodnie z podstawami zasadniczemi wygłoszonemi w Historyi Słowian, postanowił w pracy téj udowodnić za pomocą lingwistyki pierwobytności plemion litewsko-słowiańskich. Sufiks *awa* czyli właściwie *wa*, tudzież inne zdrobniałe *ana*, *anka*, *anca*, *ica*, *ela*, *ula* i t. p., łączące się z imionami miejscowości i rodów, przemawiać mają za pochodzeniem litewsko-słowiańskiém tych wyrazów. Z tego wypada, że np. łac. *avus*, *avum*, *us*, *is* stanowią przeistoczenia onego *awa*. O ile wnosić możemy z wyników spółczesnéj lingwistyki, sufiks *va* jest ogólno europejskim. Początków onego szukać by należało w jakimś języku praaryjskim. W sanskrycie jest on dwojakim *tva* i *va*, rodz. żeńskiego *vâ*. Pierwszym tworzą się wyrazy, jak np. *dâtva* (rodz. nijaki) ofiara, od *dâ* (dać), i *dżani-tva* rodz. męzki), płodzący, ojciec, tudzież niektóre imiesłowy bierne czasu przyszłego w księgach Vêd [1]); wtórym zaś formuje się pewna ilość imion pospolitych i niektóre przymiotniki np. aśwa (koń), pruszwa (słońce) etc. [2]). Któremu więc sufiksowi sanskryckiemu ma odpowiadać *ava* autor nie dowiódł. Pierwobytność samogłoski *a* i pełnogłos są dla wywodów

[1]) Bopp. Fr. Kritische Grammatik der Sanscrita Sprache. Berlin 1863. str. 398.
[2]) Tamże, str. 403.

p. Bogusławskiego prawami zasadniczemi, lubo jeszcze Merguet [1]) uznawszy analogię za ważny w nowotworach (*Neubildungen*) czynnik, tudzież opierając się na bogactwie dźwięków w narzeczach słowiańskich i romańskich dowiódł, że praaryjskie *e*, *ä* przeszło dopiero w sanskrycie na *a*. Autor głosując za pierwobytnością *a* powinien dowieść, dlaczego n. p. w ołoneckiem [2]) *e* po spółgłoskach podniebiennych przechodzi na *ja* a nawet *a*. Trudno tu coś pewnego powiedzieć, jeżeli np. słowiańskie *o* często odpowiada litewsk. *a* np. oś=lit, asis, orzeł=arélis, orzę=ariú etc. i odwrotnie sło wiańsk. *a*=litewsk. *o*; jabłko=obelis, braciszek=broterélis, mać=mote, kasłać=kosti; sufiks *taj* w rataj=lit. artójis? [3]). Dlaczego cechą litewskiego jest *o* żmudzkiego *a*? Weźmy np. narzecze łotyskie w Prusach w okolicach Kłajpedy i w Nerundze kurońskiéj. Tutaj rozmaitość niezwykła. Zamiast *au* jak we wsi Nidden, wymawiają w Sarkau *ou*, *o*, *ô* np. oukst (wysoki), ouksts (zimny) [4]) etc. Co do fonetyki *a* nadmieniamy, że już Du Bois Raymond [5]) i Winteler [6]) wniwecz obrócili pierwobytność *a*, gdyż ono nie jest dźwiękiem pierwotnym, albowiem do wytworzenia onegoż potrzeba pewnéj artykulacyi t. j. rozwarcia kanału ustnego i cofnięcia wstecz języka [7]). Zastanowiliśmy się nieco nad *a*, boć ona jest fundamentem argumentacyi p. Bogusławskiego. Pełnogłosu dla braku miejsca niedotykamy. Rzecz to jeszcze sporna. Przytoczone przez autora formy pełnogłosowe dowodzą jeno ich faktyczności, ale nie objaśniają początku ani genezy. Stan spółczesnéj lingwistyki zadawalać się powinien zdobyczami pozytywnemi, nie przekraczając indukcyi. Pierwociny wszelkiego zjawiska są dla nas zakryte. Dotknąwszy podobnych kwestyi, zbaczamy już z dziedziny lingwistyki, a przechodzimy do historyi, gdzie z dokumentem w ręku badać powinniśmy początek danych faktów. Sądzimy, że uwagi nasze nasuną nowe pole spostrzeżeń dla autora, który opierając się na źródłach poważnych, zasługuje na bliższą uwagę uczonych. Autor odznacza się erudycyą i samodzielnością poglądów.

Justyn Feliks Gajsler.

---

[1]) Die Entwickelung der lateinischen Formenbildung. Berlin, 1870 r.

[2]) Leskien, Ueber den Dyalekt der russischen Volkslieder des gouvernements. Olonec (Beitraege zur vergl. Sprachforsch. Herausg. v. A. Kuhn, VI).

[3]) Geitler, Starobulharská Fonołogie. Praha 1873.

[4]) Bezzenberger Ad. Ueber die Sprache der preussischen Letten. Göttingen 1888 r.

[5]) Kadmus oder allgemeine Alphabetik etc. Berlin 1869.

[6]) Die Kerenzer Mundart. Lpz. 1871.

[7]) Sievers Ed., Grundzüge d. Phonetik Lpz. 1881.

= **Bibliografia polska.** 140,000 druków. Część III, tom I przez *Karola Estreichera.* Wydanie akademii umiejętności (Kraków, 1891, str. XIX, 424). Ukończywszy wydawnictwo „Bibliografii polskiéj XIX stulecia“ zarówno w porządku abecadłowym jak chronologicznym, oraz dawszy w dwu tomach wykaz chronologiczny druków polskich od XV do końca XVIII-go w., niezmordowany bibliograf przystąpił obecnie do ogłaszania dokładnego obrazu zabytków piśmiennictwa naszego z wieków ubiegłych z taką szczegółowością, z jaką wiek XIX opracował. Sądzi, że zasób materyału oraz trudności, przy mnóstwie tytułów spotykane, nie pozwolą na ukończenie obecnie rozpoczętego wydawnictwa prędzéj jak za jakie lat 30. Przy każdym druku podane jest w skróceniu źródło, które go wspomina, jeżeli obecnie już nie ma innego śladu jego istnienia, a wskazane są biblioteki, w których przechowują się druki do dziś dnia zachowane. Byłoby zarozumiałością z naszéj strony, gdybyśmy w téj krótkiéj notatce mieli wytykać dostrzeżone w wydanych trzech zeszytach omyłki; sam autor w przedmowie z właściwą sobie otwartością wyznaje, iż sam już zebrał „tak sporą ilość błędów, że mógłby sam na siebie napisać krytykę wcale dosadnią, zarzucić sobie pośpiech, nieuwagę i brak wyższych zdolności.“ Wolimy raczéj wyrazić szczere dla autora uznanie za trud ogromny, jakiego się podjął i którego z taką wytrwałością ponosić nie przestaje, ażeby dać historyi literatury naszéj niewzruszoną podwalinę. Zarazem chcielibyśmy wypowiedzieć życzenie, ażeby dzieło jego w większéj niż dotychczas liczbie rąk się znalazło, ażeby prenumeratorzy byli równie wytrwałymi w nabywaniu książki, jak autor w jéj układzie i drukowaniu, bo doprawdy przygnębiające robi wrażenie to suche zestawienie paru cyfr, jakie Estreicher przy końcu przedmowy umieszcza: „Liczymy — powiada — więcéj niż dwieście księgarni polskich i więcéj niż sto bibliotek publicznych i prywatnych; mimo tego, smutna rzecz, jest prenumeratorów na dzieło wydawane dla księgarzy i bibliotek okrągła liczba 72, to jest u Gebethnera w Warszawie 42, a u Friedleina 30. Pokrywają oni zaledwie koszt papieru i introligatora.“ Ponieważ zaś pierwotnie, przy pierwszym tomie „Bibliografii XIX-go stulecia“, było 137 prenumeratorów na 200 egzemplarzy, widzimy, jak u nas wytrwałość abonentów topnieje, gdy przeciwnie popyt na książkę Estreichera zagranicą stale się wzmaga.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Nowe wydanie Skublińskiéj. — Bednarkowa w Łodzi. — Augustowa Potocka. — Dr. Fritsche.—Muzeum rzemieślnicze w Warszawie.—Newroza autorska.—Włodzimierz Stebelski, Łuniewski i Porębski.—Polemika.

Przed dwoma laty, o téj saméj porze, Warszawa przerażona została odkryciem na ulicy Siennéj ohydnego siedliska akuszerki Maryanny Skublińskiéj, które w dyalekcie reporterskim nazwane zostało „fabryką aniołków.“ Był to przytułek dla tak zwanych „nieprawych“ matek i ich dzieci, a właściwie grabarnia niemowląt, z któréj wynoszono je na cmentarz.

Oburzenie i zgroza Warszawy i kraju, oraz smutny rozgłos, jaki Skublińska i jéj profesya uczyniły nawet po za granicami, w Europie, były wówczas wielkie. Zbierano składki na „publiczny garnuszek“, krytykowano urządzenie zakładu dla podrzutków przy szpitalu Dzieciątka Jezus, który przyjmował tylko dzieci wylegitymowanych mieszkanek Warszawy, rozwodzono się nad położeniem uwodzonych i opuszczanych kobiét, sięgano do źródła rzeczy, upatrując złe w wyprowadzaniu nazwiska potomstwa z linii ojczystéj, nie zaś macierzystéj, a tylko ten drugi system, mówiono, uwalniając kobiétę od poniżenia i wzgardy publicznéj, jaką bywa piętnowana dzisiaj, wydając na świat dzieci „bez ojca“, pozwoliłby jéj jawnie być matką. Rozpatrywano wtenczas kwestyę nieprawych dzieci i ich matek z moralnego, społecznego, ekonomicznego i prawnego punktu widzenia. Późniéj mówiono o projektowaném otwiéraniu domów podrzutków po gubernialnych i większych miastach kraju, o ścisłéj kontroli lekarsko-policyjnéj nad akuszerkami i stręczycielkami. Po pierwszém, gwałtownem oburzeniu na strasznego potwora-kobiétę, Skublińską, jéj wspólniczki,

koleżanki i pomocników — oczekiwano z ciekawością rozpraw sądowych. Zbliżyły się i te nareszcie, i wyjaśniły mniéj więcéj, że Skublińska nie była takim strasznym potworem, jakim ją wyobraźnia nasza w pierwszéj chwili uczyniła, że smutny proceder swój przyjmowania tajemnych położnic i wychowywania następnie ich dzieci prowadziła bez nadzwyczajnego okrucieństwa, że jeśli niemowlęta umierały u niéj z nędzy, to dlatego, że matki na ich utrzymanie środków dostarczyć nie mogły, a sama Skublińska była także bardzo uboga, i że głównych winowajców szukaćby raczéj należało w nędzy, nieświadomości i opuszczeniu, w smutném materyalném i moralném położeniu kobiét z warstw niższych, niż w jakiémś wyrafinowaném okrucieństwie oskarżonéj i w moralném zwyrodnieniu nieszczęśliwych matek.

Po sprowadzeniu do takich przyczyn i pierwiastków sprawy, wyrok sądu był względnie łagodny, a uwaga publiczna naturalnym rzeczy porządkiem, stopniowo słabnąca, przeszła do zwykłego porządku dziennego.

Takim był szkicowo skreślony przebieg powstałéj, a raczéj dostrzeżonéj w całéj grozie sprawy opuszczonych dzieci i ich wychowawczyni, Maryanny Skublińskiéj.

Dwa lata minęło, i mamy znów powtórne wydanie smutnéj historyi z ulicy Siennéj. „Fabryka aniołków“ została teraz odkrytą nie w Warszawie na ul. Siennéj, lecz w Łodzi, na przedmieściu Bałutach. Wszystkie okoliczności są identyczne, niemal dosłownie powtórzone.

Podobnie, jak tutaj, tak i w Łodzi, w opuszczonym, drewnianym, parterowym domku z facyatką, nędzną klitkę zamieszkiwała stręczycielka Bednarkowa *vel* Bednarska z mężem, z powodu niedołęstwa, do pracy niezdatnym. Bednarska, według pierwszych wiadomości z Łodzi do dzienników warszawskich, podobnie, jak Skublińska, według pierwszych spostrzeżeń, ma oczy nieufnie patrzące i wstrętny wyraz twarzy.

Z fachu stręczycielka, przyjmowała do siebie także pacyentki dla odbycia choroby, wynajdywała następnie dla nich miejsca mamek, a dzieci zostawały „na garnuszku“ za umówioną zapłatą.

Podobnie, jak w Warszawie, i w Łodzi przypadek odkrył miejsce występku. W Warszawie tym przypadkiem był pożar; w Łodzi ojciec chrzestny zażądał pokazania dziecka, zamiast którego pokazano mu trupa innego. Zawiadomiona policya zrobiła poszukiwanie i znalazła, zupełnie jak na ulicy Siennéj, cztery trupy niemowląt w cuchnącéj komórce obok izdebki. Było także kilkoro drobnych

dzieci w stanie najwyższego opuszczenia lub dogorywania. Bednarską aresztowano i rozwinięto śledztwo sądowe, a z sekcyi okazało się, że śladów gwałtownéj śmierci na ofiarach nie było; za jéj przyczynę uważać należy złe odżywianie i brak starania o zdrowie dzieci. Bednarska, podobnie jak Skublińska, żyła w nędzy i podobnie, jak ta, jest recydywistką; przed 4-ma bowiem laty wszczęto przeciwko niéj śledztwo sądowe z powodu znalezionych trupów niemowląt, umorzono je jednak, nie znalazłszy dowodów podejrzewanéj zbrodni.

Domek na Bałutach oblegany był przez tłumy ludzi, snujących jaskrawe opowieści o zbrodniach Bednarskiéj.

Jeżeli kładziemy nacisk na dosłowne niemal podobieństwo warunków, okoliczności i cech zewnętrznych między procederem Bednarskiéj i Skublińskiéj, to dlatego, że jak z tych obu odkrytych wypadków i jeszcze jednego, zdemaskowanego w zeszłym roku w Wilnie, wnosić trzeba, proceder ten stał się rzemiosłem, wywołaném okropnemi potrzebami, i że zamiast szukać antropologicznych cech zbrodni w takich Skublińskich, Bednarskich i innych, jak to zwolennicy kryminalnych typów i procesów przed dwoma laty próbowali, należy raczéj zwrócić całą uwagę na stosunki obyczajowe i społeczne, sprzyjające powstawaniu takich procederów i hekatomb z niemowląt.

W długą analizę tych warunków wdawać się nie potrzebujemy. Wiemy, że i Skublińska i Bednarska zajmowały się swoim procederem z nędzy, i że matki, powierzające im swoje dzieci, także przeważnie czyniły to z nędzy. Obyczajowy poziom kobiét niezamężnych w warstwach niższych, zwłaszcza w wielkich miastach, jest niski, a w Warszawie przychodzi na świat około 30% dzieci nieprawych. W mieście fabryczném, jak Łódź, z pewnością nie jest lepiéj. Charakterystyczny fakt przytoczono niedawno, że w jedném z miast przemysłowych Królestwa, w fabryce miejscowéj, trzecia część robotnic niezamężnych jest w stanie poważnym, i że robotnica żadna moralną być nie może, będąc ustawicznie napastowaną, a w razie oporu prześladowaną przez oficyalistów i zwierzchników.

Nędza więc i niski stan obyczajowy kobiét, oraz niskie instynkty i nieodpowiedzialność przed prawem i opinią publiczną mężczyzn dostarczają pacyentek i „aniołków“ takim Skublińskim i Bednarkowym. I wobec całéj sumy tych złożonych warunków ekonomicznych, moralnych i prawnych, niełatwych przy dzisiejszym układzie społecznym do usunięcia, środki do walki z tak wielkiém złem, redukują się do jednego zakładu podrzutków na cały kraj.

A jednak ujawniony proceder Bednarkowéj przypomni, a przynajmniéj przypomnieć nam powinien nieszczęśliwe lub zbłąkane matki

i ich dzieci, dla których dotychczas nie ma dostatecznéj liczby przytułków dla biédnych matek.

Jeżeli więc odkryte przez śledztwo sądowe rzemiosło Bednarkowéj nie przekona nas o gwałtownéj potrzebie zakładania przytułków po większych miastach, jeżeli inicyatywa i ofiarność nie zdobędą się na nic więcéj nad groszowe składki na „garnuszek“, to nie wiadomo, coby już skłonić mogło do pobudzenia miłosierdzia ogółu.

Dobroczynność nasza nie będzie więc może oczekiwać odkrycia nowéj Skublińskiéj lub Bednarkowéj, lecz pomyśli o przytułkach dla biédnych matek. Łódź, jako miasto kapitalistów i przemysłowców, powinna dać przykład innym.

Gdyby żyła jeszcze zmarła niedawno Augustowa Potocka, zaopiekowałaby się niezawodnie tą sprawą, godną największego współczucia.

Hr. Augustowa Potocka, któréj pamięć uczcić nam tu należy, była jedną z najpopularniejszych postaci w Warszawie i w naszém społeczeństwie. Do téj popularności wyrobiła sobie prawo wielką ofiarnością, jaką darzyła filantropijne zakłady tutejsze i opatrywała liczną nędzę. W budżecie jéj, cyfra, przeznaczona na ten cel, miała wynosić 130 tysięcy rubli rocznie. Mówca pogrzebowy słusznie więc nazwał zmarłą „jałmużnicą Warszawy.“

W sercach wdzięcznych rodziców i w pamięci potomności najlepiéj zapewne zapisany zostanie szpitalik dziecięcy przy ulicy Aleksandryi, który powstał z fundacyi Potockiéj. Ofiarność, skierowana do instytucyi czynnych, przychodzących z ulgą żywéj nędzy, jest najlepszém wykonywaniem ewangelii chrześciańskiéj, zalecającéj dobre uczynki i miłość bliźniego, jako najpierwsze cnoty żywota. Chociaż więc z hojnéj ręki zmarłéj hr. Potockiéj stanie kościół na ulicy Dzielnéj w Warszawie, na budowę którego za życia jeszcze ofiarowała 350 tysięcy rubli, to jednak najszczersza wdzięczność, a może i pożytek ogólny zakwitnie z mniejszych ofiar, któremi darzyła kształcącą się młodzież, polepszała byt swoich włościan i oficyalistów, które wyrywały z objęć nędzy szwaczki, pozbawione narzędzi pracy i t. d.

Lecz bez względu na kierunek, jaki nadawała ofiarom swoim, do którego zresztą miała wolne prawo, była ona niezawodnie przykładem i ozdobą naszego świata arystokratycznego. Stara to prawda, że wielkie bogactwo psuje ludzi, wbija ich w pychę i próżność, zwłaszcza wtedy, kiedy jest połączone z nazwiskiem, mającém dla tłumów urok dawnego i świetnego brzmienia.

Ci, których los jedném i drugiém obdarzył, uważają się jeszcze dotychczas, u nas zwłaszcza, za uprzywilejowanych, a nie obowiąza-

nych. Łatwiéj i przedewszystkiém pamiętają o przywilejach, niż o obowiązkach szlacheckich.

Augustowa Potocka wyznawała zasadę obowiązku, i stosownie do tego, jak go pojmowała — wykonywała. To téż ten żywy węzeł dobrych czynów, jaki ją łączył z miastem i krajem, pozostanie najlepszym pomnikiem jéj pobytu na ziemi. W filisterskiéj i kramarskiéj naszéj epoce coraz rzadziéj spotykamy wielkich panów z ducha i obowiązku. Augustowa Potocka stanowiła chlubny wyjątek wśród tego świata powierzchowności i próżności.

Publiczność żywo interesowała się losami wielkiéj, jak na nasze stosunki, fortuny Potockiéj, bo kilkanaście milionów rubli, co najmniéj, podobno wynoszącéj. Jeneralnym więc zapisobiercą i właścicielem Wilanowa został hr. Ksawery Branicki; reszta majątków i kapitałów przeszła przeważnie do rodziny Potockich. Warszawskie zakłady dobroczynne zostały opatrzone nie wielkiemi, bo kilkunastu tysięcy rubli nie przenoszącemi zapisami; hojniéj obdarowani zostali oficyaliści i gracyaliści zmarłéj.

Po niéj wspomniéć należy o zgonie d-ra Fritschego, także bardzo czynnéj, pożytecznéj i popularnéj postaci warszawskiéj. Imię jego zrosło się z rozwojem i opieką nad koloniami letniemi dla ubogich dzieci. Jest-to już znaną i charakterystyczną cechą naszych stosunków i instytucyi, że żyją one dzięki inicyatywie, energii lub nawet poświęceniu pojedyńczych jednostek, często wbrew opieszałości lub obojętności ogółu.

Kolonie letnie były właśnie takiém dziełem zmarłego Fritschego. Ażeby wyprawić corocznie kilkaset dzieci na wieś i wyżywić, znaleść dla nich odpowiednie pod względem zdrowotnym miejsca, trzeba było chodzić, biegać, pisać, zbierać składki publiczne, urządać koncerty i odczyty, miéć i fachową znajomość przedmiotu i dar zainteresowenia tą pożyteczną nowością naszego ogółu.

Wszystko to chciał, umiał robić i zrobił dr. Fritsche. Jego kolonie letnie potrafiły sobie zjednać sympatyę publiczności. Znalazł on także pożyteczną współdziałaczkę w codziennéj prasie warszawskiéj, która, z uznaniem to powiedziéć można, otaczała i otacza kolonie letnie troskliwą opieką, przypominając je bardzo często, zwłaszcza w porze letniéj, sympatyi i uczynności publicznéj.

Dziś, bez obawy wierzyć można, kolonie mają byt utrwalony. Kierownikiem i opiekunem téj sprawy został znany na polu prac hygienicznych dr. Markiewicz, a publiczność nasza odpowié chyba, jak dotąd, na każde wezwanie kierowników i zaopatrzy potrzeby kolonii.

Czynem takim najlepiéj uczczoną zostanie pamięć zmarłego obywatela, a co większa — zapewnionym byt pożytecznéj instytucyi.

Towarzystwo popierania przemysłu i handlu w Warszawie uzyskało pozwolenie władzy wyższéj na zbieranie składek na rzecz Muzeum rzemieślniczego, mającego powstać w Warszawie. Wszelkie formalności prawne, potrzebne dla urządzenia owéj instytucyi, zostały już załatwione.

O niezbędnéj potrzebie wzorów dla rzemieślników warszawskich i krajowych, którzyby fach swój na nich kształcić mogli, oddawna wszyscy jesteśmy przekonani. Od lat kilku dowodzono tego niemal codziennie. Instrukcya dla Muzeum jest już wypracowana i zatwierdzona. Muzeum warszawskie posiadać będzie charakter instrukcyjno-informacyjny i wpływać na ulepszenie produkcyi rzemieślniczéj, przez wskazanie odpowiednich środków i wzorów. Zadanie nowego zakładu delegacya muzealna określa: Muzeum warszawskie wskazywać będzie, że ten lub ów wyrób rzemieślniczy cieszy się obecnie znacznym zbytem za granicą, a tém samém i u nas może być rozpowszechniony. Muzeum gromadzić będzie wzory rozmaitéj ornamentacyi dla stolarzów, ślusarzów, snycerzów i innych, przekonywać o skuteczności nowych maszyn, narzędzi, zapoznawać z drobnemi motorami gazowemi, naftowemi i innemi, które udogodnić i produkcyjniejszą uczynić mogą pracę rzemieślniczą. Zadaniem Muzeum rzemieślniczego jest informować o wszystkich nowościach, obchodzić mogących krajowe rzemiosła, dowodnie przekonywać o użyteczności najnowszych wynalazków, stawiać przed oczy wyniki postępu fachowego za granicą, a tém samém zachęcać do prób i zastosowania owego postępu i między nami i t. d. Dodać trzeba, że i historyczny rozwój rzemiosł w Muzeum warszawskiém zaniedbany nie będzie.

Jak wielkie miejsce w produkcyi krajowéj posiadają wyroby rzemieślnicze, okazuje się z porównania, że produkcya fabryczna Warszawy wynosi około 29 milionów rubli, zatrudniając 17 tysięcy ludzi, kiedy produkcyę rzemieślniczą oceniają na 42 mil. rub. zatrudniającą 47 tys. osób. Instytucya więc, w któréjby się rzemieślnicy wzorować mogli, była zdawna niezbędną.

Muzeum jednak nie zaraz zostanie otwarte, bo brakuje jeszcze funduszów. Wiadomo, że p. Wawelberg jeszcze w r. 1889 przeznaczył na urządzenie Muzeum 25 tysięcy rubli. Oprócz téj ofiary na liście składek jednorazowych figuruje dotychczas 5,200 rub., na liście zaś składek rocznych rub. 700. Składki jednorazowe przeznaczone są na urządzenie Muzeum; roczne zaś, jak widzimy, wynoszą dotych-

czas zbyt małą kwotę, aby pozwoliły na przystąpienie do otwarcia, bo cyfrę wydatków rocznych obliczono na 6,000 rub.

Spodziewać się jednak należy, że tak oczekiwana instytucya wkrótce otwartą zostanie i że zwłaszcza świat przemysłowy i rzemieślniczy ze składkami pośpieszy.

W dalszym już ciągu zjawi się zadanie, ażeby zakładem muzealnym zainteresować naszych rzemieślników, dla korzyści których ma on powstać. I zarząd i prasa, i prasa rzemieślnicza w szczególności współdziałać muszą zręcznie, aby zrutynowanych rzemieślników o użyteczności Muzeum przekonać, oraz zachęcić do starania o jego byt i rozwój. Zdaje się, że nie będzie to najmniejsza z trudności, choć pocieszać się można, że kiedy rzemieślnik zamiast gołosłownych nawoływań do poprawy swego fachu, zobaczy wzory, które go poglądowo kształcić będą, uwierzy w dobre skutki postępu fachowego i z rutynisty stanie się światłym pracownikiem.

W zeszłym miesiącu cały świat myślący i czytający współczuł i interesował się bardzo losem głośnego romansopisarza francuskiego Maupassant'a. Wiadomość o jego obłąkaniu i usiłowaniu samobójstwa obiegła całą Europę i wywołała wiele sensacyi.

Ztąd na nowo poruszona została kwestya newrozy, jako wielkiéj choroby moralnéj naszego stulecia, trapiącéj wyższe warstwy społeczne i inteligencyę oraz pochłaniającéj ofiary w świecie pisarskim i artystycznym.

Juliusz Lemaître w artykule pod tytułem „Obłęd“ pisał: „Otacza on nas, obejmuje, ściska, strzeżcie się go. Cztery, pięć razy do roku słyszymy, że pochłonął któregoś z naszych. Jest to zawsze aktor albo literat, rzadziéj malarz, może dla tego, że malarstwo wymaga w części pracy ręcznéj, podczas któréj myśl odpoczywa, a najrzadziéj polityk, może dla tego, że zajęcie powikłane i z przerwami nie jest tak szkodliwe dla mózgu. Czterech albo pięciu rocznie! Ależ to cyfra olbrzymia, jeżeli się zwróci uwagę, że chodzi tu tylko o „znakomitości“, i że zresztą dzienniki zdają sprawę z wypadków zupełnéj i stwierdzonéj waryacyi. Nie mówi się o tych, które dopiéro kiełkują. Jest ich jednak bardzo wiele. Ja sam mógłym wymienić ze dwunastu artystów, aktorów albo literatów, na których czole powiewa „wiatr ogłupienia“, jak mówi Baudelaire, i którzy na pewno skończą na waryacyi, jeżeli im Pan Bóg tylko dłuższego życia użyczy. Mają już posiew, a żniwo obłędu jest tylko kwestyą czasu.“

Autor francuski przebiega daléj warunki, w których pracuje i tworzy większa część dzisiejszych literatów, zaczynając od zaniedbania przepisów hygieny, a kończąc na osamotnieniu moralném i braku

podstaw etycznych. Bezsenne nocy, wysilanie się na tworzenie, owa konieczność powiedzenia czegoś wtedy, kiedy się nie ma nic do powiedzenia, przedwczesne zużycie, podniecanie się alkoholem, morfiną, eterem lub haszyszem — oto litania grzechów, przeciwko zdrowiu ciała i równowadze umysłu, które popełnia często świat literacki, zarówno we Francyi, jak i wszędzie.

Wskazywano następnie głębsze i ogólne przyczyny natury moralnéj, jak sceptycyzm życiowy i rozwój indywidualizmu, wybujałego częstokoć do zerwania wszelkich pęt z otoczeniem społeczném. Połączenie i zlanie się z otoczeniem przez wspólne i stałe zasady jest rękojmią pewnéj równowagi umysłu i wyobraźni. Autor francuski wspomina czynne kongregacye religijne, i prostaczków, gdzie właśnie ta wspólność zasad chroni — według niego — umysły od widma obłędu.

Kwestya ta w ogóle jest tak rozległa i złożona, że dotykając jéj w artykule pobieżnym, zachodzi obawa, ażeby nie być powierzchownym. Następnie zachować należy pewne stopniowanie i oddzielać jedne zjawiska od drugich. Umysł więc nowoczesny, wyzwolony z pęt dawnych powag różni się od umysłu średniowiecznego. Zdaje się, że ten wielki rozwój inteligencyi nowożytnéj, któremu i w umiejętności i poezyi ludzkość zawdzięcza tak wiele świetnych odkryć, arcydzieł sztuki i wyobraźni, zdaje się, że ten rozwój właśnie przypisać w pewnéj części należy wyswobodzonemu z pęt hierarchii teologicznéj indywidualizmowi. A czyż i sceptyzm, na który i moraliści, i hygieniści się skarżą, nie był właśnie dobroczynnym czynnikiem cywilizacyjnego rozwoju? Jeżeli więc umysł współczesny w skutek właśnie nadmiernego, wybujałego rozwoju sceptyzmu i indywidualizmu traci równowagę, lub nawet według przypuszczeń Lemaîtr'a skończy na obłędzie, to z logicznego punktu widzenia zdawaćby się mogło, że takie było jego przeznaczenie, a to, co ma być jego wadą, jest tylko jego właściwością.

Lecz stawiać za przykładem Lemaîtr'a hypotezę, że ogólny obłęd położy koniec naszéj cywilizacyi, a ludzkość dokona swego przeznaczenia w szpitalu waryatów byłoby dziś przedwcześnie i nawet dla wytłómaczenia współczesnéj psychozy umysłowéj zbytecznie.

Niezawodnie, że w warunkach i właściwościach życia cywilizacyjnego, oraz w warunkach pracy i twórczości umysłowéj i literackiéj, znajduje się wiele, bardzo wiele niebezpiecznych dla moralnéj i umysłowéj równowagi pierwiastków, bez względu na psychologiczne i psychiatryczne właściwości uczonych pisarzów i poetów. To jest, że nawet osobnik, obdarzony odziedziczoném zdrowiem i normalnemi funkcya-

mi fizyologicznemi, może łatwo w skutek nadmiernéj lub nieprawidłowéj pracy mózgu, w skutek sztucznego podniecania swojéj wrażliwości lub ujemnych warunków materyalnych, podledz chorobie umysłowéj. Z natury rzeczy, dodajmy, wynika, że do nas, w zakresie publicystycznym, należéć może tylko analiza takich osobników i warunków, przez które one zwichnięte zostały, zostawiając natomiast psychiatryi dziedzicznych neuropatów, którzy przynieśli z sobą na świat zarodki zabójczych wstrząśnień, i których chora wrażliwość, nawet w warunkach zdrowych i dodatnich, popchnąć mogła na próg szaleństwa. Ci ostatni należą do literatury klinicznéj.

Co do pierwszych, to ten słynny nasz wiek nerwowy mieści w sobie istotnie wiele dla nich niebezpieczeństwa. Systematyczna i mozolna obserwacya, bezustanna analiza własnéj duszy, ciągła potrzeba nowych wrażeń, boć wrażliwość jest podstawą twórczości, procesy duchowe, za które się płaci własnemi nerwami, i wreszcie ta główna, choć prosta przyczyna jak życie przeważnie siedzące — oto część zaledwie przyczyn ogólnych, nie mówiąc o innych, przywiązanych do miejsca i czasu.

Tu, naturalnie, przestrzeganie cielesnéj i duchowéj hygieny może być bardzo dobroczynném, choć łudziłby się ten, ktoby tę kwestyę chciał rozpatrywać i rozstrzygać tylko z hygienicznego punktu widzenia. Skomplikowane warunki życia społecznego ciążą na pracownikach myśli więcéj i boleśniéj, niż na innych.

Jako zbiorniki chorób nerwowych, ukazują się wielkie miasta, a są one przecież głównemi siedliskami pracującéj inteligencyi. Artystom i pracownikom umysłowym zalecają wieś, bo w ciszy i spokoju wiejskim powstały piękne dzieła. W stolicach nie ma sprzyjających warunków ani dla spokoju, ani dla natchnienia. Jeżeli je chcecie miéć — mówią mniéj więcéj — to szukajcie w ciszy wiejskiéj harmonii własnéj duszy z harmonią przyrody. Życie, zdala od miasta, płynie wolniéj i swobodniéj. Wymowny przykład téj newrozy autorskiéj mieliśmy i u siebie, w tragicznéj śmierci Włodzimierza Stebelskiego, literata i poety, który zakończył samobójstwem w ostatnich dniach grudnia, w Warszawie. Stebelski, w swoim czasie, był ozdobą dziennikarstwa lwowskiego, w którém po Lamie, uważano go za talent najwybitniejszy. Jego sylwetki z „loży sejmowéj," pełne dowcipu, werwy i sarkazmu, czytywane były w swoim czasie w Galicyi, z ciekawością i zajęciem nadzwyczajném. Do Warszawy przed kilku laty przybył Stebelski z rozwiniętemi zarodkami choroby nerwowéj, ale z piórem tak jeszcze żywém i oryginalném, że w swoim rodzaju nie miał on tutaj współzawodnika. Ten rodzaj polegał na ironii, drgają-

céj wszystkiemi uczuciami od swawoli, aż do łez, na wielkiéj wytworności pisarskiéj, na oryginalnych zwrotach słowa, na świetnym, niekiedy wspaniałym stylu. O Stebelskim śmiało powiedzieć można, że był zdobny we wszystkie wdzięki talentu pisarskiego. Z fantastyczną bujnością nieopatrznego dziecka wyobraźni ciskał on błyskawice inteligencyi, fajerwerki dowcipu, ciosy ironii, swawolę poety i złośliwość szydercy, nieopatrznie, szybko i gorączkowo, pełnemi garściami na wszystkie strony. Lecz posiadając temperament niestały i nerwowy, zapalający się rozmaitemi blaskami, to tarzając się w upadku, to wznosząc się aż do ekstazy, żył za szybko i za różnorodnie i za gorączkowo. Twórczość jego stopniała w przepaści przelotnych wrażeń, nie krystalizując się w plastyczny utwór piękna. Stebelski był na to za gwałtowny, za szybki i za mało systematyczny. Rozsiewał lśniące perły swego dowcipu, wylewał krwawe łzy swojéj ironii, więc rozproszone gasły, jak meteory.

Sarkazm, ironia, ból, dowcip, paradoks, melancholia, oryginalność formy, subtelność myśli, smutek serca, przenikliwość mózgu, giętkość słowa, tajemniczość, plastyczność, powab poety, cięgtość szydercy, rozpacz, delikatne aluzye — oto pierwiastki jego organizacyi, wyobraźni i stylu. Wszystko to rozrzucił po drodze swego zawodu, bez rachuby, bez zastanowienia, bez myśli o jutrze, drwiąc z własnéj sławy, przyszłości, uznania lub złota.

Fatalista z temperamentu, byli zanadto szczery, dumny i niepodległy, aby resztki swego olśniewającego talentu rzucać na łup lichym współzawodnikom lub trywialnéj masie. I zamiast zawierać kompromis ze znienawidzoną rzeczywistością, pozostał w ostatnim akcie życiowego dramatu wiernym swemu fatalistycznemu powołaniu, i umarł, jak fatalista.

Śmierć Stebelskiego wywołała szczery żal wśród połączonych z nim bliższemi węzłami kolegów, oraz wśród ogółu ceniącego w nim niepospolite zdolności.

Z szeregów dziennikarskich ubyli także Kazimierz Łuniewski i Porębski. Ostatni pracował w nich do zgonu; pierwszy, po wiele obiecujących początkach zawodu, cofnął się do życia prywatnego, ażeby na dawną arenę już nie powrócić. Łuniewski przed laty kilkunastu był ozdobą zachowawczego obozu w dziennikarstwie warszawskiém, celując werwą polemiczną. Opuścił pole pracy autorskiéj w wieku młodym. Dlaczego? Odpowiadają, że prasa jest istotną prasą, wyciskającą żywotne soki umysłowe z pracowników pióra.

Pomiędzy p. „Rolnikiem“, który napisał w „Kur. Codziennym“ kilka artykułów „O rzeczach poważnych“ naszego rolnictwa doty-

czących, a p. Chorążym z „Wieku“ toczyła się polemika, dość obiektywnie z obu stron prowadzona, o obowiązki właścicieli ziemskich względem bezrolnych włościan, skazanych w porze zimowéj na niedostatek skutkiem braku roboty. Ponieważ w jednéj z poprzednich „Kronik“ przytaczałem wskazówki i zachętę Rolnika dla właścicieli ziemskich, jakich robót w gospodarstwie zimą dokonaćby można z wzajemną korzyścią i dla właścicieli i dla proletaryatu rolnego, popierając z przekonaniem ten projekt, co łaskawie przez p. Chorążego nazwaném zostało „ideologią“, więc obecnie w kilku słowach powrócić do téj sprawy wypada.

Rolnik w kilku artykułach „O rzeczach poważnych“ motywuje swój program, w pierwszym szeregu względami praktycznemi, a w następnym dopiéro obywatelskiemi podyktowany.

Słusznie uważa, że dostarczanie pracy bezrolnym wyrobnikom, zalecają przedewszystkiém interesa samych właścicieli, ażeby z nadejściem pilnych robót wiosennych w polu mieć pod ręką energicznego i chętnego robotnika. Dowiódł zresztą, że zalecane przez niego skromne melioracye są koniecznym warunkiem postępu, a nawet egzystencyi jakiego takiego gospodarstwa.

Z niepojętą dla mnie logiką Chorąży nazwał to ideologią filantropijną, a pieczę o bezrolnych włościan, zdolnych do pożytecznéj dla rolnictwa pracy, radby powierzyć Towarzystwom dobroczynności. Można rozmaicie pojmować szeroką sferę obowiązków obywatelskich, lecz trudno je tłómaczyć tak ciasno, jak Chorąży. Inne jego wywody w artykułach „Zbawcy rolnictwa“ do téj kwestyi nie należą; przyznajemy chętnie, że w uwagach o różnicy między towarzystwem i społeczeństwem wiejskiém i miejskiém napisał kilka prawdziwych uwag.

Jeszcze słówko. P. Chorąży lubi pisać apostrofy, niech więc przyjmie jedną. Ma on jakiś wstręt do wszystkiego, co mu się podoba nazywać „ideologią“, a chyba wié o tém, że „ideologami“ nazywano takich, w rozumieniu których obowiązki nie kończą się na własnym brzuchu. Nareszcie co do nieznajomości stosunków wiejskich przez ideologów, trudno wymagać, ażeby każdy z nich, mówiąc o wsi, uprzednio legitymował się przed nim ze znajomości tych stosunków.

B. Lut.

Przedstawiona poraz pierwszy 6 stycznia r. b. „sztuka“ p. Edwarda Lubowskiego p. n. „Bawidełko“, miała wielkie powodzenie

i do chwili, w któréj to piszemy, z małemi przerwami, nie schodziła z repertoaru. Dowodzi to w każdym razie, że autor utrafił w smak publiczności i dał jéj widowisko zajmujące, w którém czy to postaci, czy sytuacye przykuwały uwagę widzów do sceny i pobudzały wybuchy zadowolenia, ujawniające się w hucznych oklaskach.

Sądy krytyki o tym utworze były różnorodne. Jedni widzieli w nim krok naprzód w rozwoju talentu dramatycznego w stosunku do poprzednich komedyi autora, inni ubolewali, że porzucił właściwą talentowi swemu metodę dawania widzowi galeryi dobrze wystudyowanych charakterów, a zapragnął ożywić tę galeryę akcyą pełną scen wstrząsających, drastycznych, inni jeszcze robili p. Lubowskiemu surowe wymówki ze względów moralnych.

Nie myślę tych sądów godzić lub wykazywać ich ujemności; wypowiem tylko szereg uwag, które mi się podczas przedstawienia nasuwały i które do wyrobienia sobie o wartości artystycznéj „Bawidełka“ przyczynić się może zdołają.

Początek przypomniał mi „komedyę seryo“ Aleksandra Fredry ojca p. t. „Wychowanka“. I tam i tu jest dziewczyna biédna, wzięta na wychowanie przez ludzi bogatych, którzy dali jéj wykształcenie i zamierzają wyposażyć ją hojnie. I tu i tam jest ojciec pijak, u Fredry ojciec zmyślony, wyzyskujący tylko Zosię i p. Moderskiego, w „Bawidełku“ — ojciec rzeczywisty. Ale na tém podobieństwa się kończą. Widoczną jest rzeczą, że autorowie wzięli pomysł wprost z życia, niezależnie od siebie, i rozwinęli go po swojemu. Fredro, chociaż pisał „komedyę s e r y o, jak sam ją zatytułował, nie myślał przecie robić z niéj dramatu, i choć Zosię swoją przeprowadził przez szereg prób bardzo ciężkich, pozwolił jéj w końcu odetchnąć swobodnie i wyjść za tego, którego pokochała. Lubowski, który dla określenia swego utworu wybrał ogólnikowy wyraz: „sztuka“, przeprowadzić chciał myśl poważną, dotykając sprawy bolesnéj nierozważnego brania przez ludzi możnych na swoję odpowiedzialność losu ubogich dzieci, które „bawidełkiem“ dla swych opiekunów się stając, wyszedłszy ze swojéj sfery, nie znajdują w innéj nietylko szczęścia, ale choćby tylko znośnego bytu, lecz się marnują i poniewierają.

Pomysł taki sam w sobie jest bardzo dobry i zarówno pod względem estetycznym jak i społecznym przedstawiał obszerne do rozwinięcia pole. W beletrystyce naszéj Orzeszkowa w jednym z obrazków swoich „Z różnych sfer“ świetnie go przeprowadziła. Ale w sztuce p. Lubowskiego jestże on wyniklіwie rozwinięty? Słyszymy wprawdzie piękne w téj mierze tyrady z ust kilku osób, ale w akcyi teza ta przedstawia się bardzo niewyraźnie. Dla pani Stalickiéj,

bogatéj właścicielki dóbr (granéj wybornie przez p. Rakiewiczową), nie jest Hanna (p. Marcello), córka włościan biednych, a obarczonych w dobie oddania Hanny licznem potomstwem, istotnem „bawidełkiem“, jak jéj to wyrzucają: brat i sama wychowanka; mogła ona w systemie wychowania Hanny popełniać błędy, mogła zbyt powierzchownie zapatrywać się na zadanie kobiéty w świecie, ale od samego początku sztuki widzimy, jak szczerze zajmuje się losem wychowanki, jak lęka się o jéj utratę, jak troszczy się o zapewnienie jéj szczęścia— naturalnie według swoich wyobrażeń. Nie są to bynajmniéj dowody, żeby się bawiła tylko Hanną, bo gdyby tak było, to już chyba dawno musiałaby się naprzykrzyć ta dziewczyna samolubna, dziwaczna, żądna błyskotek, pełna pretensyi względem ludzi, a nie okazująca nawet najsłabszego objawu serca. Jeżeli autor chciał wskazać w p. Stalickiéj przykład zdrożnego, lekkomyślnego wykonywania wziętego na się obowiązku wychowania młodéj duszy, to powinien był w inny udowodnić to sposób, aniżeli za pomocą przedstawienia troskliwości o strój Hanny i w niechęci oddania jéj napowrót rodzicom, którzy po stracie innych dzieci mieli ją jedną już tylko. Pozostawienie Hannie zupełnéj swobody, czy to w wyborze jéj domu lub chaty wieśniaczéj, czy też w oddaniu swéj ręki Sośniakowi (p. Kotarbiński) który ją pokochał, świadczy owszem na korzyść rozsądku i serca wychowawczymi.

Tak jest. Autor chybił w rysunku p. Stalickiéj; nie przedstawił w niéj tego, co pierwotnie zamierzał i do czego stosował tyrady różnych osób, ale rzucił dowolnie, bez przekonywających dowodów ciężar winy na jéj barki. To téż tyrada Hanny w 4 akcie skierowana przeciw wychowawczyni, jeżeli wywołuje oklaski, to dla prawd w niéj zawartych, a z uczuciem wypowiedzianych, a nie z powodu jéj stosowności wobec postępowania pani Stalickiéj. Wychowawczyni zrobiła zapewne bardzo nierozsądnie przymuszając swego siostrzeńca, hr. Stefana (p. Wolski) do zaślubienia Hanny, którą uwiódł, ale nierozsądek a brak serca to są rzeczy zupełnie różne. Bo i w tym względzie bynajmniéj nie działała samowolnie; Hanny nie zmuszała, zostawiła jéj swobodę; Hanna zgodziła się wyjść za Stefana, działała już z całą świadomością położenia; brała więc na siebie wyniki tego postanowienia.

W charakterze Hanny nie akcentuje autor, ale w akcyi, może wbrew założeniu, przedstawia bezwzględny egoizm, który we wszystkiém i we wszystkich widzi jedynie narzędzia mające posłużyć do zaspokojenia pragnień i zachceń. Nigdzie w niéj nie przejawia się głębsze uczucie lub bystrzejszy umysł. Jest to istota, dla któréj

pobyt na świecie zasadza się na samych zewnętrznych, powierzchownych, błyszczących dekoracyach życia. Świetne apartamenta, bogate i gustowne tualety, wystawne przyjęcia i bale stanowią dla niéj wyłączny cel pożądań, tak że żądza upokorzenia nienawidzonego męża, który tuż obok pokojów swoich dał mieszkanie baronowéj Mélinet (p. Lüde), grająca w jéj stosunkach rolę nader ważną, łączy się jaknajściśléj z pragnieniem olśniewania towarzystwa wydawanemi przez siebie zabawami. A jeżeli nieraz mówi o pustce serca, jeżeli w rozmowie z jednym ze swych gości, Morelskim (p. Nowicki), którego nad innych wyróżniła, uskarża się na to życie salonowe bez karmi dla duszy, to widz nie bardzo wierzy w szczerość tych użaleń i gotów je poczytywać za pozę przybraną, nieźle przystającą do tych bogactw i do téj próżniaczéj egzystencyi, jaką Hanna prowadzi. Że takie pojmowanie charakteru Hanny nie jest dowolne, przekonywamy się z jéj rozmowy zarówno z mężem, jak z baronową, a jeszcze bardziéj z jéj zachowania się po ucieczce Stefana, gdy się znalazła całkowicie ogołoconą z bogactw, jakiemi była do owéj chwili otoczona. Wówczas to najwyraźniéj okazuje się jéj nicość moralna i umysłowa; wówczas jéj samolubstwo i przywiązanie do błyskotek ujawnia się w całéj pełni, wówczas zwyrodnienie jéj duchowe wychodzi na wierzch bez żadnéj obsłony. Zarówno scena z p. Stalicką, jak pijatyka w hotelu z t. z. złotą młodzieżą małomiasteczkową stanowią wymowny dowód tego faktu, że w duszy Hanny nigdy nie zagościło uczucie prawdziwe, że jéj narzekanie na pustkę serca było tylko frazesem znudzonéj a żądnéj użycia kobiéty.

P. Lubowski skomplikował charakter Hanny wprowadzeniem pierwiastku, zaczynającego i w beletrystyce odgrywać rolę poważną, mianowicie dziedzicznego nałogu pijackiego. Dał ten pierwiastek sposobność dramaturgowi do skreślenia trzech scen efektownych: upicia się ojca-wieśniaka (p. Sikorski), podniecenia alkoholicznego Hanny w czasie rozmowy z Morelskim, i końcowéj bachanalii w hotelu. Cokolwiekby się dało powiedzieć o tych scenach pod względem estetycznym i moralnym, niewątpliwą jest rzeczą, że napisane i odtworzone zostały znakomicie. Ale czy tkwi w nich istotnie podstawa psychologiczna? Ojciec Hanny, jak nas objaśnia jedna z osób, a słowa jéj nie uległy zaprzeczeniu, nabrał nałogu pijackiego dopiéro po stracie dzieci; Hanna więc nie mogła po nim odziedziczyć nałogu; nie mogła go też nabrać, przypatrując się późniejszemu życiu ojca; gdy według założenia komedyi (a wbrew prawdopodobieństwu) poznała go dopiéro wówczas, gdy była dorosłą, widziała go na chwilę, właśnie w stanie pijanym, i na jego widok doznała wstrętu. Jeżeli więc w niéj

powstało zamiłowanie alkoholiczne, to było ono wytworem życia jéj własnego, a z nałogiem ojca sztucznie tylko przez komedyopisarza zostało zespolaném.

Historya i losy Hanny, pojętéj tak, jak je tu przedstawiłem, nie mogą budzić spółczucia, bo natury egoistyczne, żyjące tylko dla siebie, takiego objawu w sercach ludzi wywołać nie są zdolne. Drażnią one tylko ciekawość, jako przykład życia niezdrowego, które się coraz bardziéj wśród klas nie potrzebujących pracować na swe utrzymanie, myślących tylko o zabawie, rozpowszechnia. Artystycznie rzecz biorąc, odtworzenie takiego życia może być doskonałym wątkiem powieści czy dramatu. Ale ażeby całkiem zyskiwało sobie umysł rozważnego widza, musiałoby konsekwentniéj być rozwinięte, niż w „Bawidełku.“ Hanna nieraz okazuje spryt w sprawach codziennych, rozumié znaczenie pieniędzy, zna doniosłość swoich podpisów; zadziwia więc łatwość, z jaką się daje mężowi ze wszystkiego ograbić. Nie potrzebowała dla siebie pobłażliwości męża, bo autor nie dał tego widzowi poznać, a więc nie była zmuszona do robienia ustępstw, do płacenia pieniędzmi za swobodę postępowania. Takie kobiéty nie zwykły lekceważyć majątku, umieją go wprawdzie strwonić, ale na swoje potrzeby. A jeżeli to wyzbycie się zasobów, które błyszczéć pozwalały Hannie, dziwném jest i nieusprawiedliwioném, to zabawném wydać się musi zdecydowanie się jéj na rolę piękności małomiasteczkowéj w epoce, kiedy wdzięki jéj dopiéro co w najpiękniejszą pełnię rozkwitły.

Jeżeli się pominie te względy uboczne; jeżeli się nie będzie bardzo zważało na ścisłe powiązanie przesłanek z wynikami, to Hanna, jako dziecię przepełnione truciznami moralnemi atmosfery, może być uważana za charakter w szczegółach dobrze zaobserwowany, a niekiedy bardzo świetnie odtworzony. Nie odznacza się ona jednolitością, nie tłómaczy się sama przez się jasno na scenie, ale natomiast nosi na sobie cechy złożonego produktu życia zdenerwowanego, w którém uczucia proste, zadowolenia serca, popędy dobre i szlachetne są rzeczami nieznanemi lub wzgardzonemi.

Epizodyczne postaci w „Bawidełku“, których jest dużo ze szkodą skupienia dramatycznego, są doskonale nakreślone z właściwém p. Lubowskiemu sarkastyczném zacięciem. Taki Conte di Bergama (p. Frenkiel), taki Gładecki (p. Prażmowski), lub tacy małomiasteczkowi letkiewicze, jak Radca (p. Wojdałowicz), Szydełkiewicz (p. Szymanowski), Lalkiewicz (p. Jagielski), lub taka wielkoświatowa stręczycielka jak p. Fonfalewiczowa (p. Niewiarowska), są to figury wprost z życia wzięte i w kilku dobitnych, śmiałą ręką pociągniętych

rysach oddane. One istotnie wzbogacają tę galeryę charakterów, jaką p. Lubowski stworzył w poprzednich komedyach, stanowią cząstkę portretowanéj artystycznie spółczesności. Dodatnie figury: Sośniak (p. Kotarbiński), Grzechocki (p. Ładnowski) mają niestety zbyt dużo w sobie papierowéj doskonałości, są uosobionemi tyradami czy morałami i za istotnie żywe figury, pomimo dobréj gry artystów, poczytać je trudno.

Wystawienie „Bawidełka" nazwać się może staranném i pełném smaku; a gra wszystkich artystów harmonijną tworzyła całość. P. Marcello święciła tryumfy najczęstsze, poczynając od drugiego aktu; w pierwszym gra jéj była nierówna i nietylko się nie przyczyniała do rozjaśnienia charakteru Hanny, w początkach bardzo zagadkowego, lecz owszem jeszcze go niezrozumialszym czyniła.

P. R.



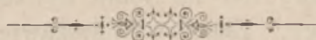
NEKROLOGIA.

† **Antoni Porębski**, urodzony w Płocku 1833 roku, po ukończeniu nauk gimnazyalnych, osiadł na wsi i gospodarował. Od roku 1871-go przez lat trzy wydawał w Piotrkowie razem z Kaz. Filipkowskim „Rocznik piotrkowski“, a w r. 1873-im założył czasopismo p. t. „Tydzień“, które prowadził do r. 1876, poczém odstąpił je p. Mirosławowi Dobrzańskiemu. Prócz redagowania tygodnika i pisania w nim licznych artykułów, ogłosił w r. 1875 obrazek dramatyczny dla dzieci w 1-ym akcie p. n. „Najlepsze wiązanie“, oraz ułożył i wydał kalendarz na rok 1876-ty p. n. „Przyjaciel.“ Przeniósłszy się do Warszawy, od lat 8-miu był stałym członkiem redakcyi „Kuryera Porannego.“ Zmarł w Warszawie 29 grudnia r. z.

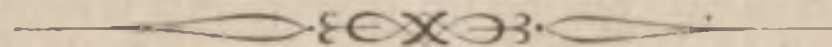
† **Gustaw Fritsche** urodził się w Warszawie 28 grudnia 1838 roku, skończywszy gimnazyum gubernialne, wstąpił do świéżo w r. 1857-ym otwartéj Akademii medyko-chirurgicznéj. W roku następnym przeniósł się na uniwersytet berliński, potém na heidelberski. Z powodu złego stanu zdrowia musiał w końcu r. 1862-go wyjechać na Maderę. Po całorocznym tu pobycie wrócił do studyów, a w roku 1865-ym otrzymał w Jenie stopień doktora medycyny, napisawszy rozprawę: „*Ueber die Zuckerbildung in der Leber*“. Uzyskawszy w Petersburgu potwierdzenie dyplomu swego w r. 1869-ym, przyjął w Częstochowie posadę ordynatora w tamtejszym szpitalu. W roku 1876-ym przeniósł się do Warszawy, i niebawem został jednym z ordynatorów szpitala na Pradze. Od r. 1882-go aż do chwil przedzgonnych był redaktorem i wydawcą „Medycyny“, poruszając mnóstwo zagadnień z praktyki lekarskiéj. W „Słowniku lekarzy polskich“ Kośmiński wyliczył rozprawek Fritschego 50. W tymże samym roku zajął się sprawą kolonii letnich dla biednych słabowi-

tych dzieci. Zmarł po dwumiesięcznéj blisko chorobie 31-go grudnia r. z.

† **Wincenty Niewiadomski**, urodzony w Warszawie 4 kwietnia 1826 r., ukończywszy szkołę realną, wszedł na drogę urzędową, ale nie zaniedbał upodobań nabytych w szkole do nauk przyrodniczych; zajęcia jego jako próbierza b. mennicy warszawskiéj dawały mu częściową sposobność do zużytkowania swoich wiadomości. Po zwinięciu mennicy pracował czas jakiś na drodze żelaznéj warszawsko-terespolskiéj, a następnie w biurze kopalni węgla Natansonów. Zmarł w Ostrowiu łomżyńskiém 2 stycznia r. b. W publicystyce wystąpił około r. 1866, umieszczając artykuły swoje, streszczenia i tłómaczenia z dziedziny nauk przyrodniczych w różnych czasopismach: w „Przeglądzie Tygodniowym", w „Tygodniku ilustrowanym", gdzie od r. 1866 prowadził dział „Najnowszych odkryć i wynalazków", a potém rubrykę „Z bieżącéj chwili ruchu naukowego", w „Bluszczu", „Wędrowcu", „Niwie", „Przyjacielu zwierząt", w „Kalendarzu Ungra." Z książkowych wydawnictw prócz tłómaczeń, ogłosił streszczenie dzieła Brehma: „Życie i obyczaje zwierząt" (1873), „Obrazy z życia flory" (1880). W ostatnim lat dziesiątku rzadko się już w piśmiennictwie odzywał, bo wymagania naukowe w sprawie popularyzowana wiedzy przyrodniczéj znacznie się zwiększyły.



OGŁOSZENIA.



Wydawcy: ***W. Spasowicz*** i ***A. Pawiński.*** — Redaktor ***P. Chmielowski.***

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Января 1891 г. — Druk Jana Cotty.